

LEN DEIGHTON

ZŁOTE MIASTO

PRZEKŁAD EWA FISZER

Prolog

Pod koniec 1941 roku generał Erwin Rommel, głównodowodzący wojsk Osi w Północnej Afryce, zaczął otrzymywać tajne meldunki o ruchach wojsk brytyjskich. Rommel nie był poinformowany, skąd biorą się owe wiadomości. Za każdym razem starannie je przeredagowywano, aby nikt nie mógł odgadnąć, kto je wysyła i z jakiego źródła pochodzą. Odznaczały się zadziwiającą szczegółowością. Zawierały informacje o tym, kiedy przyplływają alianckie statki i jaki przywożą ładunek, gdzie stacjonują alianckie armie oraz siły powietrzne, a nawet dokładne dane o planach następnych operacji wojskowych.

Jeden z historyków pisze: „Było to zupełnie niesłychane. W ciągu całej wojny żaden z dowódców Osi nie miał tak jasnego obrazu sytuacji na froncie... W toku Kampanii Północnoafrykańskiej Rommel został przez Brytyjczyków odepchnięty w głąb pustyni... Ale 21 stycznia 1942 roku znów rozpoczął ofensywę i w ciągu siedemnastu dni siły brytyjskie musiały się wycofać o prawie 500 kilometrów”.

David Kahn „The Codebreakers” London, Weidenfeld & Niederson, 1966

1

*Powiadają, że sierżant to równy gość! Wiele się mówi, ale
Gdy poprosisz go o sobotnią przepustkę, Da na bilet i da ci popalić!
Już niejedyn poborowy wpadł
Wypisując obelgi na ścianach, O awansie nie masz co marzyć!
W górę serca! Chwalcie swego pana!*

PIOSENKA ŻOŁNIERSKA

KAIR. STYCZEŃ 1942

- Lubię eskortować aresztantów - oświadczył kapitan Albert Cutler wyciągając się wygodnie na wolnej ławce. Miał na sobie kremowy płócienny mocno już wymięty garnitur. - Ilekroć mam przed sobą dłuższą podróż pociągiem, staram się ją sobie zorganizować.

Był rumiany, mówił z akcentem z Glasgow. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, skąd pochodzi. Stawało się to jasne, ledwie otworzył usta.

Drugą osobą w przedziale był Jimmy Ross. Na rękawach munduru khaki miał szewrony kaprala. On także był Szkotem, Szkotem najrzadszego gatunku, z Highlands, czyli z Wyżyn. Pochodził z wioski w Wester Ross. Ale obaj bez słowa zgodzili się, że na czas swojej krótkiej znajomości zapomną o regionalnych waśniach. Ross miał szachy - pomogło to przełamać lody. Grali mniej więcej na tym samym poziomie. W ciągu tej podróży rozegrali już chyba pięćdziesiąt partii. Nie licząc popisów Cutlera, który pokazywał swemu aresztantowi otwarcia i końcówki z meczów wielkich mistrzów szachowych. A znał ich dużo. Miał świetną pamięć. Utrzymywał, że to właśnie dlatego jest aż tak cenionym detektywem.

Pociąg był staroświecki, przedział ozdobiono na edwardiańską modłę. Mosiężna półka na bagaż lśniła, z obu stron zwisały frędzle. Nie brakowało nawet niewielkiego lustra w mahoniowej ramie. W dachu znajdował się niezbyt dobrze funkcjonujący wentylator. Kiedy wiatr wiał nie w tę stronę, co należało, do przedziału przedostawał się pełen sadzy dym. I to właśnie zdarzyło się w tym momencie. Ross zaczął kaszleć.

Słychać było ruch na korytarzu. Pasażerowie przeciskali się obarczeni plecakami i karabinami. W ich głosach dało się wyczuć znużenie charakterystyczne dla ludzi, którzy od dłuższego czasu nie spali. W pociągu panował straszny tłok. W tym przedziale spuszczone story, niemniej przedostawało się przez nie światło. Dziwaczne matowe światło.

- A to dlaczego? - spytał Jimmy Ross. - Dlaczego lubi pan jeździć z aresztantami? - Miał lekki szkocki akcent; żeby to zauważyć, trzeba mu się było pilnie przysłuchiwać. Jimmy Ross był ciemnowłosy, szczupły, nieco mocniej zbudowany od Cutlera, jednakże ci dwaj mężczyźni byli do siebie podobni. Pochodzili z analogicznych środowisk - ich ojcami byli nie pozbawieni ambicji robotnicy, obaj skończyli średnią szkołę państwową i obu zabrakło funduszy na studia uniwersyteckie. Kiedy teraz patrzyli na siebie, każdy z nich widział własny portret.

- Bo przebieram się w cywilne lekkie ubranie i mam do dyspozycji cały przedział. Mogę się wyciągnąć i przespać. Nikt nam tu przecież nie przeszkadzał, prawda? A w pociągu panuje dziki tłok. - Cutler podniósł o parę centymetrów storę, żeby zerknąć na krajobraz. Szyby tak samo jak okienka wychodzące na korytarz oklejone były urzędowymi obwieszczeniami opatrzonymi stemplami i podpisem komendanta żandarmerii, a głoszącymi, że jest to PRZEDZIAŁ ZAREZERWOWANY. Zatem nikt z odrobiną rozsądku w głowie nie próbowałby tu wtargnąć.

Kiedy Cutler podniósł storę, do przedziału wpadł blask słońca. I smród gnoju, który miał użyźniać pola. Cutler aż zamrugał. Pejzaż był zielony, owszem, i choć jak wszędzie w tej

części świata pełno tu było kurzu, zieleni biła w oczy. Zimą Egipt robił wrażenie urodzajnego kraju.

Pociąg posapywał i turkotał. Jechał powoli - egipskie pociągi nigdy się nie spieszą. Gapili się na niego wychudli ciemnoskórzy mężczyźni jadący wzdłuż toru na osiołkach. Na polach widać było pielące kobiety. Poruszały się miarowo, jak żołnierze.

- Mamy jeszcze przed sobą długą podróż - rzekł Cutler spojrzawszy na zegarek. Opuścił storę. Kiedy pociąg dojedzie do Kairu, ci dwaj mężczyźni rozstaną się. Cutler, z żandarmerii, obejmie ciepłą posadkę w Biurze Śledczym SIB* przy Głównej Kwaterze Armii Środkowego Wschodu, a Jimmy Ross trafi do cuchnącego aresztu. Wiedział, że nim stanie przed sądem wojennym, czekają go bardzo ciężkie chwile. Wojskowe więzienie w Kairze cieszyło się jak najgorszą opinią. A po skazującym wyroku odeślą go do jednego z więzień na pustyni. Ross uśmiechnął się więc smutno, a Cutler poczuł dla niego litość. Podróż minęła dość przyjemnie, dwóch Szkotów zawsze znajdzie temat do rozmowy.

- Nikt pana nigdy nie zaatakował? - spytał Ross.

- Zaatakował?

- Myślę o więźniach. Czy aresztanci nie próbują czasem uciec? Cutler zachichotał.

- A niby co byś ty mi mógł zrobić?

Byli mniej więcej w tym samym wieku, podobnej budowy ciała. Cutler nie obawiał się swojego więźnia. Choć miał już brzusek czuł, że jest sprawniejszy fizycznie. Kiedy jako młodzieńki policjant pracował w Glasgow, nauczył się radzić sobie w każdej opresji.

- Ja nie należę do tych, co uciekają się do gwałtu - powiedział Ross.

- Czyżby? - Cutler głośno się roześmiał. Ross oskarżony był o zabójstwo. Jimmy Ross dobrze wiedział, co pomyślał kapitan.

- Jemu się to od dawna należało. Wyjątkowo parszywy skurwiel.

- Wiem, wiem. - Cutler rzeczywiście wiedział, że Jimmy Ross jest przyzwoitym facetem. Przeczytał jego zeznanie, przeczytał zeznania świadków. Ross był tam jedynym podoficerem. A oficer idiotą, który narażał swoich ludzi na śmierć. I groził im rewolwerem. To się często źle kończy. Ale Cutlera kusilo, żeby dodać, iż to nie będzie się liczyło. Co z tego, że oficer był idiotą? Ross był jego podwładnym. Ross zabił swego przełożonego. Będzie miał szczęście, jeśli zostanie skazany na dwadzieścia lat ciężkich robót. Grozi mu wyrok śmierci.

Jimmy Ross czytał w myślach kapitana jak w otwartej księdze. Siedział w kajdankach, wpatrując się w swój mundur. Skubał szorstki materiał spodni. Kiedy podniósł głowę, zobaczył, że twarz Cutlera wykrzywiła się z bólu.

- Co panu jest, panie kapitanie?

Cutler wyraźnie cierpiał.

- Chłopcze, jadłeś też to kurczę na zimno? - Cutler często zwracał się do swoich rozmówców per chłopcze. Nabrał tego przyzwyczajenia jako inspektor w Glasgow. Nigdy nie mówił do aresztowanych po imieniu, budziło to w nich fałszywe nadzieje. Inni policjanci w Glasgow używali często formy: pan, ale Cutler uważał to za zbędną uprzejmość.

- Przecież pan wie, że ja jadłem kanapkę z serem - odpowiedział Ross.

- Boli mnie żołądek - wyznał Cutler.

- Pewnie od whisky.

Cutler uśmiechnął się żałośnie. Od blisko tygodnia nie miał w ustach alkoholu. To było przykrą stroną odwożenia aresztantów.

- Zdejmij no chłopcze z półki moją torbę - Cutler roztarł pierś. - Zażyję tabletki. Nie chcę zachorować zaraz po objęciu nowego stanowiska. - Wyciągnął się na ławce. Jego twarz poszarzała. Poszarzały nawet wargi. Na czole pojawił się pot, Cutler wyglądał tak, jakby miał za chwilę pojechać do Rygi.

- To wysokie stanowisko, prawda? - Jimmy Ross udawał, że niczego nie zauważył. Wstał, zdjął zakutymi rękami skórzaną walizkę i patrzył, jak Cutler ją otwiera.

Jego ręce drżały tak, że z trudem trafił kluczykiem do zamka. Kiedy poniósł wieko, Ross sięgnął do środka, wyjął flakonik i wytrząsnął z niego parę tabletek. Cutler podstawił dłoń i złapał dwie. Wpakował do ust i próbował przełknąć nie czekając na wodę. Z drugą miał kłopoty. Zaczął się krztusić. Zmarszczył brwi, z trudem przełknął ślinę. Potem znów roztarł pierś i leciutko się uśmiechnął, dając do zrozumienia, że już wszystko w porządku. Oznajmił, iż często cierpi na niestrawność, cóż, choroba zawodowa. Ross chwilę stał i bacznie go obserwował. Łatwo byłoby wyrznąć go kajdankami w głowę. Widział to kiedyś na scenie.

Po paru chwilach Cutler zaczął przychodzić do siebie. Walczył dzielnie z bólem.

- W Kairze mam znaleźć szpiega - powiedział. - Oczywiście nie uda mi się go dopaść, ale będę musiał podjąć odpowiednie kroki. - Zamknął walizkę. - Możesz ją zostawić na ławce. Przed przyjazdem do Kairu zmienię spodnie. Len się okropnie mnie. A powinienem dobrze się zaprezentować. Pierwsze wrażenie jest bardzo ważne.

Ross usiadł i przyglądał mu się z zainteresowaniem, jakie w ludziach cieszących się dobrym zdrowiem wzbudza widok cudzej choroby.

- Dlaczego nie uda się panu go dopaść? - to, że był obecnie aresztantem, nie umniejszało jego wiary w to, iż Wielka Brytania wygra wojnę. Cutler mówiąc o swoim

zadaniu powinien wykazać dużo więcej entuzjazmu. - Wspominał pan, że był pan detektywem.

- Ano byłem. Przed wojną w CID* w Glasgow. Byłem dobrym detektywem. To dlatego w wojsku od razu otrzymałem stopień oficerski. Nie musiałem przechodzić przeszkolenia, brakowało im wykwalifikowanych detektywów. Posłali mnie do Ośrodka Szkoleniowego Żandarmerii w Mytchett. Tam przez dwa tygodnie uczono mnie musztry i słuchałem wykładów z zakresu prawa wojskowego oraz zapoznawałem się z procedurą sądów wojennych. I zaraz przysłano mnie tutaj.

- Rozumiem.

Cutler przyjął postawę defensywną.

- Przecież nie mam żadnych szans. Nikt nie miałby szans. Nasłuch radiowy nie potrafi niczego wykryć. Wszyscy są przekonani, że ten szpieg nie należy do grona uciekinierów. I wyczerpano już normalne metody śledcze. - Cutler od dawna nie rozmawiał z nikim z taką szczerością. Łatwo jest wywnętrzać się przed kimś, kogo się już nigdy nie zobaczy. - To miasto jest jakieś cudaczne. Pełno tu Arabów. Mam urzędować w koszarach Bab-al-Hadid, nikogo tam nie znam, chcę powiedzieć, że żadne nazwisko nic mi nie mówi, a przecież o wszystkich dobrych gliniarzach coś słyszałem. Pewnie służą oni w wojsku. - Słowo „wojsko” wypowiedział z niesmakiem, nie miał widać dobrego wyobrażenia o armii. - A za to w żandarmerii jest kilku prawników i zwykli poborowi. Wszystko wskazuje, że nie ma tam żadnego prawdziwego policjanta. Ja zaś nie znam tutejszego języka, to jakiś arabski szwargot, więc niby jak mam przesłuchiwać podejrzanych i świadków? - Cutler ostrożnie podniósł nogi i spuścił je na podłogę. Oparł się o kolana i westchnął. Wyglądało na to, że czuje się lepiej. Ross zrozumiał, że Cutler zaczyna już żałować swoich zwierzeń.

- No to dlaczego pana tu sprowadzają?

- Wiesz przecież, jak to jest w wojsku. Dla tych szarż człowiek jest detektywem, tak jak jest piekarzem czy metalowcem. Nie wiedzą, że prowadzenie śledztwa to prawdziwa sztuka.

- No tak, w armii człowiek staje się kolejnym numerem.

- Oni myślą, że szpiegów łapie się tak jak złodziei. I nie ma im co tłumaczyć, że to zupełnie inna para kaloszy. Ci wojskowi myślą, że znają się na wszystkim. - Coś mu nagle przyszło na myśl. - Ty nie jesteś zawodowym wojskowym?

- Nie.

- No jasne, że nie. Co robiłeś przed wojną?

- Pracowałem w teatrze.

- Byłeś aktorem?

- Chciałem zostać aktorem. Ale pracowałem jako inspicjent. A przedtem w biurze prawniczym.

- Aktorem... Mogę ci z doświadczenia powiedzieć, że aktorem jest każdy - oświadczył Cutler. Znów skrzywił się i roztarł ramię, jakby nagle poczuł ból. - Tyle, że o tym nie wie... O Jezu! - Teraz ledwie mówił. - Ten kurczak musiał być nieświeży. - Jego głos stał się chrapliwy. - Słuchaj, chłopcze... O Boże! - Skulił się i podniósł nogi jak stara kobieta, która boi się myszy. Objął się rękami wpół, otworzył usta i pociekła z nich ślina. Zaczął jęczeć.

Jimmy Ross nie wiedział, co robić. Czy to atak serca? Nie mógł nikogo wezwać na pomoc, nie wolno mu było kontaktować się z innymi pasażerami.

- Mam pociągnąć za hamulec?

Cutler zdawał się go nie słyszeć. Ross spojrział w górę - nie było hamulca.

Cutler otworzył szeroko oczy.

- Chyba trzeba mi... - Kołysał się z boku na bok. Zupełnie oklapł. Przestał być strażnikiem swego więźnia, zebrał o łaskę. Przykro było na niego patrzeć.

- Nie uciekaj!

- Nie, nie.

- Lekarza...

Ross wstał i nachylił się nad nim.

- Ooooch...

Ross wyciągnął skute ręce. Ale za późno. Kapitan osunął się, czołem wyrznął w ramę okna, potem jego głowa oparła się o szybę. Oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem, twarz przybrała zielonkawy odcień.

Ross przytrzymał go za rękaw i nie dopuścił, by upadł na podłogę. Dotknął czoła Cutlera. Było zimne i lepkie, tak jak to opisują w kryminałach. Oczy pozostały szeroko otwarte. Zmarły jakby się skurczył i wyglądał bardzo staro.

Nagle Rossa ogarnęło przerażenie. Gotowi powiedzieć, że to on zamordował kapitana Cutlera. Że go otruił albo uderzył, tak jak uderzył tamtego skurwysyna, którego zabił. Cóż, i tak go dwa razy nie powieszają, ale to nie była pociecha. Wyobrażał sobie wyraz ich twarzy, kiedy zobaczą zwłoki. O tak, miał się czego bać.

Spojrzał na kajdanki. Zmartwiały mu już ręce. Nie ma co, musi spróbować je otworzyć, a potem wezwać pomoc. Cutler miał kluczyk w prawej kieszeni marynarki, łatwo było go znaleźć. Zawieszony był na tym samym kółku, co inne klucze Cutlera, łącznie z kluczykami do walizek, które zostały oddane na bagaż. Ross roztarł przeguby rąk. Jak

przyjemnie było pozbyć się tych kajdanków. Cutler postąpił przyzwoicie i nie skuł mu zbyt mocno rąk. Musiał jednak zachować ostrożność mając do czynienia z zabójcą.

To zadziwiające, co ludzie z sobą wożą. Butla szamponu, zdjęcie starszej kobiety w srebrnej ramce, srebrna szczotka do włosów, list z filii Królewskiego Banku Szkocji w Glasgow donoszący, że zgodnie z żądaniem adresata zlikwidowano konto jego matki. List nosił datę sprzed trzech miesięcy. Teraz poczta z Wielkiej Brytanii objeżdżała wokół całej Afrykę, ale i tak musiał już nadejść jakiś czas temu. Zielona tekturowa aktówka z dokumentami dotyczącymi pracy Cutlera w Kairze. „Albert George Cutler zostaje mianowany majorem. Z ważnością od pierwszego grudnia 1941”. Zatem to nowe stanowisko przyniosło mu także awans. Stopień majora był stopniem wojennym i nie wpływał na wysokość gaży. Ale major to major. Major jest już w wojsku kimś, kto się liczy.

Przejrzał resztę dokumentów, nie znalazł jednak niczego, co by jego dotyczyło. Rozkaz podróży, brązowa koperta, a w niej sześć dużych białych pięćofuntowych banknotów i siedem jednofuntowych. Mały kalendarzyk w skórzanej oprawie z podręcznym ołóweczkiem. I zadziwiająca legitymacja, którą posługiwali się pracownicy śledczy - różowy kartonik SIB. Słyszał o tych legitymacjach, ale nie przypuszczał, że kiedyś taką zobaczy. Dawała wszelkie możliwe uprawnienia. Kapitan Cutler mógł chodzić w cywilnym ubraniu, mógł nosić mundur przyszywając odznaki wybranej przez siebie rangi, miał wstęp wszędzie, miał pełną swobodę działania.

Taka legitymacja warta była na czarnym rynku tysiąc funtów. Spojrzał na zdjęcie Cutlera. Marne, niewyraźne zdjęcie - pstryknął je jakiś przypadkowy fotograf powołany w szeregi armii, było źle wywołane i już zdążyło pożółknąć. Mógł to być Cutler, mógł to być równie dobrze jakiś inny mężczyzna.

Przyszło mu nagle na myśl, że jest do Cutlera bardzo podobny. Włosy Cutlera zostały opisane jako proste, jego falowały się, ale obaj byli ostrzyżeni krótko, po wojskowemu i tej różnicy nie dawało się zauważyć.

Ross miał śniadą cerę, Cutler za życia rumianą, tego wszakże nie da się stwierdzić na podstawie białoczarnej fotografii. Ross był o parę centymetrów wyższy, nikomu jednak nie przyjdzie chyba do głowy, by go zmierzyć. Spojrzał w lustro trzymając w ręku fotografię. Podobieństwo nie było może zbyt wielkie, ale trudno przypuścić, by ktoś zechciał kwestionować tożsamość majora policji.

Nagle drgnął - uświadomił sobie, że zdradzi go ubiór. Powinien przyjechać w białym garniturze.

Nie, nie będzie zdzierał garnitur z trupa, na to nie potrafi się zdobyć. Otworzył torbę Cutlera. Była to zielonkawa płócienna torba, jaką zabiera się na safari. Na samym wierzchu leżały białe płócienne spodnie. Upewnił się, że story są zasunięte, i przebrał się. Cholera! Spodnie były za krótkie.

Wpadł na dobry pomysł. Wsiądzie z pociągu we własnym mundurze kaprała i pokaże legitymację SIB. Ale wtedy ciało pozostanie w cywilnym ubraniu... Czy uwierzą, że aresztant mógł być tak ubrany? Właściwie dlaczego by nie? Wprawdzie zatrzymano go w mundurze, ale gdyby zatrzymano go w cywilnym ubraniu, to by go przecież nie przebierano na drogę w mundur!

Znów się sobie przyjrzał. Nie, nic mu nie przyjdzie z tych białych spodni. Gdyby miał płaszcz, mógłby ich nie podciągać aż do pasa. Ale bez płaszcza wyglądałby jak klaun. Psiakrew! O mało się nie rozplakał z wściekłości.

Zatem jest skazany na swój mundur kaprała albo musi zrezygnować. Znów przejrzał się w lustrze i powiedział głośno parę słów starając się imitować glasgowski akcent Cutlera. Nie było to trudne. Oświadczył więc swemu odbiciu w lustrze:

- No, Jimmy, oto masz szansę, o którą się modliłeś. Gwiazdor spektaklu zmarł i możesz zagrać jego rolę. Uważaj tylko, żeby się nie pomylić wygłaszając tekst..

Tak, warto będzie spróbować. Zresztą tekst okaże się pewnie niepotrzebny. Kiedy wydobędzie się z pociągu, zniknie w tłumie. Na parę dni znajdzie na pewno jakieś schronienie. I będzie miał czas zastanowić się, co robić dalej. Kair jest wielkim miastem, słyszał, że pełno w nim dezerterów, kryminalistów i macherów od czarnego rynku. A co z pieniędzmi? Może znajdzie gdzieś na tyłach jakąś małą jednostkę wojskową i zgłosi się po żołd. Wiedział, jak się to robi. Żołnierze przesyłani z miejsca na miejsce stale dopominali się o żołd. Chwilowo ma niemal czterdzieści funtów. W takim mieście jak Kair powinno mu wystarczyć na tydzień, dwa, może nawet na miesiąc. Będzie musiał znaleźć hotel. W schroniskach, w YMCA, w hospicjach pilnie szukano dezerterów. Największe niebezpieczeństwo stanowił sam dworzec. Czy uda mu się wyminąć patrole żandarmerii? Ci skurwiele w czerwonych czapkach kręcili się wokół dworców jak muchy wokół słoika miodu. Miał legitymację Cutlera, ale czy uwierzą, że jest oficerem SIB? Czy nie wezmą go raczej za kaprała, który bez przepustki wyszedł z koszar?

Usiadł i starał się skupić. Kiedy podniósł głowę, przeraził się - wpatrywały się w niego nieruchome oczy Cutlera. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął twarzy majora. Miał nikłą nadzieję, że nieboszczyk uśmiechnie się lub odezwie. On wszakże naprawdę nie żył. Niech go diabli! Jimmy Ross wstał i usiadł na innym miejscu. Musi się dobrze zastanowić.

Po pięciu minutach zabrał się do roboty. Należało działać metodycznie. Przede wszystkim opróżnić kieszenie Cutlera i własne. Nie wolno mu zatrzymać sygnetu od matki, przykro będzie się z nim rozstać, ale co robić? Trzeba także rozebrać nieboszczyka. Sprawdzić, czy na koszuli i kalesonach nie ma naszywki z nazwiskiem albo metki z pralni. Oficerowie nie zwykli pracować sami bielizny. Przypomniał mu się kryminał Agaty Christie, w którym metka z pralni pozwoliła wykryć zbrodniarza. Jedno poślizgnięcie, a czeka go porażka.

Kiedy pociąg wjeżdżał na dworzec w Kairze, Ross pociągnął za gruby rzemień, by opuścić szybę. Tak postąpili wszyscy podróżni. W oknach przedziałów pojawiły się głowy. Cuchnący dym lokomotywy nie zabijał zapachu miasta. Na dworcach unosi się najczęściej smród piwa, czosnku lub stęchłego dymu z papierosów. Kair pachniał bardziej intrygująco - dziwny melanz woni jaśminu, ostrych przypraw, kanalizacji, spalanego węgla i pustynnego kurzu. Ross wychylił się z okna.

Nie musiał się trudzić. I tak łatwo znaleźliby ten przedział, rozglądali się za napisem „Zarezerwowany”. Peronem kroczyło dwóch żandarmów w czapkach z czerwonymi denkami, opasani byli nieskazitelnie białymi parcianymi pasami, u których zwisały kabury. Towarzyszył im kapitan w paradnym mundurze: wykrochmalona koszula, ręcznej roboty krawat, elegancka spiczasta czapka. Oficer żandarmerii! Dotychczas widział takiego tylko raz, w chwili własnego aresztowania.

To oficer zobaczył wychylającego się z okna Rossa i zawołał:

- Major Cutler?

Pociąg zatrzymał się, buchnął obłok pary, zaskrzeczały hamulce. W wielkiej hali dworcowej zadudniło echo.

- Major Cutler? - Oficer nie wiedział, czy salutować mężczyźnie z naszywkami kaprała.

- Tak. To ja. Prowadziłem śledztwo i nie zdążyłem się przebrać - odpowiedział Ross starając się mówić możliwie obojętnym tonem. Bał się, że usłyszą w jego głosie zdenerwowanie. Zastanawiał się, czy nie wyjąć legitymacji, ale mogłoby się to wydać dziwne. Nie przypuszczał, że ktoś wyjdzie mu na spotkanie. Doznał szoku.

- Jak minęła podróż, sir? Melduje się kapitan Marker, jestem pańskim zastępcą. - Marker uśmiechnął się. Słyszał, że cywilni detektywi lubią się popisywać ekscentrycznością. Pewnie paradowanie w podoficerskim mundurze jest jednym z takich wybryków. Pomyślał sobie, że trudno mu będzie przystosować się do swego nowego zwierzchnika.

Jimmy Ross wciąż stał w oknie nie otwierając drzwi przedziału.

- Mamy problem, Marker. Eskortuję więźnia. A on nagle zachorował.

- Zajmiemy się tym, sir.

- Jest bardzo chory - dorzucił pospiesznie Ross. - Będą potrzebne nosze. - Marker wciąż przyglądał mu się z zakłopotaniem i Ross zaczął improwizować. - To chyba serce. Mówił mi, że ma kłopoty z sercem, ale nie przypuszczałem, że aż tak poważne.

Marker wszedł na stopień, zjrzał i zobaczył skuloną w rogu przedziału postać. Cywilne ubranie: biały lniany garnitur. Dlaczego dezercerzy zawsze przebierają się w cywilne ubrania? Khaki to kolor ochronny. Marker znów spojrzał na swego nowego szefa. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie pobił on aresztanta. Nie było widać śladów pobicia ani krwi, ale ludzie, którzy biją więźniów, wiedzą, jak to należy robić, by nie pozostawić śladów.

Ross uprzytomnił sobie, co tamten myśli.

- O, nie, kapitanie Marker. Nic z tych rzeczy. Nie mam zwyczaju bić ludzi zakutych w kajdanki. Zresztą więzień zachowywał się cały czas wzorowo. Postąpmy zgodnie z regulaminem. Zdobądźcie skądś nosze i odwieźcie go do szpitala.

- Nie musi się pan tym zajmować, sir. - Marker zwrócił się do swoich ludzi - Jeden z was zostanie z więźniem, a drugi niech zadzwoni do szpitala.

- On wciąż jest w kajdankach. Będzie wam potrzebny kluczyk.

- Zajmą się tym moi ludzie - oświadczył Marker, wziął kluczyk i podał go temu z żandarmów, który został. - Musimy się pospieszyć z odebraniem pańskiego bagażu, sir. Tutejsi złodzieje potrafią ulotnić się z dziesięcotonową ciężarówką, a potem wrócić po jej papiery.

Ross uśmiechnął się.

Dziesięć milionów pyłków kurzu rozświetliło się blaskiem zachodzącego słońca, ukośne promienie wyglądały jak sztabki złota. Złoty był dym i złote sylwetki biegnących w najrozmaitsze strony podróżnych. Nawet Marker uległ wrażeniu.

- To miasto przezwano złotym - poinformował Rossa. Stojący obok pociąg ruszył. Zagwizdał i zaczął postękiwać. Po peronie krzatali się wokół gór bagażu żołnierze i oficerowie.

- Tak, czytałem ten wiersz. To piękny wiersz - odpowiedział Ross.

- Wiersz? - Marker zdziwił się, że jego szef lubi wiersze. Zakrawało na cud, że major SIB, zwłaszcza taki, który wyszedł z szeregów policji w Glasgow, czyta poezję. - Jaki wiersz, sir?

Ross poczuł się nagle zakłopotany.

- Och, tak dokładnie nie pamiętam. O tym, że i domy, i gliniane chaty w Kairze wyglądają jak zrobione ze złota, które rabusie wywlekli ze starych grobowców. - Zamierzał już zacytować parę linijek wiersza, kiedy nagle ugięły się pod nim nogi, przypomniał sobie, że wśród bagażu jest także jego plecak. Może udać, że go nie widzi, ale wówczas plecak trafi do biura rzeczy znalezionych i odkryją tam, iż należy do aresztanta nazwiskiem Jimmy Ross. Co ma zrobić?

- Powinienem wziąć ze sobą trzech ludzi - zaczął się tłumaczyć Marker, kiedy stanęli przed wagonem z bagażem. - Zapomniałem, że będziemy musieli odebrać pana rzeczy.

- Jest tu tylko jeszcze jedna zielonkawa płócienna waliza ze skórzanym paskiem - powiedział Ross. I zobaczył swój plecak. Na szczęście był on już bardzo zniszczony, czas zrobił swoje: ani nazwisko, ani numer pułku nie były do odcyfrowania. - No i ten brunatny plecak.

- Bagażowy! - zawołał Marker widząc krajowca z wózkiem. - Proszę wziąć te rzeczy i pójść za nami. - Po czym poinstruował swego przełożonego, że należy zawsze znaleźć bagażowego z numerkiem, a numerek trzeba zapamiętać. Uprzejmie odebrał Rossowi torbę Cutlera. - Nie warto było brać samochodu. Urządujemy w koszarach Bab-al-Hadid. To o trzy kroki stąd.

Minęli biletera, przeszli przez zatłoczoną salę dworcową, wyszli na plac przed dworcem. Za nimi kroczył bagażowy. Wokół dworca wrzało miasto. Ten zimowy dzień był piękny, zwłaszcza dla Europejczyków. Powietrze jedwabiste, błękitne niebo lekko zamglone.

A zatem to jest Kair. Ross zaczął się rozglądać, szukał w myślach sposobu ucieczki. Marker jednak zamierzał odegrać rolę wzorowego podwładnego.

- Będzie pan miał świetną ekipę, panie majorze - opowiadał - i wszystkie możliwe udogodnienia. Dostęp do wszelkich informacji, każdego wolno panu przesłuchać i niemal każdego aresztować. Brygadier powiedział nam niedawno, że mamy być brytyjskim gestapo. Brygadier to równy chłop, polubi go pan. Będzie panu we wszystkim szedł na rękę. O nic się pan nie będzie musiał martwić, spokojnie zajmie się pan odnalezieniem tego szpiega Rommla.

Ross coś potwierdzająco mruknął.

Marker przeraził się. Przyszło mu nagle na myśl, że w wojsku należało pewnie zwracać się do nowo przybyłego przełożonego zupełnie innym tonem. I chyba zbyt bezceremonialnie wyrażał się o brygadierze. Marker wstąpił do wojska jako ochotnik, przedtem był młodszym współpracownikiem w biurze prawnym. Zwracał się do Cutlera jak do kolegi po fachu, a major oczekiwał pewnie bardziej wojskowego sposobu zachowania.

Poszli dalej w milczeniu, roztrącając przekupniów. Tu każdy coś sprzedawał. Podsuwano im tace ze sznurowadłami, słodyczami, ołówkami i przewodnikami. Na tym ogromnym placu przed dworcem roilo się od sprzedawców ulicznych.

- No, koszary są już o krok - oświadczył Marker.

Ross zobaczył ponury zamek z żółtawego kamienia. Taki, jaki budowali krzyżowcy. On też lśnił jak złoto.

Rozejrzał się. Bardzo nie chciał wchodzić do koszar, chciał zniknąć. Ale dookoła pełno było policji, nie było co marzyć o ucieczce. Właśnie przejechało koło nich kilku konnych policjantów egipskich na pięknie wyczesanych wierzchowcach. Brytyjscy żandarmi nie dosiadali koni. Stali parami w tych swoich czerwonych czapkach, rozstawiając nogi i założywszy z tyłu ręce. Byli wszędzie i wszyscy nosili broń.

Na dworcu dwóch stojących przed drzwiami przedziału żandarmów czekało na lekarza. Starszy objął dowództwo. Na piersi miał wstążeczki orderów z pierwszej wojny światowej. Parę razy zajrzał do przedziału i powiedział coś do nieboszczyka. Nie otrzymał odpowiedzi. Wreszcie oznajmił:

- Ten facet nie żyje.

- Jesteś pewny?

- Zimny jak głaz. We Francji widziałem więcej truposzy, niż potrafiłbyś zliczyć.

- No to co robimy?

- My? Nic. Oficer powiedział, że aresztant jest chory, więc jest chory. Niech go obejrzy lekarz. To lekarz ma skonstatować zgon. Za to mu płacą.

Znów wycofał się na peron i obaj czekali przed otwartymi drzwiami. Młodszy żołnierz nie miał najmniejszej ochoty dotykać zwłok. Zmienił więc temat i spytał:

- Co, pewnie tego nowego faceta przysłali tu, żeby zastąpił wężatego majora?

- A tak, ten skurwiel stracił gwiazdki i wykopano go do Adenu albo w jakieś podobne miejsce.

Obserwowali zbliżającego się cywila. Myśleli, że to lekarz, ale kiedy zatrzymał się przed zaklinaczami węży, od razu zrozumieli, że się mylą. Tylko turyści i nowo przybyli zatrzymywali się, by spojrzeć na zaklinaczy węży, akrobatów i kuglarzy.

- Słyszałem, że ma dziś przyjechać nowy szef. Plotkowano, że to detektyw z kraju.

- Też nie zagrzeje tu długo miejsca - powiedział starszy. - Co on może wiedzieć o Kairze? Nigdy nie uda mu się złapać tego przeklętego szpiega.

- Ale się fajnie przebrał.

- Myślisz o tym mundurze kaprała?

- No właśnie.

- A wiesz, po co? - spytał z rozgoryczeniem starszy. - Gdyby kapitan Marker tu z nami po niego nie wyszedł, ten skurwiel poszedłby do koszar i jeśli udałoby mu się wejść nie pokazując przepustki, zrobiłby piekło, że nie przestrzegamy zasad bezpieczeństwa.

- Możliwe. Gdzie jest ten cholerny lekarz? - pieklił się młodszy. To on telefonował. - Powiedzieli, że zaraz przyjdzie. A my dziś w nocy mamy służbę.

- A mamy. I to w Al Birka. Czujesz się na siłach?

- Nie cierpię tej parszywej dzielnicy. Cuchnie. Prosiłem, żeby mnie przeniesiono do policji drogowej. Mam po dziurki w nosie tego patrolowania burdeli.

Mundur Rossa z naszywkami kaprała nie wzbudził żadnych podejrzeń. Marker w pełni go zaakceptował. Ale czy nie było sposobu, by pozbyć się jego przyjaznej obecności?.

Kiedy doszli do bramy Bab-al-Hadid, stał tam uzbrojony wartownik. Bagażowy zdjął z wózka walizki, a Marker mu zapłacił. Ross wyjął legitymację, ale wartownik nawet na nią nie spojrział. Zasalutował patrząc prosto przed siebie.

- Wszyscy wiedzą, że miał pan przyjechać - wytłumaczył Marker. Pokazał swemu zwierzchnikowi własną legitymację SIB. - Pana legitymacja na nic się tu nie przyda. Nie wpuszczamy nikogo ze zwykłymi przepustkami. Mamy własne. Jeszcze dziś, jeśli znajdzie pan chwilę, sir, zrobimy zdjęcie. Skoro chcemy, by wartownicy przestrzegali przepisów, musimy im służyć przykładem.

- No, jasne - zgodził się Ross.

- Więc jutro będzie pan już miał nową legitymację i przepustkę. - Poprowadził go po kamiennych schodach.

- Wzorowa sprawność - pochwalił Ross.)ego głos odbił się echem. Wyglądało tu jak w starożytnym zamku, w lecie na pewno błogosławiło się chłód kamienia.

Marker nic nie odpowiedział na komplement.

- Zwyczaj każe zamykać wszystkie biura w Kairze między pierwszą a piątą po południu. Prosiłem, żeby pana personel stawił się możliwie wcześniej, pomyślałem sobie, że zechce pan ich jak najszybciej poznać. A zaraz potem może pan pójść obejrzeć swoją kwaterę.

- Posłucham pańskiej rady, Marker.

- Chyba, że zechce pan przedtem zajrzeć do akt. Powiedziałem pańskiemu kanceliście, naturalnie, jeżeli chce pan mieć tego samego co pański poprzednik, żeby przygotował akta wszystkich bieżących spraw. Ale jeśli pan woli, mogę je panu ustnie zreferować.

- Marker, czy pan jest zawsze tak cholernie sprawny?

Marker spojrział na niego, zastanawiając się, czy nie zostało to powiedziane ironicznie. Ale z twarzy tego nowego zwierzchnika nic się nie dawało wyczytać.

- W cywilu pracowałem sam dla siebie, sir.

- Wpędzi mnie pan w kompleks niższości.

- Przepraszam, sir. - Czy major Cutler żartuje? Trudno powiedzieć. Szli galeryjką nad placem musztry.

- Tędy, sir. To tutaj jest pana biuro.

Wydział, który miał objąć Cutler, znajdował się na piętrze. Weszli wprost z galeryjki do pokoju, pokoje były w amfiladzie, a ich okna wychodziły na plac, za którym widniał dworzec.

Wszyscy pracownicy stali na baczność - szeregowcy, kaprale i sierżant, oraz czteroosobowa grupa radiowców, której przewodził też kapral. I stary żołnierz o twarzy cwaniaka, który miał być jego kancelistą.

- Sprowadźcie natychmiast fotografa - polecił Marker jednemu z obecnych. - Potrzebne nam piorunem zdjęcie majora, żeby mu wystawić legitymację.

- Szybko się nawzajem poznamy - powiedział Ross usiłując przypomnieć sobie inne stereotypowe zdanka, którym przysłuchiwał się jako ordynans. Marker kolejno przedstawiał mu obecnych, wymieniając ich kwalifikacje, zakres obowiązków oraz zawody w cywilu. Nikt nie służył przedtem w policji. Biedny Cutler miał rację.

- Czy wszyscy są obecni? Marker zawahał się.

- A więc nie wszyscy?

- Nie ma jeszcze sekretarki, Alice Stanhope. Powinna się lada chwila pojawić.

- Gdzie jest?

- Pojechała do Aleksandrii odwiedzić matkę.

- Zachorowała?

- Kto? Jej matka? Nie, o ile wiem, nie.

- No to dlaczego sekretarki nie ma w biurze?

Marker znów się zawahał. Niełatwo było wyjaśnić, kim jest Alice Stanhope.

- Jej matka... chcę powiedzieć, cała jej rodzina przyjaźni się z brygadierem. To dlatego właśnie Alice Stanhope zaczęła tu pracować.

- Rozumiem.

- Nie, sir, to nie tak. Ona jest świetną pracownicą, zna wiele języków i wie więcej o tym przeklętym kraju niż wszyscy spotkani przeze mnie Europejczycy.

- Ale?

- No cóż, jej matka zna wszystkich. Dosłownie wszystkich. - Podszedł do drzwi wychodzących na galeryjkę i wyrzał. - Tak, to jej wóz. Poznałem silnik. Ma sportowe MG.

- Czyżby parkowała na placu musztry? - spytał z niedowierzaniem Ross.

- Jej matka załatwiła to z brygadierem - odpowiedział Marker. Sytuacja zaczęła go bawić, pilnie obserwował wyraz twarzy zwierzchnika.

- Niecierpliwie czekam, by ją poznać - oświadczył Ross.

- Nie rozczaruj się pan - odparł kapitan Marker.

Ale wiedział, że Rossa spotka niespodzianka, więc kiedy Alice Stanhope pojawiła się za oknem i pędem wbiegła do pokoju, nie spuszczał oczu z majora.

- Przepraszam, że się spóźniłam, sir - zawołała. Po czym przypomniała sobie, że powinna zsalutować, szybko więc naciągnęła na głowę kapelusz i stanęła na baczność.

- Nic się nie stało - uspokoił ją Ross. Do tego momentu był zdecydowany opuścić wieczorem swoją kwaterę i zniknąć dziękując swej szczęśliwej gwiazdce. Teraz wszakże jego plany w mgnieniu oka uległy zmianie. Następnego dnia pojawi się jednak w biurze.

Alice Stanhope była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Musi ją jeszcze raz zobaczyć.

2

Dzielnica Al Birka, w której mieści się większość kairskich burdeli, ciągnie się od dworca aż po Ogrody Asbekijja. Do dzielnicy tej wzbraniano wstępu żołnierzom - wszędzie na okrągłych tarczach umieszczono czarne krzyże, wszędzie krążyły też patrole żandarmerii. Dwie główne ulice to Ciot Bey, nazwana tak na cześć lekarza, który przyczynił się walnie do zwalczania chorób wenerycznych, i Wagh Al Birka - stąd wzięła się nazwa całej dzielnicy, słynnej od paru stuleci w całym świecie arabskim, mówi się o niej wszędzie - od Casablanki po Zanzibar.

Cały zachodni skraj Al Birka to labirynt wąskich uliczek wijących się wśród niskich domów z gliny lub cegły. Dniem i nocą w Al Birka panuje tłok, trwają nie kończące się burdy. Dawniej obok prostytutek królowali tu muzycy, kuglarze, wróże, tancerze i sztukmistrze. Obecnie, w styczniu 1942 roku, pozostały tylko kabarety i kurwy. Można tu zobaczyć kobiety każdego koloru skóry, każdej narodowości; duże, małe, otyłe i szczupłe. Kobiety dla bogaczy i kobiety dla ludzi ubogich. Siedzą na maleńkich balkonikach i

zaczepiają przechodniów. Można pójść do glinianej chatki i zabawić się za zasłoną w alkowie, można zapewnić sobie towarzystwo w najbardziej pałacowych wnętrzach.

Jednym z najbardziej kosztownych lokali jest burdel nazwany przez żołnierzy burdelem Lady Fitzherbert - bohaterki rubasznej żołnierskiej piosenki. Kobieta ochrzczone mianem Lady Fitz była pięćdziesięcioletnia grecka dentystka, która w 1939 roku pojawiła się w Kairze bez grosza przy duszy. Wzbogaciła ją wojna i stacjonujące tu wojska. Obecnie należała do najbardziej wpływowych osobistości w Kairze. Prowadziła swój zakład z maestrią szwajcarskiego hotelarza. Posyłała ministrom złote monety, inspektorzy kairskiej policji mieli do wyboru najpiękniejsze dziewczęta, a brytyjscy żandarmi otrzymywali całe galony whisky.

Lady Fitz przestrzegała twardo jednej zasady - interesy robiła tylko z tymi, których dobrze znała. W tej chwili w jednym z najwytworniej - szych pokoi na górze znajdowali się dwaj dobrze jej znani mężczyźni. Przychodzili regularnie: sierżant Smith i sierżant Percy. Mało ją obchodziło, jak się naprawdę nazywają - płacili dobrze i nigdy nie było z nimi kłopotu. Spojrzała na zegarek. Kosztowny Longines był jednym z nielicznych luksusów, na który sobie pozwoliła. Była gładko uczesana, prawie nie umalowana, ubrana w skromną bawełnianą niebieską sukienkę i kupione na suku pantofle na płaskich obcasach. Chyba już czas, żeby posłać na górę jedną z dziewczyn.

Ci dwaj żołnierze byli tam co najmniej od godziny. Wkrótce Lady Fitz wyprawi do nich przesłiczną dziewczynkę, z pochodzenia Tunezyjkę, która nie zna daty swoich urodzin. Wie tylko, że cała jej rodzina zginęła podczas bitwy pod Sidi Barrani, w grudniu 1940 roku. Przyszła stamtąd do Kairu pieszo, zrobiła blisko pięćset kilometrów. Lady Fitz zobaczyła ją zebrzącą pod meczetem al Azhar. Zajął się nią troskliwie, mała na razie podawała tylko gościom trunki, czekało się na jakąś specjalną okazję, czyli na kogoś, kto gotów będzie drogo zapłacić.

Sierżant Percy zawsze za wszystko płacił z góry, nigdy się nie kłócił i nie uskarżał. Percy różnił się bardzo od innych wojskowych. Miał naszywki Armii Południowoafrykańskiej, ale Lady Fitz wcale nie była pewna, czy on naprawdę pochodzi z Południowej Afryki. Nie wypytywała go. Ważne było, że jest uprzejmy i spokojny. Rzadko się uśmiechał, nigdy nie żartował i za każdym razem domagał się innej dziewczyny. Lady Fitz takiego właśnie zachowania oczekiwała od mężczyzn i bardzo go polubiła. Ten drugi, sierżant Smith, też nigdy się nie upijał, ale był tłusty, arogancki i skłonny do ironicznym żartów. Wszystkich traktował tak, jakby byli jego podwładnymi, jednakże w oczach Lady Fitz jego największą wadą było to, że nie interesował się jej pensjonariuszkami. Zaczęła go

podejrzewać o homoseksualizm. Mogłaby mu zaoferować chłopców, tylko że on w ogóle jej nie słuchał. Zupełnie nie potrafiła go rozgryźć.

- No, szykuj się - powiedziała do dziewczynki. - Zaparz herbatę. Powinnaś już do nich pójść. I pamiętaj, żebyś się zachowała tak, jak ci kazałam.

Dziewczynka zrobiła poważną minę, z jaką dzieci często stawiają czoło światu dorosłych. Spojrzała na Lady Fitz i uroczyście skinęła głową.

W świetle naftowej lampy opalone twarze mężczyzn lśniły złociście, szorstki materiał mundurów w kolorze khaki też przybrał złocisty odcień. Jak złoto błyszczało mosiężne szerokie łóżko, nad którym udrapowano koronkowy szal. Przypadkowy obserwator pomyślałby, że popija tu sobie dwóch starych przyjaciół. Ale po chwili wyczułby napięcie, tak, było to spotkanie dotyczące interesów, toczyła się ostra dyskusja. Burdel jest idealnym miejscem spotkań dla ludzi, którzy nie chcą, by ktoś ich razem zobaczył.

Sierżant Smith leżał na łóżku. Z początku siedział na nim, ale potem zgasił papierosa, rozsznurował buty i wyciągnął się wygodnie.

- Oooo... - szepnął poruszając palcami stóp i rozkoszując się świeżością pościeli.

Smith miał trzydzieści trzy lata. Łatwo było zapamiętać jego pogodną twarz dzięki wypomadowanym, zakręconym do góry wąsom. Takie wąsy miał sierżant gwardii grenadierów, który uczył rekrutów musztry, i Smith natychmiast postanowił, że na czas wojny zapuści sobie podobne wąsy.

Smith spojrzał na swoje odbicie w lustrze i pociągnął łyk lemoniady. Kiedy ukończył osiemnaście lat, obiecał ojcu, że nigdy nie tknie alkoholu. Dotrzymał słowa. Nawet podczas wesela nie wypił nic mocniejszego. A było to już dawno temu. Teraz żona i córki mieszkały w domu jego teściowej obok stacji kolejowej w Crewe, w Cheshire. Owszem, brakowało mu rodziny, ale nie miał zwyczaju rozdzierać szat nad czymś, na co nie miał wpływu. Przed wojną pracował na kolei jako magazynier i miał tam po wojnie wrócić. Chwilowo robił pieniądze i nie był narażony na pociski wroga. Jak często powtarzał w wysyłanych do domu listach - miał mnóstwo szczęścia.

Drugi żołnierz, Percy, siedział na trzciniowym fotelu. Był młodszy, miał dwadzieścia siedem lat, był wyjątkowo schludny i zadbany. Przyszył sobie guziki i południowoafrykańskie błyskawice na patkach tak samo starannie, jak starannie oliwił broń i kontrolował silnik ciężarówki. Ciasny parciany pas był pieczołowicie wyszczotkowany, mosiężne sprzączki wyczyszczone tak, żeby nie zostawiały śladów na płótnie. Jedynym nieregulaminowym szczegółem był zatknięty za pas bagnet. Był to bagnet niemiecki. Mówiono, że poprzedni właściciel zginął właśnie z ręki Percy'ego.

Percy nie było jego prawdziwym nazwiskiem. Przyjął je, kiedy zdezerterował z pola bitwy. Lubił więc mawiać, że jest to jego nom de guerre. Był człowiekiem, który potrafił się do wszystkiego przystosować. Opowiadał zainteresowanym, że przejście z cywila do wojska kosztowało go nie więcej wysiłku niż przygotowywanie się do egzaminów na uniwersytecie. Całe życie łatwo dostosowywał się do okoliczności. Jeden z profesorów Percy'ego powiedział kiedyś, że homo sapiens mógł przeżyć i objąć władzę nad naszą planetą tylko dlatego, że potrafił szybciej i lepiej niż inne gatunki przystosować się do zmian klimatu i otoczenia. Percy wziął sobie tę lekcję do serca.

Zmierzył Smitha niechętnym wzrokiem. Smith miał ciemne kędzierzawe włosy, był rozczochrany. Włosy Percy'ego były jasne, wybielone słońcem i ostrzyżone po wojskowemu. Tamten miał co najmniej pięć kilo nadwagi, Percy był szczupły i wysportowany. Jego koszula została wykrochmalona i wyprasowana, na koszuli Smitha widniały zacieki po lemoniadzie. Tubylcom za usługi płacono się śmieszne grosze, ale Smith nie przejmował się plamami. A Percy dbał o swój wygląd i zdarzało mu się nawet sięgnąć osobiście po żelazko.

Dość długo milczeli. Potem sierżant Smith powiedział:

- Cóż, Percy, wszystko co dobre też się kiedyś kończy. - I uśmiechnął się zachwycony własnym dowcipem.

- Sam na tym najwięcej stracisz - odparł Percy. Miał gardłowy głos, a jego akcent przypominał akcent mieszkańców Południowej Afryki, zwłaszcza farmerów. - Sądziłem, że człowiek obciążony rodziną powinien robić, co może, by wrócić do domu z forszą. - Pociągnął łyk piwa. Było to miejscowe piwo niewiele różniące się od zabarwionej wody, ale to mu właśnie odpowiadało. Chciał zachować jasność myśli.

- Kto ci doniósł, że mam rodzinę? - spytał Smith takim tonem, jakby chodziło o jakiś ponury sekret.

- Nikt. Tak mi się powiedziało. - Percy rozparł się w fotelu, który zatrzeszczał. Wyciągnął przed siebie nogi ruchem człowieka nie mającego żadnych zmartwień.

- Więc nie masz mi tego za złe?

Percy wsunął rękę pod koszulę. Z ukrytej kieszeni wyjął plik papierowych banknotów.

- Ile ci jesteśmy winni? Dziewięćset funtów egipskich, tak? Mam to gdzieś zapisane.

- I co mi z tych pieniędzy - warknął Smith, a w jego głosie pojawił się niepokój. - Mam kupę tej egipskiej forsy. Ale jej przecież nie zabiorę ze sobą do Anglii. Sierżant z rachuby obiecał mi, że załatwi zamianę, ale nagle obleciał go strach.

- Więc to dlatego? Że nie wiesz, jak tę forszę zabrać do Anglii? - Percy nachylił się i podał Smithowi banknoty.

Smith wziął je.

- Już ci przecież mówiłem. Nie ma mowy o dalszych transakcjach. Mamy nowego oficera. I on, zanim podpisze inwentaryzację, wszystko sprawdza. - Smith tasował banknoty, jakby je liczył. Wsunął je do kwitariusza, ale go nie schował, chyba się jednak zastanawiał.

- Mógłbym ci załatwić przerzut pieniędzy do Anglii. Smith podniósł wzrok.

- Czyś ty, baranie, wcale mnie nie słuchał? Ten oficer sprawdza każdą pozycję, nim coś podpisze. Każdą pozycję! Jeśli zabierze się do mojego magazynu, zobaczy, ile w nim brakuje.

- No to co? Możesz sporządzić protokół, że towary uległy zniszczeniu. Możesz podać sto powodów.

Smith rozgniewał się.

- Ale nie całe tony. I nie w ciągu jednego tygodnia.

- Uspokój się, Smith.

- Tylko bez dobrych rad, skurwielu. Nie chcę mieć z wami więcej do czynienia. Nie ufam wam. Gdzie to wszystko idzie? Komu to sprzedajecie? - Prychnął i spuścił nogi na ziemię. - Mówisz, że jesteś z Południowej Afryki. A kto mi zagwarantuje, że nie jesteś Niemcem? - Wciąż ścisnął kurczowo pieniądze, jasne było, że wbrew temu, co mówi, bardzo mu na nich zależy.

Percy nie odpowiedział.

Jego milczenie znów rozgniewało Smitha. Wydało mu się, że na twarzy Percy'ego maluje się wzgardliwe rozbawienie. Miał ochotę wziąć go za kark i dać mu solidny wycisk. Choć ostatnio utył, nie tak znów dawno temu był w kolejowej drużynie bokserem wagi ciężkiej. I raz udało mu się pokonać czempiona maszynistów. A maszyniści byli krzepcy i rośli.

- Coś ci powiem - oświadczył Smith. - Ostatnim razem, kiedy się tu umówiliśmy, trochę się spóźniłem, pamiętasz? Bo obejrzałem sobie twoją ciężarówkę. I zanotowałem numer na silniku. Zmieniłeś tablice, ale o silniku nie pomyślałeś. I poprosiłem mojego kaprała, żeby sprawdził ten numer w rejestrze. Ciężarówka została ukradziona, tak jak przypuszczałem. W chwili kradzieży była załadowana prądnicami. Prądnice są tu na wagę złota, wie o tym każde dziecko. Ale nie oczekiwałem, że okaże się, iż kierowca został zamordowany - zginął pod kołami. - Zajrzał Percy'emu w oczy. - Pod kołami! Oficjalnie uznano to za wypadek, nikt nie próbował wyjaśnić, jak to się stało, że się położył i dał się przejechać. Co o tym powiesz?

Percy nie odpowiedział. Smith wyszczerzył zęby.

- No więc chyba sam rozumiesz, że mam dosyć twoich gównianych interesów.

- Jakoś długo trwało, nim doszedłeś do tego wniosku - zauważył Percy. Smith wymieniał zbyt wiele powodów, żeby to wyglądało przekonująco. - Przestań mendzić i powiedz, o co ci właściwie chodzi.

Smith zazgrzytał zębami. Właściwie aż się trząsał, żeby wymienić właściwy powód.

- Ty ten sprzęt sprzedajesz Żydom, co?

- Żydom?

- No, przyznaj się, gnojku! To wszystko jedzie do Palestyny, prawda? Żydzi szykują się do rozprawy z Arabami. Już ty zawsze potrafisz wyniuchać, gdzie zdobyć forszę. - Spojrzał na banknoty i powtórzył: - Umiesz zdobyć forszę. A ja dostaję ochłapy.

Percy patrzył na niego nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Stacjonowałem w Hajfie - powiedział Smith. - Wiesz, co się tam dzieje?

Rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał Percy. W ciągu najbliższych paru minut powinien podjąć decyzję, czy uda mu się przemówić Smithowi do rozsądku, czy też ten do szczytu zgłupiał? Rozzłoszczony gaduła mógł stać się niebezpieczny.

Weszła młoda Tunezyjka z miedzianą tacą. Na tacy stał dzbanek herbaty z miętą i leżały orientalne słodczyce skropione wodą różaną i miodem. Dziewczyna miała na sobie ozdobne pantofle, wzorzysta kolorowa szatka luźno spływała od piersi w dół. Spoglądała na mężczyznę z uprzejmym zainteresowaniem. Nie była ani przestraszona, ani onieśmielona. Odkąd pracowała u Lady Fitz, widywała mężczyzn w najróżniejszych sytuacjach i niełatwo było ją zadziwić. Postawiła tacę na stoliczku koło łóżka i nalala herbaty do dwóch filiżanek. Jedną podała Percy'emu. Skinął głową, a ona spuściła oczy, dając do zrozumienia, że odebrała sygnał. Potem podała drugą filiżankę Smithowi tak, by poczuł aromat miętą. Smith pociągnął nosem, wciąż leżał wyciągnięty na łóżku, nie podnosząc głowy z poduszki.

- Coś mi się widzi, że się jej podobasz - orzekł Percy. - Może byś sobie z nią pobaraszkował? Od razu poprawi ci się nastrój. A my pogadamy potem. - Wstał, jakby chciał zostawić ich samych.

- Nie, nie, nigdzie nie wychodź - zaprotestował Smith, Percy jednak wyczuł, że mówi on bez przekonania.

Dziewczynka musnęła palcami pierś Smitha. Zadrżał.

- Nie zgłupiaj się, Smith. Przecież widzisz, że ona chce z tobą pójść do łóżka.

Łóżko zaskrzypiało. Smith usiadł odpychając dłoń dziewczyny.

- Ty, Percy, nigdy nie dajesz za wygraną, co?

- O czym ty mówisz? Czyżbyś nigdy dotąd nie korzystał z prawdziwych usług zakładu Lady Fitz? - spytał dobrodusznie Percy. - Tutaj nie odbywa się to takim galopem jak u nas w kraju. Ta dziewczyna namaści cię wonnym olejkiem, wypalicie odrobinę haszyszu, wprowadzisz się w odpowiedni nastrój, potem ona cię wykąpie. Spędzisz godzinę w raju. Powinieneś spróbować! Boże, jaka ona jest piękna.

- To jeszcze dzieciuch. Ma najwyżej piętnaście lat.

- W tym kraju nie można liczyć na to, że pożyje się więcej niż trzydzieści. Zatem osoba piętnastoletnia jest już osobą w średnim wieku. Spójrz na jej wyraz twarzy. Ma na ciebie wyraźnie chętkę.

- Musiało cię to kosztować niezłą sumkę - zauważył spokojnie Smith. Niezrażona niczym dziewczynka rozpięła koszulę Smitha i położyła rękę na jego piersi. Smith siedział bez ruchu. Rozsądek mówił mu, iż całą tę sytuację zaaranżował Percy, poczuł jednak pożądanie i bardzo chciał uwierzyć, że jest inaczej. Pokusa była silna, dziewczyna słodko pachniała, dawały o sobie znać długie miesiące celibatu.

Percy podszedł do tacy i wziął ciasteczko.

- Te tureckie łakocie można znaleźć już tylko w Kairze - oświadczył. Pokazał Smithowi ciasteczko - było posypane miałkim cukrem i lśniło w świetle lampy. Wpakował je do ust i spałaszował ze smakiem.

Dziewczynka wzięła z tacy biały sześcian i trzymała go o parę centymetrów od ust Smitha. Koszula była już całkowicie rozpięta, mała Tunezyjka lewą ręką wciąż gładziła Smitha po piersi.

- No, szczęściarzu, otwórz usta i zamknij oczy - żartobliwie nakazał Percy.

Smith poczuł zapach różanej wody i smak cukru, ale kiedy ugryzł, okazało się, że jest to kawał łożu.

- Uff! - Nie mógł jednak wrzasnąć, bo tłuszcz zalepił mu zęby. Trudno było go wypluć, nim zdążył, silna dłoń zakryła mu usta. Zaczął prychać jak przerażony koń.

- Imszi! - nakazał Percy.

Dziewczyna cofnęła się, a Percy wbił w pierś Smitha bagnet. Smith poderwał się, ale bagnet przeszył już jego serce i to tylko przyspieszyło koniec. Percy nie wyjmując bagnetu z drgającego w konwulsjach ciała spojrzał na dziewczynę. Zasłoniła twarz ręką, dłonią na zewnątrz, ale rozsunęła palce, żeby móc się przyglądać. Poruszyła wargami - czyżby miała zamiar krzyknąć? Cóż, nawet jeśli krzyknie, nie będzie to miało żadnego znaczenia tu, gdzie krzyki i jęki były czymś najzwyczajszym pod słońcem.

Nie zaczęła krzyczeć. Patrzyła, jak Percy przekręca bagnet, drugą ręką wciąż zamykając SminYowi usta.

Umierający wygiął się w pałąk i zwymiotował. Nogi uniosły się i banknoty rozsypały się po łóżku. Chwilę drgał, potem jakby się skurczył i znieruchomiał. Percy odczekał minutę, nim go puścił. Potem przez moment stał przyglądając się zwłokom. Pościel poplamiona była krwią i śmierdzącymi rzygowinami. Kropelki krwi utworzyły przedziwny deseń na ścianie i poduszkach. Percy'ego podczas przeszkolenia w wojsku nauczono zabijać szybko i bezszelestnie, ale gdy należało zabić wrogię wartownika, nie musiała to być „czysta” robota. Zastanawiał się, czy kiedy wyjmie bagnet, z rany nie tryśnie krew. Więc go chwilowo nie wyjmował.

Dziewczyna czytała widać w jego myślach, bo przyniosła ręcznik. Owinęła nim rękojęść bagnetu. Potem zaczęła zdejmować z łóżka poduszki.

- Zaraz po moim wyjściu sprowadzisz tu moich ludzi - polecił jej. - Oni już będą wiedzieli, co zrobić. Słyszysz? - Zrozumiał, że dziewczyna przebiera rozczapierzonymi palcami, starając się odegnać zły urok. Poruszała wargami nie wydając dźwięku, pewno recytowała wersety Koranu. Bynajmniej go to nie rozśmieszyło, sam chętnie odprawiłby jakieś czary.

Nabrał powietrza w płuca i ściągnął ciało Smitha z łóżka. Zawinął je w dywan.

W tym momencie otworzyły się drzwi.

- No co, Percy, gotowe?

W drzwiach stał niewysoki młody mężczyzna z gołą głową, w koszuli koloru khaki i oficerskich spodniach z gabardyny. Na koszuli nie było żadnych wojskowych odznak. Jego pewność siebie oraz ton głosu i akcent wskazywały, że jest wychowankiem jednej z ekskluzywnych szkół angielskich.

- Gotowe - odpowiedział Percy nie podnosząc wzroku. - Załamał się. A poza tym sprawdził numer na silniku. I zaczął mówić o Żydach. Prędzej czy później na pewno by nas wydał.

Percy zebrał rozrzucone po łóżku banknoty. Były pokrwawione, ale co pieniądze to pieniądze. Parę banknotów podał dziewczynie. Wzięła je nie zmieniając wyrazu twarzy, zatknęła za dekolt i dalej zdejmowała powleczenie z łóżka. Percy zirytował się, że mu nie dziękuje, i wetknął pozostałe banknoty do wewnętrznej kieszeni koszuli.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego - powiedział nowo przybyły tonem tak uroczystym, jakby wygłaszał przysięgę. I dorzucił: - Pfuj, ale tu śmierdzi! - Spojrzał na nieboszczyka, spojrzał na dziewczynę. A ona czując jego wzrok spuściła oczy. - No tak,

miałeś rację, fajna dupa! - i nagle ożywił się. - Dawaj, stary, forszę. Bo gotów byś zapomnieć. - Wziął pieniądze i nie licząc schował. - Idziemy. Resztą zajmie się Mahmud.

3

Tuż przed Kairem na Nilu znajduje się wyspa Gezira, to tu powstała ciesząca się najlepszą renomą rezydencyjna dzielnica miasta, tutaj bowiem jest najchłodniej. W 1942 roku przy zachodnim nabrzeżu wyspy przycumowano niezliczone barki mieszkalne. Wynajmują je głównie przyjezdni, którzy lubią atmosferę bohemy i huczne przyjęcia. Stały się one nieodłączną częścią złotego miasta.

W oczach kogoś obdarzonego odrobiną wyobraźni nawet brudna woda Nilu lśni jak złoto. I coś ze złota kryje się w arabskiej muzyce; dysonanse arabskich piszczałek zlewają się z hałasem ulicznym i miasto brzęczy jak wielki ul.

Kair czasu wojny jest ułem, pomyślała Peggy West - ociekającym złocistym miodem ułem, w którym czai się tysiąc żadeł. Samotnej kobiecie niełatwo było mieszkać w tym mieście. A w dodatku Peggy nie miała innego domu i teraz, gdy ponad wodami Nilu wpatrywała się w Kair, poczuła się przerażona i samotna.

- Pan już za chwilę panią przyjmie. Czy mogę podać pani kawę?

- Owszem, poproszę.

- Sukkar zijada, madam? - Tylko najbogatszych mieszkańców Kairu stać było na służbę mówiącą po angielsku. Ale Jusuf, choć znał dobrze angielski, lubił wtrącać arabskie zdania, tak jakby chciał sprawdzić, czy ona go zrozumie.

- Nie, dziękuję. Bez cukru, saada.

Służący patrzył na nią z bezczelnym uśmiechem. Był bardzo chudy. Surowa twarz, zapadnięte policzki, ogromne brązowe oczy. Lekko kulał, nie był jednak cherlakiem, jak wielu niedożywionych Arabów. Kiedyś musiał być piękny. Obecnie złamany nos nie tylko go szpecił, ale nadawał twarzy wyraz dzikości, który budził w Peggy odrazę.

Podczas swoich poprzednich wizyt mówiła mu już, że nie lubi przesłodzonej kawy, którą podaje się kobietom. Ale cóż, kobiety w Egipcie nie liczą się. Narodziny dziewczynki nie są radosnym wydarzeniem. Kobiety noszą kwefy, siedzą w domu i nie powinny się odzywać. Są własnością mężów i piją słodką kawę.

Służący skłonił głowę i wkrótce przyniósł kawę. Była to mała filiżaneczka z porcelany w kwiatki. Postawił ją na miedzianej tacy, służącej za blat stolika, przy którym siedziała Peggy.

- Pan będzie już za chwilę wolny - powtórzył.

Znów ukłonił się i wyszedł nie czekając na odpowiedź. Kobiety - nawet wykształcone europejskie kobiety takie jak Peggy West, wielce ceniona pielęgniarka-instrumentariuszka w szpitalu wojskowym - nie mogły liczyć na to, że będą traktowane jak mężczyźni. Kiedy Peggy przychodziła na tę barkę, często długo musiała popijać kawę na pokładzie, nim przyjął ją Salomon.

Wzięła do ręki filiżaneczkę. Nim jeszcze umoczyła w kawie usta, poczuła zapach syropu. Zaklęła w duchu i postanowiła poskarżyć się Salomonowi na niepoprawnego służącego. Niemniej wypila kawę, tak jak na to liczył Jusuf. Pijąc patrzyła na rzekę. Kiedy jechała na wyspę przez most Khedive Ismail, zauważyła, że stary hotel „Semiramis” jest rzęsiście oświetlony. W tym ongi wytwornym hotelu mieściła się obecnie kwatera główna wojsk brytyjskich w Egipcie. Okna wyglądały jak żółte prostokąty. Elektryczność paliła się w każdym pokoju, było to czymś bez precedensu, brytyjska armia zwykle nie pracowała aż tak długo. Ale Rommel znów ruszył do ataku. Brytyjczycy odepchnęli go na pustynię, teraz jednak jego wojsko ożyło i rozpoczęło ofensywę. Kair znajdował się w niebezpieczeństwie.

Zapięła płaszcz. Coś zadudniło, mógł to być ogień artyleryjski, potem przez pobliski Most Angielski przejechała turkocząc ciężarówka, za nią druga i trzecia. Były to ciężarówki marki Morris, dziwaczne garbate pojazdy, którymi przewożono połowe armatki. Artylerzyści spieszyli się, zdążali na Pustynię Zachodnią. A z przeciwnej strony zbliżała się armia Rommla. Nikt nie wiedział, gdzie rozpocznie się decydująca bitwa.

Łatwo było, siedząc tu, wyobrażać sobie, że słyszy się strzelaninę na pustyni odległej o bardzo niewiele kilometrów, ale zwykle zdarzało się to tylko nowicjuszom - reporterom angielskim i młodziutkim oficerom prosto ze szkoły, którzy za wszelką cenę chcieli stać się bohaterami, o jakich jeszcze niedawno czytali w komiksach.

Kiedy Peggy przychodziła tu odwiedzić Salomona i odebrać od niego pieniądze, rozmyślała zawsze o swoim mężu, Karlu. Nic dziwnego, Salomon był bliskim przyjacielem Karla, a przynajmniej tak utrzymywał. Westchnęła. Nikt ostatnio nie mówił prawdy. Wojsko, Arabowie, a nawet BBC, wszyscy kłamali jak najęci, jeśli im to było na rękę.

Od dawna już mieszkała w tej części świata. Z satysfakcją myślała, iż udowodniła, że młoda Angielka z przedmieścia też może wyruszyć na podbój świata i znaleźć pracę, choć dotychczas robili to tylko mężczyźni. Poznała całe południowe wybrzeże Morza

Śródziemnego aż po Tunezję. To do Tunezji przybyła z Anglii ze swoim dyplomem pielęgniarki i obietnicą pracy w szpitalu założonym z funduszy tutejszych europejskich hodowców owoców. I wkrótce przekonała się, że doświadczona pielęgniarka z europejskim dyplomem może dostać posadę w każdym mieście na wybrzeżu.

Zakochała się i wyszła za mąż, ale to nie położyło kresu jej podróżom. Jej mąż często żartował na temat swego pochodzenia, jego matka była Włoszką, ojciec Kanadyjczykiem, utrzymywał, że to oni wynaleźli spaghetti z owym sosem, w którym taplały się mięsne kulki. Karl był inżynierem, pracował dla towarzystwa naftowego. Jesienią 1937 roku zabrał ją w długo odkładaną podróż poślubną do Cyrenajki. Miał tam bliskich przyjaciół, świetnie mówił po włosku. Cyrenajkę nazywano Małymi Włochami. Pejzaż był cudowny, na jego widok zatykało dech; Morze Śródziemne nigdzie nie było aż tak szafirowe jak tutaj, patrzyli na nie co dzień z balkonu sypialni. Siedem wspaniałych dni i wrócili do Kairu swoim ukochanym Fordem V8. No, nie całkiem do Kairu. Stary zdezelowany wóz długo im wiernie służył, nagle jednak odmówił posłuszeństwa. Wysiadła skrzynia biegów i ze smutkiem musieli się z nim rozstać. Dowlekli walizki do najbliższej wioski - była to właściwie tylko stacyjka kolejowa otoczona kilkunastoma chatami, i napili się tam zimnego piwa, a potem popijali kawę czekając przez pięć godzin na pociąg do Kairu.

Byli tak zakochani, że uznali to za zesłaną z nieba okazję, by się nareszcie nagadać - o czym to wówczas nie rozmawiali! Opowiedziała Karlowi całe swoje życie, opowiedziała o wiecznie zatroskanych i jakże kochających rodzicach, o swojej nieodpartej chęci podróżowania. Jak świetnie pamięta tę zapchlona stacyjkę w Al-Alamajn, gdzie przegadali pół nocy. Było to dawno temu, od tamtej chwili upłynęły już co najmniej cztery lata. Teraz Karl miał pięcioletni kontrakt na polach naftowych w Iraku. Ostatni raz przyjechał na urlop przed osiemnastu miesiącami. Zastanawiała się, czy i on myśli o niej równie często. Regularnie przysyłał pieniądze, tak, na pewno ją kocha. W gruncie rzeczy powinna być wdzięczna losowi. Karl ożeniwszy się z nią otrzymał brytyjski paszport i gdyby byli w Anglii, to siedziałby pewnie w tej chwili na jednej z tych ciężarówek zdążających na front. I musiałaby się o niego zamartwiać. Tak wielu żołnierzy nie powracało już z pustyni. Czasem w koszmarach sennych widziała, jak Karl leży na stole operacyjnym, a ona zszywa jego rany.

Zadrzała. Styczeń to w Kairze najchłodniejszy miesiąc w roku. Nocą musiała brać drugi koc. Zaczęła się zastanawiać, czy Salomon, człowiek, którego tu odwiedza, naprawdę mieszka na barce, czy nie ma jakiegoś wygodniejszego lokum. Kiedyś dał to do zrozumienia. Salomon lubił nazywać siebie Salomonem al-Masri - Salomonem Kairczykiem, czy też Salomonem Egipcjaninem, słowo al-Masri miało te oba znaczenia. Brzmiało jak pseudonim,

ale tak brzmiało wiele tutejszych nazwisk. Człowiek ten miał prawdziwą obsesję tajemniczości. Przed paroma pierwszymi wizytami u niego musiała kontaktować się z nim dzwoniąc do austriackiego dentysty w Aleksandrii i umawiając się na leczenie zęba. Nie protestowała. Wiedziała, że mężczyźni lubią się otaczać nimbem tajemniczości. Taki sam był Karl. Z początku myślała, że kryje się za tym jakaś kochanka, ale szybko doszła do wniosku, iż ma po prostu taki charakter. Może łączyło się to z jakimiś wydarzeniami z jego dzieciństwa, a może wszyscy mężczyźni tak się zachowują, gdy kobiety chcą się o nich czegoś więcej dowiedzieć.

Rozejrzała się. Żółte światła barek odbijały się w wodzie. Na sąsiedniej barce otworzono okna, aby wpuścić nocne powietrze. Słychać było donośne głosy mówiące ze snobistycznym akcentem, skrzeczała płyta na starym patefonie, Bing Crosby śpiewał „Mały gigolo”.

Spojrzała na zegarek, dochodziła północ. Zastanawiała się, jak długo jeszcze może jej czekać Salomon. Ktoś u niego był. Wchodząc zauważyła na srebrnej tacy nie dojedzone kanapki, brudne filiżanki i talerzyki. Pewnie prowadził jakieś przewlekłe pertraktacje. Mówił jej, że jest człowiekiem interesów. Urodziłem się na bazarze, powiedział kiedyś. Chyba nie należało rozumieć tego dosłownie, bo innym razem wspomniał, że jego ojciec był bogatym Kairczykiem. Salomon był Żydem, ale tego nie ukrywał. Niewiele więcej o nim wiedziała. Wyjątkowo inteligentny biznesmen, znający tuzin języków, w tym egipską odmianę arabskiego, a mówiący po angielsku z amerykańską. Bardzo uważała, by nie okazać wścibstwa. Salomon co miesiąc przekazywał jej pieniądze przesyłane przez męża. Brytyjskie restrykcje dotyczące wymiany pieniędzy były bardzo surowe i nie wiedziała, jakby sobie poradziła, gdyby nie pośrednictwo Salomona. To, co zarabiała w wojskowym szpitalu, nie wystarczyłoby jej nawet na skromne życie. Niemal wszystkie pozostałe pielęgniarki były młodziutkami Angielkami, które zaciągnęły się do wojska i chętnie mieszkały w wojskowych kwaterach, rade, że są w mieście, w którym tłumy samotnych mężczyzn szukają kobiecego towarzystwa. Nie potrzebowały pieniędzy. Ale Peggy mieszkała w hotelu i jak dotychczas nie przyjmowała żadnych męskich zaproszeń. Peggy nie mogłaby się obyć bez pieniędzy Karla, musiała zatem znosić kaprysy i ekscentryczne zachowanie Salomona.

Salomon nazwał swoją barkę Medina al Dahabiya - „Złote miasto”. Była to gra słów. Słowo dahabiya oznacza złoto, ale także łódź. Nim tę barkę wyremontował, była zaledwie kadłubem statku, a jej poprzedni właściciel, wiecznie pijany pilot z Linii Południowoafrykańskich ochrzcił ją - jakże słusznie - mianem „Latającej Ryby”. Po rozpoczęciu wojny szykownie było mieszkać na barce zacumowanej przy zachodnim

nabrzeżu Geziry. O barkach tych opowiadano niesamowite historie. Mówiono, że mieszkają tu rekiny czarnego rynku, dezertery z armii brytyjskiej, a nawet włoscy jeńcy wojenni i urządzają orgie, na których nie brak żadnego gatunku alkoholu i żadnego narkotyku. Ale Kair lubił nieprawdopodobne plotki.

- Zechce pani pójść za mną, madam?

- Tak. - Nigdy nie mówiła do niego Jusufie, i tak zachowywał się aż nazbyt poufale.

Kiedy wreszcie znalazła się w saloniku na dole, Salomon ją gorąco powitał. Znikła irytacja wywołana długim oczekiwaniem. Znów uległa jego urokowi. Salomon al-Masri był na pewno bogaty, ale nie należał do grona dobrze wychowanych, kulturalnych biznesmenów, których tak często spotykało się w najlepszych hotelach, nocnych lokalach i barach Kairu. Salomon był przystojny, ten typ urody „twardziela” odkryło ostatnio Hollywood, patrz Cagney i Bogart. Był niski i muskularny, miał opaloną pobrużdżoną twarz, czarne wąsy i krzaczaste brwi, a jego falujące czarne włosy sterczały do góry opierając się grzebieniowi i szczotce. Miał na sobie ręcznej roboty jedwabną koszulę i świetnie dopasowane spodnie, kairskim krawcom rzadko się udawała taka sztuka. Na pierwszy rzut oka widziało się, że jest człowiekiem, który zawsze uzyskuje to, czego pragnie.

Salomon zaczął koło niej skakać tak, jakby od rana oczekiwał tej przyjemności.

- Napijesz się whisky? - Pamiętał, że Peggy lubi whisky bez lodu, pół na pół z wodą, i wybrał ciężką kryształową szklankę. Wymachiwał butelką Johnnie Walkera, jakby chciał, by się naocznie przekonała, że nie jest to whisky miejscowej produkcji.

Przyglądał jej się, gdy siadała. Założyła nogę na nogę, a on wręczył jej szklankę.

- Nie zimno ci, Peggy?

Nie, czuła się już lepiej. Zobaczyła w lustrze swoje odbicie: gładka skóra, rudawe włosy, duże zielone oczy. Mogła być z siebie zadowolona, tylko nieliczne spośród młodych pielęgniarek dorównywały jej urodą.

W pokoju było ciepło i trochę duszno od dymu cygar.

- Nie, już nie - odpowiedziała. - Ale takiej barki nie da się przecież dograć. Jak ty tu zimą wytrzymujesz nad samą wodą?

- Człowiek przyzwyczaja się do rzeki, Peggy. Mój ojciec miał willę na wyspie. Co rano, po modlitwie, patrzył na płynące wody i mówił: „Długi jest ten Nil, równie długi jak wygnańczy los naszego narodu”.

- A co ty na to odpowiadałeś? - Peggy zastanawiała się, czy Arabowie, z którymi łączą go interesy, wiedzą o tym, że jest on Żydem. Może ich to zresztą mało obchodziło, skoro

zawierali z nim korzystne transakcje. Pieniądze mówią wszystkimi językami, powtarzano na kairskich sukach.

- Mówiłem ojcu, żeby patrzył na północ i nie zapominał, że Kair znajduje się już niemal u ujścia Nilu. - Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, iż opowiada jej to nie po raz pierwszy, bardzo był jednak do tej przypowieści przywiązany.

- Ty też jesteś Żydówką, Peggy? - Sformułował to jako pytanie, ale w gruncie rzeczy chodziło o stwierdzenie faktu.

- Mój ojciec był...

- Nie mówię o twoim ojcu, mówię o tobie.

Powiedział to apodyktycznym tonem, usiadł na sofie i czekał na wyczerpującą odpowiedź.

Wiedziała, o co mu chodzi. Przypominał pod tym względem Karla, Karl także lubił rozmawiać o swojej rasie i religii, zachwycał się pionierami, którzy próbują stworzyć żydowską ojczyznę.

- Cóż, chyba jestem Żydówką - szepnęła. W jej rodzinie nie mówiło się o religii. Chciała dorzucić, że ojciec był ateistą, ale Salomon jej przerwał. Peggy przed poznaniem Karla prawie nic nie wiedziała o religii żydowskiej. Ojciec powiedział jej kiedyś, że Żydem jest się tylko wówczas, gdy Żydówką była matka, a Peggy tak czy owak nie była skłonna wierzyć w żadnego Boga. Dopiero ostatnio patrząc w szpitalu na śmierć tylu młodych ludzi zaczęła odczuwać potrzebę religii. Ale nie zamierzała się z Salomonem sprzeczać. Karl był Żydem. Obiecała mu, że jeśli będą mieć dzieci, zostaną wychowane tak, jak Karl będzie sobie życzył.

- No właśnie! Karl mi to kiedyś powiedział.

- Kiedy Karl wróci?

- Jeszcze nieprędko. Ma mnóstwo pracy. - Salomon wstał, podszedł do elektrycznego wiatraczka, puścił go w ruch, wydeła się zasłona. W pokoju było duszno, w powietrzu wciąż unosił się dym cygar. Mógłby wywietrzyć pokój otwierając okienko, ale wiedziała, że boi się, aby ktoś ich nie podsłuchał. Szum wiatraczka zagłuszał słowa, pewnie mu o to chodziło. Zwrócił się do niej i powiedział: - Karl naraził się władzom brytyjskim w Bagdadzie. Dopóki jego sytuacja się nie wyjaśni, lepiej, żeby nie pojawiał się nigdzie tam, gdzie ktoś go może rozpoznać.

- Jak to? - w jej głosie zabrzmiała panika - Co on zrobił? Salomon zaśmiał się. W tym śmiechu było coś brutalnego. Spojrzał na zegarek.

- Dlaczego sądzisz, że on coś przeszkrobał? Karl jest w porządku. - Znow wstał i nastawił radio. W samą porę, nie na darmo był człowiekiem metodycznym. Rozległ się sygnał czasu i BBC zaczęło nadawać dziennik. W Londynie była dopiero jedenasta, różnica czasu wynosiła godzinę.

Peggy zawsze oszałamiał fakt, że mężczyzna, który czyta dziennik, wyjdzie za chwilę na Langham Place, odetchnie londyńskim powietrzem i zobaczy jadący przez Oxford Circus czerwony piętrowy autobus.

Zaczęli słuchać wiadomości. Głos spikera brzmiał sucho i uroczyście. Spiker zaledwie napomknął o ofensywie Rommla. Rozwodził się nad dzielnym oporem Armii Czerwonej, ale entuzjastyczny ton nie przesłaniał faktu, że Niemcy są blisko Moskwy, a los Leningradu wisi na włosku. Japończycy kontynuowali podbój Pacyfiku. Wszystkie wiadomości brzmiały złowieszczo. Po paru minutach Salomon wyłączył radio i usiadł obok Peggy. Czowała zapach jego wody kolońskiej, widziała ślady talku na podbródku. Pił jakąś wodę z bąbelkami, w której pływał plasterek cytryny. Nigdy nie brał do ust alkoholu.

- Lubię ten zapach, który unosi się w powietrzu. Czujesz, Peggy? Nie wiedziała, o czym mówi. Był wyraźnie podniecony, zgadywała, że coś musiało zająć.

- Chodzi ci o pustynię?

- Pustynię! Co za romantyczka z ciebie. Mówię o zapachu zdrady. - Rozparł się wygodnie w sofie. - Ten sam smród czułem w Madrycie w 1937 roku. Wtedy ten skurwiel Franco stał u bram miasta, a teraz u bram Kairu pojawi się Rommel. Patrol złożony z anarchistów zamordował komunistycznego przywódcę nazwiskiem Corrida. Komuniści rządili wówczas policją, policja zaczęła fabrykować dowody na to, że Cortada zginął z rąk Falangi. Agenci rosyjscy zabili trockistów z POUMu*, wszyscy zaczęli się nawzajem zwalczać. Faszystom wystarczyło ruszyć i wygrać wojnę.

Peggy dużo już nasłuchiwała się od męża o hiszpańskiej wojnie domowej. To była obsesja wszystkich tych, którzy opowiedzieli się po przegranej stronie.

- Tak, wiem. Przegraliśmy. Franco zwyciężył.

- Nie udawaj idiotki, Peggy. Za długo się znamy. Przecież widzisz, co się tutaj wyprawia.

- Myślisz, że ci młodzi egipscy zapaleńcy chcą obalić Brytyjczyków? - spytała. Jej głos zdradzał, że była na tyle Angielką, by poczuć oburzenie.

Pożałował, iż zdradził się ze swoimi uczuciami. Teraz odpowiedział drwiąco, jak bezstronny obserwator lokalnych wydarzeń.

- Częściowo. Owszem, grupa młodych Egipcjan planuje zamach stanu. Ale przede wszystkim to cudowne miasto pełne jest ludzi, którzy myślą tylko, jak uwić sobie wygodne gniazdko, choć Rommel lada chwila wyśle czołgi, by zająć Kair.

- Rommlowi nigdy się to nie uda. Jest bardzo daleko.

- Owszem, daleko. Niemniej może się tu pojawić i wtedy wcale nie poprzez tych zwariowanych młokosów. Oni na to liczą, co pokazuje, jak bardzo są naiwni. Tymczasem moi zwierzchnicy oczekują, że poinformuję ich o tym, co się tu naprawdę dzieje.

- Twoi zwierzchnicy?

- Moi i Karla. Tak. - Teraz mówił poważnym tonem. Chciała go spytać, kim oni właściwie są, ale ugryzła się w język.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Bo mieszkasz w hoteliku, gdzie rezyduje ten stary faszysta, książę Piotr wraz ze swym dworem. Napij się jeszcze.

- No i co z tego, że tam mieszkam?

- Na litość boską, Peggy, oprzytomnij. Czy chcesz mi powiedzieć, że nie znasz Piotra?

- Dolał jej whisky.

- No jasne, że go znam... Dziękuję ci, wystarczy... Zna go cały Kair. To biały Rosjanin, którego cieszy to, co Hitler wyprawia ze Stalinem. A tu, w Kairze, ma wielu przyjaciół w pałacu... Chodzą plotki, że grywa z Farukiem w karty. Czego jeszcze chciałbyś się dowiedzieć?

- Nie jestem głupcem, Peggy. Raporty, które wysyłam do Tel-Awiwu nie opierają się na plotkach krążących po sukach. Chcę wiedzieć, co ten wasz książę naprawdę myśli i robi, z kim spotyka się i o czym rozmawia. Rozumiesz?

- Ależ to bez sensu. Powie ci to każdy, kto go zna. To starzec. Jest samolubnym snobem, który opowiada nudne historyjki sprzed stu lat. Na pewno nie pośredniczy w żadnych układach między Hitlerem i Farukiem, jeśli to przypadkiem strzeliło ci do głowy.

Salomon uśmiechnął się, lubił utarczki słowne.

- Wcale tego nie sugeruję. Proszę cię tylko, żebyś mu się lepiej przyjrzała.

- Prawie go nie znam.

- Mówiłaś mi, że co tydzień chodzisz do niego na drinka.

- Tak jak cały hotel. On podejmuje wszystkich, drzwi jego apartamentu stoją dla każdego otworem.

- Ano właśnie. Bardzo zręczne posunięcie, jeśli jest hitlerowskim szpiegiem.

Spojrzała na niego. W swoim czasie sądziła, że mu się podoba: nigdy nie spuszczał z niej wzroku. Ale potem doszła do wniosku, że Salomon jest zbyt zajęty sobą, by zająć się kimś innym. Być może ten jego wzrok był prośbą o podziw, ale nie chodziło tu o ten rodzaj podziwu, który ma prowadzić do miłości. Salomon był człowiekiem, który wystarcza sam sobie.

- Ejże, Salomonie, uważałam cię za człowieka bardziej wyrafinowanego.

- Chcę cię tylko prosić, żebyś miała szeroko otwarte oczy i nadstawiała uszu.

- Powtórzę ci każdą pijacką uwagę, jaką usłyszę.

- Książę Piotr opowiada wszystkim, iż ma amerykańskie radio, na którym łapie krótkie fale. Chcę, żebyś to radio obejrzała i poinformowała mnie, jakiej jest marki i jaki zakres fal odbiera.

- Po co?

- Całe miasto wie, że od dawna istnieje przeciek najważniejszych informacji. Wszystkie szyszki w brytyjskiej armii głośnią się, skąd Rommel wie, gdzie stacjonują brytyjskie wojska, i skąd zna ich skład.

- A niby gdzie mógłby się o tym dowiedzieć książę Piotr? Salomon nie zamierzał z nią dyskutować.

- Musimy myśleć o przyszłości, Peggy. Cokolwiek zdarzy się w wojnie między Brytyjczykami a Niemcami, my, Żydzi, musimy bronić się przed Arabami. Potrzebna nam broń. Do Arabów przemawia tylko siła. Kiedy nadejdzie dzień próby, na nic się nie zdadzą rokowania. Nastąpi śmiertelna walka.

- Ale czyją śmiercią się skończy? Czy nie wiesz, ile jest milionów Arabów?

Lekceważąco strzepnęła palcami i zaciągnęła się papierosem. Zastanawiała się, czy on wierzy we własne pompatyczne słowa.

- Peggy, czy znasz słowo tzedaka?

- Miłość bliźniego? Dobroczytność?

- Mój ojciec zwykł mawiać, iż to oznacza, że jeśli my, Żydzi, nie będziemy się nawzajem wspierać, nikt nam nie dopomoże. Znasz dobrze Kair, Peggy. Oboje wiemy, że to kłębowisko zmij; na każdym kroku czai się zdrada i spiski. Tyle rozmaitych frakcji walczy tu o własne interesy, że nikt nie widzi całokształtu sytuacji.

- Z wyjątkiem ciebie?

- Z wyjątkiem Tel-Awihu.

Ktoś zastukał do drzwi. Czterokrotnie i bardzo szybko.

- Jestem zajęty.

Mimo to służący wszedł i bezzwłocznie oznajmił:

- Sir, żołnierze przeszukują wszystkie barki.

- Żołnierze brytyjscy?

- Tak.

- Tak, żołnierze brytyjscy - powtórzył obcy głos i mężczyzna w mundurze kapitana odsunął na bok służącego. Był po trzydziestce, gładko ogolony, miał bystre oczy. - A także policja egipska. Oto mój kolega, inspektor Khalil, jeśli pragnie pan bliższych informacji. - Wprowadził do pokoju szczupłego oficera policji egipskiej. Egipcjanin był w zimowym mundurze z czarnej wełny, błyszczały guziki. Brytyjczyk traktował go z rewerencją, ale jasne było, że to tylko pozory.

Salomon wstał.

- Salomon al-Masri. - Zdobył się na przyjazny uśmiech. - Czy zechce się pan, panie majorze, czegoś napić? - Nie zaproponował drinka Khalilowi przyjmując z całą kurtuazją, że ten jako muzułmanin wystrzega się alkoholu.

- Jestem kapitanem. Kapitan Marker. Wojskowa Służba Bezpieczeństwa. Nie, dziękuję.

- Bardzo pana, panie kapitanie, przepraszam. Zawsze mylą mi się te brytyjskie dystynkcje. Ale skądś pana znam. Czy bywa pan, panie kapitanie, w Klubie Jeździeckim?

- Nie, nie jestem jego członkiem - odrzekł kapitan Marker nie zmieniając tonu. Mówił miękkiem głosem wykształconego człowieka, ale jego oczy patrzyły przenikliwie i ostro. Salomon dużą część życia spędził w krajach, którymi rządili Brytyjczycy, nie potrafił jednak odgadnąć, czy ten człowiek jest jednym z oficerów Wojsk Brytyjskich w Egipcie, które okupowały Egipt jeszcze w czasach pokoju, czy też jednym z inspektorów policji angielskiej, których przebrano w mundur khaki i wysłano na Środkowy Wschód, gdzie wojna przyniosła falę zbrodni.

- To może w klubie „Słodka Melodia”? - spytał Salomon. Był to żart: w klubie tym co wieczór po zakończeniu występów grano egipski hymn narodowy, a żołnierze brytyjscy śpiewali jego własną sprośną wersję. I zawsze rozpoczynała się bijatyka. Ostatnio orkiestrę musiano odgrodzić od sali kolczastym drutem.

Marker chwilę mu się przyglądał, potem mruknął:

- Ludzie inspektora Khalila przeszukają pana barkę. - Słysząc już było stuk otwieranych szaf i kontenerów. Salomon zdał sobie sprawę, że jest to policja, która potrafi przeszukać dom sprawnie i dokładnie. Czasem Brytyjczycy przyprowadzali ludzi, którzy niszczyli meble i tłukli porcelanę.

- Oczywiście - odpowiedział Salomon. - Nalegam na to. Proszę przeszukać moją barkę równie skrupulatnie jak inne. Nie życzę sobie żadnych przywilejów. Zależy mi na tym, by okazać władzom bezpieczeństwa wszelką pomoc.

- Mogę panią poprosić o dokumenty? - Kapitan Marker zwrócił się z kolei do Peggy.

Odpowiedział mu Salomon.

-)a gwarantuję za panią West. Od lat mieszka i pracuje w Kairze. Kapitan Marker przyglądał się Peggy, tak jakby w ogóle nie usłyszał słów Salomona.

- Czy to pani Studebaker parkuje pod drzewami?

- Nie, nie mam auta. Przyszłam tu pieszo.

- Czy noc nie jest zbyt zimna na spacer? Ma pani ze sobą swój paszport?

- Nie, nie wzięłam go. Jest w hotelu „Magnifico”, gdzie mieszkam. Wtrącił się Salomon.

- Peggy zagląda do mnie raz na tydzień. Chowam dla niej angielskie gazety. Właśnieśmy się żegnali.

- Ostatnie gazety? - spytał Marker i spojrzał na Salomona.

- Via Gibraltar przylatują tu przecież samoloty. Mam umowę z celnikami. Salomon miał dosyć tego natarczywego wzroku kapitana. Wyjął z szuflady paszport i podał mu go. Był to paszport amerykański.

- Teraz, panie kapitanie, wspólnie prowadzimy tę wojnę. Jesteśmy przyjaciółmi i aliantami.

Marker przyjrzał się okładce, potem zdjęciu i spojrzał na Salomona. Paszport był wystawiony na nazwisko Salomona Marxa.

- Zawsze byliśmy nimi, panie Marx. - Oddał mu paszport. - Dziękuję panu, sir. Moi ludzie szybko uporają się z rewizją. Pani West, skoro pani i tak zamierzała właśnie wyjść, to pozwolę sobie odwieźć panią do hotelu i obejrzeć tam pani dokumenty.

Peggy zawahała się chwilę i zgodziła. Nie miała zresztą wyboru. Wojna to wojna. Egipt był wprawdzie oficjalnie krajem neutralnym i suwerennym, ale każdy rozkaz policji brytyjskiej był prawem.

Kiedy Peggy West, kapitan Marker i egipscy policjanci opuścili barkę, Salomon usiadł sobie wygodnie, wyciągnawszy przedtem butelkę piwa. Jego służący przestał się zachowywać jak służący. W rzeczywistości nazywał się Ikal Arad, był palestyńskim Żydem i najbliższym współpracownikiem Salomona. Całe życie mieszkał wśród Arabów i bez trudu udawało mu się uchodzić za jednego z nich. Przez blisko dwa lata był oficerem Haganah, tajnej żydowskiej organizacji zbrojnej w Palestynie. Poprzedniego lata przeprowadził oddziały

brytyjskie przez granicę syryjską, w Syrii zaatakowały one wojska Vichy. Został ranny w kolano i otrzymał brytyjski order. Kula, która go zraniła, stała się jego najdroższym talizmanem, zawiesił ją na łańcuszku na szyi.

- O co im właściwie chodziło? - zastanawiał się głośno Salomon. - Brytyjczycy chcieli nam dać do zrozumienia, że mają nas na oku?

Salomon al-Masri - a dla tych, którzy go dobrze znali lub mieli w ręku jego amerykański paszport, Sal Marx - urodził się także w Palestynie, był synem rosyjskiego Żyda. Cała rodzina jego ojca zginęła podczas pogromu. Ojciec nigdy nie przywiązał się do tego słonecznego, lecz obcego kraju, w którym udało mu się schronić. Ożenił się tam z młodą Arabką, mieli pięcioro dzieci, najstarszy był Salomon. Kiedy ojciec ciężko zachorował i nie mógł się już zwlec z łóżka, na Salomona spadł obowiązek troszczenia się o los rodziny. Żeby ją wykarmić, musiał się uciekać do najrozmaitszych sposobów, o których wolał nie pamiętać. I przy pierwszej sposobności wyjechał z kraju. Obecnie nigdy nie mówił o tych wczesnych młodzieńczych latach. Choć do dziś motorem jego działania były litość i niesmak, jakie odczuwał, gdy przypominał sobie swoje dzieciństwo.

- Myślisz, że chodziło im tylko o to? - nalegał Ikal.

Salomon ziewnął. Była to poza. Lubił przybierać pozy, pozą był także ten jego nonszalancki sposób bycia i opowieści o bogatym domu w Kairze.

- W tym mieście nic się długo nie ukryje. Więc musimy pozwolić Brytyjczykom odkryć parę naszych drobniejszych tajemnic, po to by zataić te, na których nam naprawdę zależy.

- Peggy zawsze prosi o nie słodzoną kawę.

- Pewnie boi się utyc.

- W domu piliśmy zawsze słodką kawę. Gorzką podawało się tylko z okazji pogrzebu.

- Bo twoja rodzina to byli wieśniacy - oznajmił bynajmniej nie zgryźliwie Salomon. -

My tu w Kairze jesteśmy bardziej wyrafinowani.

- Czy masz zamiar przypuścić tę kobietę do konfidencji?

- Peggy West? Może będę musiał.

- Więc wyjeżdżając zabierzemy ją z sobą?

- Wiesz przecież, że to nie będzie możliwe.

- A jeśli ona się wygada?

Salomon spojrzał na niego i nic nie odpowiedział.

- Na pewno się wygada. Brytyjczycy przycisną ją do muru i powie wszystko, co wie.

- Za wcześnie o tym mówić, Ikał. Nic jej nie powiem, dopóki nie upewnię się, że nie szpieguje już dla Brytyjczyków.

- Peggy West?

- Sam się zastanów. Brytyjczycy, z tych samych powodów co my, są na pewno zainteresowani księciem. Peggy przyjechała do Kairu jeszcze przed wojną. W ambasadzie mają jej adres, wiedzą, że mieszka w hotelu „Magnifico”. Więc rozsądek nakazywałby im wypytać Peggy, co książe mówi na urządzanych przez siebie przyjęciach.

- Bardzo przewrotne rozumowanie.

- Po prostu myślę logicznie. Dlatego Tel-Awiv zlecił mi to zadanie.

- Jesteś cynikiem. To zupełnie coś innego.

- Każdy człowiek służy dwóm panom. Taka już jest ludzka natura.

- Dwóm panom?

- Obaj znamy brytyjskich żołnierzy, którzy stają na baczność przed brytyjskim sztandarem, a jednocześnie są Żydami. I znam także angielskich żołnierzy, którym udaje się pogodzić lojalność wobec króla z wiarą w sowiecki komunizm. Książe Piotr na pewno kocha matuszkę Rosję, ale nienawidzi wujka Stalina i niewykluczone, że pomaga Niemcom. Rzadko zdarza się szczęśliwy człowiek, który służy tylko jednemu panu.

- Lubisz zagadki. Ja wolę proste odpowiedzi.

- Nie ma prostych odpowiedzi, Ikał.

- Jeszcze raz powtórzę moje pytanie. Jeśli dojdzie do tego, że przypuścisz do konfidencji Peggy West, to co zrobisz, kiedy będziemy musieli wyjechać?

- Potrafię sobie z tym poradzić, Ikał.

- Czy to oznacza, że zamkniesz jej na dobre usta?

- Może się to okazać konieczne. - Salomon rozgniewał się, mimo to Ikał nie przestał nalegać.

- Ona jest jedną z nas. Jest żoną Karla. Nie zamierzam uczestniczyć w tym morderstwie. Ostrzegam cię.

Salomon skwitował to zimnym uśmiechem.

- Naucz nas, Panie, zwalczać przeciwności, ale dopiero wówczas, gdy się pojawiają.

- Oszczędź mi tych twoich lekcji Talmudu.

- Dlaczego mówisz lekceważąco o Talmudzie? - spytał pogodnie Salomon. Skorzystał z okazji, by zmienić niewygodny temat.

- Czy w Talmudzie znajdę odpowiedź na pytanie, co chcesz zrobić z Peggy West?

Salomon wypił parę łyków piwa. Przez chwilę wydawało się, że nie odpowie. Potem jednak odpowiedział.

- Wiele lat temu jeden z uczniów spytał rabiną, czego można nauczyć się z Talmudu. A rabin opowiedział mu o dwóch ludziach, którzy wpadli do komina. Jeden z nich zabrudził się, drugi pozostał czysty. I to jest ta lekcja? - spytał uczeń. Nie - odparł rabin. Brudny spojrzał na czystego i pomyślał, że sam też jest czysty. Na tym polega lekcja? - powtórzył pytanie uczeń. Nie - jeszcze raz zaprzeczył rabin. Wtedy brudny człowiek spojrzał na swoje ręce, zobaczył, że są umazane sadzą i zrozumiał, że się ubrudził. I to jest ta lekcja? Nie, powtórzył rabin. No więc czego mam się z tego Talmudu nauczyć? I wtedy rabin powiedział: - Ty niczego się z Talmudu nie nauczysz, skoro gotów jesteś uwierzyć, że dwaj ludzie wpadli do komina, a zabrudził się tylko jeden z nich.

4

Jimmy'ego Rossa umieszczono w kwaterze jego poprzednika. Zamieszkał w Cytadeli Muhammada Alego, której kopuła sterczała wysoko nad miastem. Brytyjski garnizon już dawno temu zainstalował się w tej fortecy. Mieścił się tu wojskowy szpital, basen, korty tenisowe, stajnie i duże place musztry. Rossowi przydzielono wygodną sypialnię i ciasny salonik; nim ewakuowano rodziny, w takich kwaterach mieszkały zwykle małżeństwa.

Jimmy Ross tego wieczoru zjadł kolację w domu. Nikogo to nie zdziwiło. Wszyscy wiedzieli, że wyżsi oficerowie SIB rządzą się własnymi odmiennymi prawami. Zresztą inni wojskowi woleli unikać towarzystwa „tajniaków”. Przyniesiono mu zupełnie przyzwoity posiłek złożony z kurczaka w potrawce z ryżem i puddingu z dżemem. Potem zabrał się do sortowania rzeczy Cutlera i własnych. Swojego plecaka musi się jak najprędzej pozbyć, stanowił kompromitujący dowód rzeczowy, z bliska dałoby się jeszcze odcyfrować nazwisko Ross. Wydarł z książek kartki, na których widniał jego podpis i spuścił z wodą. Wydrapał swoje nazwisko z grzbietu szczotki do butów i oderwał etykiety z bielizny.

Doznał szoku, kiedy zmierzył kurtkę mundurową Cutlera i okazało się, że rękawy są za długie. Miał zamiar nosić ją z własnymi spodniami. A tymczasem wyglądał w niej idiotycznie. Cóż, będzie znów musiał ubrać się jutro w mundur kaprała, choć ryzykuje, że któremuś z gliniarzy przyjdzie na myśl, iż zmarły w pociągu więzień był właśnie kapralem. Udało mu się jednak zasnąć i wstał zupełnie wypoczęty. Był cudowny słoneczny ranek, poczuł przyływ otuchy.

Nie miał ochoty pojawiać się w koszarach Bab-al-Hadid samotnie. Nowy wartownik mógłby robić trudności kapralowi w wyszarganym mundurze. Zadzwoił do biura i poprosił Markera.

- Mam coś do załatwienia w mieście - oświadczył niedbałym tonem. - Niech pan da tej małej Stanhope moją nową przepustkę. Może by mi ją przyniosła podczas lunchu. Będę w barze u „Groppiego.” - Słynna restauracja „Groppiego” była jedyną, którą znał ze słyszenia.

- Tak jest, sir - odpowiedział Marker. - Ale tam nie ma baru. Powiem jej, żeby o pierwszej była w restauracji. Czy będzie pan w „Rotundzie” czy w „Ogrodach?”

Rossa na chwilę zatkało.

- A którą z tych restauracji by mi pan polecił?

- Alice ma wóz. Mogłaby po pana przyjechać i zabrać na ulicę Sulajmana Paszy. To chyba najlepszy lokal.

- Dobrze.

Marker doszedł widać do wniosku, że Ross chce, by dziewczyna posłużyła mu za kierowcę i przewodnika po mieście. Zupełnie niezły pomysł.

- Niech pan jej powie, by mnie stąd zabrała o dwunastej. Czy pojawił się nasz brygadier?

- Pojechał na polowanie na kaczki. Wróci w przyszłym tygodniu.

- Okay.

- Jeszcze jedno, sir.

- Tak?

- Ten facet zmarł.

- Aresztant?

- Tak. Wyleciało mi z głowy jego nazwisko. Ten, którego pan eskortował.

- Co mu się stało?

- Atak serca. Pewnie zrobią sekcję zwłok i przeprowadzą coś w rodzaju śledztwa. Nie znam się na tym. Ale sądzę, że poproszą pana na świadka.

- Czy zmarł w szpitalu? - spytał Ross. Uświadomił sobie, że ciężko dyszy i przykrył dłonią słuchawkę.

- To już ustalą patolodzy. Rossowi się to bardzo nie spodobało.

- Jeszcze jedno, sir. Czy aresztant nie miał bagażu?

- Złapano go podczas ucieczki. Był już w cywilnym ubraniu.

- Tak właśnie myślałem - odparł Marker. - Ale chciałem się upewnić. Czasem ktoś z rodziny upomina się o rzeczy i zaczyna się zawracanie głowy.

- No, jasne! - Ktoś z rodziny! Z tym nie będzie kłopotu, nie ma żadnej rodziny. Ale co z Cutlerem? Czy on nie ma kogoś, kto będzie się go starał odszukać?

Odłożył słuchawkę i nagle wpadł na świetny pomysł. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał, miał ochotę sam sobie wymierzyć kopniaka. Armia dostarczała każdemu „gosposię”, pakiecik z igłami, szpilkami, nićmi i guzikami. Musi ją mieć w plecaku. Tak. Wziął żyletkę i zaczął odpruwać dystynkcje z kurtki mundurowej Cutlera.

- Skoro ma być pani moją bliską współpracowniczką, to musimy się lepiej poznać - powiedział szarmancko.

Alice Stanhope uśmiechnęła się tak, jakby był pierwszym mężczyzną, który się nią zaczął interesować.

Jimmy stracił kontenans. Na pewno przejrzała go na wylot. Była tak śliczna, że chyba wszyscy musieli się ubiegać o jej względy. Śliczna, choć nie rzucała się w oczy jak siedzące wokół wystrojone kobiety. Alice Stanhope była wysoka, miała długie blond włosy i delikatną cerę. Na twarzy nie malowało się ożywienie, za to w oczach czał się filuterny błysk. Tylko bardzo piękna kobieta mogła wyglądać tak olśniewająco w równie surowym stroju. Taki strój każda matka z klas średnich uważała za odpowiedni dla córki, która miała stawić czoło zepsutemu światu. Kraciasty wełniany kostium i bładoniebieski sweterek, a na nim sznur pereł. Na przegubie ręki zobaczył kosztowny złoty zegarek - pewnie prezent na pełnolecie - ale na palcach nie było pierścionków.

- Muszę panu coś od razu powiedzieć - oświadczyła, nachylając się ku niemu i zniżając głos. - Pański poprzednik wyznaczył mi pewną tajną misję.

- Tak?

Zarumieniła się.

- Tak.

Ross pomyślał, że pewnie coś wyolbrzymia, ale nie przestał popijać herbaty i czekał.

- Kazał mi wynająć pokój w hotelu „Magnifico” i nie przyznawać się, gdzie pracuję.

- A to po co? - spytał, choć ten pomysł przypadł mu od razu do gustu. Wolał spotykać się z nią poza biurem.

- Dostaliśmy anonimową wiadomość, że w hotelu „Magnifico” mieszka niemiecki szpieg.

- Ale pani nie bardzo w to wierzy, prawda?

Postanowiła być szczerą. Leżało to zresztą w jej naturze, było przy tym niezwykle rozbrajające.

- Nie bardzo. Chodzi o pewnego starego Rosjanina. Moja rodzina zna go jeszcze sprzed wojny. Cały Kair nazywa go niemieckim szpiegiem. Tu ciągle pojawiają się nowe plotki, a potem znikają. To tak jak z modą na kapelusze. A ten biedny staruszek jest zupełnie nieszkodliwy.

- No to po co chcieli panią tam wysłać?

- W naszym biurze uważa się, że każdą plotkę należy sprawdzić.

- Czy w ten elegancki sposób zamierza mi pani dać do zrozumienia, że nikt w biurze nie ma pojęcia, jak zabrać się do tej sprawy?

- Nie - odpowiedziała, ale jej wyraz twarzy mówił „tak”. - W „Magnifico” zbiera się bohema. Na pewno uda mi się tam czegoś dowiedzieć.

Zastanawiał się, co ona może uważać za bohemę, ale nim zdążył ją zapytać, dorzuciła:

- Czy pan sam przyszył sobie te dystynkcje?

- A bo co? - spytał lekko przerażony. Może przyszył je do góry nogami? Przyszył dystynkcje Cutlera do swojego munduru. Musiał jednak przybrudzić rękawy w miejscach, z których odpruł swoje szewrony. I teraz czuł się nieswojo wśród eleganckich gabardynowych mundurów u Groppiego.

- Nic złego się nie stało... Ale jestem pewna, że któraś z dziewcząt w biurze zrobiłaby to lepiej. Może ja je panu przyszyję? A najlepiej będzie, jeśli każe pan sobie uszyć nowy mundur. O sto metrów stąd jest świetny krawiec. Mój ojciec zamawia u niego wszystkie swoje garnitury.

- Dobry pomysł.

- Ten krawiec uszyje go panu w ciągu paru dni. Tylko musi pan od razu ostro go przydusić.

- Może się tam pani ze mną wybierze?

- Więc zgadza się pan? Myślę o „Magnifico”.

- Cóż, chyba tak.

- Brzmi to nie bardzo zachęcająco - zauważyła z goryczą, zapominając, że mówi do szefa.

Uśmiechnął się.

- Pójdę tam z panią.

- To może mi dopomóc. Ale niech pan włoży mundur kaprala.

- Widzę, że zaczyna mi pani wydawać rozkazy. Dobrze, włożę.

- Nie będzie tam łatwo dostać pokój. Musimy wymyślić jakąś rzewną opowieść, żeby ich wzruszyć.

- Wymyślmy - pocieszył ją. Zaistniała już między nimi pewna zażyłość, a przynajmniej tak mu się wydawało. Może myśli tak każdy mężczyzna, z którym ona spędziła parę chwil.

- Czy mogę coś jeszcze państwu podać? - spytał kelner.

Ross był głodny. Może powinien jednak odczekać parę dni, nim zniknie. Parę dni, nie dłużej. Nie miał najmniejszej ochoty składać zeznań na temat własnej śmierci.

5

Wyszedszy po pracy ze szpitala Peggy West wróciła do hotelu marząc tylko o jednym: o gorącej wonnej kąpieli. Kiedy weszła do holu, zobaczyła kaprała i wysoką długowłosą dziewczynę w cywilu. Kaprał pertraktował w jakiejś sprawie z Ahmedem - roslym Arabem z ufarbowanymi na rudo włosami, który spokojnie dalej zamiatał posadzkę z kafelków. Kaprał nie mówił po arabsku, znał zaledwie kilka słów, których każdy cudzoziemiec uczy się w ciągu pierwszych paru dni w Egipcie. Pertraktacje nie dawały rezultatu. Peggy postanowiła dopomóc.

- Nie może pan tu wynająć pokoju. To nie jest hotel - wyjaśniła.

- Wisi tu przecież szyld hotelu - zaprotestował kaprał.

Peggy przyjrzała mu się. Źle dopasowane spodnie khaki i workowata kurtka, z tych, jakie brytyjscy żołnierze nosili tu zimą. Kaprał miał dwadzieścia parę lat, był trochę starszy od większości żołnierzy, których widywało się na ulicach. Kolorowe emblematy przyszyte na rękawach były emblematami nie znanej jej jednostki. Ciężkie buty, starannie wyczyszczone, świadczyły chyba o tym, że zakwaterowany jest w jednym z tych przejściowych obozów, które powstały przy drodze nad kanał. U jego stóp stała walizka z krokodylej skóry opatrzona nalepkami naj wytworniej szych hoteli. „Lotti”, „Gritti Pałace”, „Bayerischer Hof”. Ta walizka była niewątpliwie walizką dziewczyny.

- Muszę zdobyć dla mojej kuzynki jakieś lokum - powiedział. - Nie ma gdzie spędzić nocy. Wszystkie pokoje zostały zarekwirowane przez wojsko.

- Na pewno znajdą państwo hotel - oświadczyła Peggy. Dziewczyna była piękna, tak piękne bywają czasem bogate Angielki. Na jej twarzy nie malował się żaden wyraz. Zachowywała się tak, jakby była głucha.

- Gdyby była w wojsku, nie mielibyśmy problemu - odparł kaprał. - Nigdzie jednak nie przyjmuje się cywilów. Poza YMCA, a tam jest pełno.

Peggy zaczęła mu się jeszcze baczniej przyglądać. Jakiś twardy facet.

Miał lekki szkocki akcent, ale doszła do wniosku, że przypomina jej angielskiego ogara, te ogary słynne są z szybkości, węchu i wytrwałości.

- Kiedyś rzeczywiście był tu hotel - powiedziała Peggy czując, że należy mu się wyjaśnienie. - Teraz jednak wszyscy mieszkamy w nim na stałe. Nie ma wolnych pokoi.

Kapral rozejrzał się po holu, Peggy spróbowała też to zrobić podążając za jego wzrokiem. Rzeczywiście, ten hol wyglądał jak hol hotelu. Za kontuarem recepcji wisiała tablica ze schowkami na listy, na każdym schowku widniał numer pokoju i specjalny haczyk na klucz. Pod wielkim ozdobnym mosiężnym skarabeuszem leżał plik nie odebranej korespondencji - listy opatrzone znaczkami z Wielkiej Brytanii, Australii i Południowej Afryki. Wiele było już zakurzonych. Na haczykach wisiały klucze z ciężkimi mosiężnymi numerkami. Wyżej stara grawiura z widokiem Kaim. W rogu holu stała mahoniowa kabina z okienkiem z matowego szkła, a na niej widniał napis „telefon” - po angielsku, arabsku i włosku. Tuż koło wejściowych drzwi wisiała tablica całkowicie wypełniona ogłoszeniami wypisanymi na maszynie oraz plakatami najróżniejszych kształtów i barw. Bale i koncerty, jarmarki kościelne i turnieje karciane, wycieczki i odczyty, lekcje języków i prywatne usługi medyczne. - Kair czasu wojny przejawiał niezwykłą aktywność.

- Szyld głosi, że jest to hotel - powtórzył kapral.

- Wiem - odparła Peggy. Nieżyjący już signor Mario Magnifico - którego córka Lucia odziedziczyła hotel - zamówił ten szyld, kiedy usłyszał, że jeden z nie lubianych przez niego klientów mówi o nim, zresztą słusznie, że to pensjonat.

- Czy moglibyśmy gdzieś na chwilę przysiąść? - spytał kapral. - Musimy się naradzić.

Nigdzie nie było krzeseł. Peggy rozejrzała się. Przed schodami znajdowały się prowadzące do barm drzwi. Były uchylone i Peggy zobaczyła jednego z rezydentów - kapitana Robina Darymple, jak zwykle otoczonego licznym gronem. Darymple akurat się odwrócił i spostrzegł Peggy. Uśmiechnął się do niej i ten uśmiech rozświetlił jego twarz. Peggy odpowiedziała mu uśmiechem. Robin odznaczał się niezwykłym urokiem osobistym. Ale wiedziała, że nie jest to odpowiedni moment, by przyprowadzić do baru dwie obce osoby.

- Może w jadalni? - zaproponowała Peggy.

Owalne okienka w ciemnych mahoniowych drzwiach przysłonięte były siatkowymi firaneczkami. Otworzyła drzwi i wprowadziła ich do środka. Jadalnia wyglądała ponuro, paliła się tu tylko jedna żarówka. Ale w tej sali nie było żywej duszy.

Peggy usłyszała kroki w holu, ktoś wyszedł z barm zostawiając otwarte drzwi. Dobiegł przez nie wysoki głos Darymple'a. Takim tonem opowiadał zawsze anegdoty.

- No i on mówi, że całą noc przesiedział z wywłokami. A chodziło mu o zwłoki. „W Belgravii?” - pytam ze zdziwieniem. A jego brodaty kolega tłumaczy: „Nie, w Belgradzie”. - Rozległ się chóralny śmiech podпиты już wyraźnie słuchaczy. Peggy zrozumiała, że chodzi tu o jedną ze słynnych anegdot Darymple’a.

Wskazała tej obcej parze mały stolik pod oknem. W holu znów rozległy się kroki, ktoś zamknął drzwi i przestała słyszeć głos Darymple’a. Kapral postawił walizkę i rozejrzał się. Panowała tu zupełna cisza, tak cicha może być tylko pusta jadalnia.

- Cudownie. Czy możemy tu zostać jakieś pół godziny? Peggy skinęła głową.

Dziewczyna wpatrywała się w kaprala. Usiadła dopiero, gdy dał jej znak.

- Tylko że niedługo będzie kolacja - przypomniała sobie Peggy. - A nie mamy wolnych miejsc...

- Rozumiem. I pewnie ten lokal jest zarezerwowany dla oficerów? Peggy West była zbyt zmęczona, żeby wdawać się w dyskusję.

- Może pan powiedzieć, że to ja pana tu wprowadziłam. Nazywam się Peggy West.

- Dziękujemy - zabrała wreszcie głos dziewczyna. - Bardzo to uprzejmie z pani strony.

- Odezwała się po raz pierwszy, mówiła akcentem wyższych sfer. To pewnie dlatego kapral był taki przewrażliwiony na temat przywilejów oficerów. - Alice Stanhope - przedstawiła się.

Kapral wyciągnął rękę i Peggy ją uścisnęła.

- Bert Cutler. - I szybko się poprawił: - Kapral Albert Cutler, żeby formalnościom stało się zadość. - Peggy nie potrafiła umiejscowić jego szkockiego akcentu. Pewnie bardzo się starał go pozbyć. Albo Peggy zbyt długo już przebywała poza krajem. Uścisk ręki był serdeczny, twarz opalona, uśmiech ujmujący, a niebieskie oczy pogodne. Bardzo atrakcyjny mężczyzna, w takim mężczyźnie łatwo można się zakochać, ale potem zaczynają się kłopoty. Ogarów nie pokazuje się na wystawach psów i nigdy nie słyszała, żeby ktoś miał takiego psa w domu.

- Peggy West. Mieszkam tu na drugim piętrze.

- Jeszcze raz pani dziękujemy, panno West.

Peggy uśmiechnęła się i wyszła. Nie wierzyła, że są kuzynami. Wróciwszy do holu zajrzała za kontuar, czy nie nadszedł list od Karła albo od jej brata z Kanady, schowek był jednak pusty. Nie zdziwiła się. Listy szły całymi miesiącami, a w dodatku tyle okrętów tonęło.

Zaczęła już wchodzić na schody, kiedy nagle coś przyszło jej na myśl. Zawróciła i weszła do jadalni umyślnie tupiąc, by mieli czas się od siebie odsunąć, jeśli tak jak

przypuszczała, całowali się. Mogła sobie oszczędzić trudu, siedzieli grzecznie po dwóch stronach stoliczka z marmurowym blatem.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała patrząc na dziewczynę - ale coś mi nagle przyszło do głowy. Czy pani pisze na maszynie?

- Czy piszę na maszynie? - Dziewczyna spojrzała na nią jak na wariatkę. - Owszem, piszę. A przynajmniej pisałam jeszcze rok temu.

- Może szuka pani posady?

- Ona przede wszystkim musi mieć gdzie mieszkać - wtrącił się kapral. Spojrzał na zegarek. - A ja dziś wieczorem wracam do mojej jednostki.

- W wojskowym szpitalu, w którym pracuję, potrzebna jest maszynistka. A właściwie ktoś, kto poprowadzi sekretariat - oznajmiła Peggy, śledząc bacznie ich reakcję. - Jesteśmy w strasznych tarapatkach. - Mówiła energicznym, stanowczym tonem, przemawiała przez nią ta Peggy West, która w szkole była kapitanem drużyny hokejowej, która jak nikt potrafiła się targować na bazarach.

- Ale ja nie mam mieszkania - powtórzyła dziewczyna.

Peggy przymknęła oczy. Ci, co ją znali, wiedzieli, że to oznaka silnej emocji.

- Jeśli zgodzi się u nas pracować, znajdę jej pokój - oświadczyła zwracając się do kaprala. Wyczuła, że to on podejmie decyzję.

Dziewczyna i kapral wymienili spojrzenia. Dziewczyna uśmiechnęła się do swego towarzysza, w tym uśmiechu było dużo czułości.

- Załatwi jej pani tutaj pokój? - spytał kapral. Pewnie obawiał się, że Peggy umieści dziewczynę w jakiejś zapchlonej dziurze na krańcu miasta.

- Tak. Ale będzie musiała dzielić łazienkę ze mną i z jeszcze jedną panią. Jest to pokój oficera, który od listopada jest na froncie. Może jednak w każdej chwili wrócić...

Dziewczyna uśmiechnęła się tak, jakby złapała Pana Boga za nogi. Peggy dorzuciła:

- Mam nadzieję, że nie ma pani zbyt wielkiego bagażu. Pokój jest ciasny.

- Tylko tę walizkę - powiedziała dziewczyna. Trudno było sobie wyobrazić, że w tak niewielkiej walizce mogą się zmieścić wszystkie należące do kogoś rzeczy. Dziewczyna uśmiechnęła się smutno i Peggy zrobiło się jej żal. - Już się bałam, że będę musiała spędzić tę noc w poczekalni na dworcu.

Peggy była pewna, że nie ma ona pojęcia, jak wygląda taka noc na dworcu w Kairze. Dziewczyna przypominała figurkę z porcelany. Zachowywała się jak osoba nieśmiała, trudno było powiedzieć, jaka naprawdę jest. Peggy miała nadzieję, że nie będzie z nią w szpitalu kłopotów, że nikomu się nie narazi.

- No, zostawię was teraz samych, żebyście się mogli naradzić - powiedziała Peggy. - Przyjdźcie potem na drugie piętro, mój pokój jest na lewo od schodów. Na drzwiach zobaczycie kołatkę w kształcie ręki Fatimy. - Uśmiechnęła się. - Tylko się nie pomylcie i nie pójźcie wyżej. Trzecie piętro zajmuje pewien rosyjski książę. Pożre was żywcem, jeśli się ośmielicie wtargnąć do jego sanktuarium.

- Dziękuję pani, panno Peggy - powiedziała cicho Alice.

Kapral milczał i Peggy spojrzała na niego ze zdziwieniem. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem. Wydał jej się nagle kimś innym. Uśmiechnęła się do niego - nie zareagował. Jakby jej w ogóle nie widział. Nagle się jednak otrząsnął i znów był rozluźnionym, zachowującym się swobodnie człowiekiem.

- Bardzo pani dziękujemy. Jesteśmy pani ogromnie wdzięczni.

Tej nocy Peggy West źle spała. Położyła się, zamknęła oczy, wciąż jednak gnębiła ją myśl o tym, co zrobiła. Co będzie, jeśli porucznik Anderson wróci bez uprzedzenia i w swoim pokoju zastanie obcą dziewczynę? Porucznik Anderson należał do osób, którym nie należy się narażać. Był rubaszny, chwalił się wszystkim, że dopiero podczas walk na pustyni dostał awans na oficera. Całą pierś miał pokrytą orderami. Zwykle zachowywał się przyjaźnie, ale Peggy drżała na myśl, co gotów powiedzieć, jeśli wróci i zobaczy zajęty pokój, a swoich rzeczy będzie musiał szukać w składziku.

O czwartej nad ranem zrezygnowała ze snu. Wstała, zagotowała wodę i zaparzyła herbatę. Chwała Bogu, o herbatę nie było trudno - brakowało tylko cukru i benzyny - a to właśnie herbata pozwala Brytyjczykom przetrwać trudne chwile. Zapaliła lampkę koło łóżka i usiadła przy toalecie, która służyła jej także za biurko. Czekaając, aż się zaparzy herbata, przyczesła włosy grzebieniem i nagle wydało jej się, że patrzy na nią przerażona matka, często tak właśnie reagowała na jej zachowanie. Matka ją oczywiście kochała, tak jak kochała ojca. Ale największą miłością darzyła psy, które mieszkaly w budach i ciągle poszczekiwały, i wyły. Jeśli któryś z psów zachorował, matka wysiadywała przy nim po nocach, za to podczas choroby ojca posłała mu łóżko w gościnnym pokoju. Peggy nigdy jej tego nie wybaczyła.

Nalała sobie herbaty z mlekiem. Wypiła parę łyków, zaraz się ożywiła i zaczęła wspominać dzieciństwo w Anglii. Nie mogła jednak zapomnieć o swym strapieniu. A jeśli ta dziewczyna nie potrafi pisać na maszynie? Jeśli zacznie rozrabiać? Domagać się zbyt dużej pensji?

I ten kapral... przez chwilę wyglądał jak człowiek w stresie. Często widywała takich ludzi w szpitalu. Kiedy uświadomił sobie, że ona go obserwuje, z najwyższym wysiłkiem się uśmiechnął. Ale co zobaczyła, to zobaczyła. I to ją przeraziło.

Do chwili wyjazdu męża Peggy nie zwykła się niczym martwić. Ale odkąd znów została sama, wszystko się zmieniło. Jej sytuacja finansowa była wciąż niepewna. I czy Karl w ogóle zamierza do niej wrócić? Kiedy pierwszy raz spotkała się z Salomonem, ten wręczył jej list od Karla, napisany niewątpliwie jego ręką. Potem jednak wszystkie listy pisane już były na maszynie. I Salomon nie pozwolił jej dzwonić do Karla... Miała nieprzyjemne przeczucie, że w każdej chwili może przestać jej doręczać pieniądze od Karla. Nie ufała Salomonowi. Ostatnio, kiedy ją prosił, by obserwowała tego nieszczęsnego księcia, wyczuła, że gotów się uciec do szantażu.

Pensja w szpitalu nie wystarczy jej na życie. W ciągu paru miesięcy skończą się oszczędności. Co dzień przyjeżdżały tu tysiące mężczyzn, Brytyjczyków, Australijczyków, Południowych Afrykańczyków, wojskowych i cywilów. Wszyscy mieli pieniądze. I ceny rosły. Obecnie płaciła w hotelu „Magnifico” dwa razy tyle, co przed rokiem.

Nalała sobie jeszcze herbaty. Teraz herbata była już prawie czarna. Lubiła mocną herbatę, lubił ją także Karl. Żałowała, że zdecydował się na ten kontrakt w Iraku. Irak był daleko. A Salomon twierdzi, że Karl wpadł w tarapaty. Znow musi się o niego martwić.

Była przeświadczona, że Karl West ją kocha. Dlaczego zatem nie weźmie posady tam, gdzie będą mogli być razem, gdzie będą mogli stworzyć sobie wspólny dom? W zeszłym roku zaczęła już tracić nadzieję, że go zobaczy i omal nie poprosiła, by ją repatriowano do kraju. Władze brytyjskie w Egipcie repatriowały przymusowo żony i rodziny brytyjskich oficerów. Udało się tego uniknąć żonom wyższych szarż, co wzbudziło gniew pozostałych. Ale w związku z tym na okrętach były wolne miejsca dla innych kobiet. Mogła z tego skorzystać. Niemniej rada była, że tego nie zrobiła.

Usłyszała nawoływania sprzątaczy ulic. Zatrzasnęły się drzwi kuchni, skąd wynoszono śmiecie. Zaczął się ruch na ulicy. Nie podniosła zasłon. Wiedziała, co by zobaczyła - na pewno ta krzepka kobieta znów wiesza bieliznę na dachu domu z przeciwka. Była to Włoszka. Egipcjanki kładły bieliznę, nie wieszały.

Znow spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Spełniło się niemal wszystko to, przed czym ostrzegala ją matka. Gdyby matka jeszcze żyła, Peggy dałaby jej o tym listownie znać. Matce zawsze sprawiało satysfakcję, gdy spełniały się jej ponure proroctwa. Napisała jej, że nie powinna rodzić dziecka w Egipcie. Peggy nigdy nie darowała jej tego listu. Gdyby

dziecko żyło, wszystko pewnie ułożyłoby się inaczej. Karl uwielbiał dzieci. Może wówczas wzięłby posadę, która nie wymagałaby nieustannych podróży.

Peggy uczesała się starannie. Cóż, nie ma jeszcze trzydziestki i wciąż jest atrakcyjną kobietą. Więc właściwie nie powinna się niczym martwić.

6

Wszystkie obawy Peggy pierzchły, kiedy wraz z Alice Stanhope przybyła do szpitala. Alice robiła, co mogła, żeby się spodobać zwierzchnikowi i kolegom.

Naczelnny chirurg, pułkownik Hochleitner, który kierował także administracją szpitala, pracował tu jeszcze przed wojną. Gorąco powitał Alice, wyraźnie mu się spodobała i to było najważniejsze. Kiedy Peggy zaprowadziła Alice do jego gabinetu, ta spojrzała na stos papierzysek, pod którymi tonęła maszyna do pisania, tak samo obojętnie, jak patrzyła na wszystko i wszystkich z wyjątkiem kaprala Cutlera, zdjęła rozpinany sweterek i zasiadła do biurka. Nie uskarżała się nawet na przedpotopową maszynę Adlera, która stukotała jak stara lokomotywa. Nie mogłaby wziąć udziału w konkursie na najszybszą maszynistkę, ale nie musiała zaglądać do słownika, wiedziała, jak się pisze najtrudniejsze wyrazy, znała nawet łacinę i kiedy skończyła, tekst nie był pokreślony, wyglądał czysto i porządnie.

- No, teraz nareszcie lekarze w tym przeklętym szpitalu będą mogli zająć się porządnie chorymi i nie tracić czasu na papierkową robotę, której domaga się Ministerstwo Wojny - powiedział z aprobatą Hoch.

Peggy poczuła się zadowolona, ale to zadowolenie nie trwało długo. Musiała zrobić obchód. Nie cierpiała chodzić po pustych salach, które przygotowano, by przyjąć transport rannych, zasłane łóżka wyglądały jak białe nagrobki. Iluż to rannych, których przywiozą z frontu, zakończy swą podróż właśnie na cmentarzu?

Spojrzała na zegarek. Nie pozostało już wiele czasu na przygotowania, a potem wszystko zacznie się odbywać tak jak wczoraj i przedwczoraj.

Posadzka w sali operacyjnej stanie się śliska od krwi, a w kostnicy zabraknie miejsc. Poparzeni czołgiści, saperzy bez nóg i ci nieszczęśni żołnierze ranni od kul i szrapneli. Ciężiej ranni umierali zwykle, nim ich tu dowieziono.

Skinęła aprobująco głową i podpisała raport. Musi jeszcze skontrolować salę operacyjną, obejść sale z rannymi, a potem na chwilę przysiadzie. Pograżona w myślach Peggy omal nie wpadła na biegnącą naprzeciw niej pielęgniarkę.

- Siostrze Borrow, co siostra...

- Pani West, Ogburn, ten chłopak ranny w nogę, zmarł dziś w nocy... Peggy spojrziała na nią. Dziewczyna miała w oczach łzy. Widać było, że za chwilę straci panowanie nad sobą.

- Proszę się wziąć w karby, siostrze.

- Wczoraj wieczorem podczas obchodu lekarza wszystko było w porządku - normalna temperatura, miarowe tętno. I śmiał się słuchając radia. Napisałam mu list...

- Ile razy wam mówiłam, że nie powinniście pisać im listów.

- Tylko jeden, do jego matki... - Siostrze Borrow opętani kinem rodzice nadali imię Thedy na cześć którejś z egzotycznych gwiazd Hollywoodu. Ale siostra Borrow nie miała w sobie nic egzotycznego. Zaczerwienione oczy i nos, który coraz to wycierała.

- Po to są odwiedzający. To oni mają rozmawiać z rannymi, pisać im listy, pomagać w układaniu puzzli.

- Ja to zrobiłam już po zejściu z dyżuru. Nie zaniedbałam moich obowiązków. Tak mnie prosił, mówił, że podoba mu się mój charakter pisma. - Siostra Borrow wyglądała jak szara myszka, ale w tym mieście, gdzie europejskie dziewczyny były rzadkością, stała się tak jak i inne pielęgniarki nową Florence Nightingale.

- Od kiedy tu siostra pracuje? - Peggy nie czekała na odpowiedź. - Ilu tu już żołnierzy umarło? Mój Boże, choćby w zeszłym tygodniu...

- Ale on był jeszcze chłopcem...

- A siostra jest pielęgniarką - powiedziała Peggy, tym razem łagodniej. - Czy siostra nie wie, kim powinna być pielęgniarka?

- Wiem...

- Pielęgniarka nie ma płci. Nie jest ani żołnierzem, ani cywilem. Nie jest lekarzem ani dobroczynną panią. Nie jest ani matką, ani narzeczoną. Jest pielęgniarką. To bardzo specjalny zawód. Ci ludzie wierzą w nas. Wierzą, że im dopomożemy. Że dzięki nam wyzdrowieją. Wiem, że to niemądre, ale oni chcą w to wierzyć, a my musimy podtrzymywać tę wiarę.

- On pochodził z Lancashire, to moje strony.

- Siostrze, nie wolno nam myśleć, skąd pochodzą pacjenci, i kim są. Bo zaczniemy się nad nimi roztkliwiać i nie będziemy mogły pracować. Są po prostu pacjentami i tylko pacjentami. Rana w głowę, amputowana noga, wstrząs mózgu.

- On został ranny, gdy próbował zatrzymać niemiecki czołg. Przedstawili go do odznaczenia.

Ta dziewczyna w ogóle nie słyszy, co się do niej mówi. Peggy powiedziała z gniewem:

- Obojętne, czy był rannym bohaterem, czy też miał syfilis. Był pacjentem. Niech siostra wbije to sobie do głowy.

- Pokochałam go.

- Więc jest siostra niemądrą dziewczyną i niekompetentną pielęgniarką.

Dziewczyna podniosła głowę i zabłysły jej oczy.

- Tak, proszę pani. Jestem niemądra. Obchodzą mnie moi pacjenci. Z każdego dyżuru schodzę płacząc. Pani tego nie zrozumie. Pani nigdy nie płacze. Tak, pani jest kompetentna. Wszystkie wiemy, że ci mężczyźni pani nie interesują. Ale my jesteśmy słabe. Jesteśmy kobietami.

Wreszcie dotarły do niej słowa Peggy, ale po to, by dotarły, Peggy musiała ją zranić.

- Siostrze, chcę tylko siostrze pomóc.

Młoda pielęgniarka uspokoiła się po wybuchu. Powiedziała:

- Czy pani nigdy nie myśli o tym, że są to ludzie, którzy wyrzekli się dla nas własnego życia? Nie ma pani ochoty wziąć takiego rannego za rękę i powtarzać mu, jaki jest wspaniały?

- Owszem - szepnęła Peggy. Zabrzmiało to tak, jakby zwracała się do samej siebie. Zdziwiła się, że to powiedziała. Ale było to prawdą.

Panna Borrows pociągnęła głośno nosem i z nadludzkim wysiłkiem opanowała się. Stała na baczność jak żołnierz podczas musztry.

- Przepraszam panią. Mówiłam bezmyślnie.

- Niech siostra się na godzinkę zwolni. Proszę się zdrzemnąć i wziąć prysznic. Mamy teraz czas aż do przyjazdu ambulansów.

- Czasem trudno mi wytrzymać napięcie.

- To zdarza się każdej z nas - pocieszyła ją Peggy. Rozejrzała się wokoło, czy nie dojrzy innej zapłakanej pielęgniarki. Często się to zdarzało. Kiedy rannych przywożono prosto z pola bitwy, wielu nie udawało się ocalić. Większość wojskowych pielęgniarek była zbyt młoda i niedoświadczona, żeby sprostać swemu zadaniu, ale co było robić, brakowało wykwalifikowanego personelu, zresztą to dlatego właśnie wojsko zatrudniało w swym szpitalu cywilów takich jak Peggy, Hoch i Alice.

Peggy zeszła po schodach i przeszła przez dziedziniec, by zobaczyć, jak radzi sobie Alice.

- Wszystko w porządku?

Alice podniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Ktoś przyniósł mi herbatę. Uważam to za wyraz uznania.

- I słusznie.

- A Blanche bardzo mi pomogła.

- To świetnie.

Alice Stanhope nie przerwała pracy, spojrzała jednak na Peggy i pomyślała sobie, jaka ona jest podobna do dziewczyny na wiszącym z tyłu plakacie POMÓŻ ROSJI. Na pewno ktoś wybrał ten plakat ze względu na uderzające podobieństwo rosyjskiej pielęgniarki do Peggy West. Peggy też miała takie wydatne kości policzkowe i szerokie usta jak ta wyidealizowana słowiańska piękność. Chodziło wszakże o coś więcej. Artysta pokazał kobietę, od której bije autorytet, choć jednocześnie na jej twarzy maluje się ciepłe współczucie. Takimi powinny niewątpliwie być wszystkie pielęgniarki, ale to Peggy właśnie należało uznać za nieprześcigniony wzór.

- Ja napiję się herbaty później - orzekła Peggy. - Zajrzałam tu tylko na minutkę, by zobaczyć, jak się pani pracuje.

Wracając do głównego gmachu spotkała pasierbicę pułkownika Hochleitnera, Blanche, i zorientowała się, że nie wszyscy powitali Alice z entuzjazmem. Blanche niechętnie wyrzekła się roli jedynej maszynistki w szpitalu. I bała się, że przestanie być sekretarką Hocha, a bardzo jej na tym stanowisku zależało. Nie, nie przyznała się do swych obaw. Trzydziestoletnia jasnowłosa rozwódka, Blanche, znała życie, uśmiechnęła się więc tylko i pogratulowała Peggy, że udało jej się znaleźć taki skarb. Wspomniała coś o własnym braku kompetencji i jeszcze raz powtórzyła, jak to świetnie, iż znajdą teraz oparcie w tej Alice Stanhope. Peggy jednak zbyt dobrze znała Blanche, by jej uwierzyć. Blanche przy pierwszej okazji pogada o tym z ojczymem, którego potrafi owinać sobie wokół małego palca.

Blanche nie była jedyną osobą niezadowoloną z pojawienia się Alice. Chuda rudowłosa pielęgniarka Jeannie MacGregor - córka plantatora tytoniu z północnej Rodezji, wzięła Peggy na stronę, by się z nią podzielić swoimi wątpliwościami.

- Co my o niej właściwie wiemy? - spytała. Dziadek Jeannie MacGregor mieszkał w starym zamczysku w Szkocji i Jeannie utrzymywała, iż jest on potomkiem Rob Roya, słynnego szkockiego zbójnika. To podczas wizyt u dziadka Jeannie nauczyła się mówić ze szkockim akcentem i stała się wielbicielek powieści Sir Waltera Scotta.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć?

- Niby jest taka układna i uprzejma, ale naprawdę to się puszy i zaparkowała ten swój sportowy wóz tuż przed szpitalem.

- To tylko dzisiaj - odparła Peggy. Parkowanie samochodów przed szpitalem było stałym przedmiotem kłótni. - Po prostu nie wiedziała, że nie wolno, ale jej o tym powiem.

Jeannie ucieszyła się tym drobnym zwycięstwem. Była wolontariuszką. Dzięki swej inteligencji i wyteżonej pracy zdobyła kwalifikacje instrumentariuszki, dorównywała niemal Peggy West. Żeby w porę podać chirurgowi odpowiednie narzędzie, trzeba było dobrze znać przebieg każdej operacji. Jeannie powinna pójść na medycynę i zostać lekarką. Chwilowo strasznie się mądrzyła i do wszystkiego się wtrącała. Ale o dobre instrumentariuszki było trudno i Peggy ze stoicyzmem znosiła tyrady Jeannie.

- Widziałam, jak podczas przerwy na herbatę przegląda papiery Hocha - oświadczyła Jeannie.

- Bo ma uporządkować wszystkie akta. Panuje tam potworny bałagan. Blanche nigdy nie odkładała nic do kartoteki.

- Ta Alice, nim do nas przyszła, była urzędniczką w tym policyjnym gmachu naprzeciw poczty - oznajmiła Jeannie patrząc na Peggy z triumfalnym uśmieszkiem. - Sama to od niej słyszałam.

- Tak. Mówiła mi o tym. No i co z tego?

- Nie czytałaś w gazetach, że policja wszędzie nasyla swoich szpiegów? A jeśli ona jest takim szpiegiem?

- Przestań, Jeannie. Miałam ciężki ranek. Chyba nie wierzysz w te wszystkie bzdury, które wypisują gazety?

Jeannie nie zamierzała się poddać.

- Hochleitner to niemieckie nazwisko, prawda? - spytała zagryzając wargi.

Peggy West zaczerpnęła powietrza.

- Jeannie, jesteś starszą pielęgniarką! Czy ty naprawdę myślisz, że Alice przysłano tu, żeby wyniuchała, czy Hoch nie jest hitlerowcem?

- Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie - przyznała Jeannie. Mówiła tonem, który świadczył, że się wycofuje. Nie podobał się jej jednak protekcyjny ton Peggy. - Ale przecież sama wiesz, że wszędzie jest pełno szpicli.

- Nie, nie wiem - odparła Peggy. - Mówi się, że wszędzie jest pełno szpiegów, tak. Boże, co bym dała, żeby ludzie zachowywali się rozsądnie i odpowiedzialnie. Jeannie, jesteśmy Angielkami, znajmy proporcję rzeczy.

- Ja nie jestem Angielką. Jestem Szkotką - niechętnie sprostowała Jeannie.

Peggy roześmiała się.

- Nie wymawiaj się swoją szkockością!

Jeannie MacGregor opanowała się z najwyższym wysiłkiem. I powiedziała tylko z goryczą:

- Bardzo się ostatnio zmieniłaś.

- Nie chciałam być niegrzeczna. Ale ty robisz z igły widły. Alice jest miłą dziewczyną i dobrą maszynistką. Na froncie nie dzieje się najlepiej... Lada dzień Rommel gotów pojawić się na przedmieściach Kairu. Więc nic by w tym nie było dziwnego, gdyby policja miała się na baczności. A w każdym razie, my Brytyjczycy, musimy się trzymać razem i nawzajem sobie pomagać.

Nastąpiło dłuższe milczenie. Potem Jeannie westchnęła.

- Tak czy owak, z tą dziewczyną będą kłopoty. Mówi mi to intuicja. Wiesz, że nigdy się nie mylę.

Jeannie znów ma „przecucie”. Dobry Boże, pomyślała Peggy. Jeannie bardzo ceniła sobie swoje „przecucia”, uważała, że odziedziczyła to po dziadku.

- Cóż, Hoch przyjął ją już do pracy - powiedziała Peggy. - Nic teraz nie da się zrobić.

- Jeszcze zobaczymy - parsknęła Jeannie. - To żmija. Wysiodam ją stąd, choćbym miała skonać.

- Niech to diabli! - zaklęła Peggy i odwróciła się. Zaraz tego pożałowała. Powinna jeszcze parę minut spędzić z tą Jeannie i ją przekonać. Choć z Jeannie był straszny uparciuch, wszyscy Szkoci są uparci. Jeśli zechce zatruć Alice życie, na pewno znajdzie jakiś sposób.

- Nadjeżdżają kurierzy! - zawołał ktoś przez okno. Zaraz więc pojawią się ambulanse.

- Jeszcze za wcześnie - zauważyła Peggy.

- Słyszałam, że dziś będą dwa konwoje - krzyknęła Jeannie. - Lecę do moich dziewczyn sprawdzić, czy wszystko gotowe.

- Tak - westchnęła Peggy. Może uda jej się wysłać siostrę MacGregor do jednego z tych nowych chirurgicznych punktów blisko linii frontu.

Usłyszała, że zajeżdżają ambulanse.

- Czas zacząć zarabiać na chleb - powiedziała do siebie głośno. Powtarzała to co dzień.

7

Nikt nie pamiętał, kiedy i dlaczego zaczęły się te spotkania, ale przeszły w zwyczaj i co piątek wczesnym wieczorem na trzecim piętrze czekało na mieszkańców „Magnifico” oraz gości z miasta schłodzone białe wino i apetyczne przekąski.

- Niech ci się szczęści, Piotrze - powiedziała Peggy West do księcia, kiedy Sammy, jego egipski służący w długiej, czarnej, szamerowanej złotem galabiji nalał jej następny kieliszek wina. - No co, Alice, jak ci się podobają twoi sąsiedzi?

- Jestem ci strasznie wdzięczna, że zdobyłaś dla mnie ten pokój - odparła Alice też biorąc drugi kieliszek wina.

Peggy uśmiechnęła się i rozejrzała. Zawsze jednym z pierwszych gości był kapitan Robin Darymple w wykrochmalonej koszuli khaki i takich spodniach. Rozmawiał z piękną Egipcjanką Zeinab al-Szazli i z jej bratem Saidem. Zobaczyła parę obcych osób. Zaczęto już pewno pić po południu, bo rozmowa była głośna i przerywana wybuchami śmiechu.

Peggy uśmiechnęła się z daleka do dwojga młodych Egipcjan. Studiowali na amerykańskim uniwersytecie i mieszkali na pierwszym piętrze. Said był bardzo pięknym chłopcem. Jasny kolor skóry i błękitne oczy musiał odziedziczyć po którejś babce; konkubinami bogatych Kairczyków były często słynne z urody białe kobiety, tak przynajmniej głośiły miejscowe plotki. Kapitan Darymple opowiadał o japońskim ataku na Pearl Harbor, pełną ekspresji opowieść ilustrując gestem: wolną ręką bombardował swój kieliszek. Od tygodni już głównym tematem wszystkich rozmów było przystąpienie do wojny Ameryki. Said, oficer rezerwy egipskiej armii, słuchał go cierpliwie z uprzejmym wyrazem twarzy. Peggy przeszła koło nich i podniosła kieliszek.

- Dziękuję, Piotrze.

Alice bacznie przyglądała się księciu. A więc to był ten człowiek, którego uważano za szpiega Rommla.

Przy księciu wszyscy wydawali się karłami. Był to wysoki masywny mężczyzna w czarnym aksamitnym żakiecie smokingowym i białych spodniach. Wzorzysty jedwabny krawat spięty był złotą szpilką z brylantem. Odkąd zaczęła się wojna, Piotr Mikołajewicz Tichmejbrzow zaczął używać tytułu pułkownika. Kiedy ktoś - tak jak to się zdarzyło kapitanowi Robinowi Darymple'owi - to kwestionował, pokazywał fotografię pułku piechoty maszerującego w St. Petersburgu podczas zamieszek 1913 roku. Pułk ten był prywatną własnością jego ojca, księcia Mikołaja. Ojciec zginął w 1916 roku i Piotr Mikołajewicz odziedziczył pułk wraz z wielkimi posiadłościami wiejskimi, pałacykiem w mieście i drugim na Krymie. Tytuł pułkownika słusznie mu się więc należał.

W chwili śmierci ojca Piotr Mikołajewicz studiował archeologię w Oksfordzie. Pozostał tam podczas rewolucji. W 1925 roku odwiedził w Kairze przyjaciół Rosjan i postanowił się tu osiedlić. Skarby, które znajdowały się w jego apartamencie, pochodziły z dwudziestu siedmiu skrzyń, jakie matka przysłała mu, gdy rozpoczął studia - meble, dywany,

ikony, obrazy i bibeloty. Lubił opowiadać o Oksfordzie, ostatnio zaś często mawiał o sobie, że wciąż jeszcze studiuje „sprawy świata”. A to po to, by usprawiedliwić swój tryb życia; ranki spędzał na czytaniu gazet, a popołudnia w kawiarniach i na bazarach, pijąc kawę ze swoimi rozleniwionymi kosmopolitycznymi koleżkami.

- Peggy, złotko, nie musisz mi mówić, że to jest nasza nowa sąsiadka. Słyszałem już, iż zamieszkała u nas prześliczna młoda dama.

Alice się nieśmiało uśmiechnęła.

- Jak się pani miewa? Bardzo się cieszę, że znalazła pani czas, by wpaść na moje przyjętko. - Ujął rękę Alice i ucałował ją.

Peggy dotychczas myślała o nim jako o wielkim kudłatym psie św. Bernarda, teraz wydał jej się afgańskim chartem. Peggy dokonała prezentacji.

- Oto Alice Stanhope - powiedziała. - Załatwiłam jej posadę w naszym szpitalu.

Księżę skinął głową.

- Właśnie o tym słyszałem. - Był lekko zirytowany. Zawsze nazywał Peggy swoim hotelowym „oficerem łączności”. To ona powinna go zawiadomić, że ktoś nowy zamieszkał w „Magnifico”. Ostatnio stosunki księcia z właścicielką hotelu, Lucią, bardzo się pogorszyły. Po południu znów pojawiła się u niego zgłaszając mnóstwo pretensji i wyszła za ledwie na parę minut przed nadejściem gości. Choć księżę zachowywał pozornie spokój, Peggy wiedziała, że boi się tego, jak daleko gotowa posunąć się Lucia, by go wyeksmitować z apartamentu. Tak, bał się, zwłaszcza że przyszła ze swoim malutkim armeńskim adwokatem, który plątał się wokół jej nóg jak ratlerek.

Lucia Magnifico chciała się pozbyć księcia. Znalazła już architekta, który przygotowywał projekt przebudowy apartamentu na siedem pokoi. W Kairze roilo się od oficerów, cywilnych doradców wojskowych i amerykańskich biznesmenów, a wszyscy mieli do wydania mnóstwo rządowych pieniędzy. I wszyscy szukali lokum. Lucia znała życie i wiedziała, że tacy ludzie wolą unikać wielkich hoteli i służbowych mieszkań, gdzie wartownicy będą śledzić każdy ich ruch. Szukali dyskretnych garsonier w modnej dzielnicy miasta, możliwie blisko rzeki. Lucia nie zamierzała dłużej wynajmować całego piętra temu „rosyjskiemu pozerowi”, choć obiecał mu to niegdyś jej niemądry ojciec.

- Wszystko się zmieniło. Życie ma swoje prawa. Potrzebuję pieniędzy

- oznajmiła brutalnie Lucia. Była to szczupła kobieta, która lubiła się stroić i nie gardziła klejnotami. Jej wygląd potwierdzał tezę, że najbardziej wyrafinowanymi i najlepiej ubranymi cudzoziemcami w Kairze są właśnie Włosi. To dlatego na dworze egipskiego króla przyjmowano głównie Włochów. Wszyscy wiedzieli, że Brytyjczycy są brzydzy, nieokrzesani

i ubrani byle jak. Brytyjscy żołnierze - w powypychanych szortach, wytartych swetrach i opadających na oczy kapeluszach - wyglądali jak klauni. A co gorsze - Lucia nie omieszkała powiedzieć tego księciu - uskarżali się stale na brak pieniędzy.

Lucia wypowiedziawszy tę uwagę spojrzała na swoją czarną jedwabną suknię i uważnie zdjęła z niej włosy. Nie powinna była siadać na sofie. Miała dosyć tych ohydnych abisyńskich kotów i dosyć tego, że księżę w środku nocy zużywa bezcenną gorącą wodę, a także usiłuje na swym przedpotopowym odbiorniku złapać radio Moskwę.

Księżę przymknął oczy, by odegnąć wspomnienie tego popołudnia. Uśmiechnął się do Peggy i Alice. Lubił, by na jego przyjęciach bywały ładne kobiety, choć się nimi nie interesował. Peggy była starą przyjaciółką. Za taką ją przynajmniej uważał, gdyż tak jak on mieszkała w Kairze już przed wojną. To samo dotyczyło Robina Darymple'a. Oboje uzyskali przywilej mówienia do księcia po imieniu.

Alice została uprowadzona przez młodego oficera sztabowego, który powoływał się na to, że poznał ją w Aleksandrii. Księżę obserwował ją, jak odchodzi i zwrócił się do Peggy, przybierając poważny ton.

- Powiedz mi, złotko, gdzie poznałaś tę zachwycającą pannę Stanhope.

- Podał jej mosiężną miseczkę z pistacjowymi orzeszkami, wiedząc zresztą, że ich nie tknie.

- Jej ojciec jest politycznym doradcą gdzieś nad Zatoką - powiedziała Peggy, która sama nie za wiele się jeszcze dowiedziała o Alice. - A matka złapała jakiś bakcyl i lekarze kazali jej przyjechać do Egiptu. Mama mieszka w Aleksandrii. - To ostatnie zdanie Peggy wypowiedziała imitując akcent Alice.

Piotr skwitował ten dowcip uśmiechem.

- Tak, jej matka prowadzi otwarty dom. Stanhope'owie znają wszystkich, których warto znać. - W jego głosie zabrzmiała zazdrość. - Czy Alice gra w brydża?

- Zapytam ją.

- Strasznie nam jest potrzebny czwarty - powiedział żalonym tonem.

- No to ją zaraz sam spytaj.

- Nie, lepiej będzie, gdy ty to zrobisz. Nie mów jej, że gramy na pieniądze. Chodzi o czystą przyjemność gry.

Łudził się, że gra dobrze. W rzeczywistości zwykle przegrywał. Ale płacił bez zmrużenia oka. W przeciwnym razie Robin Darymple przestałby przychodzić. Darymple był hazardzistą, wszystkie swoje wygrane i przegrane starannie notował.

- Jeśli gra, to nie wiadomo, co powie na to jej chłopiec - ostrzegła Peggy przyglądając się Alice, otoczonej gronem młodych ludzi. - Spędza z nim dużo czasu.

- Może on też gra?

- Czy mowa o kaprale? - spytał Robin Darymple, który w kasynie oficerskim nauczył się przysłuchiwać kilku rozmowom naraz. Podszedł do nich. - O tym głupku w powypychanych spodniach?... Mielibyśmy upaść tak nisko, żeby grać z podoficerami? - Darymple bardzo uważał, żeby w życiu towarzyskim nie mieć do czynienia z niższymi rangą, dotyczyło to nawet kobiet.

- Co ty wygadujesz - zaprotestowała Peggy. - Zawsze myślałam, że prowadzimy wojnę także i po to, by znieść różnice klasowe i inne bzdury w tym rodzaju.

- Czy w szpitalu kładziecie na tej samej sali oficerów i żołnierzy? - spytał Piotr, który lubił prowokować dyskusję.

- A kaprale są najgorsi - uśmiechnął się prowokacyjnie Darymple. - Sierzanci przynajmniej umieją pić, szeregowcy zaś okazują szacunek. Za nic nie zasiadłbym do brydza z żadnym kapralem.

- Mam nadzieję, że gra i was ogra - oświadczyła Peggy. Darymple zachichotał.

- Słyszałem, Robin, że zamierzasz nas opuścić - zmienił temat książkę.

- To ściśle tajne, Piotrze - odparł Darymple i zniżył głos. - W zeszłym tygodniu spotkałem w barze Shepharda starego kumpla, Toby'ego Wallingforda z RNVR*. W szkole dawałem mu niezły wycisk, mówi, że do dziś ma blizny. Teraz szczęściarz dostał się do jakiejś gangsterskiej jednostki, która ugania się za Hunami po pustyni. Używają sobie na nich, ile wlezie, a potem wracają do miasta i idą w tany.

- Ależ, Robinie, to musi być bardzo niebezpieczne - szepnęła Peggy. Wiedziała, jak powinna się zachować kobieta, kiedy mężczyźni zaczynają się przechwalać. Wszyscy byli tacy sami, zależało im na kolorowych wstążeczkach, zachowywali się jak dzieci. Wojna wydobywała na wierzch najgorsze strony męskiej natury.

Książkę powiedział:

- Myślę, że wiemy już, jak sobie z tymi Hunami radzić. W najbliższym czasie powstrzymamy natarcie. Gotów jestem się założyć, że nastąpi to jeszcze przed Benghazi.

- No właśnie, a ja tu w biurze przekładałam tylko z miejsca na miejsce papierki. Cholera mnie bierze. Słyszeliście, co makaroniarze zrobili w zeszłym tygodniu? Ich nurkowie dostali się do Aleksandrii i podłożyli miny pod „Valianta” i „Queen Elizabeth”. Teraz to wyszło na jaw.

- Czy te okręty zostały mocno uszkodzone?

- Jeszcze jak. Marynarka udaje, że wszystko jest w porządku: wywieszono na nich flagi, odprawia się na pokładzie niedzielne msze, a naprawdę oba te okręty wojenne opierają się kadłubami o dno zatoki.

- Tak, słyszałem o tym - potwierdził książę.

- Muszę znaleźć się na polu walki - oznajmił Darymple, sięgając po miseczkę z orzeszkami. - Jeśli ktoś ma po wojnie zrobić w wojsku karierę, musi przejść przez front. Ten oddział Wally'ego to dla mnie wielka szansa. - Włożył orzeszek do ust i go schrupał.

- Powodzenia, chłopcze.

- I automatycznie awansuję, dostanę tam majora.

- Wspaniale. Dużo bym dał, żeby być młodszym...

- W tej jednostce służą chłopcy z najrozmaitszych broni, z piechoty, z marynarki, z lotnictwa. Mój kumpel, Wally, jest z marynarki wojennej. Niekonwencjonalna wojna. Pokażemy Szwabom prawdziwą Blitzkrieg.

- Co zrobisz ze swoim pokojem? - spytała praktyczna Peggy.

- Uspokój się, dziewczyno. Tylko patrzysz, gdzie coś uskubać.

- Umieściłam Alice Stanhope w pokoju porucznika Andersona. I drzę, że on się niespodziewanie pojawi.

- Andy jest pod Tobrukiem - poinformował ich książę.

- Pod Tobrukiem? To nie miał lekko. - Darymple nie zachwycał się eks-sierżantem Andersonem, który w ciągu dwunastu miesięcy na froncie dochrapał się awansu na oficera i dwóch odznaczeń. Parę razy Darymple dał się we znaki Andersonowi. Raz tu, w jadalni hotelu, skrytykował jego maniery przy stole. A kiedy w przeddzień wyruszenia na front Anderson urządził w swoim pokoju głośną libację, Darymple sprowadził patrol żandarmerii.

- Tak - powiedział książę - on jest w oddziałach pancernych, te oddziały walczą zawsze na najbardziej wysuniętej linii frontu. Wspierały Nowozelandczyków. Zajęli Ed Duda. I Andy znów zachował się jak wariat i nie czekając na rozkazy, ruszył naprzód. Był jednym z pierwszych, którzy przełamali linię frontu. - Książę z niby to obojętnym wyrazem twarzy spojrzał na Darymple. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo tamten zazdrości Andersonowi.

- Skąd o tym wiesz? - spytał kłótliwie Darymple. - Nie mówił o tym żaden oficjalny komunikat. - Sięgnął po oliwki.

- Andy był mi winien piątaka - wyjaśnił książę. - Jeden z jego ludzi, czarujący młody porucznik, przywiózł do Głównej Kwatery w Kairze zdobyte na wrogu dokumenty. A dla mnie skrzynkę włoskiej brandy i cały krąg parmezanu - zajęli główną kwaterę armii włoskiej.

Wspaniały ser, mogą go dziś państwo skosztować na krakersach. I zupełnie niezła brandy. Zawsze mówiłem, że Włosi mają wrodzone poczucie proporcji.

Księżę wtrącił tę uwagę, by pokazać, że poradzi sobie z Lucią.

- I dostałem liścik. Andy napisał, że w ten sposób jesteśmy kwita. Dobrą godzinę trwało, nim odcyfrowałem jego bazgroły. To równy gość. Ale nie sądzę, żeby wkrótce miał się pojawić w „Magnifico”. Pewnie teraz stara się w pojedynkę zapolować na Rommla. Jego kolega mówił, że Andy został mianowany kapitanem czasu wojny i że generał jego dywizji przedstawił go do Orderu za Wybitne Zasługi, DSO*.

Darymple pożerał oliwki. Teraz wyprostował się, mało brakowało, a zakrztusiłby się z wściekłości. Księżę mrugnął do Peggy. Ona uśmiechnęła się. Piotr był urodzonym intrygantem.

- Śliczne są te kwiaty na twoim balkonie, Piotrze - powiedziała, żeby zmienić temat. - Ten krzak pomarańczy bosko pachnie. Kair o tej porze roku jest naprawdę wspaniały.

- Ja wolę angielską zimę - oświadczył Darymple. - Tutejsza to ani to ani sio. Wyjrzałem dziś rano przez okno i dużo dałbym, żeby znaleźć się w Anglii i ruszyć na polowanie.

- Kair to Kair - powiedział księżę swoim wystudiowanym angielskim akcentem. - Posłuchajcie tej wieży Babel. Odetchnijcie wiatrem z pustyni. Darymple, co się stało z twoją duszą? Wolałbyś tandetną imitację Anglii?

Peggy spojrzała na niego, nigdy nie wiedziała, kiedy księżę mówi poważnie.

- Piotrze, wspominałeś, że chcesz z nami o czymś pomówić. O co chodzi?

- Tak. Nie chcę, żeby usłyszeli wszyscy. Tylko starzy dobrzy znajomi.

- Rozejrzył się dokoła i upewnił, że nikt nie stoi za ich plecami. - Zbliża się dzień moich urodzin. Czy nie byłoby przyjemnie wystroić się i wybrać do jakiego dobrego lokalu w niewielkim gronie przyjaciół?

- Kiedy? - spytała Peggy.

- Zaprosisz nas na prawdziwą rosyjską kolację? - spytał jednocześnie Darymple. Nim wyraził zgodę, chciał upewnić się, że to księżę poniesie koszty.

- Myślałem o jakimś rosyjskim daniu - odrzekł księżę, który świetnie wiedział, o co chodzi Darymple'owi.

- Wspaniały pomysł - zachwyciła się Peggy. - Zrobimy listę gości i każde z nas będzie uczestniczyło w wydatkach.

Księżę uśmiechnął się do niej i oboje obserwowali zachmurzoną twarz Darymple'a.

- No, to zrobione - orzekł książę. Lubił Peggy, rozumiała go w pół słowa. Wziął ją pod rękę. - Może poszłabyś ze mną do kuchni? Chciałbym się ciebie poradzić. - Nalał jej kieliszek wina i zaprowadził do maleńkiej kuchenki.

Tam zamknął drzwi i powiedział:

- Peggy, złotko, mam z tobą do pomówienia.

- O co chodzi, Piotrze?

Księżciu zwykle udawało się wyglądać bardzo młodo, miał gęste faliste włosy i dobrą cerę, ale teraz promienie zachodzącego słońca padły na jego twarz z ukosa. I to bezlitosne światło zdradziło jego prawdziwy wiek. Miał podpuchnięte oczy, nad kołnierzykiem fałdowała się zwiotczała skóra. Był bardzo blady, wyglądał tak, jakby się upudrował. Zastanawiała się, czy nie bierze narkotyków. Kair był zalany narkotykami, coraz więcej Europejczyków ulegało pokusie. Rezultaty widziała w szpitalu.

- Chciałbym się dowiedzieć, kim jest ten oficer, który parę dni temu przesłuchiwał cię wieczorem w holu?

- Oficer? - Wiedziała, o czym mówi, chciała jednak zyskać na czasie.

- W holu naszego hotelu? - Odsunęła półmisek z krakersami - na każdym leżał kawałek sera i anchois - żeby móc postawić kieliszek.

- Tak, oficer w naszym holu - powtórzył. - Pokazywałaś mu paszport.

- Ach nie, on mnie nie przesłuchiwał. To dawny znajomy. Zanotował numer mojego paszportu, żeby umieścić mnie na liście ambasady.

- Jakiej liście? Zaczęła improwizować.

- Chce, żeby zapraszano mnie na przyjęcia.

- Mówisz prawdę, Peggy?

- To kapitan Marker, Billy Marker. - Szybko wymyśliła imię. - Znam go od wieków.

- Było z daleka widać, że pracuje w SIB. - Nagle coś go uderzyło. - W jaki sposób zwykły kapitan może cię wciągnąć na listę gości ambasady?

- O to musisz się spytać jego - odparła Peggy. Nie miała powodu kłamać na temat kapitana Markera, ale książę pewnie by ją dalej wypytywał, a nie zamierzała opowiadać mu o Salomonie, jego barce i pieniądzech od Karła. W każdym razie nie w tej chwili.

- Kapitan William Marker - powtórzył książę Piotr, jakby chciał sobie to nazwisko zapamiętać. - Zasięgnę o nim informacji.

- Dlaczego?

- Widzisz, Peggy, ktoś próbuje mnie zabić. - To zdanie książę wypowiedział rozpaczliwym szeptem. I wyjrzał przez okno, by sprawdzić, czy nikt z wyższego piętra nie

wychylił się, by podsłuchiwać. W każdym innym mieście taka ostrożność mogłaby się wydać śmieszna, ale w Kairze działy się najdziwniejsze rzeczy.

- Zabić ciebie? Co ty wygadujesz, Piotrze!

Wyciągnął rękę i zdjął z półki kolorową puszkę. Zobaczyła, że nosi gorset. Dawno to podejrzewała, ale teraz, kiedy stanął na palcach, nie miała już żadnych wątpliwości. Wysypał zawartość puszek na deskę przy zlewie. Wśród okruchów chleba było parę drewnianych drzazg i odprysk szkła. Zaczął grzebać w tych śmieciach i wyciągnął sznurek, kawałki tektury oraz paciorki.

- To wszystko było w chlebie - powiedział książę. - Kazałem służącemu, żeby każdy bochenek krajał na cienkie kromki i wszystko, co znajdzie, chował do tej puszek. Oto dowody rzeczowe.

- Z chleba?

- A gdybym to połknął? - spytał pokazując szkło.

- Wszyscy czasem znajdujemy w chlebie najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. To Egipt. Nikt nie próbuje cię zabić.

- Pielęgniarka powinna być bardziej bystra. - Książę nadąsał się jak małe dziecko.

- Ale kto miałby chcieć cię zamordować, Piotrze? I niby z jakiego powodu?

- Rozmaici ludzie - odpowiedział niechętnie, jakby już żałując, że się jej zwierzył. „Dowody rzeczowe” wpakował z powrotem do puszek. Potem otworzył drzwi i bez słowa wrócił do swoich gości.

Był wyraźnie rozgniewany, zaczęła się obawiać, że dołączy ją do swojej listy podejrzanych. Wypiła parę łyków i przez chwilę przyglądała się kwiatom i roślinom na patio. Zza drzwi dolatywały ją odgłosy ożywionej rozmowy, śmiechu i muzyki z płyt. Albo to ona zwariowała, albo cały otaczający ją świat. Wszyscy mieli obsesję szpiegów. Wypiła resztkę wina, wróciła do salonu i wkrótce skierowała się w stronę drzwi.

Alice Stanhope siedziała na sofie między dwoma młodymi oficerami, nie wyglądało na to, żeby miała ochotę wyjść. Peggy spojrzała na zegar, było jeszcze wcześniej. Zdąży umyć włosy i zaraz potem położyła się do łóżka z książką.

8

Przypadkowy obserwator uznałby, że żołnierze brytyjscy czują się w Kairze jak w domu. Ich mundury khaki pasowały do ulic, budynków i pustyni sięgającej aż poza horyzont.

Raził raczej widok Arabów, kobiety od stóp do głów ubrane były w czerń, a mężczyźni paradowali w sięgających pięt białych galabijach.

Powinno się jednak raczej przyjrzeć zachowaniu ludzi. Krajowcy wiedzieli, dokąd śpieszą i po co. Było jasne, że to oni są u siebie. Biegali, krzyczeli, kłócili się, targowali i śmiali się na całe gardło. A niemal wszyscy żołnierze byli bardzo młodzi i w ciężkich, podkutych butach człapali powoli i bez celu. Nie mieli dokąd pójść, chodzili po ulicach tam i z powrotem. Wybierali najruchliwsze. Przeszkadzali. Żeby uniknąć salutowania oficerom, zatrzymywali się przed wystawami sklepów. Zbierali się w grupki, przysiadali na krawężnikach i gapili na wrące życie miasta. Wielu było pijanych, wielu rzygało.

Kair żyje na ulicy. Domy są puste, ulice zatłoczone. Nieskończona różnorodność żebraków, kobiety, mężczyźni, matki z niemowlętami w ramionach, kaleki, wygięci w pałąk starcy i dzieci, które dopiero uczą się chodzić. Dzieci próbowały sprzedawać owoce, sznurowadła i lepy na muchy. Na burych wózkach ręcznych rozłożono kolorowe napoje i potrawy. Wśród tłumu przemykali się zręcznie złodzieje oraz uśmiechnięci przewodnicy, którzy szeptem proponowali zabronione książki, pornograficzne spektakle i usługi młodszych sióstr.

Ktokolwiek przyjrzał się baczniej ubranym w khaki mężczyznom, mógł stwierdzić, jak bardzo się od siebie różnią. Jedni nosili szkockie spódniczki, inni turbany. Gurkhowie wielkie zakrzywione noże, a żandarmeria czerwone czapki i pistolety. Nowozelandczycy paradowali w filcowych kapeluszach z szerokim rondem, a kapelusze Australijczyków były z jednej strony wystrzyżone. W takich samych kapeluszach po tych samych ulicach miasta maszerowali ich ojcowie podczas poprzedniej wojny.

- To jest to miejsce, sir - powiedział kapitan Marker swemu nowemu szefowi, gdy zasiadali przy stoliku w malowniczej restauracji na Szari Imed ad Dine. - Klub Cleo. Bywają tu wszyscy macherzy czarnego rynku i wszyscy oszuści Kairu.

- Wyglądają na zamożnych - zauważył Jimmy Ross. Prosił Markera, żeby zaprowadził go do takiego właśnie lokalu.

- Bo są - odparł Marker. Zamówili drinka i zaczęli studiować menu.

- Ten tam facet przy barze to właściciel. Nazywają go Zooly, jest jednym z najbogatszych ludzi w mieście. Jeśli potrzeba panu czołgu, chce pan zamordować wroga albo szuka pan dziewczycy, wystarczy mu to powiedzieć. To tylko kwestia ceny.

Ross przyjrzał się facetowi. Poślizgnięta twarz, ale go pozna. Jeśli ma zniknąć, potrzebne mu będą nowe papiery. I to w takich miejscach udaje się je zdobyć.

- Proszę o pieczonego kurczaka - powiedział kelnerowi.

- Dla mnie to samo - zamówił Marker. - Zresztą wszystkie potrawy w jadłospisie pochodzą na pewno z magazynów brytyjskiej armii.

- Dlaczego go nie aresztujecie? - spytał Ross po odejściu kelnera.

- Trudno nam aresztować Egipcjan. Są cywilami, a Egipt jest krajem neutralnym.

- I nie wykorzystują tego nasi dezenterzy?

- Chce pan powiedzieć, czy nie przebierają się za Arabów? To nie takie łatwe. Każdy Egipcjanin poniżej czterdziestu lat musi zarejestrować się w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i otrzymuje ruchsa, kartę pracy. Z fotografią i odciskami palców.

- Dobry sposób - pochwalił Ross, porzucając myśl o zdobyciu egipskich dokumentów.

- W ten sposób udaje nam się kontrolować burdele - wyjaśnił Marker.

- Każdej dziewczynie, która ukrywa dezentera, odbiera się jej kartę i nie może już otrzymać pracy. W kartotece SIB mamy zdjęcia i dokładny opis każdej prostytutki i wszystkich dziewczyn pracujących w kabaretach. Ale nie sądzi pan chyba, że on może być jednym z naszych ludzi?

- Szpieg Rommla?

- Brygadier ma na jego punkcie obsesję. Gdy tylko wróci, zrobi panu na ten temat wykład.

Kelner przyniósł dania i zabrali się do jedzenia. Przy niezbyt odległym stoliku Ross zauważył dwóch oficerów, którzy pałaszowali obfity posiłek. Jednego z nich widział chyba w „Magnifico”, drugi miał na mundurowej kurtce khaki złote koła Królewskiej Marynarki. Czarny trójkąt na ramieniu był źle przyszyty. Litery NPP oznaczały Niezależne Patrole Pustynne, wyjaśnił Marker. Ross nigdy o takiej jednostce nie słyszał.

Porucznik Toby Wallingford był wysokim chudym mężczyzną o wyglądzie patrycjusza. Jego faliste włosy wypaliło pustynne słońce. Miał kościsty nos i małe usta; jeszcze nim się odezwał, było wiadomo, że jest Anglikiem.

Naprzeciw niego siedział Robin Darymple. Jego mundur khaki miał ciemniejszy odcień, dla znawców snobistycznych subtelności od razu było oczywiste, że Darymple służy w jednym z elitarnych pułków.

- Więc masz zupełnie wolną rękę? - spytał z nieukrywaną zazdrością Darymple. Byli już przy kawie. Lunch był świetny.

- O nie - zaprzeczył Wallingford. Doświadczenie nauczyło go, że oficerów, którzy przechwalają się swoją samodzielnością, przyjaciele zamęczają tysiącem próśb. - Muszę składać raporty w trzech biurach. Niezbyt to dogodne.

- Mówiłeś mi, że jesteś dowódcą.

- Ale tylko mojej małej jednostki. - Niezależny Patrol Pustynny to po prostu patrol. Ale ze względu na bezpieczeństwo każdy patrol ma osobną kwaterę i osobno otrzymuje rozkazy.

- Kiedy znów wyruszasz?

- Nigdy nam z góry nie mówią. Nie wolno ryzykować, że ktoś ostrzeże Hunów.

- To fajna sprawa, Wally. Dużo bym dał, żeby być na twoim miejscu - mówił do kolegi „Wally”, tak jak w szkole. Ale w szkole nie przyjaźnili się, byli raczej wrogami.

- Myślałem, że jesteś tutaj z powodu stanu zdrowia - powiedział Toby. I przez chwilę milczał. Patrzył na swoją paczkę papierosów i złotą zapalniczkę, które położył na stoliku. I z pewną niechęcią poczęstował Darymple papierosami. Darymple odmówił i Wallingford zapalił sam. Palił papierosy jednego za drugim, tylko w tym przejawiała się jego nerwowość.

- To prawda - odparł Darymple, rad z okazji. - Ale w przyszłym tygodniu mam wyznaczoną wizytę u łapiducha. Duża szansa, że jestem już zdolny do czynnej służby i wyślą mnie na pustynię.

- Fajnie - Wally machnął ręką i kelner przyniósł butelkę brandy. Nalał im po następnym kieliszku.

- Tak by się zdawało. Ale w tej chwili mają Rommla na karku i wszystkich oficerów posyłają do przejściowych obozów. Próbuje pociągać za różne sznurki i nic mi nie wychodzi.

Wallingford niezbyt zainteresowany pokiwał uprzejmie głową.

- Marna sprawa.

- Zamiast do mego pułku, odeślą mnie do jakiegoś nowego transportu, gdzie akurat brak oficerów. Gotów jestem się znaleźć wśród złopiących piwo starców z Ochotniczej Armii Rezerwowej albo wśród tych kangurów. - Z trudem udało mu się nie czknać, obaj objedli się i opili ponad miarę.

- Przesadzasz, jak zwykle, Robbie - Wally chichotał patrząc na rozterkę kolegi. No, da mu do wiwatu. Wybaczył mu już te ciągi z czasów szkolnych, ale o nich nie zapomniał, miał z nim dużo porachunków. Więc teraz zmusi go do tego, żeby się przed nim czołgał.

- Czy nic nie mógłbyś dla mnie zrobić? - spytał wreszcie Darymple.

- Na przykład co?

- Mógłbyś mnie wziąć do swojego oddziału. - W głosie Darymple'a zabrzmiała desperacja. - Już ci o tym mówiłem. I obiecałeś, że się zastanowisz.

- Do mojego oddziału? Jak to sobie wyobrażasz?

- Będę robił, co każesz, Wally.

Wallingford spojrział na niego wydymając z namysłem wargi.

- Mogę służyć w niższym stopniu - Darymple był już doprowadzony do rozpacz.

- Muszę jeszcze o tym pomyśleć - odparł Wallingford. - Chyba znajdę jakiś sposób.

Wiesz przecież, że możesz na mnie liczyć. - Rozejrzał się szukając wzrokiem kelnera.

- Wiem, Wally.

- Wszyscy kelnerzy gdzieś znikli. No, nieważne. Zapiszą to na mój rachunek.

- To był wspaniały lunch. Pozwól, że zapłacę połowę rachunku.

- Nie ma potrzeby. Wiem, że nie śmierdzisz groszem. Tak, w Klubie Cleo jada się bardzo smacznie. Często tu zachodzę między wypadami na pustynię. Dobrze mnie znają.

- To naprawdę klub? - spytał Darymple. Przyglądał się kobietom, prawie wszystkie były młode i przystojne. - Nigdy tu jeszcze nie byłem. Fajne babki. Niektóre szukają chyba przygód.

- Nie masz u nich szans, Robbie. Każda z nich oczekuje, że znajdzie pod poduszką złotą bransoletkę.

- Jak tu trafiłeś?

- Miałem dosyć przepychania się między tymi starymi pieprzonymi gryzipiórkami na tarasie u Shephearda - wyjaśnił. - Tu przychodzą faceci z frontu.

- Tak? Widzę sporo tych Egipcziuchów.

- Ale to fajni goście. W tym mieście wszystko ci potrafią załatwić. To się liczy.

- Kim oni są? - Darymple rozejrzał się. Towarzystwo było niewątpliwie mieszane. Wallingford twierdził, że przychodzą tu żołnierze frontowi, ale głównie widziało się żołnierzy z formacji pomocniczych. I wielu krajowców - zamożnie wyglądający Arabowie w kosztownych garniturach z olśniewającymi kobietami. Przy barze siedziały trzy śliczne dziewczyny w towarzystwie hałaśliwych Australijczyków. Przed nimi stały liczne butelki, tego popijali i wyklócali się o jakąś karcianą grę, której oddawali się poprzedniego wieczoru.

- Ten bar w ciągu miesiąca przynosi tyle forsy, Robbie, że można by za nią kupić „Shephearda” razem z „Groppim”.

- Skąd ludzie mają tu takie pieniądze? Z czarnego rynku?

- Ejże, stary, nie zadawaj głupich pytań. Jedno ci powiem. Znam generała, który przez wiele miesięcy domagał się od kwatermistrza krótkofalówki. Przyszedł tutaj i zaraz znalazł kogoś, kto tego samego popołudnia dostarczył mu dwanaście nowiutkich sztuk.

- Cywil?

- Tak. Egipcjanin.

- Skąd ten Egipcjanin je wytrzasnął?

- Znów te głupie pytania.

- Dobry Boże, Wally. Nie mów mi, że generał kupił je od faceta z czarnego rynku.

- Jak nie masz czegoś, co ci jest potrzebne do walki z Hunami, to nie wybrzydzasz.

Bierzesz, skąd się da.

- Ty też, Wally?

- Czasy się zmieniły, Robbie, i my także musimy się zmienić. Nie możemy czekać na tych przyków z Głównej Kwatery, którzy myślą, że to wojna burska.

- Ale skąd ten twój generał wziął forszę, żeby zapłacić za krótkofalówki.

- Ejże, Robbie, rusz mózgowicą. Czy rachunków nie da się zawsze tak zachachmęcić, żeby się wszystko zgadzało? Nawiasem mówiąc, jeśli cię weźmiemy, to właśnie po to...

- Chcesz ze mnie zrobić intendenta?

- Już dość długo pracujesz w Kairze z tymi gryzpiórkami. Na pewno stałeś się ekspertem. - Wstał, a wraz z nim wstał Darymple.

- Cóż, chyba tak - powiedział Darymple. Wcale nie czuł się ekspertem, jeśli miało mu to jednak dopomóc w spełnieniu marzeń, gotów był się do tego przyznać.

Poszedł za Wallingfordem do szatni. Szatniarz nawet nie patrząc na numerek podał Wallingfordowi czapkę.

- To dlatego jada się tu tak smacznie - oznajmił Wallingford. - Wszystko pochodzi z czarnego rynku. Prawdopodobnie zjedliśmy steki przeznaczone dla głównodowodzącego i jego sztabu. - Powiedział to z nie ukrywaną satysfakcją. Rzucił na tacę parę monet.

Stojący pod drzwiami na Szari Imad ad Dine portier zobaczył Wallingforda i dał znak jego szoferowi, by podjechał.

- Pozwól mi uczestniczyć w kosztach - powtórzył Darymple.

- Przecież mówiłeś, że jesteś splukany i szukasz, gdzie by tu pożyczyć forsy - odparł Wallingford.

- Cóż, to prawda... - Darymple'owi pochlebiło, że Wally zapamiętał długą rozpaczliwą historię, którą opowiedział mu podczas poprzedniego spotkania.

- Czyżby tamten facet zgłosił się i zwrócił ci dług?

- Niestety, nie.

- No cóż, stary. Mam kogoś, kto ci pożyczy forszę. Pięćset funciaków i wystarczy twój podpis. Okay?

- Cudownie.

- Zaprowadzę cię do mojego banku. Jego kierownik ma wobec mnie zobowiązania.

- Dziękuję ci, Wally.

Zobaczyli maszerującą kolumnę. Byli to niemieccy jeńcy wojenni. Prowadzili ich zmęczeni żołnierze brytyjscy i paru żandarmów w nienagannie czystych mundurach i tych swoich czerwonych czapkach. Konna policja egipska wstrzymała ruch. Kolumna maszerowała z dworca do Cytadeli, gdzie znajdował się przejściowy obóz jeniecki. Brytyjczycy lubili prowadzić jeńców ulicami, by krajowcy mogli na własne oczy przekonać się o brytyjskiej potędze. Jeńcy zachowywali się butnie, szli miarowym krokiem z wysoko podniesionymi głowami i patrzyli na Kair okiem zwycięzców.

Portier otworzył drzwiczki samochodu Wallingforda. Była to wojskowa wersja familijnego wozu, nie przypominająca limuzyn, którymi krążyli po mieście generałowie, ale każdy służbowy wóz był oznaką wysokiego statusu społecznego. A Wallingford miał w dodatku szofera.

- Jedziemy do Wujka Mahmuda - oznajmił Wallingford rozsiadając się wygodnie.

- Tak jest. Na Muski - odpowiedział szofer wymieniając nazwę wielkiego kairskiego bazaru.

- Będę tam tylko parę minut. Więc nie wybierz się w odwiedziny do którejś z tych twoich dziwek. - Szofer skinięciem głowy pokwitował zarcik. A Wallingford zwrócił się do Darymple'a. - Percy na każdej ulicy Kairu ma jakąś dupę. Do wyboru, do koloru, prawda, Percy?

- Jestem żonatym człowiekiem - odparł tamten, nie odrywając oczu od jezdni. Jego głos był gardłowy i chrapliwy.

- Wariat z ciebie - powiedział Wallingford. - Nie wiem, jak im dajesz radę. Wszystkie możliwe rasy. I niektóre są śliczne.

- Dokąd my właściwie jedziemy? - Darymple rozejrzał się. Myślał, że pojedą do prawdziwego banku. Do jednego z tych banków na głównych bulwarach; marmury, szyby, mahoniowe kontuary. A oczekujący ich Wuj Mahmud okaże się mężczyzną w dobrze skrojonym ciemnym garniturze.

Ale Toby Wallingford zabrał go na hałaśliwy, śmierdzący, zatłoczony bazar, który zajmuje dużą część średniowiecznej dzielnicy, zwanej Gamalijja. Zatrzymali się koło „Feshawiego”, starej kafejki liczącej sobie dziewięćset lat, do której uczęszczali Egipcjanie z klasy średniej i dyskutowali tam nad problemami tego świata. Wysiedli z wozu i zaczęli się przepychać przez tłum, sprzedawano tu słodko pachnące woreczki z przyprawami, złotnicy wykuwali broszki i bransoletki. W miejscu, gdzie na wąziutkim brudnym przejściu między straganami panował największy tłok, Wallingford pchnął drzwi prawie całkiem niewidoczne za starymi dywanami. W środku kramu dywany leżały na ziemi, zakrywały ściany i zwisały z

sufitu - wyglądały jak kolorowe fale oceanu. Młody, zwinny Arab jednym susem znalazł się tuż przy nich i zaczął rozwijać następne bele. Rozesłał im pod stopami piękny kobierzec.

- Idziemy na zaplecze pogadać z Mahmudem - oznajmił nie zatrzymując się Wallingford. Podeszli do niskich drzwiczek. Wallingford otworzył je i zobaczyli izdebkę pełną dymu. - Hej, Mahmudzie, ty stary łotrze, przyprowadziłem ci mojego kumpla.

Kiedy Wally odsunął zasłonę z paciorków, Darymple stanął jak wryty. Uważał, że zna Kair na wlot, ale nigdy dotąd nie widział takiego wnętrza. Błękitny wonny dym unosił się pod ciemny pułap. Na ścianach i podłodze pstrzyły się dywany, w ciasnym pomieszczeniu znajdowało się aż sześciu mężczyzn. Czterech miało na sobie ozdobne galabije. Siedzieli rozmawiając, kolejno brali do ust cybuch wodnej fajki osadzony na długim wężu, wąż przechodził przez zbiornik z zimną wodą, która studziła dym. Wokół krzątało się dwóch służących. Parzyli kawę i wkładali do fajki zwanej szisza małe złociste sześciany tytoniu, a na nie żarzący się kawałek węgla drzewnego.

Przesunięto stolik do tryktraka i z obu stron Mahmuda postawiono złożone krzeselka. Mahmud był krępy, jowialny mężczyzną w nowoczesnych ciemnych okularach, miał siwe wąsy, które na jego brunatnej twarzy wyglądały jak przylepiony plaster.

- Allah ma'ak - Allah z wami - powiedział.

- Allah yittawil omrak - Niech Allah obdarzy cię długim życiem - odpowiedział gładko Wallingford.

Starzec ukłonił się. Prawdziwie po arabsku obsypał ich wyszukаныmi komplementami, wymachiwał rękami.

Na stoliczku z mosiężnym blatem pojawiły się maleńkie filiżaneczki. Służący - ten, który prawie nieustannie parzył i podawał kawę, przyniósł wypolerowany miedziany rondel z długą rączką, była to kanaka. Trzymał go nad rozżarzonego węglem, póki kawa nie zaczęła bulgotać, powtórzył to dwukrotnie. Jeszcze pieniącą się kawę nalał do filiżaneczek. Pierwszą podał Wallingfordowi, co oznaczało, że uważa go za honorowego gościa. Przyniósł dwa porcelanowe talerzyki. Na każdym leżały cztery złocistobrunatne ciasteczka. Kunafa i bakława. Pokropił je wodą różaną.

Robin Darymple wiedział, co go czeka. Wiedział, że długo będą popijać kawę i upłynie wiele czasu, nim przystąpią do sedna sprawy. Nie cierpiał tych arabskich obyczajów. Nie lubił, by obserwowano go i osądzano, zwłaszcza w takim gronie. A w dodatku występuje w roli petenta. Spojrzał na Wallingforda, ale ten z ożywieniem rozmawiał ze swoim sąsiadem, chudym starcem, zwracając się do niego po imieniu: Tahseen. Było widać, że się dobrze znają. Nie zdziwiło to Darymple'a. Już w szkole Wallingford był outsiderem. Którejs

Wielkanocy przyjechali po niego rodzice, dość cudaczna para. Ojciec miał brodę, matka była obwieszona biżuterią. Rzucali się w oczy. Odtąd Darymple myślał często, że Wallingford nie jest w gruncie rzeczy Anglikiem, choć stara się za takiego uchodzić.

Podano mu cybuch szisza. Darymple miał ochotę odmówić, ale bał się, żeby nie poczytano tego za obrazę. Dym przechodził przez wodę, był chłodny i słodki jak miód. Trzeba było się głęboko zaciągnąć. Wymagało to wprawy, ale Darymple szybko się przekonał, że sprawia mu to przyjemność. Nawet dużą.

Mahmud mówił po angielsku powoli, ale płynnie. Opowiedział parę niezłych historyjek o tym, jak przegrywa na wyścigach. Wszyscy śmiali się, choć nie wszyscy znali angielski. Pewnie już wiele razy słyszeli te anegdoty.

Wallingford nie palił. Powiedział, że zabronił mu tego lekarz, ma kłopoty z gardłem. Zawadiacki Tahseen mówił znakomicie po angielsku. Kończył szkołę w Anglii, a teraz jego syn studiował w Lancing. I dowcipy Tahseena były bardziej w angielskim stylu.

Po godzinie Darymple zaczął się świetnie bawić. Sam lubił opowiadać, a kiedy wstał i zaśpiewał pieśń o starym wielbłądzie z Bengahazi, odniósł ogromny sukces.

- Pora na nas - szepnął Wallingford, ale Darymple zaczął się tu czuć jak u siebie w domu. Odkrył, że kiedy dym w fajce ociepla się, trzeba machnąć cybuchem na służącego, żeby przyniósł następną. Zrobił tak i znów spotkał się z aplauzem.

- Ruszamy - powtórzył Wallingford.

- O nie, jeszcze nie - zaprotestował Darymple. - Nie zaśpiewałem im jeszcze pieśni o workach piasku.

- Mam coś do załatwienia - tłumaczył Wallingford. - Jestem umówiony.

- Nie bądź taką drewnianą piłą - napomniął go Darymple. - Z niego był zawsze cholerny pedant - obwieścił zebrany. Spojrzeli na Darymple i pokiwali tylko głowami.

Wallingford uśmiechnął się pobłaźliwie i zwrócił się do Mahmuda:

- Masz dla niego te pięćset funtów?

- Mam. Musi tylko podpisać.

- Słuchaj, Robbie. Tę pożyczkę uzyskałem dla ciebie na tych samych warunkach, na jakich udzielają jej innym wojskowym. Przeczytaj umowę.

- Gdzie mam podpisać? - spytał Darymple. Wymachiwał druczkiem w powietrzu i wyglądał się tak, że wszyscy się roześmiali.

- Umowa spisana jest po arabsku i angielsku. Kasjer Mahmuda już podpisał. Podpisz, podaj swój adres i miejsce zatrudnienia.

- Miejsce zatrudnienia? - Darymple wybuchnął śmiechem i wyciągnął srebrne pióro. - Przecież jestem w wojsku, no nie? Co mam napisać: Kwatera Główna w Kairze? Czy po prostu Szare Filary? - Tak popularnie nazywano Główną Kwaterę Armii Bliskiego Wschodu.

- Banki wolą dokładny adres. Napisz Biurowiec Seifeddine, Miasto Ogrodów, Kair. Czy chcesz odebrać tę sumę w egipskich pieniądzech, czy w pięciofuntowych banknotach?

- Pięciofuntówki to jest właśnie to. - Darymple podpisał. Tahseen, który pracował jeszcze u ojca Mahmuda, przyjrzał się podpisowi i adresowi.

- Jedna kopia dla pana, dwie dla banku - powiedział, wręczając Darymple'owi jeden z druczków. Potem odliczył sto wielkich białych pięciofuntowych banknotów, a Darymple przyjął je radośnie.

- Teraz zaśpiewam wam pieśń o workach z piasku - oznajmił.

- Następnym razem, Robbie. Wiesz, jak się to mawia w showbusinessie: Wyjdź, póki widownia jeszcze się śmieje. Ja naprawdę się spieszę. Gdzie cię mam podrzucić, do tego twojego hoteliku?

- Podrzucić mnie do „Magnifico”, będzie bardzo magnifico - zanucił Darymple.

- Percy czeka na nas w wozie - zachęcał przyjaciela Wallingford.

- Percy to podły Hun - zawołał oskarżycielsko Darymple. Wallingford wziął go pod ramię i wyprowadził na zatłoczoną alejkę.

- Z Percy'ego jest równy gość. Wszyscy ci faceci z Południowej Afryki są świetnymi żołnierzami. Mam ich paru w oddziale.

- Ohydny Szwab. Mam nosa, zawsze wyniucham Huna - powtórzył Darymple nagle się zasępiając.

Otoczyli go przechodnie. Żebracy, mężczyźni sprzedający sznurowadła. Wpadło na niego dwoje dzieci z długimi kijami - poganiały stado kóz. Omal się nie przewrócił, podtrzymał go Wallingford.

- No, chodź, Robbie.

W miarę jak szli tym hałaśliwym bazarem, Darymple uspokajał się. Zrobiło się już ciemno i żarówki w sklepikach wyglądały jak żółte lampiony. Wreszcie nad głowami tłumu pojawił się zarys minaretu meczetu Al Azhar i Wallingford odetchnął z ulgą.

Percy zaparkował samochód przed głównym wejściem do tej najsztywniejszej uczelni świata muzułmańskiego. Wokół pełno było ręcznych wózków, wielbłądów i skrzyń z kurczakami. Percy trąbił i trąbił, wreszcie z najwyższym trudem udało mu się wyjechać na ulicę. Wallingford wepchnął Darymple'a na tylne siedzenie.

- Jedziemy do hotelu „Magnifico” - powiedział do szofera wsiadając do wozu.

Robin Darymple wpół leżał, wyglądało na to, że śpi.

- Co, pochorował się? - spytał Percy.

- Wiesz, jaki jest Mahmud. Napakowali do szysza haszyszu - powiedział Wallingford.

- Jest naćpany. Pewnie nigdy tego nie próbował.

Kierowca obejrzał się na Darymple'a, który leżał z zamkniętymi oczyma i otwartymi ustami.

- Powell i Mogg powinni lada chwila wrócić.

- Tak - powiedział Wallingford. - Spiesz się. Musimy wyładować El Darymple'a w „Magnifico” i szybko wracać. Czeka nas mnóstwo roboty. - Zauważył, że z kieszeni Darymple'a wystaje plik banknotów. Wepchnął je głębiej i zapiął kieszeń.

- Widziałeś tę kolumnę jeńców? - spytał niby to niedbałym tonem.

- Widziałem. Maszerowali równym krokiem - odparł natychmiast Percy, jakby tego pytania oczekiwał. Wallingford zaśmiał się. Percy lubił mieć ostatnie słowo.

Pustynny szlak był wąski. Kiedy słońce zaszło, kierowca włączył przyćmione światła, jedyne dozwolone podczas zaciemnienia. Pod warstwą kurzu na pomalowanej na żółto ciężarówce widać było rysunek zwiniętego węża. Taką samą odznakę nosił na epoletach Toby Wallingford: odznakę Niezależnego Patrolu Pustynnego.

W kabinie ciężarówki siedziało dwóch mężczyzn.

- Mój mały skończy w sobotę pięć lat - powiedział Samuel Powell. Był to chudy mężczyzna o zapadniętych policzkach i dużych, żałośnie patrzących oczach. Czapkę zatknął pod patkę na ramieniu. Rude włosy z boku i z tyłu były krótko przystrzyżone i na czubku głowy wyglądały jak źle zrobiony tupecik. Miał zawsze tak ponurą minę, że koledzy przezwali go Sandym Powellem na cześć znanego komika z BBC. Prowadząc ciężarówkę rozpierał się wygodnie w siedzeniu. Lubiał prowadzić tego AEC Matadora. Ciężarówka, kryta plandeką, przeznaczona była do transportu haubic. Miała poczwórne opony, zaopatrzona była w kołowrót, na pustyni dawała poczucie bezpieczeństwa, nie grzęzła w piasku.

Kabina też była kryta plandeką. Przedtem odsunęli ją, by mieć czym oddychać, ale podczas ostatniego przystanku w Przydrożnym Zajeździe, gdzie napili się herbaty, zasunęli ją najszczelniej, jak się dało.

Obok Powella siedział Thomas Mogg. Jego twarz i ramiona okryte były grubą warstwą brunatnego pustynnego piachu. Na szyi zawiązał sobie jedwabny szalik, spod niego zwisały na sznurku ochronne okulary. Otulony był w szary pled, który poprzedniej nocy służył mu za okrycie. Mogg był krzepkim londyńczykiem, lubił zjeść i wypić, mawiano o nim, że zjadł wszystkie rozumy. Miał ciemne włosy, nosił wąsy i wyglądał niezwykle

przystojnie, dopóki nie otworzył ust i nie widać było braku przedniego zęba. Mogg był w gimnazjum i ukończył je. Przechwalał się, że zdał na Uniwersytet Londyński, miał studiować geografię. Ale jeszcze w czasach pokoju wstąpił na ochotnika do wojska. Utrzymywał, że po to, by walczyć z Hitlerem. Naprawdę jednak znalazł się w wojsku, bo inaczej musiałby odsiedzieć wyrok za bójkę z policjantem przed pubem. Sędzia dał mu możliwość wyboru.

- Pięć lat? - powtórzył z namysłem Mogg. Wiedział, czego się od niego oczekuje. Wielokrotnie już oglądał fotografie rodzinne Powella. - Od jak dawna go nie widziałeś?

- Dwa lata i trzy miesiące - odpowiedział natychmiast Powell. Nie musiał się zastanawiać. Miał to dokładnie wyliczone.

- Jak sobie radzi twoja stara?

- W ostatnim liście, jaki otrzymałem, pisała, że mieszka u matki. Ale rozglądała się za jakimś własnym gniazdkiem.

- Ejże, uważaj.

- Dlaczego?

- Jak kobieta mieszka sama, to nie wiadomo, co jej może strzelić do głowy.

- Co ty właściwie chcesz powiedzieć? - Powell odznaczał się prawdziwie walijskim temperamentem.

- Nic, nic - odpowiedział spokojnie Mogg. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Nie miał się czego obawiać, zwłaszcza ze strony takiego pokurcza jak Powell. Nie chciał jednak go prowokować. - Ale jak ona da sobie sama radę z czynszem i rachunkami?

- Pisze, że kiedy po wojnie wszyscy wrócą, trudno będzie wynająć dom. A teraz nie ma z tym kłopotów.

- Hm, tak - zgodził się Mogg, niezbyt zainteresowany rodzinnymi problemami Powella. Zaczął się ruch, były to wyjeżdżające z Kairu pojazdy wojskowe. Wkrótce zapadnie ciemność i ukryje je przed samolotami Luftwaffe. Należało poruszać się nocą. Ogromne osiemnastotonowe platformy przewoziły na grzbiecie czołgi. Jechały konwoje piechoty - stare brudne ciężarówki wyładowane ludźmi odbyły już tę podróż nieskończoną ilość razy. Tuż za nimi jechał konwój medyczny - pół tuzina ambulansów, chyba prosto z magazynów i trzytonowy Bedford z salką operacyjną i przyczepą. Była tam także nowa lśniąca kantyna Church Army. Wszystkie transporty zmierzały na zachód, na front.

- To prawda, że my nie dostajemy poczty? - spytał Powell. Kiedy był poruszony, mówił z silnym akcentem walijskim. Zagryzł wargi zobaczywszy pędzący naprzeciwko motocykl. Jakiś cholerny idiota chce się widać popisać swoją zręcznością. Powell nacisnął na

hamulec. Na ramieniu motocyklisty zobaczył błękitno-białą opaskę. Ci kurierzy zawsze się tak zachowywali. Ze niby są tacy odważni. Kurier niemal otarł się o ich ciężarówkę i jeszcze przyspieszył. - Głupi buc - skwitował to dość flegmatycznie Powell.

- Przecież jak się do nas przyłączyłeś, wiedziałeś, że tak będzie - powiedział Mogg. Mogg nawet nie zauważył, że ten dumny motocyklista omal nie wpadł pod ciężarówkę. Mogg nigdy nie nauczył się prowadzić auta. I zachowywał się tak, jak ci wszyscy, którzy nie mają o tym pojęcia. Nic ich nie obchodzi, co dzieje się na szosie.

- Co oni z tym robią?

- Z listami? Cóż, te listy leżą sobie pewnie w biurach poczty wojskowej.

- Tak jak listy tych, co zaginęli? Możliwe.

- Cholerny ziąb! No, Kair już niedaleko. - Mogg podniósł kołnierz kurtki i szczelniej owinął się kocem. Próbował się zdrzemnąć, ale ciężarówka co chwila podskakiwała na nierównej drodze, a on nie był wystarczająco zmęczony.

- Uwaga, gestapo! - szepnął Powell i zwolnił widząc podniesioną rękę żandarma w czerwonej czapce. Miał nadzieję, że w ostatniej chwili pozwoli mu on przejechać, tak się jednak nie stało. Zatrzymał się, zaskrzeczały hamulce. Dwaj żandarmi ubrani byli w nienagannie wyprasowane mundury, białe sznury i pasy lśniły nieskazitelną bielą. Strój ów miał na celu przypominać wszystkim, że od tego miejsca żołnierze mają wyglądać jak żołnierze.

- „Mienie poniemieckie” - przeczytał żandarm. - Co to właściwie znaczy?

- Przecież podpisał to sam bonza z Intendentury - zauważył Mogg wyciągając szyję, żeby zajrzeć do dokumentów, zupełnie jakby je widział po raz pierwszy. - Wieziemy taki tam sprzęt niemiecki, któremu chcą się przyjrzyć nasi magicy. - Powell wysiadł z szoferki i stał na stopniu, udając, że sprawdza plandekę dachu. Bacznie obserwował drugiego żandarma, który poszedł na tył ciężarówki i usiłował zajrzeć do środka.

- Jaki sprzęt? - Mogg usłyszał, że drugi żandarm próbuje otworzyć tył ciężarówki. Może po prostu sprawdzał, czy dobrze zabezpieczyli transport.

- Mówiłem już, niemiecki. Peryskopy czołgów i artyleryjskie lunety.

- Czy jest tam broń? - spytał żandarm. Drugi zapisywał numer ciężarówki.

- Ee, chyba nie - powiedział Mogg. - Wszystko jest zamknięte w skrzyniach. Chce pan zajrzeć? Ale żeby otworzyć te skrzynie, trzeba mieć lewar. I muszę dostać papier, że otworzyła je policja. Z podpisem oficera.

Żandarm, nim oddał Moggowi dokumenty, chwilę mu się bacznie przyglądał.

- Jazda - powiedział. - Ale zdejm ten głupi szalik, zapnij guziki i zaraz idź się ostrzyć.
Tu nie pustynia.

Mogg z trudem opanował się, by nie wybuchnąć. Powell włączył motor.

- Śliczna para - rzekł Powell, kiedy już kawałek odjechali.

- Przekłete blaszane żołnierzyki - parsknął Mogg. - „Co tatuś robił podczas wojny?”
Znęcałem się nad prawdziwymi żołnierzami za to, że nie oczyścili butów i nie umyli uszu.
„Idź się ostrzyć!” Gówniarze!

- Za każdym razem, kiedy tędy jadę, droga wydaje mi się dłuższa - oznajmił Powell.
Patrzył w dal, próbując dojrzeć piramidy pod Kairem. Przy drodze było coraz więcej ręcznie
wymalowanych drogowskazów. Wskazywały pozycje składów amunicji, oddziałów
ćwiczebnych, szpitali polowych, kwater dowództwa poszczególnych batalionów. Powell nie
widział nazw znanych sobie jednostek. Z tego, co słyszał, połowa tych drogowskazów nie
mówiła prawdy. Wszędzie przecież pełno było szpiegów.

- „Co to właściwie znaczy?” - Mogg tak świetnie naśladował akcent żandarma, że
Powell aż podskoczył. - Głupi buc!

- Pogadam z szefem o poczcie - powiedział Powell. - Muszę wiedzieć, co dzieje się w
domu. I chciałbym posłać mojej starej trochę forsy.

- Wally da ci w kość, jak usłyszy, że nazywasz go szefem - powiedział Mogg i
zachichotał wyobrażając sobie reakcję komandora porucznika Wallingforda.

- Tak czy owak, pogadam z nim.

Mogg spojrział na niego i nic nie odpowiedział. Kiedy Sandy wbił sobie coś do tego
zakutego walijskiego łba, nie było siły, by go przekonać.

- Jestem głodny - Mogg próbował zmienić temat rozmowy. - Ciekawe, co nam dziś
dadzą.

- Nie cierpię tych tutejszych jajek - odparł Powell, który też się nad tym zastanawiał. -
Nie wierzę, że są to kurze jajka.

- Bo nie są. To jajka myszołowów. Kurze jajka są tu małe jak groszek.

- Ejże! Mówisz poważnie? - Powell oderwał oczy od drogi i zajął Moggowi w twarz.

- A jakże. Stary Ali Baba co rano wyrusza ze strzelbą na myszołowy. Nie widziałeś?

- Wariat! - Powell roześmiał się z ulgą. - Omal ci nie uwierzyłem.

- Jezu! Spójrz na te cholerne piramidy. Wyglądają jak duchy. Znaleźli się w miejscu,
gdzie kończy się pustynia i zaczyna dolina Nilu.

Słynnym od przeszło czterech tysięcy lat - to tutaj wznosiły się piramidy i Sfinks. W
pełnym pyłu świetle zmierzchu piramidy mieniły się fioletowo i złociście.

- W naszych magazynach pracował sierżant, który uważał, że pochodzą one z innej planety.

- Piramidy? Zawracanie głowy. Wiesz przecież, Moggy, że to grobowce faraonów.

- Ten facet utrzymywał, że to ogromne stożki kamienia, głęboko wryte w ziemię. Że jakby zaczęło się kopać, to okazałoby się, że piramidy są tylko sterczącym z piasku wierzchołkiem.

Powell spojrział i usiłował to sobie wyobrazić.

- Niech to diabli!

- I coś ci jeszcze powiem, Sandy. Już za czasów Jezusa Chrystusa ludzie schodzili się aby je oglądać, bo takie były stare, liczyły już sobie wtedy dwa i pół tysiąca lat.

- Skąd ty to wiesz? - spytał Powell. Mogg zachęcony uznaniem popisywał się dalej.

- A ten Sfinks - on ma głowę kobiety, łapy lwa i skrzydła ptaka. Zadaje zagadki i odgryza głowę tym, którzy nie potrafią odpowiedzieć.

- Zupełnie jak moja stara - powiedział Powell i zaśmiał się na znak, że nie mówi tego poważnie.

Niebo wyglądało jak rana. Krwistoczerwone słońce sączyło ostatnie promienie przez poszarpane chmury. Wkrótce zrobiło się zupełnie ciemno. Migotały tylko białe i czerwone światełka pojazdów. Trudno było w tych warunkach prowadzić wóz. Pojawili się piesi i wielbłądy, a także zaprzężone w konie wozy. Im bliżej byli przedmieść Kairu, tym większe mieli kłopoty. Powell często w ostatnim momencie musiał skręcać i kłać.

Mogg oświadczył nagle:

- Sandy, przecież wiesz, że nie dostaniesz żadnych listów. Wiedziałaś od początku. Jeśli zaczniesz się awanturować, Wally oberźnie ci jaja. Wierz mi. Wally lubi się nasładzać, ale jak przyjdzie co do czego, daje szkołę. W zeszłym tygodniu widziałem, jak powalił na ziemię Percy'ego, gdy ten mu coś odszczeknął. Jednym ciosem. - W głosie Mogga zabrzmiał podziw. - Percy dostał w szczękę - bum! I już leżał na ziemi. Szkoda, że tego nie widziałaś.

- Percy to Hun - ponuro oświadczył Powell. Nie cierpiał Percy'ego.

- Bo co? Bo mówi językami? Ten drań ma zimną krew. Widziałem, jak doczołgał się do Hunów po jakąś tajną zdobycz, którą sobie upatrzył Wally. Jakby Wally miał wybierać między tobą a Percym, to zawsze wybierze Percy'ego. Nie łudź się.

- Nienawidzę tych przeklętych Hunów. To oni zaczęli.

- Ale w naszej ferajnie wszyscy są sobie równi. Nie zapominaj o tym.

- Z wyjątkiem Wally'ego.

- No oczywiście. Z wyjątkiem Wally'ego. Jak sam powiedziałaś, Wally jest szefem.

Jechali dłuższy czas w milczeniu. Byli obaj zmordowani.

- Stożek ma trzy powierzchnie - powiedział nagle Sandy.

- Co?

- Stożek ma trzy powierzchnie, ty naiwniaku!

- O co ci chodzi, Sandy?

- A piramidy mają cztery.

- No i co z tego?

- Mówię o tym twoim facecie z magazynów. Że niby piramidy pochodzą z innej planety. Bzdura.

Mogg roześmiał się.

- Ty wszystko bierzesz tak dosłownie, Sandy. W tym cały kłopot. Brak ci fantazji.

Kiedy dojechali do Dokki, odetchnęli. Nareszcie byli w Kairze, czyli w tymczasowym domu. Na Moście Angielskim stał gliniarz i kierował ruchem. Zatrzymał jadące w przeciwnym kierunku pojazdy i przepuścił ich.

- Przyjechaliśmy o umówionej godzinie - powiedział z ulgą Powell. - Jedź wolno. Wypatruj sygnału Wally'ego.

- Oto on.

Wallingford stał przy końcu mostu na nabrzeżu wyspy Gezira. Wymachiwał małą latarką. Nawet w ciemnościach widać było jego wykrochmaloną białą koszulę.

- Dobry wieczór, sir - powiedział Powell. Wallingford wskoczył na stopień i zajrzał do kabiny.

- Macie wszystko?

- Tak, gładko poszło, sir.

- Karabiny maszynowe?

- Zapłaciliśmy mu gorzałą i cieszył się jak dziecko.

- Żadnych kłopotów po drodze?

- Daliśmy temu pańskiemu oswojonemu sierżantowi forszę i przystawił stemple. Było parę kontrolnych punktów, ale nie kwestionowali dokumentów.

- Macie rewolwery?

- A jakże - odparł Mogg, a Powell skinął głową.

- No to naładujcie je i przypnijcie do pasa. Ja nie mam broni. Nie przewiduję kłopotów, ale nic nigdy nie wiadomo.

- Dobra.

- I uważajcie na tego Egipciucha, który jest jego służącym. Coś mi tu nie gra, jest zbyt unізony. - Dwaj żołnierze milczeli. Wallingford często zachowywał się nerwowo, kiedy należało załatwić jakiś podejrzany interes. Czekali. Wallingford uśmiechnął się i powiedział:

- Okay. Ruszaj, Sandy. Wiesz, gdzie są te mieszkalne barki. Ziemia jest dobrze ubita, przejedziesz bez trudu. Pójdę przodem. Zaparkuj ciężarówkę pod drzewami, koło boi. Potem przeniescie na barkę te trzy karabiny maszynowe. Macie lewarek albo bagnet, żeby otworzyć skrzynie?

- Ano - odpowiedział Powell.

- Mówi się: tak jest, sir - poprawił go Wallingford. - Musimy temu staremu głądziarzowi pokazać wyższą szkołę jazdy. Jeśli kupi karabiny Italiańców, to każdy z was zarobi parę groszy ekstra.

- Tak jest, sir. Dziękuję, sir - odpowiedzieli dwaj żołnierze.

- Kim jest ten buc, który go tak niepokoi? - zapytał Mogg Powella, gdy Wallingford wysiadł z ciężarówki.

- Kolekcjoner broni - odparł Powell. - Wally powiada, że to muzealnik. Mogg roześmiał się pogardliwie.

- Ach ten Wally! Czego też on nie wymyśli? Facet z muzeum na barce? To już szczyt!
- Znow się roześmiał.

- A co jest w tej drugiej skrzyni? - spytał Salomon. Westchnął z zadowoleniem i usiadł na sofie. Lubił się targować i nigdy nie spieszył się z ubiciem interesu. Porucznik Wallingford z baretką orderu nad kieszonką siedział wygodnie w fotelu i chętnie wdał się w rozmowę.

Salonik „Złotego Miasta” był bardzo starannie umeblowany, acz panowała tu mieszanina stylów. Wallingford uznał, że właśnie tak urządziłaby swój wiejski domek jakaś chórzystka. Zasunięto kotary, spod ciężkich abażurów padało złociste światło. Wallingford przyglądał się Salomonowi z taką akurat dozą zainteresowania, jakie w poczekalni dentysty okazuje się innemu pacjentowi. Dwóch pacjentów w poczekalni łączy najczęściej tylko oczekiwanie bólu, do którego jest im nieśpieszno. Wyglądało na to, że ci dwaj mężczyźni też się nie spieszą, by dojść do sedna sprawy.

- W tamtej skrzyni? - powtórzył Wallingford patrząc na nią tak, jakby ją widział po raz pierwszy. - Och, nie wiem, po co oni ją tu przynieśli. Nic, co by mogło pana zainteresować. To moja skrzynia.

Salomon przyjrzał mu się. Ten bladolicy Anglik z długimi włosami wygląda zupełnie jak dziewczyna. Boże, jak on nienawidzi Anglików. Czy to pozorne lekceważenie trzeciej skrzyni to trik, żeby ją drożej sprzedać? Postanowił nie zwracać na nią uwagi.

- Nie mówiliśmy jeszcze o liczbie - powiedział. - Ile jest takich sztuk?

- Pełen skład. Zagarnęliśmy to wszystko w zeszłym roku podczas naszej ofensywy. Niemcy nie zabrali tej włoskiej broni. - Wallingford nagle przerwał i wypił łyk whisky. Omal nie dodał, że Niemcy nie zaprzęтали sobie głowy tą włoską bronią, bo nie pasowała do niej niemiecka amunicja.

- Możemy dostarczyć całe setki.

- Okay - powiedział Salomon. - No, to wróćmy do Beretty Modello 37. - Na podłodze saloniku stały dwa karabiny maszynowe. Wydawały się ogromne. - Żaden z tych karabinów nie jest nowy - oznajmił Salomon gładząc lufę Modello 37, który stał na masywnym trójnogu.

- Prosto z fabryki - powtórzył Wallingford. Już raz to mówił. - Każdy karabin został przed zapakowaniem i wysłaniem przetestowany przez wojsko. Mam pełną dokumentację z numerami. - Wallingford znów napił się whisky. - To wspaniały karabin. Włosi zamontowują go w czołgach i samolotach. I szybki.

- Tak, lepszy od tamtego śmiecia. - Salomon wskazał na drugi karabin.

- Breda Modello 30.

- To zależy od okoliczności - powiedział spokojnie Wallingford. - Modello 30 waży o połowę mniej i strzela pięćset razy na minutę.

- Ale ma o połowę mniejszy zasięg i mały kaliber - powiedział Salomon. Wziął go jednak do ręki i obejrzał. - Kaliber sześć i pół milimetra.

- Ale strzelec może za nim leżeć. I nie jest zbyt ciężki - w Abisynii Włosi trzymali go w rękach.

- I w teźże Abisynii piach dostawał się do oleju i po paru dniach karabin wysiadał. Były także kłopoty z wibracją.

Wallingford uśmiechnął się, a Salomon oznajmił:

- Pokażę panu kopię raportu wysłanego do Rzymu w 1936 roku. Zna pan włoski?

Strasznie zasadniczy facet, pomyślał Wallingford. Ani Europejczycy, ani Arabowie nie są tacy. Ci palestyńscy Żydzi są ludźmi potwornie serio.

- Nie trzeba - powiedział Wallingford. - Mam już potąd tych wszystkich dokumentów.

- Podniósł rękę do wysokości czoła. - Lepiej niech mi pan da jeszcze łyczek tej gorzałki. To miejscowa?

Salomon mimo woli uśmiechnął się widząc tupet Wallingforda.

- To najlepsza whisky w mieście i pan o tym świetnie wie. - Wyjął z kredensiku butelkę i postawił na stolyczku, koło którego siedział Wallingford. Potem usiadł, ale tym

razem na brzeżku sofa, bliżej swego gościa. Zdradziło to jego nerwowość, Wallingford ucieszył się.

Salomon chciał okazać zimną krew. Nie, nie poprosi o otworenie trzeciej skrzyni. To najstarszy trik na świecie: przynosi się ze sobą coś, czego ponoć nie chce się sprzedać. Ale jednocześnie czuł, że Wallingford potrafi blefować jeszcze lepiej niż on.

- Żaden z tych karabinów nie nadaje się - powiedział po dłuższej chwili.

Wallingford wzruszył ramionami.

- Nie wiem przecież, do czego ich pan potrzebuje. - Nalał sobie solidną porcję whisky.

- Nie ma pan lodu?

Salomon krzyknął:

- Jusuf! Przynies łód. I zimne piwo.

Służący przyniósł wiaderko z lodem i kufel piwa. Nie zdradził wyrazem twarzy, ale zdziwił się, że Salomon chce się napić. Rzadko pijał alkohol, a już nigdy nie tykał go w trakcie rozmów o interesach.

- No, dobrze. To teraz obejrzymy ten trzeci model - powiedział Salomon.

- To nie jest...

- Proszę mi go zaraz pokazać.

Wallingford podniósł się niechętnie, przeszedł przez pokój i nachylił się nad trzecią skrzynią. Trudno było nie zachwycić się patrząc, jak pięknie Włosi pakują broń. Podniósł wieko i z trocin wyciągnął dużo mniejszy karabin maszynowy z drewnianą, wspaniale wypolerowaną kolbą.

- Beretta kalibru 0,38 cala - wykrzyknął Salomon. - Wiedziałem. - Nie mógł oderwać od niego oczu. Wyciągnął obie ręce.

Wallingford nie od razu mu ten karabin podał. Najpierw sam się temu karabinowi przyjrzał. Mogg i Powell ściśle wypełnili jego polecenia. Nakazał im, żeby karabin był czysty i sprawiał wrażenie nowszego. Lśnił jak klejnot. Piękna broń.

- No, niech go pan sobie obejrzy.

Beretta różniła się bardzo od tamtych karabinów maszynowych, z których należało strzelać siedząc lub leżąc. Z Beretty można było strzelać także idąc. Salomon uwielbiał piękną broń, wziął karabin do rąk tak, jak matka bierze niemowlę. Nie próbował ukryć swej namiętności.

- Narysował go Tullio Marengoni - powiedział Salomon. Wallingford potwierdził skinieniem głowy, choć słyszał to nazwisko pierwszy raz w życiu.

- Ręczna robota. Piękna. Piękna.

- Kaliber dziewięć milimetrów. Mogę je dostarczyć tam, gdzie pan sobie zażyczy.
- Nawet do Palestyny?
- Powiedziałem już, że tam, gdzie pan zechce.
- Chodziłoby o pięćset sztuk.
- Świetnie. Może być nawet więcej. Salomon uśmiechnął się.
- Hallet el baraka. Hallet el baraka. Błogosławione słowa twoje. Wallingford był na tyle oblatany, że potrafił natychmiast to skwitować.
- Mabruk alajk. Niech Allah błogosławi tobie.

9

- Bardzo ich lubię - powiedziała Alice Stanhope. - To najmiłsi mieszkańcy „Magnifico”. Mam nadzieję, że szybko się pojawią. - Spojrzała na zegarek, a potem na mężczyznę, którego znała jako Berta Cutlera. Uśmiechnęła się do niego. Był to cudowny uśmiech, nieśmiały uśmiech, który zakochana kobieta rezerwuje dla swojego wybrańca. Czyżby to było możliwe, że zakochała się w kimś, kogo ledwie poznała? Odpowiedź brzmiała: tak.

Nalewał właśnie przez sitko herbatę i nie zauważył tego uśmiechu. Ross wciąż miał na sobie mundur kaprała. Było ciepło, mógł więc chodzić bez kurtki, w samej koszuli khaki, na której przyszyte były szewrony kaprała. Siedzieli w wewnętrznym ogródku „Ogrodów Aszrafa”, herbaciarni przy Szari Ibrahima Paszy, naprzeciwko wejścia do Ogrodów Asbekijja. Jak zwykle o tej porze dnia panował tu tłok. Ze względu na upał wszystkie brytyjskie biura wojskowe były po południu zamknięte. Pracownicy ucinali sobie drzemkę do podwieczorku, a potem pili angielską gorącą herbatę z mlekiem i zajadali ciastka. Najmiłszymi mieszkańcami „Magnifico”, na których czekała Alice Stanhope, byli młodzi Egipcjanie: Said i Zeinab al-Szazli.

- Łatwo im być miłymi - powiedział ironicznie Ross. - Są bogaci, młodzi i piękni.
- Nie zapominam, że jesteś moim zwierzchnikiem - powiedziała nieśmiało Alice. - Ale nie bardzo rozumiesz jeszcze Egipt... nie wiesz o wielu rzeczach...
- To mnie poucz. - Nim podał jej filiżankę z herbatą, dolał mleka. Nie spytał, czy sobie tego życzy, to by nie było w jego stylu. Wolałaby herbatę z cytryną, jednakże nie zaprotestowała.

- Ci Szazli nie są typowi. Znajdują się jakby w pół drogi, między rzeszami ubogich fellachów, którzy harują na polach i przymierają głodem, a bogaczami, którzy mają sto albo więcej feddanów urodzajnej ziemi.

- Feddanów?

- Feddan to trochę mniej niż pół hektara. Egipcjanin, który posiada sto feddanów, ma limuzyny, tuzin służących i spędza wakacje na Riwierze. Jego dziećmi zajmują się angielskie niańki i francuskie guwernantki, zatem dzieci mówią płynnie i po angielsku, i po francusku. Ale Szazli nie pochodzą z takiej rodziny. On był oficerem w armii, a to się towarzysko nie liczy. Ich ojciec był prawdopodobnie drobnym kupcem, który z trudem dochrapał się jakiej takiej zamożności. To, że mówią dobrze po angielsku i po francusku, świadczy o tym, że bardzo się nad tym napracowali, nie nauczyły ich tego guwernantki. I nigdy nie zostaną zaproszeni do domu bogatych Egipcjan. Nigdy.

- Rozumiem - powiedział. Gdybyż tylko mógł ją zabrać ze sobą! Nie dorównywała jej żadna spotkana dotąd przez niego kobieta. Była piękna, a przy tym nieśmiała. Była powściągliwa w słowach, a tak wiele miała do powiedzenia. Co za potworny pech, że spotkał ją właśnie teraz!

- Nie mają łatwego życia - powiedziała Alice. - Wojna odizolowała ich...

- Odizolowała? Od kogo?

- Przed wojną tacy Egipcjanie trzymali się Brytyjczyków. Teraz widzą, że nie wszystko, co jest korzystne dla Wielkiej Brytanii, jest także korzystne dla Egiptu. Bogaci Egipcjanie niczym się nie przejmują, mogą w każdej chwili zamieszkać za granicą. Ale tacy ludzie jak owi Szazli czują się zagubieni.

- Dlaczego?

- Bo nie rozumieją tej wojny. Z jednej strony irytują ich wojenne slogany i roszczenia Brytyjczyków, a z drugiej razą wrzaski i napaśzone frazesy egipskich nacjonalistów.

- Często się z nimi widzisz?

- Chętnie z nimi rozmawiam. Staram się wprawiać w arabskim, mają dla mnie dużo cierpliwości.

- Brawo, Alice. To, co twoja intuicja podpowiada ci na temat Szazlich, zgadza się z tym, co Marker znalazł w aktach. Ich ojciec jest znanym anty brytyjskim agitatorom.

- W to mi trudno uwierzyć. Są tacy mili i uprzejmi.

- Może rzeczywiście agitator nie jest właściwym słowem. Wciąż jednak napada na Brytyjczyków i rozpisuje się o tym w gazetach, że należy się ich pozbyć.

Alice uśmiechnęła się.

- Ależ, Bert, oni wszyscy to robią. Gdybym była Egipcjanką, też bym pewnie tak pisała.

- W to wierzę - powiedział z przekonaniem. Zorientował się już w jej poglądach. Wierzyła w brytyjską monarchię. Ale dla króla Faruka żywiła tylko pogardę. I obdarzała Egipcjan sympatią. Łatwo mu przyszło wyobrazić ją sobie jako egipską nacjonalistkę.

- Czy oni są praktykującymi muzułmanami?

- Cóż, na pewno nie są chrześcijanami. Ale sądzę, że tak jak wszyscy młodzi, wykształceni Egipcjanie, poszli w tych sprawach na kompromis.

- To znaczy?

- Wyobrażam sobie, że modlą się rano i wieczorem. A ona nosi chustkę na głowie. On zaś chodzi pewnie w piątek do meczetu i w kantynie nie tyka kielbasy. - Znów się uśmiechnęła. Wszyscy cudzoziemcy uważali, że zjedzenie egipskiej kielbasy grozi śmiercią.

- Alice, co to za cynizm!

- Wcale nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. - Autentycznie zmartwiła się. - Zupełnie nie wiem, jakbym ja poradziła sobie z taką sytuacją. Jak tu być jednocześnie wykształconym Egipcjaninem i pobożnym muzułmaninem?

- Szazli gra co tydzień w brydża z tym naszym księciem, prawda? Czy jest dobrym brydżystą? Grają na pieniądze?

- Średnim. Ale nie trzeba być dobrym brydżystą, żeby wygrać z księciem Piotrem. Grają bardzo tanio, pięć piastrow punkt.

- Pięć piastrow zarabia dziennie miejscowy robotnik pracujący dla armii.

Alice nie przejęła się tą reprimendą.

- Sądzisz, że książę nie jest prawdziwym księciem? Czy też, że udaje Rosjanina? Przecież przed rewolucją było w Rosji dwa miliony arystokratów. Wygląda na prawdziwego księcia i bywa w najlepszych towarzystwach. Wypytałam o niego mamę. Mama powiada, że on pochodzi ze świetnej, spokrewnionej z carem rodziny i mieszka tu już od wieków.

- Tak mówi twoja matka? Mam nadzieję, że...

- Uspokój się, Bert. Nic mamie nie powiedziałam.

Spojrzał na nią. Chętnie poznałby jej matkę. Uchodziła za typową przedstawicielkę brytyjskiej społeczności w Egipcie. Królowała w swoich salonach w Aleksandrii, otoczona bezcennymi antykami i orientalnymi dziełami sztuki, które w dawnych czasach łatwo było zdobyć wysokim urzędnikom, takim jak jej mąż. Przyjmowała przyjaciół, plotkowała, nie gardziła intrygami i nieproszona udzielała dobrych rad. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Alice mogła się kiedyś do niej upodobnić.

- Czy oni naprawdę są rodzeństwem? Roześmiała się.

- Bert, jesteś strasznie podejrzliwy. - Zastanawiała się, czy ten mężczyzna zauważy wreszcie, że jest w nim rozpaczliwie zakochana. Zauważał to każdy, kto w ciągu ostatnich paru dni widywał ją w jego towarzystwie. Choć Alice bardzo się starała, nie potrafiła tego przed nikim ukryć. Z wyjątkiem jednego Berta. Nie reagował na jej obecność i nie wyglądało na to, że brakuje mu jej, gdy jest nieobecna. Czy ton jej głosu nie zdradza aby tego sekretu? Matka znów zaczęła ją błagać, by wróciła do Aleksandrii, czyżby ona też coś dostrzegła? - Tak, są rodzeństwem. Czy to po to, by się o tym przekonać, chcesz im się z bliska przyjrzeć?

- On mnie zaintrygował... oboje mnie interesują... Na tym amerykańskim uniwersytecie studiuje wielu dość dziwnych studentów.

- Na każdym uniwersytecie. Na tym polegają uniwersytety. Jimmy wypił parę łyków herbaty.

- Wspominałaś, zdaje się, że kapitan Darymple pracuje w Szarych Filarach?

- Już nie. Opowiada wszystkim, że wstąpił do jednej z tych jednostek pustynnych, wiesz, spod znaku płaszcza i szpady. Wkrótce wyruszy na front.

- Sądziłem, że nie nadaje się do służby czynnej.

Spojrzała na niego, zastanawiając się, czy i on nie wolałby pójść na front niż urzędować w Kairze.

- Podczas zeszłorocznej kampanii Darymple wraz z dwoma kolegami napili się wody z zatrutej studni. Jeden z nich omal nie umarł. Darymple dostał chronicznej dyzenterii. Ale już się podleczył i ma nadzieję, że lekarz uzna go za zdolnego do służby czynnej.

- Marna widać była ta niemiecka trucizna.

- Co za okropieństwa wygadujesz, Bert. - Nie mogła jednak powstrzymać uśmiechu. - Prawdziwej trucizny zabrania Konwencja Genewska.

- Cóż, Darymple'owi udało się przeżyć. Brawo dla Darymple'a. - Patrzył na nią i usiłował z jej twarzy wyczytać, co ona naprawdę myśli. Skomplikowana kobieta. - Cii... Co to? - przez panujący tu gwar przebił się krzyk tłumu, wielkiego tłumu. To nie była manifestacja studencka. Przypominało to brzmienie nadciągającego parowozu.

- Te manifestacje są coraz lepiej zorganizowane - orzekła Alice. - Czy słyszysz, co oni krzyczą?

- Pewnie to samo, co wczoraj - Heil, Rommel! Precz z Brytyjczykami!

- Wygląda na to, że nadchodzą ulicą Ibrahima Paszy - powiedziała nasłuchując. Siedzący w ogródku goście - głównie Brytyjczycy - umilkli.

Ross wybrał stolik przy samych drzwiach kawiarni. Było tu chłodno i ciemno, mieli świetny widok na ogród, parasole rzucały okrągły cień, a sylwetki pijących herbatę ostro odcinały się od zielonego tła. - To musi być potężny tłum.

Skandowane okrzyki brzmiały głośniejsze i bardziej stanowczo niż zwykle podczas tego rodzaju demonstracji. Na początku 1941 roku takie demonstracje miały na ogół łagodny przebieg, ale to zmieniło się, gdy do Afryki przybył ze swoimi pancernymi wojskami Rommel i zaczął odnosić jedno zwycięstwo po drugim. Skoczyły ceny bawełny, wielu plantatorów zaczęło sadzić bawełnę, w związku z czym stale drożał chleb. Był to dodatkowy powód do niezadowolenia. Rząd króla Faruka był otwarcie proniemiecki, a ostatnio coraz częściej zaczął demonstrować lud.

Gniewna cizba była już blisko. Brytyjczycy chemie przesiadywali u Aszrafa i tłum o tym wiedział. Od ulicy odgradzał ogródek mur, ale manifestanci krzyczeli co siłą, by upewnić się, że ich słychać.

- Nic ci się nie stanie, Alice - obiecał cichutko Ross. - Nie denerwuj się. Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Dokładnie w tym momencie przy wejściu do herbaciarni zaczęły się zamieszki. Nastąpiła wymiana wyzwisk, potem demonstranci odepchnęli portiera. Po krótkiej walce z portierem i kelnerami dwóch najbardziej zapalczywych mężczyzn znalazło się na środku ogrodu przy niewielkiej ozdobnej studni i wdrapało się na nią. Jeden z kelnerów leżał pod murem trzymając się kurczowo za brzuch. W drzwiach pojawiło się dwóch chudych chłopców, weszli do środka i zaczęli się rozglądać. Byli ubrani w podarte trykotowe koszulki i wymięte spodnie khaki, stali spoceni z szeroko otwartymi oczyma, zdziwieni, że tak łatwo udało im się wtargnąć do tego brytyjskiego sanktuarium. Przez chwilę tylko patrzyli, potem zaczęli wykrzykiwać swoje hasła. Krzyczeli po arabsku. Niewielu Brytyjczyków rozumiało, ale słowa *Bi-s-sama Allah, fi al-ard Hitler* sprawiły, że niektórzy zaczęli się trząść. Ten dwuwiersz - „w niebie Allah, na ziemi Hitler”, stał się okrzykiem wojennym nacjonalistów. Intruzi nie czekali na to, by ich wyrzucono. Rozrzućli ulotki i triumfalnie pokrzykując wybiegli na ulicę. Powitała ich tam radosna wrzawa. Pewnie wbiegliby następni, ale w tym momencie rozpoczęła się szarża policji konnej. Rozległ się pomruk strachu i potem przenikliwe krzyki uciekających. Zastukały kopyta koni. Z dala wciąż dobiegały skandowane hasła, tłum zmierzał w stronę pałacu.

Nikt się nie odzywał. Brytyjczykom odebrało mowę. Było coś przerażającego w tempie zajść. W gruncie rzeczy przychodzono tu na herbatę, by przez parę minut zapomnieć o

otoczeniu, o tych milionach brudnych, chorych Egipcjan. Teraz pijący herbatę poczuli się zagrożeni, gorzej - poczuli, że wszystko może się zdarzyć.

Na szczęście egipscy kelnerzy świetnie wiedzieli, jak się zachować. Jeden z nich szybko pozbierał antybrytyjskie ulotki, a inni przynieśli z kuchni dzbany świeżo zaparzonej herbaty. Uśmiechali się, starali się każdemu dogodzić i wkrótce udało im się przywrócić normalną atmosferę. Alice spojrzała na Rossa i uśmiechnęła się. On jednak nie odpowiedział jej uśmiechem.

- Co to? Para konspiratorów? Siedzicie w takim ukryciu... Co za niespodzianka - usłyszeli z tyłu kobiecy głos. - Co knujecie?

Spojrzeli. Była to Peggy West. Zastanawiali się, czy słyszała ich rozmowę.

- Hallo, Peggy - powitała ją Alice. Jimmy Ross wstał. Peggy wyglądała na wstrząśniętą. Jej słomkowy kapelusz był pogięty, twarz zarumieniona.

- Nie chcę wam przeszkadzać w tym tete-a-tete - powiedziała. Ale postawiła torbę z zakupami i nie ruszała się. Ross zaprosił ją do stolika.

Peggy usiadła i wzięła do ręki jadłospis. Nie zjrzała jednak do niego.

- Tysiące ludzi nadciągają ulicą Ibrahima Paszy - oświadczyła. - Pewnie na placu Abdina odbędzie się następna manifestacja. - Peggy przychodziła tu często i znała jadłospis na pamięć. - Tramwaj nr 17 przestanie chodzić, a tylko tym tramwajem można dojechać na Gezirę i do Miasta Ogrodów. - Uśmiechnęła się, bo wiadomo było, że Brytyjczycy jeżdżą tylko w tym kierunku. I zawsze najpierw zatrzymywano tramwaje właśnie na tej trasie, pewnie po to, by im dokuczyć.

- Nic pani nie jest, Peggy? - spytała Alice widząc jej wzburzenie. Peggy w szpitalu była autorytetem i Alice nauczyła się traktować ją jako swoją mentorkę, jako namiastkę starszej siostry, której nigdy nie miała. Teraz zobaczyła ją z innej, nie znanej sobie strony. Któż by przypuszczał, że Peggy aż tak się przejmie uliczną manifestacją.

- Bolą mnie nogi i jestem zmęczona - odparła z uśmiechem Peggy. Przed chwilą znalazła się w samym środku nastawionego anty brytyjsko tłumu. Robiła dobrą minę do złej gry, ale była poruszona. Po raz pierwszy w Kairze poczuła strach. Ktoś na nią splunął - nigdy nie zapomni tej twarzy - pomarszczonej, spalonej słońcem, pełnej nienawiści. Pewnie została poturbowana, ocalił ją konny policjant kairski, który zobaczywszy ją, galopem wjechał w tłum, wymachując pałą. Odczuwała potrzebę życzliwego towarzystwa własnych ziomek. Chciała, żeby ktoś podtrzymał ją na duchu. Miała ochotę na filiżankę herbaty. Ale nie powiedziała tego głośno. Zmusiła się do uśmiechu. - Nie mogłam już zrobić kroku. A jestem za stara, żeby próbować się wepchnąć do zatłoczonego tramwaju...

- Może zje pani lody - zaproponowała Alice, żeby Peggy poczuła się miłym gościem. -
Te kawowe są pyszne.

Peggy pokręciła przecząco głową.

- Nie, poproszę tylko o herbatę. Ross dał znak kelnerowi.

- Co teraz zrobi król, kapralu Cutler?

- Nie możemy dopuścić, żeby egipski rząd zajął pozycję proniemiecką - odparł Jimmy. Nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w dyskusję na ten temat.

- Czekamy tu na Saida i Zeinab - wyjaśniła Alice. - Amerykański uniwersytet dziś świętuje. Umówili się z nami na herbatę, ale się jakoś spóźniają. Może nie mogli się przedostać. A Bert wkrótce musi wracać. W jego biurze sjesta trwa krótko.

- To przykre - odpowiedziała Peggy.

- Jego sierżant gotów mu dać kopniaka w tyłek. - Alice uśmiechnęła się z własnego niezrozumiałego dla Peggy żarciku. Ross też roześmiał się, wezwał kelnera i zamówił ciastka. Lepiej zamówić je z góry, nim przybędą ich goście. Najlepsze ciastka szybko znikają, w Kairze brakowało mąki.

- Jak to brzydko z ich strony, myślę o spóźnianiu się Szazlich. Egipcjanie nie mają poczucia czasu. Mój mąż mawiał zawsze, że ich zegarki są z gumy.

- Od jak dawna mieszka pani w „Magnifico”? - spytał Ross.

- Dużo bym wam mogła o tym hotelu opowiedzieć - odparła Peggy. Ale zamiast zacząć opowiadać, rozejrzała się po herbaciarni. - Nie byłam tu już od tygodni - szepnęła. - W zeszłym roku, po upadku Grecji, przychodzili tu wysoko postawieni Grecy. Kiedyś widziałam nawet kochankę króla Jerzego. Biedaczka, wyglądała na zagubioną. To Angielka. Miałam ochotę do niej podejść, ale w ostatniej chwili nie wystarczyło mi odwagi. Przy sąsiednim stoliku siedziało pół greckiego rządu całkowicie ją ignorując. Hałaśliwa, bezczelna hałastrą, bardzo mi się nie podobali. A przedtem spotykali się tu Polacy. Ciekawe, kto będzie następny. - Uprzymomniła sobie, że mogło to zabrzmieć tak, jakby oczekiwała, że herbaciarnia Aszrafa stanie się miejscem spotkań zwycięskich Niemców, uśmiechnęła się nerwowo i zaczęła się przyglądać pnącym roślinom na murach.

Peggy w towarzystwie znajomych poczuła się trochę lepiej. Bawiła się solniczką, znów wzięła do ręki jadłospis, znany z błędów ortograficznych i gramatycznych, potem przyjrzała się mosiężnemu wazonowi z kwiatami, które pod wpływem upału zdążyły zwiędnąć. Było już późne popołudnie, odrobinę się ochłodziło, ludzie wracali do pracy. Przez nielicznych obecnie w Kairze brytyjskich cywilów „Aszraf” był uważany za rodzaj prywatnego klubu. Frontowe drzwi były wąskie, szyld z arabskim napisem nie zachęcał do

wejścia większości wojskowych, którzy udawali się raczej do oddalonego o parę domów Klubu Tipperary.

- Wciąż jeszcze pani tak naprawdę nie podziękowałam - powiedziała Alice. - I za ten pokój, i za posadę w szpitalu.

- Z pokojem rzeczywiście miałam kłopoty. Ale wiedziałam, że Hoch będzie uszczęśliwiony mogąc panią zatrudnić. Tuż przed wojną przeszedł na emeryturę, wrócił jednak do pracy, bo jest naszym najlepszym chirurgiem. Ma już chyba więcej niż siedemdziesiąt lat, na szczęście armia przymyka na to oczy.

- Wszyscy są dla mnie bardzo mili - powiedziała Alice.

Peggy uśmiechnęła się, czyżby Alice naprawdę nie wiedziała, z jaką niechęcią powitały jej pojawienie się Blanche i Jeannie MacGregor?

- Straciliśmy dwie dobre maszynistki, kiedy armia postanowiła odesłać do kraju wszystkie żony wojskowych. Bardzo nie chciały wyjeżdżać. Jedna z nich wysłała nawet dość bezczelny telegram do samego głównodowodzącego. Nic jej to nie pomogło, a była dopiero sześć miesięcy po ślubie... Rzecz prosta, głównodowodzący nie odesłał własnej żony i wszyscy mieli mu to strasznie za złe.

Pojawiła się herbata i patera z ciastkami. Były tam wszystkie ulubione ciastka Anglików: keks owocowy z lukrem i marcepanem, tarta z cytrynowym budyniem, eklery, paluszki z pipermentem i ciastka z migdałami. Peggy nalala wszystkim herbaty zachwycając się jej zapachem. Była ładną, może nawet piękną kobietą. Ilekroć coś jej się podobało, chwaliła to głośno i z emfazą. Lubiła, żeby picie herbaty zamieniało się w swoisty ceremoniał.

- Ile kostek cukru?

Alice skorzystała z okazji, by przyjrzeć się siedzącym w ogródku kobietom. Na pierwszy rzut oka były to po prostu dobrze ubrane panie, jakie widywało się przed wojną w modnych herbaciarniach Paryża, Wiednia i Londynu. Ale przy bliższej obserwacji okazywało się, że jest to dosyć mieszane towarzystwo: Egipcjanki, Palestynki, Koptyjki, Włoszki i Greczynki. Wszystkie ponętne i bardzo zadbane, wspaniałe fryzury, wspaniały makijaż. Przyglądali się im bacznie przychodzący tu regularnie oficerowie i biznesmeni. W tym mieście roilo się od mężczyzn, a wolne kobiety należały do rzadkości. Peggy stale mówi o swoim małżeństwie jak o czymś, co należy do przeszłości. Dlaczego nie otworzy oczu i nie rozejrzy się? Każda atrakcyjna Europejka może tu bez kłopotu znaleźć męża. A Peggy była nie tylko atrakcyjna, była mądra.

Alice obejrzała się, by zobaczyć, czy nie nadchodzi rodzeństwo Szazli. W lustrach na ścianach ciemnych pustych pokoi odbijał się tętniący życiem ogródek, można się było w niego gapić jak w ekran kina.

- Herbata jest tu naprawdę dobra - powiedział Jimmy Ross, jakby chciał usprawiedliwić swoją obecność u boku Alice. - I można liczyć, że mleko zostało przegotowane. - Nie skończył jeszcze zdania, gdy weszli Said i Zeinab al-Szazli. Przystanęli i rozejrzeli się po ogródku. Wszystkie rozmowy zamarły. Wyglądali jak gwiazdy filmowe. Dwudziestoparoletnia Zeinab miała gładką jasną cerę, ogromne ciemne oczy i wspaniałą figurę, której linie podkreślała sukienka z kremowego jedwabiu. Jej brat, Said, wyglądał równie olśniewająco. Był szeroki w ramionach, a błyszczące czarne włosy zaczesywał do tyłu. Cerę miał trochę ciemniejszą, niż cera siostry, wąsiki krótko przystrzyżone, a bardzo białe zęby rozświetlały przy uśmiechu całą twarz. Jedyłą skazę stanowiła niemal czarna skóra wokół oczu, ale to tylko podkreślało emanujący od niego egzotyczny urok. Miał na sobie białą koszulę, ciemny krawat i ciemne spodnie. Na ręku złoty zegarek na skórzanym pasku - niestosownym do klimatu, jakże jednak angielskim - na nogach kosztowne dwukolorowe półbuty, bardzo starannie wyczyszczone.

Said podszedł pierwszy do stolika i odsunął krzesło dla siostry, tak jakby była członkiem rodziny królewskiej. Potem dwoma palcami podciągnął spodnie, żeby się nie wypchały, gdy usiądzie. Ani nie wyjaśnił, dlaczego się spóźnili, ani za to nie przeprosił. Oboje nie wyrazili też zdziwienia widząc Peggy. Zamówili miętową herbatę. Potem zaczęli się z uśmiechem kłaniać licznym znajomym.

- Mają tu państwo mnóstwo przyjaciół - zauważył Jimmy Ross.

- Znajomych - poprawił Said. - A właściwie znajomych naszego ojca.

- Kim jest państwa ojciec? - spytał uprzejmie Ross.

- Dziennikarzem - odpowiedział Said. - Ale można by go też nazwać człowiekiem interesów. - Spojrzał na Alice i Peggy. - Panie dziś nie pracują?

- Mam nocny dyżur - wyjaśniła Peggy, a Said zwrócił się do Alice prosząc, by odpowiedziała po arabsku.

Alice uśmiechnęła się. Rodzeństwo Szazli udzieliło jej już dwóch lekcji. Cierpliwie poprawiali jej wymowę.

- Robi pani wielkie postępy - pochwalił Said. - Wciąż jednak brakuje pani wprawy.

Podano im miętę w szklankach w platerowanych koszyczkach. Z każdej szklanki sterczał pęk mięty. Said wsypał mnóstwo cukru i zaczął gwałtownie mieszać, listki zawirowały, przyglądał im się z widocznym zadowoleniem.

- Jak się pani podoba Kair, panno Stanhope? - spytał ceremonialnym tonem. Podał paniom, a potem Rossowi ciastka, Ross wybrał ekierkę i Peggy zaczęła się zastanawiać, czemu człowiek, który tak dba, by nie napić się nie przegotowanego mleka, zamierza zjeść ciastko z kremem.

- Kair jest cudowny - oświadczyła Alice. - Możliwe jednak, że po Aleksandrii zachwycałabym się każdym miastem.

- A czemu to Aleks nie przypadła pani do gustu? - Said skrócił nazwę miasta tak, jak to mieli w zwyczaju robić Brytyjczycy.

- Aleksandria jest taka szara i ponura - odparła Alice. - Wszystko jest szare - domy, ulice, morze - brak w niej życia.

- Nigdy tam dłużej nie przebywałam - powiedziała Peggy, przekonana, że Alice nie spodobało się w Aleksandrii, bo mieszkała tam z matką. - Ilekroć jednak odwiedzam przyjaciół, mam uczucie, że jestem w nadmorskim kurorcie. Czy pani matka nie obawia się bombardowań?

- Mama nie boi się niczego - oświadczyła Alice.

- Podczas upałów w Aleksie jest dużo przyjemniej niż w Kairze - ciągnął Said. - Czy była już pani w Kairze latem?

- Nie, nigdy - zaprzeczyła Alice.

- Anglicy bardzo uskarżają się na upał. Ale myśmy do niego przywykli. - Zwrócił się uprzejmie do Rossa: - Gdzie są teraz forpoczty Rommla?

Wszyscy spojrzeli na Rossa, a on nonszalancko odpowiedział:

- Och, zatrzymamy go. Rommel nie jest nadczłowiekiem.

- Miło to słyszeć - powiedział Said i wyjął kartkę chropowatego szarego papieru najgorszego gatunku. Była to jedna z rozrzuconych tu ulotek, która przedstawiała pobieżną mapę frontów - A co pan o tym powie, panie kapralu? - Duża czerwona strzałka wskazywała, że Afrika Korps Rommla zajmuje Kanał Sueski. Druga taka strzałka sięgała Kaukazu. I obie zmierzały w kierunku pól naftowych nad Zatoką Perską. Artysta namalował tam gigantyczny wybuch. A wokół leżały malutkie postacie poległych brytyjskich żołnierzy.

Said podał tę kartkę Rossowi.

- Pobożne życzenia - odpowiedział Ross. - Niemiecka armia w Rosji została zatrzymana. A w przyszłym tygodniu zepchniemy Rommla do Tunezji.

Said uśmiechnął się dając do zrozumienia, że w podobnych okolicznościach też uciekłby się do wymijającej odpowiedzi.

- Ale czy jako wojskowy nie sądzi pan, że strategicznym celem tej ofensywy jest wepchnięcie armii alianckiej na Pustynię Libijską, by tam musiała zmagać się z Rommlem i nie mogła wysłać oddziałów do Iraku i Persji, kiedy Niemcy ruszą z Kaukazu nad Zatokę?

Ross nie spojrział na mapę. Wciąż zwlekał z odpowiedzią i Said dorzucił:

- Niemcy zawsze byli świetnymi strategami. Geopolitik to słowo niemieckiego pochodzenia, prawda?

- Chyba go nie znam - powiedział Ross. - Czy mogę zatrzymać pańską mapę?

- Lepiej ją zniszczyć - odparł Said, zmiął ją i wsadził do kieszeni. - Mógłby pan sobie napytać kłopotów nosząc takie wywrotowe materiały. - Wypił tyk mięty, napoczął tarte z budyniem cytrynowym, ale zaraz stracił na nią ochotę. - Aha, to dlatego jest taki szczupły, pomyślała Peggy.

- Nie będę miał kłopotów - odrzekł Ross. - Tę wojnę prowadzimy w obronie wolności. Po to, żeby móc myśleć, co chcemy, robić, co chcemy.

- Czyżby? Zadziwia mnie pan, panie kapralu. Uważa pan, że pod waszym panowaniem my, Egipcjanie, cieszymy się wolnością? Wasi żołnierze śpiewają sprośne piosenki o naszym królu i królowej. Rozbijają się w barach i restauracjach, a ich właścicielom nigdy nie udaje się uzyskać odszkodowania. Walczycie na terenie naszego kraju, a przecież Egipt jest neutralny i z nikim nie prowadzi wojny. Nawet angielskojęzyczne gazety są tak ocenzone, że nie mogą pisać o żadnych ważnych sprawach.

- A wolność jednostki?

- No, właśnie! Weźmy pana za przykład. Tylko oficerom wolno mieszkać w najlepszych hotelach, takich jak „Continental”. Jako kapral nie ma pan wstępu ani do Klubu Jeździeckiego, ani do Klubu „Trocadero”, ani do Klubu „Geziry”, żeby wymienić tylko trzy. Czy to jest wolność jednostki?

- Co to pana właściwie obchodzi?

- Nie, to mnie nie obchodzi. Ale obchodzi mnie, że pański rząd przysyła tu kretyna z ekskluzywnej szkoły, który szykanuje naszego króla i przechwala się, że mówi do niego: chłopcze.

- Mówi pan o ambasadorku Lampsonie?

- Świetnie pan wie, o kim myślę - odparł Said.

- Przestań, Said - Zeinab żartobliwie uderzyła brata po ramieniu. Spojrzała na tamtą trójkę. - Nie powinniśmy rozmawiać o polityce. Mój brat zaraz się roznamiętnia i wyrządza ludziom przykrość. - Spojrzała na Jimmy'ego Rossa.

- Naprawdę nie chciałem pana obrazić - zaprotestował Said. - Jestem pewny, że gdyby kapral Ross rządził, wszystko ułożyłoby się lepiej.

- Tak, wtedy na pewno kaprale mogliby się zatrzymywać w „Continentalu” - potwierdził z przekonaniem Jimmy.

- A oficerowie nie?

- No, jasne. Oficerowie nie - uroczyście oświadczył Ross. Wszyscy roześmiali się, Peggy zauważyła, że Alice dotyka ręki swego kaprała. Był rzeczywiście dość przystojny, ale nikt nie mógł pojąć, jakim cudem dziewczyna z wyższych sfer mogła się związać z kimś tak niskim rangą. Wystarczyłoby jej skinąć palcem i tłoczyliby się wokół niej pułkownicy i generałowie. Cóż, pomyślała Peggy, każda kobieta szuka w mężczyźnie czegoś innego. Może Cutler jest świetnym kochankiem, może jest dobry dla zwierząt, a może ma odziedziczyć fortunę.

- Co pan robił w cywilu, panie kapralu? - spytał Said.

- Byłem urzędnikiem.

- A jaka jest teraz pańska funkcja?

- Jestem żołnierzem piechoty, któremu bardzo niesłusznie powierzono stanowisko administracyjne.

- Pewnie chciano wykorzystać pańskie kwalifikacje - orzekła dyplomatycznie Peggy. - Wielu żołnierzy z pustyni dałoby wszystko, by pracować w koszarach Bab-al-Hadid w samym sercu Kairu.

- To prawda - zgodziła się Alice.

- A to pan tam pracuje, Bert? - spytał Said. - Tuż za rogiem? Szczęśliwy z pana gość. - Said stale słyszał, jak Australijczycy posługują się słowem „gość” i postanowił go użyć. - Tam jest chyba komenda żandarmerii? Co pan tam robi?

- Pracuję w kancelarii komendanta żandarmerii. Zajmuję się kartoteką. Piszę listy i odpowiadam na telefony.

- U komendanta żandarmerii? - powtórzył Said. - Ależ to bardzo ważne stanowisko. Przecież to chyba on rządzi Egiptem?

- Tylko żandarmerią. - Ross napił się kawy, jakby chciał zyskać na czasie.

- No i SIB, czyli kontrwywiadem i wywiadem - poprawił Said. - Niechże nam pan zdradzi, co dzieje się w świecie przestępczym Kairu.

- Jestem zobowiązany do zachowania tajemnicy - powiedział Ross.

Zatem Said wiedział, kto urzęduje w koszarach. Wiedziało o tym bardzo wiele osób.

- Możesz im chyba opowiedzieć o haszyszu? - wtrąciła się Alice. - Już wszyscy siedzą. - Ross spojrział na nią. Sprytna dziewczyna. Świetnie grała swoją rolę. Tę historyjkę rzeczywiście mógł opowiedzieć, wkrótce ukaże się w gazetach.

- Nie ma wiele do opowiadania. Syryjscy marynarze ukrywali kostki haszyszu w tuszach owiec, potem wyrzucali tusze do morza w porcie. A w nocy przyplływali rybacy i wyławiali je.

- Jak udało się wam o tym dowiedzieć?

- Opłacamy informatorów - wyjaśnił Ross. - W takich szajkach zawsze się znajduje zdrajca. Kłopot w tym, że tych szajek jest bardzo wiele.

- Ma pan ciekawą pracę - powiedziała Zeinab. Spojrzała na niego z nowym zainteresowaniem.

- Cóż, piszę na maszynie raporty, przedstawiam je do podpisu i chowam do kartoteki. W gruncie rzeczy to straszna nuda.

- Wiecie - powiedziała Alice, wyraźnie nie chcąc zmieniać tematu - na czarnym rynku opona do ciężarówki kosztuje sto funtów. Sto funtów!

- Muszę lecieć - powiedział Ross. - Dziś po południu będę sam w biurze. Ktoś musi odpowiadać na telefony. - Wstał i sięgnął po rachunek.

Said wyjął mu go z ręki.

- Pozwoli pan, że ja zapłacę. Wczoraj poszczyło mi się na wyścigach.

- Dziękuję - powiedział Ross.

- Mam nadzieję, że pana nie obraziłem, Bert. Mogę mówić do pana Bert?

- Nie, nie obraził mnie pan.

- Myślę o ulotce. Naprawdę nie chciałem pana dotknąć. Ross położył rękę na ramieniu Alice.

- Zostań z przyjaciółmi. Tylko uważaj, żebyś się nie zaplątała w jakąś demonstrację. Czy zobaczymy się wieczorem?

- Tak, oczywiście - odparła Alice.

- Będzie z nami bezpieczna - oświadczył Said. - Zajmę się wszystkimi paniami. Może mi pan zaufać.

Jimmy Ross wyszedł, a Said zamówił jeszcze herbatę. Kiedy konferował z kelnerem, Zeinab przysunęła się do Alice i szepnęła:

- On jest wspaniały.

Powiedziała to z takim entuzjazmem, że Alice zdziwiła się. Zeinab musiała to zauważyć i dorzuciła:

- Widziała pani, jak mu z gniewu zabłyśły oczy? Uwielbiam takich mężczyzn.

Trudno było powiedzieć, czy Said usłyszał słowa siostry. Ale na pewno znał ją na tyle, żeby móc sobie wyobrazić, co mówiła. I spytał się Alice:

- Przyprowadzi go pani dziś wieczór?

- Dokąd?

- Do księcia Piotra. Czy on gra w brydża?

- Chyba tak.

- Zresztą nie ma to znaczenia. Najpierw będzie przyjęcie. W brydża zagramy późnym wieczorem.

- Czy w każdy piątek księżę przyjmuje gości? - spytała Alice.

- Piotr będzie zachwycony mogąc podyskutować z kapralem Cutlerem. Z nami się już nadyskutował, a kapitan Darymple jest wyjątkowo niemądry.

- Ejże, nie powinien pan tak mówić - napomniała Peggy takim tonem, jakby chodziło o skorygowanie błędu gramatycznego.

- A to dlaczego? - spytał z zainteresowaniem Said.

- Wyjeżdża na front. Może polec - wyjaśniła Peggy.

- Wy, Anglicy, jesteście strasznymi hipokrytami - oświadczył Said. Podkreślił słowo: strasznymi.

Peggy naląła herbaty.

- Dlaczego kapral Cutler - Bert - nie stara się zostać oficerem?

- Odesłaliby go na przeszkolenie - zaczęła pospiesznie improwizować Alice. - A potem mogliby go posłać do Afryki Wschodniej albo nawet na Pacyfik, żeby walczył z Japończykami.

- Tak, ma pani rację. Lepiej, żeby pozostało tak, jak jest - zgodziła się Peggy, której wydawało się, że rozumie obawy Alice.

- Przyprowadzi go pani? - jeszcze raz powtórzył Said. Alice spojrzała pytająco na Peggy. A Peggy oświadczyła:

- Piotr na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Zawsze powtarza, że im tłoczniej, tym weselej.

Said spojrzał na nią i zapytał, ważąc każde słowo:

- Skąd Piotr ma pieniądze? - Peggy uważana była za autorytet we wszystkich sprawach dotyczących „Magnifico” i jego mieszkańców.

- Jego rodzina miała akcje Kanału Sueskiego. To dlatego otrzymał tu wizę pobytową. A teraz, kiedy zaczęła się wojna, może odbierać tantiemy tylko w miejscowej walucie, więc na swój sposób jest uwięziony w Egipcie.

Said pokiwał głową.

- Tak w każdym razie sfyszałam - dodała Peggy, bojąc się, czy nie powiedziała za dużo.

- Zeinab uważa, że jest on rosyjskim szpiegiem. Peggy spojrzała na Zeinab, a ta zaczęła się tłumaczyć:

- Said się ze mnie wyśmiewa. Ale ten jego wspaniały krótkofalowy odbiornik i te pieniądze... A przecież nie pracuje.

- Rosyjskim szpiegiem? Nie sądzę. Za co miałby kochać Stalina - odparła Peggy.

- Ma takie dziwne oczy - dorzuciła Zeinab, jakby to było przekonującym dowodem winy.

- Myślę, że ukrywa gdzieś kochankę - zasugerował Said. Spojrzał na Alice, ciekawy jak zareaguje na taką supozycję. Alice nie potrafiła ukryć uśmiechu; tylko raz widziała Piotra, ale to wystarczyło, by upewnić się, że nie pociągają go kobiety.

- Bardzo go lubię - oznajmiła Peggy. - Piotr jest zabawny, miły i wspaniałomyślny. Przecież wszyscy jesteśmy przekonani, że serdecznie powita Berta. Ilu jest takich ludzi jak Piotr? Jeśli Lucii uda się go wyeksmitować, wszyscy na tym stracimy.

Zachęcona tym opisem księcia Piotra, Alice spytała:

- Jak sądzicie, czy mogłabym dziś przyprowadzić jeszcze kogoś? Mówiła bardzo cicho i Said musiał się nachylić nad stolikiem, by ją usłyszeć.

- Na pewno może pani - powiedział. - Czy ta pani koleżanka mieszka w Kairze?

- To nie koleżanka - sprostowała Alice. - To amerykański dziennikarz. Przyjaciel moich rodziców. Mama chce, żeby poznał „prawdziwych Kairczyków”. Nie bardzo rozumiem, co chce przez to powiedzieć. Ale mam się nim zająć. Sama nie wiem, dokąd go zabrać. Dla cywilów nie jest to takie łatwe.

- Niech go pani przyprowadzi - zachęcił ją Said. - Moja siostra będzie miała z kim poflirtować.

Zeinab odwróciła głowę, żeby ukryć zażenowanie.

- Said, nie powinienes mówić takich rzeczy - szepnęła.

- Jesteśmy wśród przyjaciół - zaprotestował Said. - Alice i Peggy wiedzą, że tylko żartowałem. - Znów zwrócił się do Alice. - Tak, niech go pani przyprowadzi. Im tłoczniej, tym weselej. Muszę sobie zapamiętać to angielskie powiedzenie: im tłoczniej, tym weselej.

W parę godzin później Jimmy Ross kroczył jedną z najbardziej obskurnych uliczek Al Birka. Słońce już zaszło i zrobiło się chłodno. Włożył na siebie stary mundur z dystynkcjami majora. Tutaj tak było bezpieczniej.

- Cholerny chlew - zauważył, kiedy za sierżantem policji wszedł w wąskie drzwi, których pilnowało dwóch żandarmów i dwóch umundurowanych kairskich policjantów. Zaczął wspinać się po kamiennych schodach oświetlonych latarką następnego żandarma.

- Niech pan poczeka, aż go pan zobaczy - powiedział sierżant. - Tu jeszcze nie śmierdzi najgorzej.

Izdebka była maleńka, z trudem udało się im w niej zmieścić. Właściwie cela bez okna, oświetlona słabą żarówką zwisającą z sufitu. Sierżant zatrzymał się w drzwiach, na schodach był lekki przewiew. Ktoś oznajmił, że nikt nie ruszał zwłok sierżanta, którego znalazł tu patrol żandarmerii. Ale trudno było w to uwierzyć.

Jimmy Ross zdał sobie sprawę, że jest bacznie obserwowany. Uchodził przecież za Berta Cutlera, słynnego detektywa. Spojrzał na ciało, a potem na żandarma, który zatykał nos chusteczką. Spróbował sobie przypomnieć, co w takich okolicznościach mówili filmowi detektywi.

- Czy był już fotograf? Sierżant spojrzał na niego.

- Tak jest, sir.

Cóż, było to niemądre pytanie, jasne, że sprowadzono fotografa. Rossowi zbierało się na wymioty, ale starał się tego nie okazać i spokojnie przyglądał się rozkładającym się zwłokom. - Przeszukaliście ciało?

- Nie, sir.

- I to pan je znalazł, tak? - spytał sierżanta. W drodze rozmawiali. Sierżant miał zaledwie dwadzieścia dwa lata. Przed wojną był urzędnikiem w kancelarii adwokackiej, a w armii został sierżantem żandarmerii. Był to inteligentny chłopak, ale za młody jak na ulice Kairu. - Niech mi pan to jeszcze raz opowie.

- Podeszedł do nas jakiś arabski dzieciak i powiedział... powiedział, że leży tu chory żołnierz. No i znaleźliśmy go w takim stanie. Nikt nic o nim nie wie. Oczywiście niczegośmy nie dotykali.

- Fotograf już z nim skończył?

- Tak jest. Starał się stąd jak najprędzej uciec. A lekarz wojskowy stwierdził, że nie da się ustalić daty zgonu. Nastąpił już zbyt dawno temu.

- Tak, zameldował mi o tym przez telefon. - Ross czuł, że powinien się popisać swoją fachowością. Dorzucił więc: - W tym klimacie rozkład ciała następuje znacznie szybciej.

Sprawia nam to duże kłopoty. A wielu lekarzy wojskowych niezbyt się zna na medycynie sądowej.

- Tak jest, sir - przyświadczył z szacunkiem sierżant.

Ross wziął się w garść i jeszcze raz spojrzął na żelazne łóżko, zwłoki leżały tak, że z łóżka zwisała głowa i jedno ramię. Twarz nieboszczyka była fioletowa, zastygła w grymasie, który wykrzywił usta. Ręce były tak spuchnięte, że palce wyglądały jak kielbaski. Na ścianie izdebki wisiała oprawiona litografia przedstawiająca króla Faruka. Jego obecność w tej plugawej izdebce zakrawała na ironię.

- Mówi pan, że tu jest burdel?

- Tak, sir, burdel.

Ross nachylił się nad ciałem. Zdobył się na najwyższy wysiłek, sięgnął do kieszeni nieboszczyka i zaczął je opróżniać. Miał nadzieję, że sierżant wyjdzie, ale ten przyglądał mu się jak zahipnotyzowany. Ross próbował ukryć swoje przerażenie. Po zainstalowaniu się w swoim biurze przeszukał bibliotekę. Dwa razy już przeczytał „Sekrety Scotland Yardu”.

- No, proszę tylko spojrzeć. - W kieszeniach znalazł dwie książeczki żołdu na dwa rozmaite nazwiska i dwa nie wypełnione formularze na transport broni, ale za to podpisane i ostemplowane. Potem rozpiął kurtkę, podciągnął podkoszulek i przyjrzał się ranie.

- Hm... - szepnął, choć miał ochotę zawyć. Podniósł się. - Możecie go zabrać, sierżancie - polecił. Gorączkowo zbierał myśli. Co by o tej ranie powiedział stary Cutler? Nawiedziło go nagle olśnienie. - Chyba będziemy musieli rozejrzeć się za komandosem albo żołnierzem służb specjalnych.

- Za żołnierzem?

- Proszę się przyjrzyć tej ranie. Czy przechodził pan trening w walce wręcz? Nóż należy wbić prosto w serce. W armii aż zbyt wielu ludzi nauczyło się zabijać szybko i bezszmerowo. Nie możemy się dziwić, że wykorzystują to we własnych celach.

- Arabowie nie gardzą nożem.

- Tak. Ale posługują się nim inaczej. Tak czy owak, ten człowiek nie został tu zamordowany.

- Skąd pan wie o tym, sir?

- Nie ma śladów krwi. Z takiej rany tryska krew. Założę się, że tam, gdzie go zabito, poplamiała sufit. - Jeszcze raz przyjrzał się ciału. - Nie, on został zamordowany gdzie indziej, a potem go tu przyniesiono.

- Dlaczego? Jaki by w tym mogli mieć cel? Ross przygryzł wargę i zastanowił się.

- Chcieli się go pozbyć. Nie życzyli sobie, by go znaleziono na miejscu zbrodni. Może stało się to w innym burdelu. Chyba wspomniał pan, że w pobliżu znajduje się ten modny burdel Lady Fitz?

- Tak. Przy tej samej uliczce.

- No, właśnie. Czy może mnie pan poinformować, ilu brytyjskich żołnierzy uczęszcza do tych tubylczych burdeli?

Sierżant długo przyglądał mu się, nim zdecydował się odpowiedzieć. Trochę się go obawiał. W Kairze jeszcze przed pojawieniem się Alberta Cutlera krążyło wiele przesadzonych opowieści o jego talentach. Kiedy zobaczono Rossa w tym kaprałskim mundurze, a w dodatku przekonano się, że nie okazuje on zbytniego szacunku dla drylu wojskowego, w koszarach żandarmerii Bab-al-Hadid uznano go za niebezpiecznego ekscentryka. Sierżant zaczął ostrożnie dobierać słowa.

- Rozumiem, o co panu chodzi, sir... cóż, szeregowi, którym brak pieniędzy, nie przebierają. A wielu mężczyzn ma dziwaczne upodobania seksualne... odpowiadają im burdele.

- Ma pan rację, sierżancie. Ale nie dotyczy to tego faceta. - Ross miał zamiar popisać się. Nachylił się, schwycił nieboszczyka za kurtkę i spodnie i wciągnął go na łóżko. Młody sierżant, nie mogąc znieść straszliwego fetoru, cofnął się o krok. Ross uśmiechnął się do niego, pragnąc dać do zrozumienia, że żaden smród nie jest mu straszny. Przeszukał kieszenie spodni nieboszczyka i wyciągnął pęk kluczy. Z daleka było widać, że niektóre z nich to klucze do magazynów wojskowych.

- Proszę tu sprowadzić zarządzającego.

Sierżant wyszedł na schody i przekazał to polecenie podwładnemu.

- Ten facet na dole to nie jest prawdziwy zarządzający, tylko jego szwagier.

- Czyżby? - Jimmy roześmiał się wzgardliwie, był to śmiech Bogarta. Wprowadzono do środka młodego, może dwudziestoletniego Araba ubranego po europejsku, wytarte stare spodnie, wypłowiała czerwona koszula.

Ross chwilę mu się przyglądał.

- Kto przyniósł tu to ciało?

- Efendi...

Ross chwycił go za koszulę, potrząsnął nim i pchnął na ścianę. I wymierzył mu mocny policzek, chłopak krzyknął z bólu.

- Kto przyniósł ciało?

- Ja nie mówić po...

Ross wymierzył mu mocny cios w żołądek. Żandarm przeraził się i próbował interweniować.

- Chwileczkę, sir.

- Nie wtrącaj się! - wrzasnął Ross tak przeraźliwie, że sierżant się cofnął.

Znów chwycił Araba za koszulę i pociągnął. Stara koszula rozdarła się aż po pas.

- Okay, okay! - powiedział Arab. - Przynieśli go tu dwaj mężczyźni.

- Kto?

Arab zawahał się, ale kiedy Ross zamierzył się na niego pięścią, powiedział:

- Pracuję dla Mahmuda, bankiera.

- No, widzisz! - powiedział Ross. I zwrócił się do sierżanta: - Niech pan każe zabrać swoim ludziom tego głupka do koszar i trzymać go pod kluczem. W pojedynczej celi. A potem proszę zorganizować transport zwłok.

- Skąd pan major wiedział, że on mówi po angielsku? - spytał z szacunkiem sierżant. - Byliśmy przekonani, że nie zna słowa.

- Każdy detektyw w Glasgow wysłał to z mlekiem matki - odparł Ross.

10

- Słyszeliście, że na pustyni padał deszcz? - spytał gości ksiączę Piotr Mikołajewicz Tichmejbrzow. Znów odbywało się jego cotygodniowe przyjęcie i bardzo się wystroił. Miał na sobie aksamitny smokingowy żakiet koloru czerwonego wina, koszulę z surowego jedwabiu i stosowną muszkę. Goście także ubrali się odświętnie. Wszyscy zwykli bywalcy plus paru outsiderów: kawaler Alice i Tony Wallingford, który na tę okazję włożył granatowy mundur ze złotym szamerunkiem.

Amerykański znajomy Alice bardzo wszystkich zaskoczył. Był to pewny siebie mężczyzna nazwiskiem Harry Wechsler, żywy dowód wysokich koneksji matki Alice. Korespondencje Wechslera ukazywały się na pierwszej stronie gazet koncernu Hearsta i były przedrukowywane przez wiele amerykańskich czasopism. Właśnie wrócił z krótkiego wypadu na pustynię. Miał czerwone, szorstkie ręce, w skórę wbił mu się piach. Na opalonej twarzy odznaczały się białe koła wokół oczu - ślad po okularach ochronnych. Miał trzydzieści parę lat, młodą twarz, żywe ruchy, ale był niemal łysy. Ubrał się niedbale, niczym Brytyjczyk w armii. Jego sportowa kurtka, którą nosił pewnie na pustyni, była wprawdzie w plamach i mocno sfatygowana, ale została wyprasowana. Spodnie były welwetowe, a buty zamszowe.

Na szyję założył jedwabną czerwoną chustkę, z górnej kieszonki kurtki sterczały pióra, ołówki i cybuch fajki.

- Co za maniery - skrytykował go Darymple. - Cud, że nie przyniósł ze sobą pistoletu maszynowego.

- No wiesz, stary, on walczy słowami - odparł Wallingford. - Przynajmniej nigdy mu nie zabraknie amunicji.

Peggy West uznała, że Harry Wechsler jest bardzo zabawny. Mówił o sobie, że odczuwa „przymus pisania”. Do Kairu przybył na kurację, ale nie chciał przestać pracować. W ciągu ostatnich tygodni towarzyszył amerykańskiemu attache wojskowemu w kilku wyprawach na pustynię, gdzie ten zwiedzał brytyjskie placówki wojskowe. Wechsler opowiadał o tym tak, jakby on i attache byli przyjaciółmi od serca. Wechsler wygłaszał opinie na każdy temat. „Tak, oczywiście, te uniwersyteckie kursy dla pisarzy mają im narzucić rygory, a rygory tłamszą fantazję. Tyle że wciąż za mało”. Śmiał się bardzo głośno, jego zadufanie w sobie miało pewien wdzięk. Cóż, każde jego słowo czytały miliony ludzi.

Peggy krążyła wśród zebranych chcąc z wszystkimi pogadać. Tego popołudnia, po raz pierwszy od wielu miesięcy, poszła do fryzjera. Długo zastanawiała się nad wyborem sukienki i starannie się umalowała. Wyglądała zachwycająco. Zamierzała nadal pozostać wierną Karlowi, wstrząsnęły ją jednak słowa rozgniewanej siostry Borrows: wszystkie wiemy, że nie interesują pani mężczyźni. Czyżby, pielęgniarki rzeczywiście tak myślały? A jeśli tak myślały, to czy miały rację? W Kairze było wielu atrakcyjnych mężczyzn. Oto gładki dżentelmeński Darymple, wyświeżony, wypucowany, w mundurze uszytym przez londyńskiego krawca, z chusteczką w rękawie. Jego przyjaciel Wallingford siedział w niedbalej pozie na sofie, przypominał wyglądem poetów z czasów pierwszej wojny światowej. Dalej kapral Alice, skryty i nieufny, dobrze zbudowany, koścista interesująca twarz. I Said, piękny Valentino z niemych filmów. Nawet książę Piotr bardzo się dziś wystroił sięgnawszy do swej przedwojennej garderoby.

Na pytanie Piotra odpowiedziała Alice.

- Padało na pustyni? Tak, mama też o tym słyszała, ale nikt nie wie, gdzie. - Alice miała na sobie kosztowną sukienkę zapiętą pod samą szyję, takie suknie kupują swym atrakcyjnym córkom nazbyt już opiekuńcze matki. Mimo to wyglądała zachwycająco, jak zwykle, gdy była w towarzystwie Jimmy’ego Rossa. Peggy skomentowała to już kiedyś i Alice postanowiła lepiej ukrywać swe uczucia.

- To był wręcz potop. Utopiło się paru ludzi. - Piotr wziął kieliszek wina z mosiężnej tacy, którą obnosił jego służący.

- Ale gdzie to było? - powtórzyła Alice.

Harry Wechsler uśmiechnął się. On oczywiście wiedział.

- Padało wzdłuż Via Balbia, od Tobruku po Halfaja Pass. Było to w połowie listopada, tuż przed moim przyjazdem do Kairu. Najbardziej ucierpiała wioska Gambut. Poleciałem tam. Zmyło ludzi i ciężarówki. Ulewa zaczęła się po zmroku i zahamowała ofensywę niemiecką. Pisałem o tym.

- Pierwszy deszcz od sześćdziesięciu lat - skomentował Toby Wallingford.

- Zadziałała tu Ręka Opatrzności - oświadczył uroczyście Piotr i wypił łyk wina. Zelektryzowała go obecność Toby'ego Wallingforda. Widział go po raz pierwszy, ale ta piękna twarz i długie faliste blond włosy przypomniały mu chłopca, w którym zakochał się w czasie studiów. - Tak - powiedział z namysłem, patrząc ukradkiem na Wallingforda - ten deszcz pokrzyżował Niemcom ich plany.

- Ktoś powiedział mi, że król włoski dostarcza Brytyjczykom informacji o planach wojskowych Osi - odezwała się nieśmiało Alice. Powtórzyła tę plotkę oczekując komentarzy Piotra. Uważał, że jego arystokratyczne pochodzenie obdarzyło go tajemną wiedzą o poczynaniach królów, i lubił olśniewać tym otoczenie.

Ale tym razem zabrał głos Wechsler.

- Byłem w Rzymie. Na trzy tygodnie przed Pearl Harbor. Daję głowę, że król włoski nienawidzi Mussoliniego i dużo by dał, by zwyciężyli Brytyjczycy.

- No, właśnie - potwierdził z zadowoleniem Piotr. Pogłoska ta była mu bardzo droga, poprzedniego dnia bowiem bardzo rozwścieczyła Lucię. Lucia gardziła monarchią włoską. I wyraziła nadzieję, że wkrótce do Kairu wkroczy na czele swej armii sam Mussolini.

- A my w Kairze - zauważył złośliwie Robin Darymple - mamy króla, który marzy o zwycięstwie Osi. Zwariowany świat.

Said natychmiast zareagował.

- Panie kapitanie Darymple, nie powinien pan mówić takich rzeczy.

- Nie chciałem pana obrazić, ale przecież wszyscy wiedzą, że ten grubas Faruk i jego włoscy kumple w pałacu Abdin co noc kontaktują się krótkofalówką z naszymi wrogami w Rzymie. - Darymple rozejrzał się oczekując aplauzu.

- Nie wierzę w to - powiedział Said.

Harry Wechsler bacznie przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Powiedział:

- Cóż, nic dziwnego, że król Faruk nie cierpi Brytyjczyków. Traktujecie go strasznie z góry.

- No, no - zaprotestował Darymple. - Egipcjanom nigdy jeszcze się tak dobrze nie powiodło. Zarabiają kupę forsy. Król i jego otoczenie też się na pewno niezłe obłowili.

- Obraża pan naszego króla - oświadczył Said. Darymple parsknął śmiechem.

- Niech się pan nie podnieca, Saidzie. Wszyscy w Kairze sięgają do kieszeni armii. Z tego żyje całe miasto.

Said, który w przystępie oburzenia zerwał się na równe nogi, chwilę wahał się, czy nie wybiec z pokoju. Ale zamiast tego powiedział:

- Coś mi się zdaje, że mówi pan to wszystko tylko po to, żeby mnie rozzłościć. - Ułożył inaczej poduszki na sofie, tak jakby po to wstał. I usiadł.

Darymple uśmiechnął się do Wechslera.

- Nie, Saidzie, stary druhu, mówię samą prawdę. Niech się pan uspokoi i napije. - Podniósł kieliszek w stronę Piotra. - Piotrze, wyborne wino. Nie taki ocet, jak zwykle.

- Miło mi, że smakuje ono kapitanowi Darymple'owi. Nie ośmielam się podawać dobrej whisky, żeby nie pomyślał sobie, iż została ukradziona w magazynach wojskowych.

- Poddaję się - oznajmił Darymple. Spojrzał spod oka na Saida, który wciąż jeszcze nie ochłonął. Bawił się nerwowo frędzlami poduszki. Zeinab usiłowała przechwycić jego spojrzenie, ale nie patrzył w jej stronę.

Żeby ugłaskać Saida, Darymple znów zabrał głos.

- To nie brytyjska armia nienawidzi waszego króla, tylko te gryzypiórki w ambasadzie. Armia chce spokoju. Wiem, co mówię. Nikt, począwszy od głównodowodzącego, a kończąc na najmarniejszym ciurze, nie życzy sobie zamieszek na ulicach Kairu. To chyba oczywiste. Mamy dosyć kłopotów z Rommlem.

- A macie - przyświadczył Wechsler.

Said spojrzał na Darymple'a. Wydawało się, że chce mu odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

Darymple mówił dalej.

- To samo dotyczy kairskiej żandarmerii. Wszyscy mamy po dziurki w nosie tych wygłupów naszych ambasadorskich fisz. Nie wiem, dlaczego Ministerstwo Spraw Zagranicznych pozwala na te uszczypliwości wobec króla Faruka i przeszkadza nam prowadzić wojnę.

Toby Wallingford oświadczył:

- Chodzi o politykę. Ci faceci z ambasady boją się tego, co mogłoby się stać, gdyby te nienawidzące nas Egipcjuchy dalej tu rządziły. Zaraz na początku wojny powinniśmy byli zmienić rząd.

- Może. Teraz jednak nie powinno się drażnić biednego starego Grubasa - odparł Darymple, zwracając się do przyjaciela, który niemal leżał na sofie, podparłszy głowę ręką. - Lampson albo jeden z jego akolitów mógłby sobie pogadać w cztery oczy z królem, bez zbędnego hałasu.

- Czy to oficjalne zdanie sztabu, czy też twój błyskotliwy pomysł, Robbie? - spytał złośliwie Wallingford.

Darymple zarumienił się. Wiedział, że Wally stara się go ośmieszyć.

- A zatem bawił pan na pustyni, panie Wechsler? - spytał ugrzecznonym tonem Wallingford. - Co, zrobiło się panu za gorąco? - Jasno dał do zrozumienia, że Wechsler przeląkł się ofensywy Rommla.

- Nie miałem tam po co zostawać, bo wasi brytyjscy cenzorzy masakrowali każdą moją korespondencję.

- Co pan takiego pisał?

- Szczerą prawdę, zamiast tromtramdackich frazesów.

- A jaka jest prawda? Przydałaby mi się szczypta prawdy po dniu spędzonym w sztabie.

- Prawdą, kapitanie, jest fakt, że Rommel bawi się w kotka i myszkę z niekompetentnymi generałami brytyjskimi, którzy sami nie wiedzą, gdzie mają tyłek, a gdzie głowę. I tak będzie dalej, jeśli wciąż będą siedzieli sto kilometrów za linią frontu, śpiewając „Rule Britannia”, głosząc, że wszystko dobrze się skończy, i głównie troszcząc się o to, by brudną bieliznę odesłano do prania w Kairze. Prawdą jest, że brytyjskie oddziały bojowe mają tego po uszy i stają się piekielnie cyniczne.

- Może dlatego, że to od pana usłyszeli? - spytał niewinnie Darymple.

- Może. Ja pochodzę z kraju, gdzie obywatele mają prawo znać prawdę, nawet jeśli noszą mundury khaki bez złotych szamerunków.

- Sądziłem, że jesteśmy sprzymierzeńcami - powiedział Darymple.

- Słuchaj, kolego. Wuj Sam nie prowadzi tej wojny po to, żebyście wy zachowali swoje brytyjskie imperium i wysysali z niego wszystkie soki. Na Pacyfiku my, Jankesi, płacimy straszliwą cenę za waszą kolonialną tyranię. Czas, żebyście wy, Anglicy, zaczęli sami trochę walczyć. Tu na pustyni to głównie Australijczycy, Nowozelandczycy i Południowi Afrykanie ponoszą wielkie straty, a Anglicy drzemią sobie na tyłach albo siedzą w sztabach myśląc o następnym awansie. Taka jest prawda i nie pomoże stu cenzorów.

Darymple wzmiankę o sztabach potraktował jako napaść na siebie. Nawet zblazowany Wallingford zareagował na ten atak Jankesa.

- Nie, to nie jest cała prawda - oświadczył. - Imperium zawsze miało specjalne oddziały bojowe. Anglicy zapewniają sprzęt i łączność. Nic więc dziwnego, że oddziały australijskie i z dominiów brytyjskich ponoszą większe straty.

- No to najwyższy czas, żeby Anglicy opuścili te cholerne magazyny i łączność - oznajmił z ironią Wechsler. - Ubierzcie ich we frontowe mundury, dajcie do ręki karabiny i wyślijcie na front. Może wtedy zatrzymacie Rommla, kto wie - może nawet zaczniecie wygrywać wojnę.

Darymple, oburzony, wstał. Zdawał sobie sprawę, że sam wywołał tę napaść swoją zaczepką. A przecież dyskusje o sprawach politycznych to straszny nietakt. I niemądrze było wdawać się w spór z Amerykaninem, stary Piotr gotów to sobie wziąć do serca, a Piotr podawał takie świetne alkohole. I co ważniejsze - pomyślał - nie najlepiej wypadłem w oczach Wallingforda, a miał mnie przecież wziąć do tego swojego Pustynnego Patrolu.

Piotr usiłował załagodzić sytuację. Wyciągnął pudełko zachomikowanych cygar i zaczął nimi częstować.

- To nad czym pan teraz pracuje? - spytał Wechslera.

- Złapałem jakiś zarazek. Muszę chodzić regularnie na badania do szpitala, postanowiłem więc napisać o naszej kairskiej ambasadzie. I nie odstępuję na krok naszego attache wojskowego. Muszę przyznać, że Brytyjczycy witają nas, Jankesów, kwiatami: widziałem więcej przez ostatnie trzy dni niż przez cały miesiąc. Wszędzie latamy - oto nowoczesna wojna. Na widok naszego attache nawet wasi dygnitarze podnoszą tyłki z foteli. Ktoś im musiał powiedzieć, że wszystko finansuje Wuj Sam.

- Finansuje Wuj Sam?

- Nie słyszeliście o dekrete Lend-Lease? Jeszcze w zeszłym roku zabrakło wam forsy. Każdy karabin,czołg i bomba, a nawet każdy nabój to dar Wuja Sama.

Rozejrzał się oczekując reakcji, ale Darymple zaczął już rozmawiać z Wallingfordem. Słuchał go uważnie tylko kapral. Książę Piotr wypił łyk wina i spokojnie spytał:

- A potem o czym pan napisze?

- Skończyłem kurację. Wrócę na pustynię i znajdę wam Rommla.

- Nic więcej nie napisze pan o Kairze?

- Kręciłem się tu i ówdzie i znalazłem świetny temat, ale cenzorzy kręcą nosem.

- Może nam pan opowie - zaproponował Piotr.

- Czemu nie? - odparł Wechsler. Lubił skupiać na sobie uwagę zebranych. - Posłuchajcie, chłopaki - powiedział klepiąc po ramieniu Darymple'a. - Ta historyjka pozostanie w podręcznikach, kiedy już wszyscy zapomną, kim był Rommel i Auchinleck.

- Słuchamy, słuchamy - zachęcił Wechslera Piotr.

- Powstanie państwo Izrael - oznajmił Wechsler. Wszyscy zwrócili się w jego stronę, rozmowy zamarły. - Żydzi w Palestynie zbroją się i szkolą armię, żeby odzyskać należne sobie miejsce na ziemi. Wielu z nich uciekło przed hitlerowcami z Europy. I będą walczyć. Oto jest moja historyjka.

- Czy w ten wyszukany sposób mówi pan o przerzucie broni z Egiptu? - spytał kpiąco Wallingford.

Wechsler uśmiechnął się.

- O tym także. Jak wiadomo, każdej armii potrzebna jest broń, a w Egipcie leży sobie ona na pustyni i czeka, żeby ją ktoś zabrał.

- Nie rozumiem, dlaczego ma pan kłopoty z cenzurą? - stwierdził książę Piotr.

- Tajemnica wojskowa - odparł Wechsler.

Darymple miał tej rozmowy dosyć. O pewnych rzeczach nie chciał nawet myśleć, a co dopiero o nich dyskutować. Przechodząc przez pokój usłyszał, że Wallingford wybucha śmiechem, rozbawiło go coś, co dorzucił Piotr. Czy Piotr zażartował na jego temat? Miał ochotę obejrzeć się, by sprawdzić, czy na niego patrzą.

Wally może brać udział w takich rozmowach, nie pracuje w sztabie wśród samych fisz, może sobie pozwolić na wysłuchiwanie obrazoburczych tyrad Wechslera. Wally często wyrażał się uszczypliwie o generałach, raniąc uczucia Darymple'a. Dziś starał się oczarować otoczenie. Widać doszedł do wniosku, że książę Piotr może mu być użyteczny. W szkole też się zawsze tak zachowywał, łąsił się do każdego, kto miał władzę. Straszne było z niego prosię. Przyjdzie dzień, kiedy Darymple powie mu parę słów prawdy. Ale jeszcze nie teraz.

Darymple wszedł do łazienki i zaczął myć ręce. W ten sposób uniknie tej dyskusji. Miał nadzieję, że kiedy wróci, zmieni się już temat rozmowy.

Ręce mył długo, jeszcze dłużej je wycierał. Ale wciąż zwlekał z powrotem. Przyglądał się zadziwiającej łazience księcia Piotra. Wielka marmurowa wanna ze srebrnymi kurkami, prześliczne stare lustro w barokowych ramach. Ciężkie różowe adamaszkowe draperie na ścianach. Na posadzce jedwabne kobierce. Toaletka, a na niej srebrne szczotki do włosów, cały zestaw olejków i płynów do nacierania. Darymple, już nie po raz pierwszy, pomyślał, że jest to łazienka żalostnego starego zboczeńca.

Kiedy Darymple wrócił do salonu, kapral grał jakąś melodię Gershwina na starym Bechsteinie Piotra. Kapral podszedł do fortepianu, by uniknąć rozmowy, która tak zbulwersowała Darymple'a. Wziął parę akordów, potem zaczął grać piosenkę „Wierzby zapłaczcie nam”. Nawet Darymple musiał przyznać, że kapral umie grać na fortepianie. Jeśli

już miał znosić obecność podoficera, to lepiej, żeby ten zabawił się w grajka i trzymał z dala. Nagle Jimmy Ross podniósł głowę i mrugnął do Darymple'a. Darymple zeszywniał, zmusił się do uśmiechu i szybko odmaszerował. Oto jedna z tych kłopotliwych sytuacji, na które naraża się człowiek spotykając się z podoficerami na gruncie towarzyskim.

Alice odkryła już, że Peggy West jest wprawdzie amatorką, lecz obdarzoną miłym sopranem i naprawdę utalentowaną. Teraz, kiedy okazało się, że mają świetnego pianistę, postanowiła namówić Peggy na występ. Peggy broniła się, Alice jednak nie ustąpiła. Peggy była przygnębiona, należało ją rozruszać.

- To bardzo ładna piosenka, ale dla mnie za trudna - powiedziała Peggy. Powiedziała to z roztargnieniem, widocznie myślała o czymś innym.

Od momentu kiedy po południu osaczyła ją ta manifestacja, zupełnie straciła kontenans. Nigdy dotąd nie przeżyła czegoś podobnego. Mieszkała tu od lat, świetnie radziła sobie z Egipcjanami, miała wśród nich wielu przyjaciół, tak mężczyzn, jak kobiet. A dziś wszystko się zmieniło. Tłum przeraził ją. Kiedy ją otoczył, doznała uczucia klaustrofobii. Ogłuszył ją krzyk, widziała tuż koło siebie spocone twarze, czuła odór ciał. Popychali ją, plując i wyrzaskując antybrytyjskie hasła.

Wróciwszy do domu Peggy wzięła kąpiel, długo leżała w wannie. Teraz wyglądała apetycznie. Sądziła, że ją to podniesie na duchu, ale tak się nie stało. Czuła się zbyt dotknięta i głęboko nieszczęśliwa. Dotąd uważała się za osobę wykształconą o liberalnych poglądach, dla której wszyscy mieszkańcy świata są sobie równi. Była dumna, iż jej stosunki z Egipcjanami świetnie się układają, zarówno w pracy, jak w życiu towarzyskim. O, tak, Peggy West to ktoś, kto lubi Egipcjan i dobrze ich rozumie. I nagle okazuje się to wierutną bzdurą. Podczas demonstracji zniechęciła otaczający ją tłum. Drżała o własną skórę i dużo by dała, aby znaleźć się w Anglii. Uczucie to wciąż nie chciało jej opuścić. Była w obcym kraju i nie życzyła sobie w nim umierać.

Stojąc przy fortepianie nie przestawała myśleć o manifestacji. Cóż, w końcu ci Arabowie nie byli aż tacy straszni, w gruncie rzeczy zachowywali się dobrodusznie. Popychali ją, lecz nie wyrządzili jej krzywdy. Nie, na ich twarzach wcale nie malowała się dzikość, były to po prostu twarze rozkrzyczanych ludzi. Nie przestawała jednak marzyć o powrocie do kraju.

Jimmy Ross powiedział:

- Znajdę coś odpowiedniego. - I zaczął grać „Słowik śpiewa na placu Berkeley”.

Wszyscy na nią patrzyli.

- No, Peggy, niech nam pani zaśpiewa - zachęciła ją jeszcze raz Alice. - Zrobi nam pani wielką frajdę. - Do Alice przyłączyła się reszta gości.

- Obiecałam Piotrowi, że zaparzę kawę. Jego służący nie potrafi jej zaparzyć po europejsku.

- Ja to zrobię, Peggy. A pani nam zaśpiewa. Peggy wciąż miała wątpliwości.

- Proszę wziąć ten duży błękitny dzban i...

- Niech się pani o nic nie kłopotuje.

Peggy wsłuchiwała się w melodię. Tę piosenkę śpiewała na gwiazdkowym dobroczynnym koncercie w Klubie Imperialnym i zaśpiewała ją tak świetnie, że poproszono ją o bis.

- Czy może pan to zagrać w Es? - spytała Peggy.

Jimmy zmienił tonację. Uśmiechnęła się do niego, by pokazać, że jest gotowa zacząć.

- „Może mam rację, a może nie” - zaśpiewała. Miała mocny czysty głos. Kiedy zaczęła śpiewać, poczuła ulgę.

Alice przysłuchiwała się, czekając, aż zagotuje się woda. Do kuchni poszedł za nią Harry Wechsler. Rozgadał się, szukał nowego audytorium.

- Kiedy w trzydziestym dziewiątym roku wybuchła wojna w Europie, towarzyszyłem japońskiej armii, bo wszyscy mówili, że wkrótce nastąpi decydujące uderzenie wzdłuż Jangcy. Moja agencja przeniosła mnie wkrótce do Berlina. No i co? Zaczyna się Bitwa o Anglię i na pierwszych stronach gazet pojawiły się artykuły naszego londyńskiego korespondenta. Zdecydowałem się pisać o Rommlu, ale niemieckie ministerstwo propagandy zwlekalo wiele tygodni z udzieleniem mi akredytacji. Wściekam się, a tu Hitler napada na Rosję, tyle że ja już jestem w drodze do Rzymu. Czekam w Rzymie na samolot do Trypolisu, a tymczasem Żółtki bombardują Pearl Harbor. Widzi pani, jakiego miałem pecha?! Lepiej bym zrobił, gdybym został z Żółtkami nad Jangcy. Oto historia mego życia, złotko. - Odsunęła go, by podejść do pieca, on zaś napił się wina.

Alice obejrzała się przez ramię i oświadczyła kpiąco:

- No i na koniec, kiedy kairsy dygnitarze pozwolili panu pojechać na front, złapał pan bakcyła.

Objął ją ramieniem.

- No, właśnie. Jak się pani wydaje - w czym pobłądziłem?

- Zanadto się pan wysila, panie Wechsler - oświadczyła wymykając się z jego objęć i nalewając do dzbanka gorącą wodę, by się rozgrzał.

Z pogodną miną przyjął odprawę.

- Mam na imię Harry - powiedział. - Może pani ma rację. A swoją drogą mogę pani powiedzieć jedno - Ameryka ma tyle kłopotów z Japończykami, że nie będzie się przejmować, iż Brytyjczycy pozwolą Hunom odebrać sobie na pustyni w Afryce parę wiosek.

- Czy to oznacza, że zamierza pan wyruszyć na Pacyfik?

- Nie. - Wechsler nachylił się i powąchał kwiaty. - Jak już mówiłem, tu dzieje się wiele rzeczy, o których da się napisać, cały ten nacjonalizm arabski, kolonializm brytyjski, próby utworzenia żydowskiego państwa, ekspansjonizm hitlerowski. Wszyscy będą walczyć z wszystkimi. I to będzie trwać i trwać.

- Mam nadzieję, że nie, panie Wechsler.

- Muszę tylko spojrzeć na to wszystko z właściwego punktu widzenia... Te kwiaty wcale nie pachną... dlaczego?

- Ano, nie pachną.

- I mają kolce.

- „Nie uskarżaj się, że róża ma kolce, raduj się, że krzak kolczasty różami zakwita”.

- Wspaniale! Teraz to pani wymyśliła?

- Cytat z Koranu - wyjaśniła Alice.

- Tak? Podoba mi się. Muszę go umieścić w mojej następnej korespondencji. - Wątpił, czy to zrobi, zauważył jednak, że ludzie lubią, kiedy im się takie rzeczy mówi, przyjmują to jako komplement.

Alice była jeszcze w kuchni z Harrym Wechslerem, kiedy służący Piotra otworzył drzwi sierżantowi, który miał pilną wiadomość dla kaprała Cutlera. Ma zaraz zejść do holu. Chodzi o ważną sprawę.

Kiedy umilkła piosenka i rozległy się uprzejme oklaski, księżę Piotr przekazał tę wiadomość Jimmy'emu.

- Wzywa pana obowiązek, panie kapralu. Przyszedł po pana sierżant. Mam nadzieję, że za tydzień znów pana zobaczę. Przepraszam za stan fortepianu, trudno teraz znaleźć stroiciela.

- Dziękuję - powiedział Jimmy Ross. To nagłe wezwanie zaniepokoiło go, usiłował jednak tego po sobie nie pokazać. - Z przyjemnością grałem znów na prawdziwym fortepianie.

- Czy pan coś przeszkrobał? - spytała niespokojnie Peggy. Wiedziała, że kiedy jakiegoś kaprała wzywa się pilnie do koszar, rzadko czeka go coś przyjemnego.

- Niech pani powie Alice, żeby się nie martwiła. To na pewno jakiś drobiazg - powiedział do Peggy. Pocieszał się, że nie może to być nic złego, bo wówczas weszliby na

górze, by go aresztować. Ale z drugiej strony wiedzieli, że innego wyjścia tu nie ma, więc mogliby spokojnie czekać w holu.

- Czyżby zostawił pan na wierzchu taśmy do maszyny? - zawołał kpiąco Darymple. - Niech się pan nie martwi, panie kapralu. Zajmę się Alice.

Ross uśmiechnął się. Rozejrzył się za Alice, nigdzie jej nie zobaczył, wszyscy jednak bacznie go obserwowali, uklonił się zatem i wyszedł.

Zbiegł już dwa piętra w dół, gdy Peggy zobaczyła, że zostawił na fortepianie srebrny ołówek. Pospieszyła za nim, słyszała na schodach stukot jego podkutych butów.

Ale Ross spieszył się i gdy Peggy stanęła na najwyższym podeście, witał się już z sierżantem w holu. Sierżant stał z przerzuconą przez ramię kurtką oficerską.

- Co się stało, sierżancie?

- Poważna sprawa, sir - odpowiedział sierżant. - Kapitan czeka na pana w samochodzie. Wszystko panu wyjaśni. - Wyszli.

- Bert! - zawołała Peggy. Ale kiedy zeszła po schodach i znalazła się na ulicy, byli już o pięćdziesiąt metrów od niej. Ross wsiadał pospiesznie na przednie siedzenie Austina. Sierżant w ostatniej chwili wskoczył z tyłu nie wypuszczając z rąk kurtki.

Peggy przez chwilę stała w wieczornym zmierzchu. Biedny Bert Cutler, pomyślała, co oni z nim zrobią. Wydało jej się, że kierowcą był kapitan Marker, ten, który przeprowadzał rewizję na barce Salomona, a potem odwiózł ją tutaj, by skontrolować jej dokumenty. Ale może się myliła, było już bardzo ciemno.

11

- Mamy straszny klops! - oznajmił Lionel Marker naciskając na gaz. Marker lubił jeździć po zatłoczonych ulicach. Bawiło go sprawdzanie własnej sprawności.

Jimmy Ross mruknął coś i wczepił się rękami w siedzenie. Nasłuchał się już o tych zamięłowaniach Markera.

- Dalekopis niczego jeszcze nie wyrzucił, sir. Ale wygląda na to, że kazaliśmy królowi zmienić rząd, a on stanął dęba i chce abdykować. Przyleciał nasz brygadier. Mówi, że w sztabie wrze. Będzie czekał na nas pod pałacem. Chce z panem majorem porozmawiać.

- Przyniosłem panu kurtkę, sir - wtrącił siedzący z tyłu sierżant. - Przysłał ją dziś po południu krawiec - i podał nową mundurową kurtkę z dystynkcjami majora.

- Tak, włożę ją - odpowiedział z westchnieniem ulgi Ross. A więc czeka go wreszcie spotkanie z brygadierem. Dobrze się składa, że nie będzie musiał stawić się w mundurze kaprała i tłumaczyć, że jest on mu niezbędny w prowadzeniu jakiegoś nie istniejącego śledztwa. Wziął kurtkę, włożył ją i zapiał. Sierżant podał mu pas z rewolwerem w kaburze.

- Oficerowie muszą przy takich okazjach nosić broń - wyjaśnił sierżant. Sierżanta Ponsonby'ego przydzielono Rossowi jako kancelistę. Wyglądał jak chytry stary diabeł, ale można było na nim polegać.

- Dziękuję, sierzancie.

- Wiedziałem, że się tak stanie, sir - ciągnął Marker. - Wiedziałem. Lampson uparł się, by znów wróciła do władzy partia Wafd. - Ulice były zatłoczone. Z przecznicy wyszedł osioł. Osioł zaryczał, kiedy Markerowi w ostatniej chwili udało się zahamować. - Przepowiadałem to - powtórzył Marker.

Rossowi zaparło dech. Trzech starców chwyciło osła i zaczęło im wygrażać.

- Tak? - spytał Ross udając spokój. - To poprosiłbym, żeby mi to pan najprostszymi słowami wytłumaczył.

Marker wziął głęboki oddech.

- Cóż, z tego gnojka Lampsona był zawsze straszny rozrabiaka. A w londyńskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych nikt nie rozumie, o co tutaj chodzi. Ci faceci zachowują się tak, jakby nie minęły czasy, kiedy wystarczyło przysłać krążownik. Nie chcą słuchać głównodowodzącego i przyjąć do wiadomości, że armia ma dosyć roboty z powstrzymaniem Rommla i nie może dodatkowo ponosić konsekwencji ich dyplomatycznych pomyłek. Nasz niewielki garnizon nie poradzi sobie z milionami rozjuszonych Egipcjan, zwłaszcza że równocześnie musi prowadzić wojnę.

A więc to było powodem poruszenia Markera. Okay, zatem nie odkryto jeszcze, że major Cutler nie żyje. Marker chce tylko dać upust swojemu gniewowi, który wzbudziła w nim działalność ambasady. Ross był w stanie to zrozumieć, w razie potrzeby może wygłosić podobną tyradę.

- Czy nie ma pan papierosa, sir?

Ross sięgnął do kieszeni, wyjął paczkę i podał mu papierosa. W ciągu ostatnich paru dni dużo się o Egipcie naczytał i parokrotnie wypytywał Alice.

- Ale na czym polega problem? Lampson chce, żeby rządy objął Wafd, a Wafd jest popularny - przecież to nacjonaści. I w tym kraju to najpotężniejsza partia.

- Przestanie jednak być popularna, jeśli dojdzie do władzy dzięki brytyjskim bagnetom - oświadczył Marker wyjmując z kieszeni zapalniczkę.

- Nie bardzo się w tym wyznaję - powiedział Ross. Kiedy stawiano mu niewygodne pytania, odpowiadał, że w Szkocji był inspektorem policji, a praca w policji oznacza, że nie wolno zajmować się polityką. Jednakże Alice poinformowała go, że tu w Egipcie polityka rządziła jego departamentem. Nie dało się jej uniknąć. Według Alice Marker miał politycznego niucha. Wiedział, co piszczy w trawie. Twierdziła, że nawet brygadier, choć kręciło się wokół niego pełno sztabowych doradców, często zwracał się do Markera, prosząc o naświetlenie niektórych wydarzeń.

Marker zręcznie zapalił papierosa posługując się tylko jedną ręką.

- Oficjalna polityka brytyjska w Egipcie starała się zawsze nie dopuścić do porozumienia króla z głównymi siłami politycznymi kraju. I dzięki tej taktyce Wielka Brytania zachowywała swą potęgę.

- Więc jak według pana zachowa się król?

- Lampson to oszalały mściwy głupiec. Wydawał królowi rozkazy i przewróciło mu się w głowie. Teraz, jeśli król abdykuje, zechce odgrywać rolę imperatora. Powinniśmy się przygotować na najgorsze.

- Na rozruchy?

- Mam nadzieję, że ktoś pilnuje egipskiej armii. Jest wyposażona w ciężką broń.

- Jezu Chryste! Myśli pan, że może do tego dojść?

- Czemu nie? Niezależnie od tego, co egipscy żołnierze prywatnie myślą o swoim królu, jeśli armia uzna, że my wysadziliśmy króla z siodła, potraktuje to jak policzek. No i wtedy ruszą agitatorzy. Niech żyje Rommel!

- A król bardzo podniósł pobory armii. To było świetne posunięcie. Marker spojrzał na niego z uznaniem. Ten nowy major pilnie odrabia lekcje.

- Król Faruk nie jest głupi - oświadczył. - Ten grubas ma więcej sprytu niż całe stado małą. Lampson bardzo się co do niego myli.

Wjechali na Midan Abidin, wielki plac przed Pałacem Abidin. Stali tu grupkami żołnierze i policjanci. Panował spokój, z dala od pałacu zaparkowano dyskretnie trzy brytyjskie wozy pancerne. Niezwykłe było tylko to, że świeciło się we wszystkich oknach pałacu. Przez jedno okno było widać, że służba przestawia meble.

Policja zablokowała niewątpliwie wszystkie prowadzące na plac ulice, niemniej paru Arabów handlowało tu jakimiś drobiazgami. Wszędzie potrafili się wcisnąć; nawet w Kwaterze Głównej, gdzie wszystkich wejść strzegli uzbrojeni żandarmi, na wyższych piętrach grasowali arabscy przekupnie. Oficer odpowiedzialny za bezpieczeństwo miał beznadziejne zadanie.

Trzej mężczyźni zaczęli rozglądać się za brygadierem, nigdzie nie było go widać. Dojechali na róg Szari al Bustan. Stały tam dwie furgonetki koloru khaki i ciężarówka, w której ciemnym wnętrzu siedzieli w nienaturalnej ciszy brytyjscy piechurzy. Ciężarówka stała w poprzek tramwajowych szyn prowadzących na plac.

- Na placu Abidin, tuż koło wysokich sztachet, stało kilkunastu brytyjskich oficerów pograżonych w rozmowie. Wszyscy mieli w kaburach rewolwery. Przed bramą pałacu oprócz zwykłych wartowników stało kilku egipskich policjantów w czarnych wełnianych zimowych mundurach.

- Niech pan spojrzy, sir - powiedział Marker. - Ten chudy jak tyka porucznik nazywa się Spaulding. Pracuje w biurze brygadiera. Mówiono mi, że był wykładowcą na uniwersytecie. Jest gotów na wszystko. Niech pan na niego uważa, to straszliwy lizus, a brygadier uważa go za gwiazdę pierwszej wielkości. - Opisany przez Markera oficer stał przy jednym ze sztabowych wozów. Podjechali.

Ross wysiadł z samochodu i powiedział możliwie niedbałym tonem:

- Wspaniały wieczór. Czy może mnie pan, poruczniku Spaulding, poinformować, o co tu właściwie chodzi?

Porucznik Spaulding miał na głowie stalowy hełm i przytroczoną do pasa kaburę. Rzeczywiście robił wrażenie człowieka nadgorliwego. Cóż, zdarzają się ludzie, którzy w wojsku czują się jak ryby w wodzie. A może zresztą wojsko nie różni się zbyt od klasztornego światka uniwersyteckiego?

Porucznik Spaulding zsalutował z precyzją i energią sierżanta Gwardii. Powiedział:

- Tak, sir. Będzie to pamiętny wieczór, sir. Czy wie pan, sir, jak wygląda sytuacja w pałacu? - Oczywiście Spaulding miał na myśli to, czy jego major orientuje się, co o sytuacji w pałacu myśli on i jego koledzy.

- Nie, nie wiem - odparł Ross. Okazało się, że wspaniale jest być majorem. Mówił to samo, co zwykle, ale teraz wszyscy odnosili się do tego z szacunkiem.

Może do porucznika też dotarła uroda nocy - powietrze było chłodne i jedwabiste, a na fioletowym niebie zabłyśły niezliczone gwiazdy - w każdym razie uśmiechnął się i powiedział normalniejszym tonem:

- Ambasador Lampson złożył królowi ultimatum. Termin ultimatum wygasł o osiemnastej zero zero. Król naradza się teraz z politykami. Postanowił abdykować, ale nikt nie wie, na czyją korzyść.

- Jak brzmiało to ultimatum? - Ross spojrział na Spauldinga: niby wszystko było w porządku, mundur był nawet niezłe dopasowany, Spaulding jednak należał do ludzi, którzy, żeby nie wiem jak się starali, nigdy nie wyglądają jak żołnierze.

- Królowi zakomunikowano, iż ma powierzyć uformowanie nowego rządu partii Wafd. Londyn ma już dość tej obecnej bandy.

- A jeśli król odmówi?

Na twarzy Spauldinga pojawił się powściągliwy uśmiech pedanta.

- Odmówił. Termin ultimatum upłynął o osiemnastej.

- No i co teraz?

- Lampson poprosił o audiencję i lada chwila się pojawi. O ile wiem, przyjedzie z nim generał Stone. I zmuszą króla, by podpisał akt abdykacji.

- I co wtedy?

- Będą chcieli, żeby armia od razu eskortowała go na lotnisko, gdzie czeka samolot RAF-u. Nie wiem tylko, dokąd mają go zawieźć. Pewnie do Sudanu...

- Ładna historia - szepnął Ross. - Czy to nasi ludzie? - wskazał na ciężarówkę.

- Nie. Nie ma tu nikogo poza nami. Brygadier nie pozwolił użyć naszych ludzi, to zbyt publiczna sprawa. Przyproważyłem z koszar pluton żandarmów w czerwonych czapkach, żeby odwalili brudną robotę. Zostawiłem ich chwilowo na Szari al Bustan. - Zdjął stalowy hełm i chusteczką wytarł czoło. Żałował, że go włożył, teraz nie ma wyjścia, musi w nim paradować.

- Dobrze - bez entuzjazmu pochwalił Ross. - Cóż, zanosi się na długą noc.

- Święte słowa, majorze Cutler - usłyszał niski głos, przewlekłe wymawiający każdy wyraz. Był to właśnie brygadier Służb Specjalnych Kwatery Głównej. Wrócił z inspekcji oddziału żandarmerii, który Spaulding ukrył na sąsiedniej ulicy. A zatem widzi nareszcie człowieka, o którym tyle słyszał. Brygadier robił wrażenie dobrego wujaszka. Wielki niedźwiedziowaty mężczyzna. Wyglądało na to, że długa służba w tropikach rozrzedziła mu krew. Nawet w ten wyjątkowo ciepły wieczór miał na sobie zapięty szynel i ciepły wełniany szalik. Obaj oficerowie zsalutowali, a on odpowiedział machnięciem laski.

- Nareszcie się spotykamy, majorze Cutler. Ci cholerni cywile zgotowali nam niezły pasztet. Niech pan to sobie dobrze zapamięta! - Spojrzął na zegarek.

- Tak jest, sir.

- Ten przeklęty Lampson nawet nie mówi po arabsku. Nie rozumiem, dlaczego Winston go tu trzyma. - Znów spojrzął na zegarek. - O której ma wrócić Lampson? - spytał Spauldinga.

- O dwudziestej pierwszej zero zero, sir.

- No to lada moment - powiedział opryskliwym tonem. - Dziś wszyscy w sztabie siedzieli jak na szpilkach. W pokoju z mapami zabrakło pinezek. - Roześmiał się na znak, że żartuje. - Jeśli wkrótce nie zatrzymają Rommla, to gotów pojawić się na tarasie „Shepherdarda” i wypić nam resztkę piwa Stella.

Cały Kair powtarzał ten żarcik. Ross nie był pewny, jak zareagować na to, co brygadier dawał do zrozumienia: oto my dwaj ramię w ramię walczymy z całym światem. Czy miał przytaknąć, czy zaprzeczyć? Skinął głową i odchrząknął.

- Wygląda na to, że Auk pozbędzie się Ritchie’ego - oznajmił brygadier, chcąc pokazać swoim niższym rangą oficerom, że jest wtajemniczony w to wszystko, co dzieje się na najwyższym szczeblu.

- Czy uda nam się ich zatrzymać?

- Pod Gazalą? Tak, mam nadzieję. Ritchie’ego rzeczywiście należy wyrzucić. Nikt już w niego nie wierzy.

Ross spojrział na Spauldinga, ale wzrok Spauldinga powiedział mu, że to on powinien zabrać głos. Spytał więc:

- Czy dobrze wpłynie na morale armii, jeśli się zdymisjonuje jej głównodowodzącego?

Brygadier spojrział na niego i uśmiechnął się. Ten nowy major nie jest głupi, cóż, zdarzają się sprytni cywile.

- Pewnie mu się tak wydaje, co?

- Tak jest, sir.

- O, nadzieją. Ten nieszczęśnik jest przynajmniej punktualny.

Na plac wjechał sztabowy wóz Lampsona, a za nim drugi samochód z wyższymi urzędnikami ambasady. Potem cztery wozy pancerne i trzy ciężarówki pełne uzbrojonej piechoty.

Brama pałacu była zamknięta. Orszak zatrzymał się. Wartownicy egipscy stali o parę kroków od niej. Brytyjski oficer podszedł i potrząsnął bramą. Tak, była zamknięta na klucz. Podszedł do samochodu po instrukcje i widać je otrzymał, bo zaraz wrócił. Wyjął Webleya i przestrzelił zamek. Strzały odbiły się echem. Pchnął bramę, zazgrzytał metal. Najpierw wjechał wóz pancerny. Kierowca wziął zbyt ostry zakręt i wyrwał kawałek bramy.

Potem wjechała limuzyna Lampsona, siedzący w niej mężczyźni wysiedli. Lampson wyminął pancerny wóz i ruszył w stronę drzwi pałacu. Kiedy znalazł się przed nimi, otworzyły się i Lampson wszedł.

Brygadier wpatrywał się w niego.

- Panowie, to historyczny moment. - Odczekał chwilę, by wywołać spodziewany efekt, podszedł do jednego z wozów pancernych i wdał się z kimś w rozmowę.

Zabrał głos porucznik Spaulding:

- Jakże to dziwne, że w Kairze jest akurat Sir Walter Monckton. To on przygotował akt abdykacji księcia Windsoru. A teraz kazali mu przygotować akt abdykacji Faruka.

- Skąd się tu wziął?

- Zbieg okoliczności. Wycierał stołek w jednym z tych biur, w których ponoć prowadzi się prawdziwą wojnę. Jeśli się nie mylę, jego pełny tytuł brzmiał Generalny Dyrektor Brytyjskiego Biura Propagandy i Informacji.

- Poruczniku Spaulding, czyżbym słyszał w pana głosie nutę cynizmu?

- Bynajmniej, sir. Każdy służy, jak umie.

Ross uśmiechnął się; okazuje się, że majorowi przysługuje nie tylko prawo do lepszego wyżywienia i mieszkania, ale także do słuchania żarcików na wyższym poziomie.

Generał wrócił przynosząc dobre wieści.

- Lamptonowi udało się. Abdykacja nie nastąpi. Król zgodził się powierzyć rząd Wafdowi. Więc tej nocy uda nam się jednak przespać. Urlopy i przepustki są nieważne, wszyscy żołnierze mają być w koszarach. Podwoi się patrole uliczne i skontroluje wszystkie burdele. Noc powinna upłynąć spokojnie. Zobaczymy, co zdarzy się jutro.

Laską dotknął ramienia Rossa, a potem machnął nią wskazując, że Ross ma pójść za nim. Marker mówił, że brygadier lubi się posługiwać gestami. Plotka głosiła, iż zaczął swą wojskową karierę w plutonie łączności za czasów, kiedy posługiwano się jeszcze chorągiewkami sygnalizacyjnymi.

- Mam do pana parę słów, niejako prywatnie, majorze Cutler.

- Tak jest, sir.

- Wiem, że ma pan własne metody zaczerpnięte żywcem z opowieści rycerskich. Przyprawia pan sobie brodę i wdrapuje na minarety.

- Tylko wówczas, kiedy jest to niezbędne - odparł Ross. Brygadier ciągnął dalej, zupełnie, jakby go nie słyszał.

- Tak jak ten Lawrence z Arabii podczas ostatniej wojenki. Świetnie! Słyszałem, że pochowano go w Opactwie Westminster. Albo w katedrze Św. Pawła. Ale chciałbym, żeby wbił pan sobie do głowy parę rzeczy.

- Tak jest, sir.

- Londyn, a zdarzało się, że nawet sam Winston próbował się naszemu staremu dobierać do skóry. Winston ma już dosyć wygłaszania tych przemówień, które mu tak świetnie wychodzą. Wie pan, jesteśmy przyparci do muru itd. Chciałby móc mówić o zwycięstwach na morzu i na lądzie. Bardziej by to pasowało do jego kwiecistego stylu. - Brygadier zaśmiał się, by pokazać, że jego krytycyzm nie dotyczy premiera, ale tylko literackich wypocin tego wielkiego człowieka.

Ross nie odpowiedział. Usiłował zgadnąć, co nastąpi, jednakże tego wieczoru brygadier zaskakiwał go co chwilę.

- Widzi pan, Cutler, musimy się z tą sprawą pospieszyć. Nie żądam od pana cudów, ale - tu zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu - Londyn zna z nasłuchu każde słowo instrukcji, które Berlin nadsyła Rommlowi. Każde słowo.

Brygadier na chwilę zamilkł i ciągnął dopiero wówczas, gdy upewnił się, że major słucha go z najwyższą uwagą.

- Bardzo mi przykro, że się z panem dotąd nie zobaczyłem, wiedziałem jednak, że wszystkie informacje znajdzie pan w tajnych aktach swego poprzednika. Więc pan wie, że Rommel dowiaduje się o każdym posunięciu naszego starego. Wie, gdzie stacjonuje każdy baon czołgów, każdy batalion piechoty, wie nawet, gdzie urządzamy przenośną łaźnię i odwyszalnię! - Umilkł i pokiwał z zadumą głową.

Ross milczał. Marker ostrzegł go, by nie przerywał brygadierowi. Brygadier lubił powtarzać wszystko parę razy. Zresztą w wojsku należało to do zwykłych metod.

- Tak - powiedział generał. - Rommel jest poinformowany o najdrobniejszych szczegółach ruchów naszych wojsk. Ktokolwiek go informuje, informuje go prawdziwie. I te informacje pochodzą z Kairu, dotyczą także wielu rzeczy, o których Londyn nic nie wie. Jeśli szybko nie wyświetlimy sprawy, to dostanę po łbie.

- Tak jest, sir. - To właśnie wyczytał z akt. I tego właśnie według słów Markera mógł oczekiwać z ust brygadiera.

- Dobrze. To te Egipcziuchy, prawda?

- Nie rozumiem, sir.

- Egipska armia. To chyba jasne. Mogą to być tylko oni.

- Nie jestem tego taki pewny, sir.

- To pan jest detektywem, Cutler. Ja jestem zwykłym żołnierzem. Ale chyba pan widzi, że ten ktoś ma dostęp do dokumentów brytyjskiej armii. Nie jest to żaden z naszych ludzi. W sztabie prześwietliliśmy wszystkich, którzy mają dostęp do takich informacji. Wykluczone. Musi to być ktoś z zewnątrz. I na pewno nie jest to pojedynczy szpieg, muszą

mieć całą siatkę. No więc kto, jeśli nie ci faceci z egipskiej armii? Wiemy przecież, że pragną zwycięstwa Rommla, sami to mówią.

- Wezmę to pod uwagę, sir.

- Słyszałem, że ma pan jednego z tych Egipcziuchów na oku, prawda?

Chodziło mu oczywiście o Saida. Ross zastanowił się, czego jeszcze dowiedział się o nim brygadier na tym swoim polowaniu na kaczki.

- Tak jest, sir. Ale to jeszcze trzeba rozpracować. Brygadier przeciął powietrze ciosem laski.

- Nie musi pan zapinać wszystkiego na ostatni guzik, panie majorze. Nie stanie pan na sali sądowej w krzyżowym ogniu pytań jakiegoś złośliwego adwokacyny. Pokaże nam pan palcem tego, kogo pan uważa za winnego, a my się nim zajmiemy.

- Tak jest, sir.

- Tu się to inaczej załatwia.

- Tak jest, sir.

Brygadier nie dał jeszcze za wygraną. Uważał, że jego podwładny nie do końca uświadamia sobie, jak się mają sprawy.

- Król Faruk zrozumiał, gdzie leży jego interes. Jutro upadnie rząd, a nowy rząd uformuje Wafd. I da szkołę członkom starego. Część znajdzie się w mamrze, a innymi pożywią się rybki w kanale. Pod koniec przyszłego tygodnia na wiele nowych kont bankowych wpłyną łapówki, Egipt będzie miał stabilny rząd, a my zajmiemy się wojenką. - Znow laska zaatakowała powietrze. - Ale w tym zamieszaniu może nam się udać dopaść tych facetów, których szukamy. Jeśli trzeba będzie zapłacić komuś, by wypełnił swój obowiązek, to proszę się nie wahać.

- Tak jest, sir.

- Wie pan, co chcę przez to powiedzieć?

Ross podejrzewał, że brygadier proponuje mu przekupienie świadków, ale nie był tego pewny.

- Muszę powiedzieć, że tutejsza korupcja bardzo utrudnia moje zadanie.

- Nonsens, Cutler. Nie wolno tak na to patrzeć. Nie wolno patrzeć na korupcję egipską oczyma Anglika. To zupełnie tak, jakby pan patrzył na pijaństwo Anglika oczyma muzułmanina.

- Zapamiętam to sobie, sir. - Doszedł do wniosku, że nie powie brygadierowi, iż nie jest Anglikiem, lecz Szkotem. Choćby starał się to jakoś delikatnie wyrazić, mogłoby zostać źle przyjęte.

Brygadier pociągnął nosem i zaatakował go:

- Pan zdaje się wcale nie wierzy, że to Egipcjacy?

- Rozważam wszystkie możliwości, sir.

- Ale przyzna pan chyba, że tu chodzi o całą szpiegowską siatkę? Ross wiele godzin spędził nad aktami.

- Niemniej, niekoniecznie jest to wywiad armii egipskiej. W tym mieście działa wiele siatek szpiegowskich. Włosi, Francuzi z Vichy, Grecy i palestyńscy Żydzi mają w Kairze i Aleksandrii duże grupy narodowościowe. Oficjalnie i nieoficjalnie. I każda z tych grup zbiera informacje. Można to uznać za szpiegowskie siatki.

Brygadier był dotąd przekonany, że jego teoria jest jedynie słuszna. Teraz zaczął mieć wątpliwości. Zamrugał oczami, jakby go ktoś uderzył.

- I pan ich wszystkich śledzi?

- Tak jest, sir.

- No, głowa do góry, Cutler. Nie mógłby pan marzyć o bardziej wyrozumiałym i nierygorystycznym szefie, prawda?

Ach, więc brygadier tak siebie ocenia...

- Tak jest, sir. Nie mógłbym, sir.

- Niech pan patrzy! Lampson wraz ze swą żoną już wychodzi z pałacu. To wielka sztuka obracać się wciąż wśród królów i zachować tak pospolicie wygląd.

12

Koszary Bab-al-Hadid był to dziwaczny trzypiętrowy gmach zbudowany jak mały zamek krzyżowców: blankowane mury i masywna kwadratowa baszta. Wychodził na plac przed dworcem kairskim, więc co dzień oglądały go tysiące podróżnych. Za to bardzo niewiele osób poza Biurem Śledczym Armii, Wojskową Służbą Bezpieczeństwa, żandarmami i więźniami oglądało wnętrza tej imponującej budowli przy Szari Malika Nazli.

Gabinet, w którym królował obecnie Jimmy Ross, był dużym wysokim pokojem z elektrycznym wiatraczkiem i dwoma oknami. Z jednego widać było plac i dworzec. Z drugiego dachy Bulaku, obskurnej dzielnicy, do której Europejczykom rzadko zdarzało się zaglądać. Gdy spojrzano się w dół, widać było plac musztry, koło budki strażniczej leżały worki z piaskiem. W suterenach mieściły się cele, ostatnio wzmocniono wszystkie drzwi, bo w czerwcu pięciu zakutych w kajdanki austriackich żołnierzy wyjęło drzwi z zawiasów i

uciekło ciężarówką. Dziś plac był pusty, stała na nim tylko wielka limuzyna marki Humber i dwa Austiny Tilly - kryte płótnem samochody terenowe. Jeden z nich przydzielono majorowi Cutlerowi i Jimmy Ross jeździł nim z prawdziwą satysfakcją.

Wciąż powtarzał sobie, że powinien zniknąć, ale nie mógł się na to zdecydować, żyło mu się tu bardzo przyjemnie. Rozkoszował się każdą chwilą spędzaną z Alice, w jej towarzystwie dowiedział się o sobie wielu rzeczy. Czy oznaczało to miłość? Ale nie tylko owo zakochanie wpłynęło na to, że co dzień tu powracał. Widać jednak miał w sobie coś z aktora. Albo po dziecinnemu cieszył się, że udaje mu się wszystkim wywieść w pole. I zbyt wielką przyjemność sprawiało mu odgrywanie roli szefa, dotychczas był nikiem. Tak czy owak, brnął dalej, wciąż starając się wypaść jak najlepiej. Tylko aktor mógłby zrozumieć, jakie to było wyzwanie. Nie miał odgrywać autentycznego Cutlera, miał stworzyć postać tego człowieka zgodną z oczekiwaniami publiczności.

Usiadł w fotelu i przybrał poważny wyraz twarzy słuchając codziennego sprawozdania kapitana Markera. Jimmy Ross miał szczęście, jego bezpośredni przełożony, brygadier, urzędował w Kwaterze Głównej w Mieście Ogrodów z drugiej strony miasta. To dawało mu ogromną niezależność. Przyjemnie było marzyć, że uda mu się dokonać cudu i złapać tego szpiega Rommla. Chwilami wydawało mu się, że jest na najlepszej drodze.

Kiedy Marker skończył, zapytał go:

- No i jakie wyciąga pan z tego wnioski, kapitanie Marker?

Do codziennych obowiązków Markera należało przejrzanie wszystkich napływających dokumentów. Pochodziły one z najrozmaitszych źródeł - poczynając od ambasady, a kończąc na ostatnich konfidentach arabskich. Dziś było to ciężkie zadanie. Od chwili gdy Brytyjczycy zajechali do pałacu pancernymi wozami, by upokorzyć króla, w Kairze panowała napięta atmosfera. Po mieście krążyły najróżniejsze pogłoski. Konfidenti donosili o najrozmaitszych wariantach spisków mających na celu rozprawienie się z brytyjską okupacją. Marker dorzucił:

- Odbyło się kilka niewielkich i źle zorganizowanych demonstracji. Meczet Amr obwieszono anty brytyjskimi hasłami. Po mieście krążą grupki agitatorów. Wojsko znajduje się w stanie gotowości, ostrzeżliśmy wszystkich Europejczyków, żeby w miarę możliwości nie wychodzili na ulicę.

- Dzwonił Spaulding i powiedział, że zamknięto Królewski Klub Automobilowy - oznajmił Ross. - Pewnie się tam wybierał na lunch.

- I zaaresztowano prezesa klubu, księcia Omara Faruka. Nowy rząd oświadczył, że klub ten był siedliskiem niebezpiecznych ugrupowań politycznych.

- Spaulding mówi, że król bardzo ten klub lubił.
- Tak, król na pewno będzie wściekły. - Marker wytarł nos.
- Zaziębił się pan?
- Nie, to kurz.
- Jeśli cała ta rozróża na ulicach ma na celu wyrażenie poparcia dla króla, to nie musimy się przejmować.
- Tyle, że w ten zakamuflowany sposób krzyczą: „Precz z Brytyjczykami”.
- Cóż, lepiej, żeby otwarcie dawali wyraz swoim uczuciom. Ale czy nie moglibyśmy przeszkodzić nowemu rządowi w aresztowaniu polityków i działaczy związkowych? To może doprowadzić do prawdziwych rozruchów - oświadczył Ross. - Czy wie pan, komu teraz chcą powierzyć te stanowiska?
- Swoim pociotkom. Braciom, synom, przyjaciółom i tym wszystkim, którzy gotowi są za to zapłacić. Chcą szybko dojść do pieniędzy. Wafd musi sobie powetować tych pięć chudych lat, kiedy był w opozycji.
- Ładna historia.
- Ci faceci idą na całość - odparł Marker. - Zdarzyło się już wiele nieszczęśliwych wypadków.
- Co dziś rano mówiło się w ambasadzie? - spytał Ross.
- W kółko te same bzdety. Partia Wafd od 1936 roku jest wypróbowanym sojusznikiem Wielkiej Brytanii itd., itd.
- Więc my mamy wobec tego pozwolić wyprawiać Wafdowi, co mu się żywnie podoba?
- Cóż, to ich kraj.
- Niech pan nie będzie taki cyniczny, kapitanie Marker. A dlaczego robi się tyle szumu wokół tego Abd-al-Hamida Szarifa?
- Wafd chce wyrzucić głównodowodzącego armii egipskiej. Zamierza upolitycznić wojsko. A to może nam bardzo utrudnić życie. Lampson nie wie, co robić.
- Hm - mruknął Ross przypominając sobie przeczytane przed chwilą sprawozdanie - obawiam się, że Wafd zechce tak samo postąpić z wykładowcami w al Azhar. A wtedy nastąpi bunt studentów.
- Marker podniósł do góry brwi. Ross doszedł do wniosku, że jest to oznaka uznania.
- Ale wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. Co z Abd-al-Hamidem Szarifem?

- On się nam otwarcie przeciwstawia. Opracowuje petycję w sprawie faszystowskiej ingerencji władz brytyjskich, zagrażającej egipskiej demokracji. Zapowiada, że pośle ją do wszystkich neutralnych ambasad w Kairze.

- Sprytne posunięcie. Niech pan się dowie szczegółów - pan zrobi to lepiej niż ja. Brygadier na pewno będzie się mnie o to wypytywał.

- Dziękuję, sir.

- Przepraszam pana, Lionel, ale ktoś musi się tym zająć, a mnie brygadier wciąż pogania, żebym szukał szpiega Rommla. Niech pan doda do swojej listy Abd-al-Hamida Szarifa i informuje mnie o nim na bieżąco. Jak pan myśli, co teraz nastąpi?

Kapitan Marker westchnął.

- Wszystko to, czemu Lampson chciał ponoć przeszkodzić. Partia Wafd straci poparcie efendijja, studentów i młodszych oficerów. Burżuazja będzie jeszcze bardziej antywafdowska. Za to król Faruk uzyskał popularność, o której nie mógł marzyć.

- Ma pan coś jeszcze?

- Niestety obawiam się, że z Wieczoru Poezji Burnsa będą nici. - Marker podał Rossowi kartkę papieru. Widząc jego zdziwiony wzrok, dorzucił: - Prosił pan o listę Szkotów. Mamy ich bardzo niewiele.

- Ach, tak - szepnął Ross. Bojąc się, żeby nie wpaść na któregoś z dawnych kolegów Alberta Cutlera, poprosił jednego z kancelistów, żeby zajrzał do akt i sporządził listę Szkotów. Zatem Marker o tym wie, czyli nic nie da się przed nim ukryć. Spojrzał niespokojnie na kartkę. Było tylko dwóch ludzi z Glasgow i żaden nie służył przedtem w policji. - Marna sprawa - powiedział odkładając kartkę i udając rozczarowanie. - Cóż, spróbujemy jeszcze raz, kiedy będzie się zbliżał dzień św. Andrzeja. No, Marker, nie chcę pana zatrzymywać, na pewno spieszno panu, by zająć się Abd-al-Hamidem Szarifem. - Ross uśmiechnął się. Lubił Markera.

- Ano, właśnie - odpowiedział Marker. On też darzył szefa sympatią. Z jego poprzednikiem nie był w dobrych stosunkach. Polubił Rossa i jego niekonwencjonalne metody. Wciąż nie opuszczało go zdziwienie, jakiego doznał, gdy usłyszał o zaskakującym wyczynie majora Cutlera w burdelu, kiedy ten sprawił owemu młodemu Arabowi lanie. Było to zupełnie nieoczekiwane. Jednakże Marker nie na darmo pracował w kancelarii adwokackiej, nauczył się nie osądzać ludzi zbyt pochopnie. Coś mówiło mu, że major Albert Cutler jest człowiekiem skomplikowanym. Wyczuwał w nim jakąś rozterkę... niemal popłoch. Czym taki twardy gość może się niepokoić?

Marker wziął swoje notatki.

- Do zobaczenia, panie majorze. Aha, byłoby wskazane, żeby przez najbliższych parę dni nie rozstawał się pan z rewolwerem.

Ross pożegnał go uśmiechem.

Kiedy Marker wyszedł, kancelista majora Cutlera, sierżant, przyniósł mu filiżankę herbaty i oznajmił:

- Pan brygadier zadzwoni o jedenastej trzydzieści, sir. - Sierżant Ponsonby przekroczył już czterdziestkę, był to chudy opanowany mężczyzna, miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, oba przedramiona były wytatuowane.

- Od kiedy jest pan już na Bliskim wschodzie, sierżancie Ponsonby?

- Od piętnastego kwietnia 1936 roku, sir.

- Dobry Boże! I nigdy pan nie jeździł do kraju?

- Nie, sir. Nie mam rodziny, nie było kogo odwiedzać.

- W jakim pułku pan służył?

- Cóż, piechota zostaje w końcu zawsze odwołana do kraju. Byłem w saperach.

- Czy nie wie pan, czego chce ode mnie brygadier?

- Nie, sir. Chodzi o jakąś pilną i ważną sprawę. Tyle tylko powiedział mi jego adiutant. Brygadier ma dziś na dwa, trzy dni wyjechać.

Dwa, trzy dni oznaczało zwykle, że brygadier wybiera się na kaczki. Ambasada i Główna Kwatera co tydzień organizowały polowania. Kiedyś ktoś z Bezpieczeństwa zajrzał do dyplomatycznej poczty z Londynu i znalazł tam parę tysięcy nabojów do dubeltówki.

- Dziwna jest ta wojna, sierżancie.

Sierżant Ponsonby pokiwał głową. Ponsonby brał udział w niejednej bitwie. Trzeci szewron zdobył rozminowując pociski pod artyleryjskim ostrzałem. Walczył z Włochami w Etiopii i z Niemcami w Grecji. SIB upomniało się o niego, ponieważ Ponsonby nieźle znał arabski, a także hindi, oraz kilka innych języków używanych w Indiach.

- Każdy kij ma dwa końce, sir. A w Kairze i tak jest jak u pana Boga za piecem.

- Tak. Dziękuję, sierżancie. Czy pan to czytał? - Ross stuknął palcem w raport o śmierci trzydziestotrzyletniego sierżanta z Intendentury.

- Tak jest, sir.

Ross miał się wobec sierżanta na baczności. Bardziej niż wobec innych pracowników. Ponsonby był cwany, miał instynkt starego żołnierza. Jeśli Ross zrobi jakieś fałszywy krok, pierwszy zauważy to Ponsonby.

- Ładna historia, co? Najobskurniejszy burdel w Al Birka, i to zaledwie o parę kroków od hotelu „Shepherdarda.”

Sierżant spojrział na niego. Wszyscy już słyszeli o wyczynie majora, który nieźle poturbował zarządcę burdelu wyciągając z niego zeznania.

- Śmierć spowodował cios nożem - odparł Ponsonby, który bardzo chciał już tę sprawę zamknąć. - Biedny głupek!

- I pan, i ja, sierżancie, mamy po jednej książeczce żołdu. A ten sierżant sztabowy miał dwie. I wiele innych interesujących dokumentów. - Otworzył akta, by odświeżyć pamięć. Ów sierżant był głównym magazynierem w Magazynach Wojskowych Intendentury w Abbasijja. Ostatnio zdarzyło się tam mnóstwo kradzieży. Ginęły nie tylko buty i opony, ale także karabiny i materiały wybuchowe. - Ross spojrział na sierżanta Ponsonby'ego.

- Co stało się z tymi pustymi książeczkami żołdu, które zostawiłem w szufladzie?

- Zabrałem je, sir.

- To widzę! Ale co pan z nimi zrobił? - Ross chciał te wystawione in blanco książeczki zatrzymać dla siebie. Będą mu się mogły przydać, gdy zmieni tożsamość. Pamiętał kryminał E. Phillipsa Oppenheima, którego bohater, szpieg, trzykrotnie w krótkich odstępach czasu zmieniał tożsamość. Dwukrotnie zostało to wykryte, za trzecim razem udało mu się wymknąć. Więc chyba jest to dobry sposób.

- Dołączyłem do dowodów rzeczowych. I posłałem do kwatermistrzostwa.

- Świetnie.

Takie puste książeczki żołdu na czarnym rynku warte były pewnie fortunę. Podejrzewał, że Ponsonby wziął je dla siebie, ale niebezpiecznie byłoby się mu narazić. Książeczki te Ross schował do szuflady pod inne papiery. Czyli Ponsonby przeszukiwał jego szuflady i w dodatku wcale się z tym nie krył. Nagle Jimmy zaczął się niepokoić. Może ordynansi też przeszukali jego pokój w Cytadeli? Przejrzeli wszystkie jego rzeczy. Czy aby się czegoś o nim nie dowiedzieli?

Spojrział na sierżanta. Wielu starych żołnierzy było takich jak on. Żyli z dnia na dzień, nie gardząc luksusami, których dostarczał im pobyt na tyłach. Pewnie tak należało żyć - nie myśląc o przyszłości. Spojrział na zegar na ścianie. Zatem brygadier zadzwoni o jedenastej trzydzieści. Wszystkie te fiske tak się zachowywały - chciały mieć pewność, że podwładny nie ruszy się z miejsca. Ross tego nie cierpiał, nie cierpiał czuć się skrępowany.

- Przeczytał pan mój raport, sir? Odpowiedziałem na pana dodatkowe pytania, sir. - Ponsonby dotknął kartek. Był wśród nich raport napisany na maszynie przez patologa wojskowego.

- Tak, czytałem - powiedział Ross. - Ślady tłuszczu baraniego w ustach, którego nie wykryto w zawartości żołądka. I co ważniejsze - żadnych śladów spermy ani na bieliźnie, ani na ciele. Więc po co poszedł do burdelu?

- Nigdy nie wiadomo, po co mężczyzna idzie do burdelu - odparł Ponsonby. Aha, Ponsonby bawi się dzisiaj w filozofa.

- Czy burdel nie jest idealnym miejscem konspiracyjnych spotkań? - zasugerował Ross tonem, którym nauczyciel próbuje naprowadzić dziecko na właściwą odpowiedź. - Niewielkie ryzyko, że ktoś zwróci na to uwagę.

Ponsonby już się z tym zgodził, ale jeśli szef szuka jeszcze potwierdzenia, to należy mu go dostarczyć. Dorzucił więc:

- A nasi żandarmi to zwykle tylko starsi szeregowcy i nie będą zaczepiać sierżanta sztabowego. - I jakby chciał nagle podzielić się wielką tajemnicą, oświadczył: - Wiem coś niecoś o tym lokalu, gdzie znaleziono zwłoki...

Ross spojrział z zainteresowaniem.

- Słucham, sierżancie.

Ponsonby starannie dobierał słów, żeby jego zwierzchnik upewnił się, iż bywał on w Al Birka tylko w ramach obowiązków służbowych.

- To potworna arabska nora. Niewielu żołnierzy wybierze się do takiego zapluskwionego lokalu. A co dopiero po to, żeby się tam z kimś spotkać.

- Cóż, sierżancie. Wiem, jak tam wygląda. I przeszukałem zwłoki, nim je zabrano, skąd bym inaczej miał te książeczki żołądka? Poza tym znaleźliśmy naocznych świadków potwierdzających, że ten mężczyzna wraz z drugim, nie zidentyfikowanym, bywał często u „Lady Fitz”. Proszę więc nie pieprzyć. - Wyglądało na to, że cała armia ma słabość do Lady Fitz. Stała się symbolem, tak jak Lili Marlenę. Występowali w jej obronie nawet ludzie, którzy nie korzystali z usług burdelu.

- Ale nie mamy naocznych świadków, że był tam tego dnia, kiedy został zamordowany.

- Tu ma pan rację, sierżancie. - Nie trzeba mu było zresztą o tym fakcie przypominać. - Wczoraj byłem u Lady Fitz - bo już sama zaczęła tak o sobie mówić. Bez przekonania zapewniała mnie, że morderstwo na pewno nie odbyło się w jej lokalu. Popijała dzin z tonikiem, patrzyła mi prosto w oczy i powtarzała, że nie ma pojęcia, co robią na gorze jej klienci. I że morderstwa zdarzają się także w najbardziej ekskluzywnych hotelach Londynu i Paryża. - Ross jeszcze teraz się pieniał na wspomnienie jej wielkopańskich manier.

- To prawda? - spytał Ponsonby.

- Owszem! Głupia stara krowa! Chętnie wsadziłbym ją na tydzień do celi dla tubylców i zamknął ten cały burdel. Ale pan Marker powiada, że ona ma zbyt wielu wysoko postawionych przyjaciół.

- O tak, sir - przyświadczył gorąco Ponsonby, by zniechęcić szefa do podjęcia równie bezsensownego kroku.

- Ale czy nie dowiedział się pan niczego więcej od numeru dwadzieścia trzy? - Przeglądał strona po stronie pełen błędów maszynopis, Ponsonby źle pisał na maszynie. Konfidenti kairscy zostali ponumerowani. Ongi stało się tak dlatego, że Brytyjczykom nie chciało się zapamiętywać arabskich nazwisk, a teraz było tak bezpiecznej. Informator nr dwadzieścia trzy zgłaszał się regularnie. Była nim prostytutka, więc nie trzeba się było umawiać z nią na konspiracyjne spotkania. Zachodziła do koszar tak jak jej koleżanki. Była to Turczynka, która w oczach swych klientów uchodziła za Francuzkę; ten numer nie przechodził tylko z Francuzami.

Ponsonby skinął potakująco głową.

- Informatorka numer dwadzieścia trzy powiedziała, że Lady Fitz kazała nagle odmalować jeden pokój. Pewnie, jak się pan tego domyślił, na ścianach pozostały ślady krwi. Mówiła, że sierżant przychodził stale z tym samym żołnierzem. Ale to tutaj napisałem. - Ponsonby wskazał z dumą na swój raport.

- Wiem. Przeczytałem go. Ona utrzymuje jednak, że był to Niemiec. A pan, że Południowy Afrykanin.

- Opisała jego mundur. Miał południowoafrykańskie naszywki.

- Do diabła z naszywkami! Dlaczego ona uważa go za Niemca? Ponsonby nie przejął się wybuchem majora.

- Bo rozmawiał po niemiecku z Lady Fitz.

- Z tym cholernym babsztylem!

- Co za różnica, gdzie zabił naszego sierżanta? I czy mówi po niemiecku, czy nie. Więcej się tam nie pojawi.

Ross zamknął akta.

- Poproszę, żeby ktoś podał mi dokładne rozmiary rany i postarał się zorientować, czym ta rana została zadana. Nie mógł to być ani brytyjski bagnet, ani wojskowy nóż. - Podał akta Ponsonby'emu, żeby odłożył je do kartoteki. - Chciałbym wiedzieć, czy mógł to być nóż fellacha. Widzi pan, Ponsonby, czuję, że za tym kryje się coś naprawdę ważnego. Mamy mordercę, który mówi po niemiecku. A w aktach numeru dwadzieścia trzy odnotowano, że jej drugi mąż był Niemcem. Więc dobrze wie, po czym poznać Niemca. A ten facet, kimkolwiek

jest, potrafił skłonić bankiera - tego Mahmuda - żeby przysłał swoich ludzi po ciało. W tym spektaklu brały udział same gwiazdy.

- Zajmę się tym, sir - powiedział Ponsonby. Wziął akta, ale nie odchodził. - Melduję, sir, że w magazynach czekają na naszą odpowiedź.

- Czemu im tak spieszno?

- Chcą wiedzieć, co będzie w naszym raporcie o śmierci. Muszą zawiadomić rodzinę, sir.

- No to czemu nie zawiadamiają?

- Nie wiedzą, co napisać, sir.

- Widać dziś rano jestem wyjątkowo tępy. O co chodzi, sierżancie?

- Chcieliby napisać, że zginął na froncie. Żeby rodzina wiedziała, że był dzielnym człowiekiem, który oddał życie za kraj... Przecież pan wie, sir, co pisze się w takich listach.

Aha, Ponsonby jest jednak cynikiem.

- No, więc?

- Jeśli wyślą ten list, a potem wyjdzie na jaw, że został zasztytowany w burdelu, to...

- Rozumiem. - Ross westchnął. Nie mógł się przyzwyczaić do tych skomplikowanych wojskowych metod. Chwała Bogu, że miał Ponsonby'ego, który nie pozwalał mu zboczyć z wąskiej, a krętej ścieżki procedury wojskowej. - Muszę się zastanowić.

- Dzisiaj, sir?

- Niewykluczone. Tylko dlaczego już dzisiaj?

- Bo on leży w naszej kostnicy, sir, a urządzenia chłodnicze ciągle nawalają. Wciąż się je reperuje, ale są bardzo przestarzałe. Zaczyna śmierdzieć.

- Dobry Boże! Dobrze, niech go pan każe pochować. Jeśli o mnie chodzi, mogą napisać, że zginął na polu walki.

- Tak jest, sir. Zginął na polu walki. Powiem im.

- I bez tej zadowolonej miny, Ponsonby.

- Tak jest, sir. Czy mam także zwolnić aresztanta?

- Tego bajzel tatę? Owszem, chyba tak. Czy on cały czas siedział w pojedynce?

- Tak jest, sir.

- Może mu pan dać w łeb i odesłać do domu. Aha, Ponsonby, czy coś wiadomo o tym biedaku, który umarł w pociągu?

- Nie czytał pan raportu, sir? Położyłem go na pańskim biurku.

- Jakiego raportu? - Ross czuł wzbierający niepokój, omal nie zrobiło mu się niedobrze.

- O, przepraszam. Dałem go kapitanowi Markerowi. Bardzo przepraszam, sir. Pisali, żeby pana natychmiast zawiadomić.

- Ponsonby!

Ponsonby nie zauważył niepokoju, myślał, że major jest po prostu wściekły.

- Ale wszystko pamiętam: śmierć nastąpiła z naturalnych przyczyn. Więzień zmarł na atak serca, nie będzie więc dalszego śledztwa. Nie wiem, co zrobiłem z tymi dokumentami, zaraz je odszukam. - Wyszedł mrucząc pod nosem. Po sekundzie wrócił.

- Telefon z miasta, sir.

- Kto dzwoni?

- Panna Stanhope, sir.

- Halo - powiedział Ross podnosząc słuchawkę. Biło mu serce, starał się mówić naturalnym tonem.

- Bert?

- Tak.

- Mówi Alice Stanhope.

- Tak, słucham.

- Tutaj dziś rano zdarzyło się coś dziwnego. To znaczy w „Magnifico”. Muszę z tobą porozmawiać. Czy możemy się gdzieś spotkać?

- Gdzie teraz jesteś? - Znowu spojrzał na zegarek. Nie miał dużo czasu, a brygadier, choć przechwalał się swoją wyrozumiałością, nie był człowiekiem, który uznałby, że jakaś sprawa może być ważniejsza od jego telefonu.

- Dzwonię z tej perfumerii przy Moście Bulak. - Nie mogła powiedzieć, że sklep ten należy do konfidenta, który regularnie informuje SIB, co dzieje się w Bulak, najbardziej przestępczej dzielnicy Kairu. - Nie byłam dziś w szpitalu i nie mam samochodu.

- Nie ruszaj się stamtąd. Zaraz przyjadę. Powiedz naszemu przyjacielowi, że będzie musiał zaprowadzić wóz do garażu. - Na ulicach Bulaku nie należało zostawiać auta. Grasowali tam najprzemysłniejsi złodzieje świata.

Perfumeria była maleńkim sklepikiem. Wchodziło się do pokoiku, gdzie stała długa sofa, a na ścianach wisiały popstrzone przez muchy lustra. Na lustrzanych także półkach wokół pokoiku stały flakoniki najróżniejszego kształtu: kule, stożki, pianina, gitary, jachty i kwiaty. Odbijały się w lustrach. Bardzo kolorowe pachnidła, zjadliwie zielone, żółte jak siarka i jaskrawo różowe - znajdowały się w wysokich prostych butelkach stojących w zamkniętej oszklonej gablocie.

- Wybrałaś już perfumy? - spytał Jimmy wchodząc i siadając na obitej zielonym aksamitem sofie.

Skwitowała ten żarcik uśmiechem, ale nim zdążyła odpowiedzieć, wszedł właściciel niosąc na tacy dwie filiżaneczki. Był to krępy Arab, ze śladami ospy na twarzy, nosił kosztowne rogowe okulary. Miał na sobie zielone lniane spodnie i koszulę z wysokim kołnierzykiem. Z miedzianego rondelka nalał im mocnej kawy.

- Mam dla państwa ciasteczka z miodem.

- Nie, dziękujemy, Vittorio.

- Wypiek żony, chawadza Bert - i oświadczywszy to wyczarował nie wiadomo skąd talerz z ciasteczkami. Postawił go na stoliku, wymachując rękami. Vittorio mieszkał parę lat w Benghazi, przybrał włoskie imię i przyswoił sobie włoskie gesty. Został informatorem policji, by udowodnić, że nie jest agentem włoskim. - Pozwolę sobie zostawić państwa samych.

- Świetnie - powiedział Ross i po jego wyjściu podszedł do drzwi, by sprawdzić, czy są dobrze zamknięte. - Czemu on mnie nazywa chawadza Bert? Co to właściwie znaczy?

- Bert w zachodnim kapeluszu - wyjaśniła Alice. - Czyli innymi słowy czcigodny cudzoziemiec.

Ross mimo woli uśmiechnął się.

- Skąd on u diabła wie, jak mam na imię?

- Chce być uprzejmy. Mógłby równie dobrze powiedzieć efendi. - Alice nie chciała przysporzyć biednemu Yttorio żadnych kłopotów.

- Słyszałaś, co się stało?

- Czyżby Japończycy zdobyli Singapur?

- Nie. Myślę o Lampsonie i królu.

- Ach, o to ci chodzi. Jakoś nam się ostatnio nie wiedzie.

- Alice. Mówiłaś, że masz do mnie ważną sprawę. Co się stało? Alice zrozumiała, że Ross nie jest w najlepszym nastroju. Może ma kłopoty z brygadierem, matka mówiła, że nigdy nie da się przewidzieć, co ten człowiek gotów wymyślić. Stale wypytywała ją, na czym polega jej praca.

- To Said... Said al-Szazli. Jestem pewna, że coś knuje. Nie poszedł dziś rano na uniwersytet. Jego siostra poszła sama. A Said włożył mundur.

- Mundur?

- Koszulę khaki i także spodnie.

- To nie mundur.

- Ale tak wygląda. I wsunął furazerkę pod patkę na ramieniu. A w pobliżu „Magnifico” stoi zaparkowana ciężarówka marki Bedford ze znakami egipskiej armii. Na pewno czeka na Saida.

- Znaki wojskowe? Jakiej jednostki?

- Łączności. - Była przygotowana na to pytanie.

Ross zaczął się przechadzać po pokoju. Wreszcie powiedział:

- Chyba masz rację. Gdzie on teraz jest?

- W „Magnifico”. Pewnie najpierw pojedzie do meczetu. Czy mogę wziąć twoje Tilly? Cóż, jeśli Said miał się gdzieś wybrać tym ciężarowym Bedfordem, to potrzebny jej będzie jakiś samochód, żeby go śledzić.

- Okay.

- Dzięki.

Myślała, że ją pochwali, ale on był tak czymś zaprzątnięty, iż prawie nie zauważał jej obecności.

- Mówiłeś mi, że on należy do tej nielegalnej organizacji Wolnych Oficerów. I że - kiedy nadejdzie odpowiednia chwila - konspiratorzy wezwą Saida, aby w ich imieniu pertraktował z Niemcami.

Spojrzał na nią. Była czarująca. Ilekroć znajdował się w jej obecności, nie mógł od niej oderwać oczu. Tak, swego czasu jej o tym wszystkim mówił. Powtarzał słowa Markera. Ale nie oczekiwał, że ona to tak dobrze zapamięta. Usiłował sobie przypomnieć, co jeszcze jej mówił, gotowa z tym wyskoczyć w najbardziej nieoczekiwanym momencie.

- I co, myślisz, że ta odpowiednia chwila nadeszła? - Spojrzał na zegarek. Musi natychmiast wracać do biura.

- Owo starcie Lamsona z królem rozwścieczyło wszystkich Egipcjan, Bert. Nawet ci, którzy chętnie by go powiesili, oburzają się na sposób, w jaki został potraktowany.

- Jesteś wspaniała, Alice. - Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Gdybyż miał swobodę ruchów! Ale nie miał, a w dodatku lada chwila ma zadzwonić brygadier.

- Napij się kawy. Jest pyszna.

- Nie mam ochoty - odpowiedział.

Widziała jego rozterkę i zastanawiała się, czy go czymś nie dotknęła. Wciąż spoglądał na zegarek, czyżby chciał jej dać do zrozumienia, że zabiera mu cenny czas?

- Tu masz wyłącznik. Pamiętaj zabierać go ze sobą, gdy wysiadasz z auta. Nie możemy sobie pozwolić, żeby ukradziono nam ten wóz.

- Dobrze, Bert.

Przez chwilę myślała, że on ją pocałuje. Ale nie, uśmiechnął się tylko i powiedział:

- Uważaj na siebie. Arabowie są strasznie rozdrażnieni. Marker uważa, że to potrwa dłuższy czas.

Pozbawiony wozu Ross wrócił do koszar Bab-al-Hadid pieszo. W centrum miasta szerokie bulwary tworzyły geometryczny wzór, imitując Paryż. Ale wszędzie naokoło Kair był labiryntem średniowiecznych uliczek - najstarsze miasto świata.

Tak właśnie wyglądał Bulak i to tamtędy właśnie prowadziła najkrótsza droga do koszar. Ross zagłębił się w kręte uliczki, uderzył go straszliwy smród, jednakże się nie wycofał. Chyba dotąd nie był jeszcze w najuboższych dzielnicach miasta, a może po prostu był dziś w takim nastroju, że ów widok wręcz go zaszokował.

Koszmar ten prześladował go potem wiele nocy i dni. Kaleki i żebracy, chore dzieci i wygłodniałe kobiety ze skórą ciasno opinającą kości - nikt go nie napastował, nikt nie usiłował go wzruszyć, nikt bowiem już na nic nie liczył. Wśród ekskrementów siedziały w kucki dzieci, muchy zlatywały się i oblepiały rany.

Tu w domach brakowało drzwi, w oknach szyb, podłogą było brudne klepisko. Żeby dostać się na dach glinianej chaty, wchodziło się po ulepionych z gliny stopniach, cokolwiek byłoby tu zrobione z drewna, zostałyby natychmiast ukradzione. Na stosach śmieci leżały zdechłe szczury.

Odczuł ulgę, znalazłszy się na ulicy Bulakija. Nawet widok ponurych koszar Bab-al-Hadid sprawił mu po raz pierwszy przyjemność. Spojrzał na zegar. Była jedenasta dwadzieścia pięć.

Wszedł po schodach, usiadł w swoim gabinecie, zamknął oczy i głęboko westchnął. Otworzył oczy. Pojawiła się przed nim jak wyczarowana filiżanka herbaty, ktoś wpakował do niej dużą łyżkę skondensowanego mleka, była biała i słodka. Na próżno powtarzał Ponsonby'emu i reszcie osób w biurze, że nie cierpi owej wstrętnej mikstury. Wszyscy uważali, iż się w końcu do niej przekona.

Telefon zadzwonił o jedenastej czterdzieści pięć.

- Major Cutler?

- Tak jest, sir.

- Mam nadzieję, że nie muszę panu przypominać, że pański personel nie powinien być narażony na żadne niebezpieczeństwo.

- Tak jest, sir. - Zastanawiał się, co jego szef usiłuje mu powiedzieć. Zwykle nie wyrażał się tak tajemniczo.

- Zwłaszcza pracownicy cywilni.

- Tak jest, sir.

- Czy pan mnie dobrze zrozumiał, majorze Cutler?

- Nie jestem pewien, sir.

- Znam jej matkę. Wspaniała kobieta, wykształcona, elegancka, czarująca, błyskotliwa...

- Kto taki, sir?

- Skończyła studia prawnicze, a potem... Pan się spytał: kto? No, jak to, pani Angela Stanhope. Niech się pan obudzi. Już blisko południe.

- Pani Angela Stanhope?

- Nie powinien się pan dziwić, że niepokoi się o córkę. Dzwoniła do mnie w tym tygodniu wiele razy. Nie wiem, skąd strzeliło jej do głowy, że córka ma wyznaczone jakieś konspiracyjne zadanie. Oczywiście upewniłem ją, że to nieprawda.

Jimmy Ross nie odpowiedział. Miał i tak dosyć problemów, a tu brygadier stwarza nowe trudności. Nie po raz pierwszy pomyślał, że nienawidzi armii.

- Powiedziałem jej, że to wykluczone, by powierzył pan jej córce zadanie, które mogłoby narazić ją na niebezpieczeństwo. I chcę, by pan wiedział, iż zaręczyłem za to słowem honoru.

- Tak jest, sir.

- Więc niech pan troskliwie czuwa nad tą młodą damą.

- Tak jest, sir.

- Z tonu pana głosu wnoszę, że nie ma pan zielonego pojęcia, do czego

Angela gotowa jest się posunąć. Niech to diabli, Cutler, Stanhope'owie są z połową rządu po imieniu, a druga połowa to ich krewni. Niechby coś przydarzyło się ich córce, nie zdziwiłbym się, gdyby Angela zadzwoniła do samego Winstona. I dostałoby się nam obu!

Jimmy Ross przełknął ślinę. Spojrzał na zegarek zastanawiając się, gdzie teraz może być Alice Stanhope. Brygadier był naprawdę wzburzony. Jimmy bez powodzenia usiłował przypomnieć sobie, czy w jakimś filmie nie widział podobnej sytuacji. Ale za to przypomniało mu się, co należy robić, kiedy jakiś aktor wyklóca się, żeby jego nazwisko pojawiło się na afiszu możliwie największą czcionką. Należy bezwstydnie kłamać.

- Panie brygadierze, może pan zapewnić panią Stanhope, że jej córka zajmuje się wyłącznie pracą biurową. Niebezpieczeństwo nie wchodzi w grę.

Brygadier nie od razu się uspokoił.

- Była wstrząśnięta, że jej córka pracuje w koszarach Bab-al-Hadid. Przedtem nigdy o nich nie słyszała, ale ostatnio będąc w Kairze przejeżdżała tamtędy samochodem. Była przerażona, Cutler. Przerazona i oburzona.

- Tak jest, sir.

- Wie pan chyba dlaczego?

- Tak jest, sir.

- Musi pan przyznać, że to ponury widok.

- Tak jest, sir.

- W dodatku odkryła, że mamy tam cele dla aresztantów. Nie życzy sobie, żeby jej córka pracowała w więzieniu.

- Tak jest, sir.

- To świetna, stara rodzina, Cutler.

- Rozumiem, sir.

- No tak... Cieszę się, żeśmy się zrozumieli. A jak posuwa się tamta sprawa?

- Mam parę nowych poszlak.

- Brawo. Wyjeżdżam na parę dni. Chcę pogadać z tymi nudziarzami z ambasady, a tylko podczas polowania na kaczki udaje mi się zmusić ich, by wysłuchali, jak my zapatrujemy się na sprawy.

- Powodzenia, sir.

- Co? Aha, dziękuję. Do widzenia, majorze Cutler.

- Do widzenia, sir.

Ross odłożył słuchawkę i przytrzymał ją obiema rękami, jakby bał się, że znów usłyszy głos brygadiera. Potem głęboko westchnął.

- Ponsonby!

- Melduję się posłusznie.

- Przyda mi się filiżanka tej pana paskudnej herbaty.

- Tak właśnie myślałem, sir. Już zaparzona, zaraz panu naleję. Ponsonby miał rację. Przychodzi taki moment, że po to, by nie wyskoczyć oknem, wypija się filiżankę gorącej mętnej cieczy.

Alice Stanhope nauczyła się prowadzić stary samochód ojca, kiedy miała piętnaście lat. Więc nie miała kłopotów jadąc Austinem przez pustynię. Trudność polegała na tym, by nie stracić z oczu Bedforda, a jednocześnie nie dać się zauważyć. Teraz jechała powoli za długim konwojem ciężarówek wojskowych i musiałby się zdarzyć cud, żeby nie zauważył jej Said lub jego kierowca.

- Tak się cieszę, że jesteś ze mną, Peggy - zawołała już nie pierwszy raz. To Peggy zwróciła jej uwagę na dziwne zachowanie Saida i oznajmiła, że należy go śledzić. Powinna była wspomnieć o tym Bertowi, ale był dziś zanadto podminowany. Zresztą Peggy była kimś pewnym, nikt nie mógłby być bardziej brytyjski.

- Przecież nie mogłam pozwolić ci jechać samej - odpowiedziała Peggy West. - To zbyt niebezpieczne dla kobiety. Nawet we dwie ryzykujemy, że...

- Przecież chyba nie wierzysz w te bzdury, Peggy? Porywanie białych niewolnic... Wymyślono to wszystko po to, żeby kobiety siedziały w domu.

- Chcę wierzyć, że masz rację.

- Mam.

Peggy West spojrzała na swoją towarzyszkę. Alice Stanhope nie była łagodnym stworzeniem, za które zwykle lubiła uchodzić. Zresztą, żeby wyrwać się spod skrzydeł matki, trzeba było determinacji i odwagi. Teraz Alice zakosztowała swobody i rozkwitła.

- Jak myślisz, dokąd on jedzie? - spytała Alice. Żadna z nich nie brała tego pod uwagę, że Said może wyjechać z miasta. Myślały, że ma jakieś konspiracyjne spotkanie w samym Kairze. Ale oto znalazły się już na pustyni i nie były pewne, co powinny zrobić.

- Nie znam tej drogi - powiedziała Peggy. Minęły wielki drogowskaz: UWAGA GRZAŃSKIE POBOCZE.

- Czy mamy dosyć benzyny? Wojsko nam raczej nie da - dorzuciła Peggy, a Alice raz jeszcze powtórzyła:

- Tak się cieszę, że ze mną jesteś. - Alice bała się, czy nie uraziła Peggy wyrażając się lekceważąco o grożącym im niebezpieczeństwie.

- Jestem pewna, że Said coś knuje - Peggy wciąż była niespokojna. Jeśli Said ma się gdzieś tutaj spotkać ze swymi przyjaciółmi, oni szybko rozprawią się ze śledzącymi go Angielkami.

Alice nie odpowiedziała. Miała nadzieję, że nie zabraknie im benzyny. Westchnęła.

Musiały się dostosować do ciężarówek i jechały bardzo, bardzo powoli.

- Pięknie jest tutaj o tej porze roku - szepnęła Peggy. - Nie da się tego opisać komuś, kto nigdy nie był w Egipcie. Moim przyjaciółom w Anglii nie mogę wybić z głowy

przeświadczenia, że Egipt to sam piasek. Ach ten pejzaż! Te kolory skał, dziwne zakurzone światło, dziko rosnące kwiaty.

- Nie podniecaj się - ostudziła jej zapały Alice. - To nie piknik. - Żołnierze w ostatniej ciężarówce zauważyli jadące za nimi kobiety. Zaczęli wychylać się i wymachiwać rękami. I Alice, i Peggy miały na sobie spódniczki koloru khaki i brązowe koszule, tak ubierał się cały personel szpitalny. Nie wyglądały może zbyt wojskowo, ale w każdym razie nie przyciągały uwagi tak, jakby to miało miejsce, gdyby na tej drodze pojawiły się dwie kobiety w wyraźnie cywilnych sukienkach.

- Pewnie Said należy do tej rewolucyjnej partii Wolnych Oficerów. Ale trudno mi uwierzyć, żeby mógł chcieć nas skrzywdzić - oświadczyła Peggy.

- Zachowuje się bardzo podejrzanie. Dlaczego nagle włożył mundur, wziął wojskową ciężarówkę i wyjechał z miasta?

- Chyba nigdy nie przestaniemy się wlec za tym konwojem - martwiła się Peggy. - Prędzej czy później musi nas zauważyć. - Droga była wąska. Świetna dla wielbłądów i koni, ale nie dla dwukierunkowego ruchu samochodowego. Ciężarówki jeszcze bardziej zwolniły. Kierowcy uważali, żeby nie zjechać na pobocze i nie ugrzęznąć. Żandarmi, w hełmach na głowie, jeździli na motocyklach tam i z powrotem napominając kierowców. Wreszcie cały konwój zatrzymał się. Ciężarówka Saida jechała z przodu. Jeden z motocyklistów zeskoczył i dał mu znak. Said zjechał na pobocze i przyspieszył. Potem żandarm zasygnalizował Alice, że może jechać.

Alice ruszyła. Teraz między nią, a Bedfordem Saida nie było już żadnych pojazdów. Alice starała się zachować duży dystans i modliła się, żeby Said nie dostrzegł jej w lusterku.

- Psiakrew! - zawołała. - Teraz to już nas na pewno zobaczy.

Ale nic na to nie wskazywało. Alice jechała tak powoli, że żandarm zaczął się niecierpliwieć. Kazał jej znów dołączyć do konwoju, bo z naprzeciwka nadjeżdżały trzy ciężarówki. Alice westchnęła. Przed chwilą martwiła się, że jest zbyt blisko Saida, teraz zaś bała się, że gotów zniknąć. Dopiero kiedy te trzy ciężarówki przejechały, mogła znów ruszyć.

Wielką ulgą było wyminąć konwój i móc nacisnąć na gaz. Pewnie to samo czuł Said. W każdym razie nie było już widać jego Bedforda. Drogą kroczyły tylko wielbłądy objuczone blokami wapnia. Poganiiali je mali chłopcy.

- Czyżby skręcił? - spytała Peggy.

- Nie sądzę. Te boczne ścieżki prowadzą tylko do jakichś wiosek.

- O, patrz! - Peggy zobaczyła Bedforda. Kierowca zwolnił przed skrzyżowaniem.

- Skręcają! Co ja mam zrobić, Peggy? Jeśli skręcimy za nimi, to na pewno nas zobaczą.

Wzdłuż tej bocznej drogi prowadził rów nawadniający, obrośnięty trzcinami. Z drugiej strony ścieżka dla pieszych, trochę zakurzonej zieleni, od czasu do czasu parę drzew. Widziały, jak Bedford podskakuje na wyboistej drodze, kierując się w stronę kępy drzew i glinianych lepierek.

Tak, jeśli pojedą za Bedfordem, to Said to zauważy.

- Co mam zrobić, Peggy? - powtórzyła Alice, gdy zbliżyły się do skrzyżowania. Peggy nie odpowiedziała, Alice więc sama powzięła decyzję. - Zaparkuję przed skrzyżowaniem, pod drzewami. Ty, Peggy, zostań w aucie. A ja pójdę dalej pieszo.

- Nie możesz pójść sama.

- Nie bądź niemądra. Mogę. - Alice zwolniła. Said skręcił, tu droga była już tylko nie oznaczonym traktem dla wielbłądów. Żwir i kamienie. Alice podjechała do kępy karłowatych palm. Zaparkowała w cieniu.

- Pójdę z tobą - zaproponowała dzielnie Peggy. Nie miała najmniejszej ochoty wchodzić do arabskiej wioski i Alice wyczuła to w jej głosie.

- Lepiej zostań w wozie. Wiesz przecież, że gdyby stał pusty, zaraz pojawiliby się nie wiadomo skąd Arabowie i za pięć minut nie byłoby już kół.

- Może masz rację. Ale uważaj. Masz broń?

- Broń? - Alice roześmiała się. - A cóż ja bym robiła z rewolwerem?

- A co robisz jadąc za Saidem wypożyczonym wozem brytyjskiej armii?

Alice spojrzała na Peggy. Czy Peggy się czegoś domyślała? Ale nie był to odpowiedni moment na zadawanie pytań. Uśmiechnęła się i znów spojrzała na trakt, którym odjechał Said. Tak, na końcu było coś w rodzaju wioski i tam zniknął Bedford.

Alice wysiadła. Kiedyś musiała tu stać jakaś wojskowa placówka. Teraz sterczał tylko kikut drewnianego słupa.

- Jeśli ktoś spyta się, co tu robisz, to powiedz, że wóz wysiadł i czekasz na mechanika.

- Tylko szybko wracaj, Alice. Nie czuję się tu zbyt bezpiecznie.

- Nic ci nie grozi, Peggy. Pod siedzeniem masz lewarek. Jeśli ktoś otworzy drzwiczki, daj mu w łeb.

Peggy uśmiechnęła się ponuro. Myślała, że ta wyprawa na pustynię będzie miłą wycieczką. Przez ostatni tydzień prawie nie wychodziła z sali operacyjnej. Potrzeba jej było odpoczynku, a nie przygód.

- Na pewno nie zajdzie taka potrzeba, Alice.

- No, jasne! - Alice z dużej skórzanej torby wyciągnęła wojskową furażerkę. Włożyła ją na głowę i przypięła wsuwkami. Zajrzała w lusterko i z uśmiechem zwróciła się do Peggy:

- Dobrze, że jestem w butach na płaskim obcasie. Zaraz wracam.

- Uważaj, Alice - Peggy nie sądziła, by wojskowe nakrycie głowy mogło stanowić dla Alice skuteczną ochronę, ale nie chciała jej straszyć. Nie wiadomo skąd pojawiła się grupa Arabów, przykucnęli tam, gdzie kanał nawadniający wpadał do wodnego przepustu. Przyglądali się łązikowi i obu kobietom. Na ich twarzach malował się wyraz całkowitej obojętności, Arabowie tak właśnie patrzyli zwykle na okupacyjne wojska.

Alice zatrzasnęła drzwiczki i udawała, że tych mężczyzn nie widzi. Przewiesiła torbę przez ramię i poszła wyboistą ścieżką w kierunku wioski, w której zniknął Bedford. Idąc starała się robić jak najmniej hałasu. Na brzegach takich kanałów koczowały często węże, a półbuciki nie były żadną ochroną. Przystanęła, by złapać oddech - czekała ją długa droga. Coś zaszeleściło w trzcinach, miała nadzieję, że to żaba lub ropucha.

Lepianki znajdowały się dalej, niż na to wyglądało, a słońce prażyło mocno. Obejrzała się, ale jej wóz był dobrze ukryty. Na głównej drodze było pusto, jak zwykle we wczesnych godzinach popołudniowych zamarł ruch. Wytarła chusteczką spoconą twarz. Z pól bił kwaśny odór nawozu. Atakowały ją chmary much. Kiedy odganiała je ruchem ręki, czuła zbitą masę owadów. Rozejrzała się. Tu i ówdzie ktoś pracował w polu, brunatnych listków roślin prawie się nie odróżniało od ziemi.

Znów ruszyła, teraz wolniej, ale i tak, gdy doszła do lepianek, zabrakło jej tchu. Zaszło jej w ustach, waliło serce. Była mokra od potu. Wąziutką uliczką doszła na placyk. Na jego rogu, nim znów wyszła na słońce, jeszcze raz się rozejrzała. Mężczyźni ładowali ciężkie wory na wóz, do którego zaprzężony był wół. Inni przysiedli wokół i przyglądali się. Dwie kobiety w czerni sortowały fasolę. Nigdzie nie zobaczyła ciężarówki marki Bedford.

Zaczęła żałować, że nie ma z nią Peggy, choć mogłoby się to źle skończyć dla samochodu. Nikt na nią otwarcie nie patrzył, wszyscy obserwowali ją spod oka. Zdobyła się na odwagę i weszła na placyk. Słońce parzyło. Pozdrowiła obecnych.

- As-salamu alajkum! - Pokój z wami.

Mężczyźni udali, że nie słyszą. Wynosili z jednej z chat worki i nie patrzyli w jej kierunku. Tak, jakby nie istniała.

Poszła wzdłuż wysokiego glinianego muru. Gdy się skończył, zobaczyła palmy i kobiety z wiadrami. Tu znajdowała się studnia, prawdziwe centrum wioski, to dlatego ta wioska tu powstała. Tu także znajdowała się mastaba, niska ława, na której lubili przesiadywać starcy.

Jeżeli ciężarówka nie rozplynęła się w powietrzu, musiała wjechać za ten wysoki mur. Alice podeszła do studni, by sprawdzić, gdzie się on kończy. Kobiety przestały rozmawiać. Zobaczyła, że mur ma jeszcze co najmniej pięćdziesiąt metrów.

Nie zdziwiła się, już od dość dawna mieszkała w tej części świata i wiedziała, że w obskurnych wioskach znajduje się często jakaś duża posiadłość. W murze widniały drewniane wrota pilnowane przez dwóch drzemiących Arabów, którzy na jej widok zerwali się.

- Proszę iść przed siebie, madam - usłyszała z tyłu głos. Obejrzała się i zobaczyła mężczyznę o stosunkowo jasnej skórze, miał przystrzyżone wąsy i czarne kędzierzawe siwiejące na skroniach włosy. Ubrany był po europejsku - koszula khaki i także spodnie. Poznała go, to on prowadził ciężarówkę Saida. Uśmiechnął się.

- Szuka pani mojego pana. - Zaprosił ją gestem, ale mówił zimnym tonem. Wskazał wrota.

- Witamy panią.

Wartownicy otworzyli wrota z trzaskiem, ukazał się ogromny podwórzec. Stał na nim spory dom, okna były zasłonięte okiennicami. Na podwórku pełno było ozdobnych donic, w których rosły róże i goździki. Na tle fasady domu sześć palm, a na samym środku podwórca stara studnia z wzorzystych kafelków. Obok stało parę samochodów, Bedford, Lancia i wielki kanadyjski Buick.

- Niech się pani niczego nie obawia - powiedział mężczyzna. - Mój pan oczekuje pani.

- Tak?

Nagle w drzwiach domu pojawiły się dwie postacie, jakby pragnęły ją powitać. Weszła po schodkach. Jedną z nich był chyba majordomus. Ukłonił się.

- Allah yaatiki as-sihha. Mi'it ahlan wa sahlan. Niech Allah obdarzy cię zdrowiem. Witaj.

- Mutaszakkira. Allah jebarefik - odpowiedziała niepewnym głosem Alice. Dziękuję. Niech Allah cię błogosławi.

Stojący w cieniu Said al-Szazli z przyjemnością przysłuchiwał się tej wymianie uprzejmości. Kiedy Alice poprawnie wymówiła owo arabskie zdanie, uśmiechnął się tak, jak uśmiecha się nauczyciel muzyki, gdy gra na fortepianie jego ulubiony uczeń.

- Panna Stanhope - powiedział i skłonił się uroczyście. - Witam panią. W dużym przedpokoju panował półmrok. Ukośne promienie słońca padały na pokrywające podłogę dywany. Zobaczyła, że w środku czeka niski, krępy, brodaty mężczyzna. Miał na sobie biały europejski garnitur i czerwony tarbusz. Na szerokim nosie złote okulary. Na rękach pobłyskiwały pierścienie, z szyi zwisał złoty łańcuch.

Alice zastanawiała się, jak usprawiedliwić swoją obecność, jednakże Said nie zamierzał czynić jej wyrzutów, że za nim pojechała. Była gościem, obyczaj arabskie nie dopuszczają krytykowania gościa. Może konfrontacja nastąpi później.

- Ahmad Pasza, nasz gospodarz, zaprasza panią na herbatę. Starzec imieniem Ahmad chętnie zaakceptował tytuł paszy - obdarza się nim człowieka bogatego i otoczonego szacunkiem. Wskazał gestem rzeźbioną ławę. Leżało na niej mnóstwo haftowanych poduszek, lśniły metalowe nitki.

- Dziękuję - powiedziała. Odmowa poczęstunku była w tej części świata zniewagą.

Usiedli. Przez szparę w kotarze zasłaniającej drzwi widziała w rozżarzonego blasku słonecznym zakurzone brązowe podwórze, poszarzałe palmy, wypolerowane samochody. Nad głowami zebranych niewidzialna ręka poruszała płachtą, niewiele to jednak pomagało. Wszedł bezszelestnie czarnoskóry służący. Postawił mosiężną tacę z maleńkimi filiżaneczkami. Brodacz zdjął z dzbanka pokrywkę i zamieszał herbatę. Uniósł się obłok pachnący miętą.

Powolutku sączyła herbatę. Zaszło jej w gardle, słodka aromatyczna herbata działała odświeżająco. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Pewnie się panowie zastanawiają, skąd się tu wzięłam - zaczęła.

- Jest tu pani, bo Allah tak właśnie pokierował pani krokami. Wierzymy w przeznaczenie. Tak chciał Allah. Składam mój los w ręce Allacha. Niech dzieje się Jego wola.

Gospodarz skinął głową.

- To w tej wsi urodził się mój ojciec i dziad - powiedział Said. - Przyjeżdżam tu, ilekroć potrzebuję rady Ahmada Paszy.

Teraz skinęła głową Alice.

- Może to nastąpić w pani obecności - oświadczył Ahmad, a Said ukłonem wyraził zgodę. - Zaczynamy.

Ahmad klasnął w dłonie i wbiegli służący. Jeden z nich przyniósł miedziany garniec, który ustawił u stóp starca. Drugi - mangal, patelnię z rozżarzonymi węglami. Umieścił ją na zielonym trójnogu. A obok tacę z liśćmi, strączkami fasoli i kawałeczkami drewna. Weszły dzieci z bębenkami. Usiadły w kącie i rozległ się skomplikowany rytm muzyki.

Ahmad bez pośpiechu rozpalił ogień, powoli unosiły się kłęby słodko pachnącego dymu. Nachyliwszy się tak nisko, jakby chciał dmuchnąć na węgielki, zaczął coś śpiewnie wygłaszać.

Alice spojrzała na Saida, wydało jej się, że na jego twarzy maluje się niepokój. Ale zachowywał się tak, jakby wcale nie spostrzegał jej obecności. Upewniła się w przekonaniu, że starzec jest czarnoksiężnikiem, a jej pozwolono uczestniczyć w seansie magicznym. Usłyszała dźwięki fletu, rozejrzała się, człowiek, który grał, nie był widoczny.

Długo czekali, aż dym wypełni pokój. Straszliwy upał, ten dym... zaczęło jej się robić słabo. Starzec zwrócił się ku niej i powiedział coś szybko po arabsku. Nie zrozumiała. Spojrzała na Saida, zawirował wokół niej pokój.

- Proszę mu podać rękę - powiedział uroczystym tonem Said. Wyciągnęła rękę, starzec ujął czubki palców i spojrzał na dłoń. Drugą rękę zanurzył w miedzianym garncu, a potem lekko dotknął jej dłoni. Spojrzała i zobaczyła czerwono-brunatne ślady.

- Tak zostało napisane - powiedział starzec.

Muzyka zabrzmiała głośniejsz. Alice zamknęła oczy. Poczowała silne mdłości, bała się, że zwymiotuje. Z trudem udawało jej się zachować równowagę.

Otworzyła oczy, zabłysły pierścienie na palcach starca. Znow dotknął jej dłoni. Potem nachylił się nad nią i zaczął szeptać, jakby czytał.

- Księżyc sprzyja twoim zamiarom i nadziejom - mówił uroczyście

Ahmad. - Jedź za gwiazdami na zachód i znajdziesz tam to, czego pragniesz.

- Dokąd? - spytał Said zdumionym głosem. - Dokąd?

- Powie ci księżyc.

Przez chwilę Alice wydawało się, że przychodzi już do siebie, ale zawrót głowy i mdłości powróciły, czuła, że musi się położyć. Usiłowała wyrwać dłoń Ahmadowi, on jednak trzymał ją w silnym uścisku.

- Muszę... - Znow zaschło jej w gardle, sięgnęła po filiżankę i pokój zawirował. Upadła na tacę. Herbata nie była już na szczęście gorąca i jej nie poparzyła. Poczowała zapach mięty. Ogarnęło ją zakłopotanie. Chciała przeprosić, że poplamiała ten piękny dywan. Tymczasem pokój zaczął się nagle kurczyć. Uświadomiła sobie, że traci przytomność. Próbowała krzyknąć. Powoli zapadła się w ciemność.

Kiedy nagle odzyskała przytomność, Peggy West przytykała jej do nosa buteleczkę soli trzeźwiących. Ohydny, kwaśny zapach - odtrąciła ją.

Siedziała w Tilly, tyle że na siedzeniu pasażera. Przez chwilę myślała, że wszystko było koszmarnym snem. Potem zobaczyła, że Tilly stoi na podwórku. Obok błyszczącego Buicka, Lancii i ciężarówki Saida.

Raził ją blask słoneczny, po chwili jednak dostrzegła Saida i Ahmada. Stali koło studni. Rozmawiał z nimi żandarm. Czyżby ich aresztował? Czy Peggy West udało się pojawić w ostatniej chwili? Ale żandarm cofnął się salutując.

- Musiałam tu przyjechać - przepraszającym tonem powiedziała Peggy.

- Nie wiem, co mi się stało - szepnęła Alice.

- Słońce. Nawet zimą jest bardzo niebezpieczne.

- Sprowadziłaś tu żandarma?

- Omal mnie nie zaaresztował. Nie miałam dokumentów wozu. Nie chciał wierzyć, że ty w ten upał poszłaś pieszo do wsi. „Dlaczego panie tam nie pojechały?” - spytał. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Żandarm skinął im ręką i wskoczył na motocykl. Założył hełm. Potem nasunął na oczy okulary ochronne i ruszył.

Drewniane wrota otworzyły się jak na skinienie czarodziejskiej różdżki i motocyklista zniknął, pozostawiając chmurę kurzu.

Wartownicy arabscy przy bramie przyglądali mu się z wielkim zainteresowaniem i coś do siebie gadali.

Said podszedł do kobiet. Nic dziwnego, że żandarm mu zasalutował. Said wyglądał na brytyjskiego oficera. Nie nosił oznak egipskiej armii, miał na naramiennikach dwie gwiazdki. I wielu Brytyjczyków było tak opalonych, że skóra Saida na pewno nie była ciemniejsza.

Uśmiechnął się pokazując białe zęby. Czy był to uśmiech triumfu, czy też Said był tym samym przyjaznym Saidem z hotelu „Magnifico”?

- Jak się pani czuje, panno Stanhope? - w głosie Saida brzmiała autentyczna troska.

- Strasznie przepraszam - powiedziała Alice. - Sprawiałam panom mnóstwo kłopotu.

- Ciii... Niech się pani napije jeszcze wody. To dobra woda. - Podał jej szklanę, wypila i poczuła się lepiej. - Peggy uważała, że łatwiej przyjdzie pani do siebie na powietrzu.

- Zemdlałam - szepnęła Alice.

- Czuje się pani na siłach wrócić do miasta?

- Oczywiście - odpowiedziała Alice.

- Czy pani potrafi prowadzić ten wehikuł, panno West? - Jak zwykle z szacunkiem zwrócił się do Peggy Said.

- Poradzimy sobie, Saidzie.

- Jesteś bezpieczna i tylko to się liczy - powiedział Jimmy Ross.

- Wszystko popsulałam - westchnęła Alice. Miała ochotę się rozpłakać, ale bała się, że to go do niej zniechęci.

- Nie powinienem był pozwolić ci za nim jechać - ubolewał Jimmy.

- To był mój pomysł.

- A ja nie powinienem się zgodzić.

Spojrzała na niego i nagle coś jej przyszło na myśl.

- Czyżby mama znów zaczęła się wtrącać?

- To nie ma nic wspólnego z twoją matką, Alice. Głupio postąpiłem. Przez minutę siedziała w milczeniu.

- A ten seans? Chcieli się przede mną popisać? Odpowiedział bez wahania:

- Nie, nie sędzę.

- Więc to były naprawdę czary? Przecież nie wierzysz w czary?

- Ale Said wierzy.

- Chyba tak. Kim był ten czarnoksiężnik? Wiesz?

- Tak, ojciec Saida. Byłaś w domu Saida.

- Dobry Boże! On też należy do spisku?

- Ahmad Pasza? A jakże. Jest tak antybrytyjski, że gdyby miał okazję, pomógłby zająć Kair samemu diabłu.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Ten cholerny dom jest ośrodkiem spisków. Mój poprzednik próbował na próżno kogoś tam wsadzić. Niestety ten stary łajdus każdego służącego ogląda przez lupę.

- Ale o co chodziło? Po co pojechał tam Said?

- Chodziło o to, by pomóc Abd-al-Hamidowi Szarifowi. To kapitan armii egipskiej. Marker od dawna na niego poluje. Szarif przygotował deklarację i zbierał podpisy wszystkich przywódców opozycji. Ta deklaracja głosi, że Wielka Brytania zwalczając faszyzm w Europie popiera go w Egipcie. Deklaracja ma zostać złożona we wszystkich ambasadach w Kairze: amerykańskiej, kanadyjskiej, francuskiej, holenderskiej, norweskiej. Sama rozumiesz, jak nam to może zaszkodzić. Trafi też na pewno do gazet.

- Ale w jaki sposób Said miał mu dopomóc?

- Chyba to jasne. Właśnie dopomógł.

- Nie rozumiem.

- Pomógł mu uciec. Abd-al-Hamid Szarif był kierowcą Saida. Sama powiedziałaś, że był szczupły, wysoki, miał jasną skórę, wąsy i czarne kędzierzawe siwiejące na skroniach włosy.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Dlaczego tak sądzisz?

- On wyglądał całkiem zwyczajnie.

- No pewnie. Każdy by się postarał wyglądać zwyczajnie, gdyby za jego złapanie miano zapłacić pokaźną sumę i gdyby polowała na niego cała policja.

- Mówisz takim tonem, jakby ci go było żal. Przeraził się.

- O, nie. Moim obowiązkiem jest go złapać.

- Zrobisz w tym domu rewizję?

- Na to już za późno. Ten facet, jak już raz wydostał się z miasta, przebrał się na pewno w łachmany i zniknął. Sądzę, że go wyprawili do Suezu i wsadzili na statek... na statek któregoś z krajów neutralnych, wiedzą, że takiego statku nie będziemy próbowali zatrzymać.

- Tak mi przykro, Bert.

- To jeszcze nie katastrofa, ale Said wie teraz, że się nim interesujemy. Gotów się wyprowadzić z „Magnifico”. Zostań tam jednak. Mam nadzieję, że nic o mnie nie mówiłaś Peggy West... że nie powiedziałaś jej, czym się zajmuje moje biuro.

- Nie, oczywiście, że nie.

- I sądzisz, że się nie domyśla?

- Jest Brytyjką, Bert. Nikomu o tym nie piśnie.

Spojrzał na nią. Zastanawiał się, czy powiedzieć jej, że Peggy West regularnie widuje się z człowiekiem, który prawdopodobnie pracuje dla żydowskiej siatki szpiegowskiej. Nie, lepiej, by nie wiedziała. Peggy mogłaby zauważyć, że Alice inaczej się do niej odnosi.

- No tak, oczywiście. Chodź, pójdziemy coś zjeść.

- Jeszcze jedno, Bert. Tamtego wieczoru, kiedy musiałeś wyjść z przyjęcia u Piotra, jeden z gości kupił w barze na dole butelkę wina i zapłacił tym banknotem. - Położyła go na stole. Był upstrzony brunatnymi kropkami.

Wziął go i obejrzał, a potem powiedział:

- Świetna robota, Alice. Krew poplamiała banknot tak samo jak książeczkę żołdu tego sierżanta z Intendentury.

- Tak, zapamiętałam ją.

- Kto tym banknotem zapłacił?

- Ów oficer marynarki. Widziałeś go. Szczupły, z bujną czupryną. Nazywa się Wallingford. Jest przyjacielem Darymple'a, byli razem w szkole.

- Świetna robota, Alice.

- Pozwolisz mi dalej pracować? Niezależnie od tego, co powie mama?

- Choćby mama stawała na głowie.

Trzymała wciąż w ręku ten banknot. Dotknął jej palców. Pierwszy intymny gest. Długo siedzieli bez ruchu. Zajrzała mu w twarz, ale nie należał do ludzi, którzy zdradzają się ze swoimi uczuciami. Nawet w normalnych okolicznościach.

A okoliczności nie były normalne. Bał się z nią związać. Przecież musi zniknąć tak, jak to już zrobił sprytny Szarif.

14

Harry Wechsler aż do chwili wyjazdu nie przestawał myśleć o Alice. Odkąd spotkał ją na przyjęciu, myślał prawie wyłącznie o niej. I teraz, kiedy siedział już w samochodzie mknącym gwarnymi ulicami Kairu, znów wrócił do niej myślą. Była tak piękna i niedostępna. A także wyjątkowo inteligentna, nie popisywała się tym jednak i nie próbowała wystrychnąć go na dudka, tak jak to robiło wiele jego koleżanek.

Dziennikarze częściej składają hołd Bacchusowi niż Afrodycie, ale Harry Wechsler znany był ze swego uwielbienia dla kobiet. Odkąd w 1938 r. opuściła go druga żona, jego romanse były bardzo intensywne, acz krótkotrwałe. Teraz, gdy poznał Alice, zaczął myśleć, że wciąż jeszcze byłby w stanie się zakochać.

- Grosik za twoje myśli! - roześmiał się prowadzący samochód Chips O'Grady. Był niziutki, siedział na poduszce z gąbki, bo inaczej nie mógłby wyjrzeć zza kierownicy. Miał na sobie wojskową koszulę i szorty. Ktoś, kto sądzi, że wszystkie wojskowe koszule są takie same, powinien porównać koszulę Chipsa z koszulą Harry'ego Wechslera. Koszulę Wechslera szył krawiec w Rzymie. Delikatny oliwkowy odcień, niewidoczne szwy, rogowe guziki.

- Zastanawiam się, czy zabrałem ze sobą wszystko, czego będę potrzebował - odparł Harry Wechsler, który narzucał się ze swoimi opiniami, ale starannie ukrywał uczucia. Pomyślał, że właściwie cieszy się z powrotu na pustynię. Całe życie wyszydzał ludzi, którzy ulegli fascynacji pustynią. Teraz jednak, choć nikomu by się do tego nie przyznał, radował się, że znów ją zobaczy.

Przygotował się na długą podróż. Chips, jego kierowca, był to notoryczny pijak, który kolejno pracował dla wszystkich agencji prasowych na Bliskim Wschodzie i był z nich kolejno wyrzucany. Harry Wechsler natknął się na Chipsa w Barze Tommy'ego, w jednym z najmodniejszych lokali Kairu. Chips już blisko od miesiąca był bez pracy i kierownik Baru Tommy'ego domagał się, by uregulował rachunki. W spotkaniu Wechslera z Chipsem

najwyraźniej maczał palce los. Harry natychmiast zaangażował Chipsa w roli asystenta. Chips miał akredytację i legitymację prasową, choć już od roku żaden dostarczony przez niego materiał nie ukazał się drukiem. Chips umiał prowadzić samochód, pisał na maszynie, mówił jako tako po francusku, włosku i niemiecku i znał na tyle arabski, żeby się móc porozumieć. Dla Chipsa była to ostatnia szansa powrotu do zawodu, czyli powinien naprawdę przestać pić.

- Znasz drogę? - spytał Harry, który uprawiając swój zawód nauczył się, że lepiej zadać sto niepotrzebnych pytań niż raz coś przegapić.

- Czy znam drogę?! - oburzył się Chips. Od chwili, kiedy latem 1940 roku zaczęły się walki, przemierzył tę drogę setki razy. Znał każdy centymetr. Tylko ta jedna droga prowadziła na Pustynię Zachodnią. Tylko tą jedną drogą wyruszało się na wojnę.

Nil przejechali o pół do szóstej wieczorem. Słońce oświetlało kopuły meczetu, które z woli Allacha musiały być złote. Zachód słońca - pora modlitwy. Z wysokich minaretów miasta rozległo się nawoływanie muezzinów.

Ciężki Ford dudniąc pędził wyspą Gezira, przez Most Angielski wjechał do Dokki i ruszył wzdłuż rzeki. Minęli uniwersytet, skręcili na zachód. W Gizie spojrzeli na piramidy - choćby człowiek był nie wiem jak zaprzątnięty własnymi sprawami - nie mógł oderwać wzroku od wielkich piramid Cheopsa i Chefrena.

Piramida Chefrena wyglądała na wyższą od sąsiadki, ale to także, jak tyle rzeczy w Egipcie, było złudzeniem. Po prostu stała wyżej.

- Fajnie jest opuścić to płasawisko pcheł - powiedział Chips. Do tej pory nie złamał ani razu danej Harry'emu obietnicy i trzymał się z dala od alkoholu. Wypijał dwa kufle piwa dziennie, a miejscowe piwo Stella było tak słabe, że nikomu nie mogło zaszkodzić. Bardzo zaprzętały go przygotowania do wyjazdu - musiał znaleźć wóz - i to ułatwiło mu abstynencję. Agencja prasowa Wechslera miała pokryć wszystkie rachunki i Chips znalazł naprawdę dobry wehikuł. Używaną, wyprodukowaną w Kanadzie furgonetkę Forda z silnikiem V-8. Chips wręczył dyskretnie odpowiednią łapówkę i w warsztatach wojskowych troskliwie się tą furgonetką zajęto. Pomalowano ją na kolor piasku, tak jak to robiła armia, wzmocniono nadwozie, założono specjalne opony, na dachu zainstalowano bagażnik.

- Byczy wóz - oświadczył Chips, gdy opuścili Kair. Był z tego wozu bardzo dumny i często go chwalił, jakby chcąc go zachęcić do wzorowego sprawowania.

Harry skinął głową. Nie lubił prowadzić auta, a Chips, jeśli tylko nie pił, był świetnym kierowcą. Harry spojrzął na swojego filigranowego towarzysza. Ściągnięta twarz, czerwone uszy, ostry nos i wąskie wargi. Na zdjęciu umieszczonym w legitymacji prasowej spoglądał ze wzgardliwym rozbawieniem. Przypominał gryzonია. Jednakże Harry odkrył, że Chips jest

sumienny i pracowity. Zastanawiał się teraz, do jakiego stopnia człowiekowi może zaszkodzić jego wygląd.

Gdzieś wśród pól fasoli stały gliniane chaty, ale nagle skończyła się dolina Nilu i od tego momentu widać było tylko piaski. Gdy mieli skręcić na północ, Chips pokiwał nieszczęsnemu wartownikowi. Kapral z wdzięcznością przyjmował każdy życzliwy gest, nie był do tego przyzwyczajony, można by przypuścić, że cały rodzaj ludzki nienawidzi żandarmerii. Wielokrotnie musiał w ostatniej chwili odskakiwać w bok, żeby się nie znaleźć pod kołami ciężarówki. Kapral pomachał ręką. W tym miejscu zawsze stał posterunek. Pewnie obawiano się, że zmęczeni kierowcy zapomną skręcić, pojedą prosto, na Pustynię Libijską i znajdą się na skraju depresji El-Kattara, w najbardziej odludnym zakątku świata.

Jechali z niezłą szybkością. Była to najodpowiedniejsza pora dnia. W półmroku dojrżeli zardzewiałe baraki z blachy falistej, pomalowane na biało kamienie, które wszędzie na świecie świadczą o obecności brytyjskiego wojska.

- Tam jest lotnisko Amirijja - oświadczył pokazując ręką Chips. - Wygląda na to, że mają jakąś zagwozdkę.

Harry zobaczył w świetle reflektorów samolot bojowy, który szykował się do startu.

- Widzisz? - odezwał się Chips. - RAF zaczął na kadłubach samolotów bojowych malować paszcze rekinów. Może ci się to przydać do artykułu.

- Na przykład jak? - Harry zawsze szukał jakiegoś odniesienia do Ameryki.

- To są samoloty amerykańskie: Curtiss Tomahawk. Taka zębiasta paszcza może świetnie wypaść na zdjęciu.

- Nie, nie. Nim wrócimy, jakaś fisza w RAF-ie każe je dla kamuflażu zamalować.

- Te paszcze zostały namalowane jeszcze we wrześniu.

- Uważaj na drogę, Chips.

- Tędy mógłbym jechać z zawiązanymi oczami.

- Curtiss Tomahawk?

- Tak, ten samolot jest z dywizjonu 1-12, stacjonującego w Gambut. Chyba że ostatnio wszystkie dywizjony to skopiowały.

- Znam Gambut. Byłem tam w zeszłym miesiącu.

- Będziemy tamtędy przejeżdżać.

- Okay. Tak, może da się to wykorzystać. Czy umiesz fotografować?

- Jaki masz aparat?

- Speed Graphic.

- Poradzę sobie. Ale potrzebny mi będzie światłomierz.

- Dam ci parę lekcji.

- Nie rozumiem, dlaczego nie kupisz Leiki? Bardziej się nadaje do robienia takich zdjęć, jakie są tobie potrzebne. A na zapleczu frontu łatwo o dobry aparat. Żołnierze zabierają aparaty jeńcom.

- A jakie zdjęcia są mi według ciebie potrzebne?

- Migawki ludzi. Łapane na gorąco. Speed Graphic jest duży, ciężki i co chwila trzeba zakładać nową kliszę.

Chips miał rację. I umiał myśleć.

- Dobra. Rozejrzyj się za Leiką.

- Okay, szefie.

Parę kilometrów dalej Chips wskazał na następne lotnisko.

- To Dachila. Wygląda na to, że zaraz zacznie się lądowanie.

- Mam nadzieję, że to bombowce. Powiadam ci, Chips - jeśli wasi ludzie chcą zatrzymać Rommla, to muszą najpierw zbombardować Trypolis. O ile drogą morską nadejdzie jeszcze parę transportów czołgów, to Rommel zrobi z wami, co zechce.

- Tak jest, szefie. - Chips zrozumiał, że Wechsler ma ochotę na pojedynek słowny z reprezentantem Angoli. - W końcu zatrzymaliśmy przecież Hunów i połowa ich czołgów poszła spać. A ostatnio RAF zabrał się naprawdę do roboty. Musisz to przyznać, Harry.

- Sęk w tym, że zeszłego roku prasa brytyjska strasznie się nasładzała na temat potęgi swojej armii. A teraz, kiedy Rommel znów ruszył do ataku, wyszliście na głupich samochwałów.

Cóż, racja, Harry. - Chips zawsze pozwalał Harry'emu mieć ostatnie słowo w dyskusji. I głośno napomniiał samego siebie. - Żeby tylko nie przegapił następnego zakrętu. - Niebo było chmurne, z rzadka wyzierał księżyc.

Droga okrążyła Aleksandrię i kiedy wjechali na nadbrzeżną szosę, Chips cały czas trzymał nogę na gazie. Akurat pojawił się księżyc i można było ujrzeć całą urodę świata.

- Jak się to miasteczko nazywa?

- Al-Alamajn. Tu nie da się ani przyzwoicie zjeść, ani przespać. Za blisko Kairu.

- Za to jest ślicznie.

Chips ze zdziwieniem stwierdził, że Harry ma rację. Z jednej strony szosy znajdowały się plantacje fig. Z drugiej biały piasek, a za nim czarne - prawem kontrastu - morze. Na brzegu rozpryskiwały się i znikały fale. Poświata księżycy zapraszała i Harry pomyślał, że dobrze by było zatrzymać się i wykapać. Oparł się jednak pokusie, czekała praca.

Za plantacją fig droga stała się labiryntem wśród dziur.

- Wiesz, Chips, Brytyjczycy mądrze zrobili budując linię kolejową wzdłuż wybrzeża. A nie zrobili tego głupi Włosi.

- To nie Brytyjczycy - odparł Chips. - To Arabowie. Jeszcze w dziewiętnastym wieku.

- Tak? Bardzo się to przydaje w czasie wojny. Można wszystkie ciężkie transporty odprawiać koleją i nie niszczy się szosy. Rommel jeszcze na to nie wpadł. Może wcale nie jest aż taki sprytny.

- Miejmy nadzieję.

- Brytyjczycy mają i tak twardy orzech do zgryzienia. Lepiej, żeby Rommel nie był sprytny.

Chips skinął głową. Harry Wechsler jak zwykle chciał mieć ostatnie słowo. Zachowuje się jak gwiazda filmowa, pomyślał Chips. W trakcie swojej pracy dziennikarskiej spotkał kilka gwiazd. Harry bardzo dbał o swoją garderobę, wygląd i wygody. I odczuwał wręcz dziecinną potrzebę aprobaty i poklasku. Często właśnie dzięki temu odnosi się sukcesy. Harry świetnie mógłby wyruszyć w tę podróż sam, ale widać nie potrafił się obyć bez towarzystwa i audytorium. Chips za odpowiednią opłatą gotów był mu tego dostarczyć.

Szosa prowadziła wciąż wzdłuż wybrzeża i linii kolejowej. Co jakiś czas mijali instalacje wojskowe. Znaki drogowe wskazywały, że oto jest droga do szpitala, tu zaś do warsztatów naprawczych. Nie wszystkie odpowiadały prawdzie, część umieszczono dla kamuflażu. A potem przez całe kilometry nie było już na drodze ruchu. Od południa aż po szosę ciągnęła się pustynia, ale nie były to piaszczyste wydmy, jakie widuje się w kinie, lecz twarda spieczona słońcem ziemia i skały koloru ochry. Pojawiła się Ad Daba. Chips wskazał na nią, mówiąc, że brytyjscy żołnierze uczcili ją piosenką. Jak brzmiały jej słowa? Sprośne żarty o królu Faruku, który siedzi na wielbłądzie, pożera kanapki z boczkim, a w plecy wieje mu wiatr. Chips nie zapamiętał tekstu, ale w Ad Daba zawsze przypominał sobie tę piosenkę, bo tu rzeczywiście wiatr stale podnosił tumany kurzu. Może to właśnie dlatego Brytyjczycy tutaj utworzyli punkt tranzytowy dla korespondentów wojennych.

Przy wejściu stał zardzewiały barak z blachy falistej, ale na fundamentach z cementu, co w warunkach pustynnych oznaczało szczyt luksusu. Wartownik siedział na kanistrze po benzynie i palił papierosa. Ruchem ręki zaprosił ich do wejścia. Wywieszka na drzwiach głosiła: **WSZYSCY PRZYBYWAJĄCY WINNI SIĘ ZGŁOSIĆ DO DYŻURNEGO OFICERA**. Zaparkowali obok jedyne poza tym wehikułu, krytej plandeką ciężarówki marki AEC Matador.

Wewnątrz baraku było biuro, gdzie sierżant grał w strzałki i popijał z kancelistą herbatę.

- Okay. Dyżurny oficer obejrzy panów dokumenty, a potem się wami zajmiemy. Jeśli zechcą panowie coś przekazać, to mogą panowie liczyć na moich chłopców. - Położył strzałki na biurku i zadzwonił do dyżurnego oficera. Był to starszy już mężczyzna, którego odnaleziono w jego kwaterze. Mimo wczesnej pory pojawił się w szlafroku z wielbłądziej wełny i zalatywało od niego whisky.

Po załatwieniu formalności i zatankowaniu benzyny poszli coś zjeść. W kantine stał piec, bufet i parę stolików z krzesłami.

- Konserwa Spam, jajecznica i groszek.

- Znakomicie - powiedział Harry.

Harry miał w furgonetce mnóstwo zapasów. Kawa, herbata, puszki z bekonem i fasolą oraz woreczek ryżu. Ale lepiej było schować zapasy na czarną godzinę lub na ewentualną wymianę. Zatem teraz należało się zadowolić wieprzowiną z puszki, jajecznicą i groszkiem.

Szynka z puszki została usmażona, a jajecznica była z proszku, z którego wytrawny kucharz rzeczywiście potrafi zrobić coś, co przypomina jajecznicę. Tutejszy kucharz nie zaliczał się do wytrawnych. Groszek też pochodził z puszki - była to żółto-zielona zbita masa. Oczywiście podano również gorącą herbatę.

- Teraz rozumiem, dlaczego Brytyjczycy nie mogą się obyć bez herbaty - oświadczył Harry, patrząc na przygotowywane danie.

W kantine poza nimi było tylko dwóch mężczyzn w grubych dresach khaki, bardzo przydatnych, gdy miało się w zimie spędzić na pustyni noc. Byli wyświeżeni, mieli opalone twarze, a na rękawach naszywki wojennych korespondentów. Młodszy był muskularnym dwudziestoparoletnim facetem. Miał krótkie przyszywane wąsiki, jakie chętnie nosili brytyjscy oficerowie. Obok niego leżały dwa aparaty fotograficzne w skórzanych pokrowcach i torba, w której pewnie przechowywał obiektywy, filmy i inne akcesoria. Drugi był starszy, chudy i nieżyczliwy, wyglądał tak, jakby cierpiał na niestrawność. Miał kędzierzawe rude włosy, damscy fryzjerzy nazywają ten kolor tycjanowskim.

Pili herbatę z cynowych kubków. Młodszy zjadał na deser keks, który, sądząc z wyglądu, pochodził także z puszki. Kiedy otworzył usta, okazało się, że brak mu jednego z przednich zębów. Wyglądał jak wesoły ulicznik.

Harry przysiadł się do ich stolika, poczęstował papierosami i uśmiechnął się szeroko.

- Harry Wechsler - przedstawił się. - A oto Chips O'Grady. Jedziemy na zachód.

- Mogg - przedstawił się młodszy mężczyzna - Tommy Mogg. - Drugi był pogrążony w myślach, spojrzał tylko na swego kolegę z dezaprobatą i nie wymienił nazwiska.

Chips podszedł do bufetu i czekał, aż żołnierz nałoży im na talerze to dość ohydne danie i naleje herbaty.

Harry położył na stoliku mapę i wypytywał mężczyzn o rozmaite punkty, które pokazywał palcem.

- O, ta Oaza Siwa. Co tam jest?

Dwaj mężczyźni - fotograf i dziennikarz - byli w Oazie Siwa. Powiedzieli, że znajduje się ona na Saharze, jedzie się tam dwa dni.

- I co tam można zobaczyć? - spytał Harry. Chips postawił przed nim talerz. - Dziękuję, Chips.

Chips nie zwracał uwagi na obcych mężczyzn. Usiadł i zaczął zajadać.

- Pytałem się właśnie panów, jak wygląda ta Oaza Siwa - oświadczył Harry i trącił widelcem szynkę.

Odpowiedział młodszy mężczyzna, Tommy Mogg. Typowe, pomyślał Harry. Fotografowie są zawsze młodszy, silniejsi i życzliwsi. Dziennikarze bardziej doświadczeni i podejrzliwi. Boją się czymś zdradzić.

- Słyszeliśmy, że to jest baza Strzelców Pustynnych.

- A co to za zwierz?

Młodszy mężczyzna spojrzał na kolegę.

- Jedna z tych prywatnych armii, które jeżdżą na pustynię aż za posterunki makaroniarzy.

- Macie zdjęcia?

- A mamy. Paru Egipcuchów, parę palm i zdezelowany czołg.

- A co mówiło o tym nasze wojsko?

- Pojechaliśmy tam bez wojskowego przewodnika. Harry roześmiał się.

- To wojsko nie lubi, jak ktoś wykazuje się inicjatywą. Zwłaszcza dziennikarze. Pewnie upewnili się, że nic tam nie znajdziecie.

- Możliwe.

- Zostają tu panowie na noc? - spytał Harry. Skinęli głowami.

- Jak tu jest?

- Okay. Namioty. Prysznic. Gorąca woda. Gorzała. Okay.

- Namioty?

Widząc wyraz twarzy Harry'ego fotograf wybuchnął śmiechem.

- Macie szczęście, że już są namioty. Jeszcze w zeszłym miesiącu musiał się człowiek zawijać we własny koc i spać pod gołym niebem.

- Myślę, że pojedziemy dalej - oświadczył Harry odsuwając talerz z ledwie napoczętym daniem i zapalając papierosa.

- Czy na pustyni jada się tylko konserwy Spam?

- Przyzwyczaj się pan - powiedział fotograf. - Arabowie nie tykają wieprzowiny. Więc jej nie kradną. - Mówiąc to sięgnął widelcem i przełożył szynkę Harry'ego na własny talerz.

Chips O'Grady nie wtrącał się do rozmowy. Niech sobie Harry Wechsler pogada. Harry lubił rozmawiać z nieznanymi. Nazywał to rekonesans sem. Chips zjadał szynkę i kawałkiem chleba zebrał resztki jajeczniczy. Ale nawet on nie tknął groszku. Potem poszedł po następne kubki herbaty i keks. Zrozumiał, że Wechsler oczekuje od niego usług, czuł się jednak dość głupio. W tym kraju takie funkcje spełniali wyłącznie krajowcy. Zastanawiał się, jak dać to Harry'emu do zrozumienia.

Harry Wechsler wstał, postawił nogę na krześle i studiował mapę.

- Nie, pojedziemy jednak dalej wybrzeżem. Mam dosyć zdjęć z Arabami. Fotograf uśmiechnął się uprzejmie i powiedział dobranoc. On i jego towarzysz chcieli wyruszyć skoro świt.

Kiedy wrócili do Forda, Harry Wechsler zmienił zdanie.

- Ile czasu zabrałaby nam podróż do tej Oazy Siwa? Byłeś tam kiedyś, Chips?

- Byłem. Jeszcze nim zaczęły się walki. To tuż nad granicą włoską. - Spojrzał na zegarek. - Długa podróż. Nie ryzykowałbym jazdy wielbłądzim traktem. Tu taki trakt wygląda fajnie, a po jakichś parudziesięciu kilometrach rozplywa się w pustyni.

- A więc?

- Musimy dojechać do Marsa Matruh. I tam skręcić na południe, będziemy mieć przed sobą około trzystu kilometrów.

- Co myślisz o tych facetach? Nie budzą we mnie zaufania.

- Niby dlaczego?

- Daj spokój. Myślę, że w tej oazie coś odkryli. I bardzo nie chcą, byśmy się też o tym dowiedzieli.

Chips zdziwił się.

- Skąd ci to przyszło na myśl?

- Mam niucha, Chips. To po matce. Oni starali się nas zniechęcić. Widziałeś, jak ten starszy się naburmuszył?

- Bo ja wiem, Harry. Może po prostu był zmęczony.

- Potrafię odróżnić, kiedy ktoś jest zmęczony, a kiedy stara się mnie przechytryć. W tej oazie znajdziemy na pewno jakiś fajny temat do artykułu albo ja jestem Chińczykiem.

- Ale nie znajdziemy tam noclegu - ostrzegł Chips, wiedząc, że Harry dużą wagę przykłada do komfortu.

- Nie wygłupiaj się. Nie jestem delikacikiem.

- Zrobimy, jak zechcesz.

- Zobaczymy jeszcze, który z nas będzie płakał, że chce do mamy.

- Harry, chciałem tylko, byś wiedział, że będziemy musieli zanoctować w wozie. - Spojrzał spod oka na szefa.

- Okay, okay.

- Może spytamy się, czy armia zgadza się na naszą podróż do tej oazy?

- I zmarnujemy kupę czasu, nim wyciągniemy tego dyżurnego oficera z jego buduaru!

Chips pokiwał głową. Wiedział, że się jeszcze wiele nasłucha o tym oficercie, który przyszedł do nich w szlafroku. Widział, z jakim niedowierzaniem w oczach spojrzał na niego Harry.

- A zresztą po co mielibyśmy pytać się o zgodę?

Dałoby się wymieniść wiele powodów, po drodze mogli na przykład wylecieć w powietrze na zamaskowanym polu minowym albo zostać ostrzelani przez własne samoloty. Chips wiedział jednak, że nie jest to odpowiedni moment, by robić rozsądne uwagi.

- Mamy duży zapas benzyny - Harry spojrzał na zegarek. - Ruszamy. Każdy prowadzi auto dwie godziny. Dobra?

- Ale i tak nie jestem pewny, czy dojedziemy rano.

- Spróbujemy. Po amerykańsku. Zapominasz, że nie jesteś dziś w towarzystwie twoich ospałych Angoli.

- Dobra, dobra.

Droga do Siwa była na pewno malownicza. Z początku trakt prowadził ubitym piaskiem przez tak zwany Płaskowyż Libijski. W księżycowej poświacie wyglądał on jak białe morze. Z początku zostawiali za sobą szary pióropusz piachu, wreszcie Chips zjechał pięćdziesiąt metrów z traktu. Potem nacisnął na gaz i mimo obciążenia furgonetka jechała co najmniej siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Od czasu do czasu widzieli na trakcie wojskowe ciężarówki w tumanach kurzu. Tylko raz Harry'ego naszły wątpliwości. Ale w gruncie rzeczy chodziło mu jedynie o to, by Chips potwierdził słuszność decyzji zboczenia na Saharę.

- Przecież gdyby tam naprawdę nic nie było, to oni nie zadawaliby sobie tyle trudu, żeby nas o tym przekonać.

- Bo ja wiem, Harry.

- Rusz mózgownicą - zniecierpliwiał się Harry.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby to Harry Wechsler był w Siwa i nic ciekawego tam nie zobaczył, to namawiałby wszystkich na tę wyprawę?

- Głupi buc - oświadczył zirytowany Harry. Ale potem zastanowił się i roześmiał. - Tak, tak bym właśnie postąpił - orzekł i znów zaczął się śmiać.

Siwa jest dużą oazą na północnym brzegu ruchomego Wielkiego Morza Piasków. Gdyby stąd ruszyć na południe, trzeba by się setkami kilometrów przedzierać przez ruchome piaski i wiele dni obywać bez wody.

W Siwa wśród skał obniża się teren - znajdują się tam jeziorka oazy. Słynne różowe skały osłonięte przez palmy, z których zbiera się daktyle uznane przez krajowców za najlepsze daktyle całego rejonu Sahary.

Harry Wechsler i Chips O'Grady przyjechali jednak wcześniej rano, za to całkowicie wyczerpani. Nie ujrzeli żywego ducha. Przejechali przez pustą na oko, złożoną z lepierek, wieś i zatrzymali się przed budynkami z betonu, na których wisiały wywieszki po angielsku i po arabsku: WSTĘP WZBRONIONY. BUDYNKI WOJSKOWE. I mniejsza, czerwonymi literami na białym tle: Uwaga, teren malaryczny. Zastosować środki ostrożności.

Harry posłusznie sięgnął do wytwornej płóciennej torby, odszukał chininę i zażył dwie pastylki. Przełknął je bez wody.

- Chips, zażyj chininę.

- Nic mi nie będzie. Komarom nie smakuje moja krew.

- Dotąd nie smakowała, bo widać nie lubią alkoholu. Teraz może się to zmienić.

- Nic mi się nie stanie, Harry.

- Jeśli nie zależy ci na pensji, to rób, co chcesz. Ale póki pracujesz dla mnie, musisz się ze mną liczyć. To znaczy nie pić i dwa razy dziennie zażywać chininę oraz tabletki z solą.

- Podał mu na dłoni dwie pastylki.

Chips wpakował je do ust, przełknął ślinę i uśmiechnął się. Zastanawiał się, jak długo uda mu się znosić towarzystwo Harry'ego Wechslera, jeśli od czasu do czasu nie będzie szukał pociechy w whisky.

- Co to jest? - Harry wskazał na budynki.

- Zbudowały je Egipcjuchy, kiedy pilnowały tej granicy. Stacjonowała tu wówczas egipska armia.

- Czyli jesteśmy blisko dawnej granicy, tak? Nazywano ją drutami, prawda?

- Jesteśmy na samej granicy. Jeśli pójdziesz tędy - wskazał odpowiedni kierunek - to zobaczysz druty.

- Możemy przejść przez nie na drugą stronę?

- Możemy po amerykańsku spróbować.

- Brawo!

Pojechali na zachód i zobaczyli na własne oczy, jak niebezpieczne jest Wielkie Morze Piasków. O trzydzieści metrów od traktu ugrzęzły dwie wielkie dziesięcotonowe ciężarówki. Piach sięgał powyżej kół i nie było siły, która by je stąd mogła wyciągnąć. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś nawet na wielbłądzie ośmielił się wyruszyć na południe. Miejscowe plemiona - Siwani i Senussi - były przekonane, że czyha tam zły duch.

Jednakże ludzie z oddziałów Strzelców Pustynnych ośmielali się wjeżdżać na ruchome piaski. Czasem zapuszczali się tak daleko, że trzeba im było dostarczać benzynę drogą powietrzną. Harry Wechsler miał ochotę o tym napisać, jednakże brytyjskie władze wojskowe utrzymywały całą tę sprawę w głębokiej tajemnicy.

- O, druty - powiedział Chips. Zatrzymał wóz i zgasił motor. Usłyszeli wycie wiatru.

- Chips, bracie, ale widok!

Mussolini uważał, że musi odgradzić swoje afrykańskie królestwo od Egiptu. Granica wyglądała jak rzeka kolczastych drutów. Umocowane były do stalowych co najmniej trzymetrowych palików tkwiących w betonie. A długość tej zapory liczyła około dwustu kilometrów. Harry wysiadł z wozu i zaczął kadrować palcami widok.

- Chips, dawaj aparat.

Harry sfotografował widok z pewnej odległości, a potem Chips jechał wzdłuż zapory, dopóki Harry nie wypatrzył wzgóрка piasku, z którego miał lepszą perspektywę. Potem Chips sfotografował Harry'ego z nogą na stopniu Forda. Usłyszeli warkot samolotów. Były to trzy bombowce, Harry usiłował je sfotografować, ale nim nastawił aparat, były już zbyt daleko.

- No, nic. I tak by je było źle widać. Musimy mieć teleobiektyw. Może masz rację, że powinienem sobie sprawić Leikę. - Wskazał na druty. - Nie ma w nich żadnej dziury?

- Poszukajmy - odpowiedział Chips. Był bardzo zmęczony. Marzył, żeby się przespać, a tu Harry objawiał nieoczekiwaną energię. - Skąd ty masz tyle sił? - spytał, gdy wrócili do wozu i jechali nim powolutku, szukając przejścia przez granicę.

- Bo myślę o forsie - wyznał bez wahania Harry. - Czy wiesz, ilu mam czytelników?

- Wiem, mówiłeś mi.

- Czy tędy nie dałoby się przejechać? - Pokazał miejsce, gdzie ruchome piaski zakryły druty i paliki. - Spróbuj!

- Czy wiesz, co się stanie, jeśli opona trafi na palik?

- A jakże. Będziesz musiał zmienić koło.

- Może nam przebić zbiornik na olej.

- Możemy także przegrać wojnę. Ruszaj.

Chipsowi bardzo się to nie podobało. Furgonetka była ciężka. To wzmocnione nadwozie, bagaż. Nie mówiąc już o palikach, mogli ugrzęznąć w piachu. Chips wykonał jednak polecenie i gdy znaleźli się po drugiej stronie, Harry wpadł w zachwyt.

- Jesteśmy w Libii. Udało się! No to dokąd ruszamy? - Rozejrzał się. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak daleko od wszelkiej cywilizacji.

Przez pustynię biegł trakt, który według Chipsa prowadził do Al Jaghub, oazy po stronie libijskiej. Harry wyjął kompas i odszedł od samochodu, żeby żelazo nie podziałało na strzałkę. Obejrzelili mapę i ruszyli szukając traktu. Gdy stracili z oczu Siwę, mieli już wokół siebie tylko pustynię. Śladu ptaków, szczurów czy węży, jeśli coś tu w ogóle żyło, to ukryło się przed słońcem.

W pół godziny później na horyzoncie zamajaczył jakiś niewyraźny kształt.

- To może być miraż - ostrzegł Chips. Ale ten rzekomy miraż znajdował się dokładnie tam, gdzie według mapy miała być oaza. Pokazały się palmy, czyli było to Al Jaghub. - Zróbmy sobie herbaty i prześpijmy się, póki nie przestanie prażyć słońce.

- Wy myślicie tylko o herbacie i śnie - zakpił Harry, ale Chips znał go już na tyle, że wyczuł, iż jego szef się zgadza. Oaza Al Jaghub ukrywa się za skałami. I znajduje się tam jezioro dość głębokie i duże, by można w nim popływać.

Chips zaparzył herbatę tak, jak zwykle parzyć ją na pustyni wojsko. Napełnił puszkę piaskiem, oblał piasek benzyną i podpalił. Na puszcze postawił czajnik z wodą. Herbata była pyszna. Nawet Harry musiał to przyznać.

Z okrzykiem radości wskoczyli do jeziora. Dopiero na pustyni ocenia się należycie, czym dla człowieka jest woda. Harry zanurzył się z głową, poczuł w ustach smak siarki i soli. W kraju nigdy by do takiego bajora nie wszedł, ale tu, w tym brudnym, zakurzonym świecie, kąpiel w chłodnej wodzie była niezrównanym luksusem. Obaj milczeli. Leżeli na powierzchni wody leciutko poruszając rękami.

Znów usłyszeli warkot samolotu. Spojrzeli w górę. Lecił samolot zwiadowczy - tak nisko, że zdawało się, iż zawadzi o skałę. Zawrócił, a potem jeszcze raz przeleciał nad oazą.

Gdy zniknął, poczuli się panami świata. Po kąpeli znaleźli zacienione miejsce i usiedli, by się wytrzeć. Na skórze osiadła sól, zeszywniały od niej włosy. Pojawił się arabski chłopiec, sprzedał im kilka świeżych daktyli.

- Chodzisz na mecze, Chips?

- Nie, nigdy.

Harry westchnął, wyciągnął się na piasku i zasnął.

Obudził się - ktoś kopnął go w ramię. Zobaczył kilku mężczyzn.

- Wyciągnij ręce. I przeturlaj się parę kroków. - Głos brzmiał gardłowo

- nieznany osobnik mówił z jakimś regionalnym angielskim akcentem, Harry tylko częściowo rozumiał usłyszane słowa.

Zawahał się. Był rozespany, nie bardzo wiedział, czego się od niego żąda, sięgnął po but, do którego schował okulary i zegarek. Znow go kopnęli, tak mocno, że jęknął z bólu.

- Nie słyszysz, ty skurwielu? Rusz się! - Mężczyzna miał na sobie szorty khaki i koszulę z naszywkami sierżanta, ale pozbawiony okularów Harry Wechsel widział właściwie tylko ciężkie wojskowe buty i wełniane skarpety. Sierżant schylił się, podniósł obuwie Harry'ego i starannie je obejrzał.

Chips od razu zrozumiał, czego życzą sobie napastnicy. Wyciągnął ręce i przeturlał się. Ci ludzie chcieli się upewnić, że śpiący nie zagrzebali w piasku broni. Harry'emu w ostatniej chwili udało się odsunąć unikając kolejnego kopniaka.

Sierżant kopał butem piasek, by upewnić się, że nic tam nie ma.

- Wszystkie nasze rzeczy są zamknięte w Fordzie - powiedział Harry.

- Oddajcie mi okulary.

Sierżant podał mu buty i Harry założył okulary. Teraz zobaczył, że sierżant jest ogorzałym, chyba czterdziestoletnim mężczyzną. Jego obnażone ręce były wytatuowane. Pierś także - miał rozpiętą koszulę. Baretki na koszuli wskazywały, że brał udział w wielu kampaniach. Trochę dalej stało kilku żołnierzy trzymających w pogotowiu broń - byli to młodzieńcy starsi szeregowcy, wszyscy mieli na sobie czyste wyprasowane mundury, jak przystało na żandarmerię.

- Więc powiada pan, że to pański Ford?

- Gdzie jest wasz oficer? - wrzasnął Harry. - Jestem obywatelem amerykańskim i znajduję się w neutralnym kraju. Nie muszę znosić tych waszych brytyjskich szykan.

Chips rozpaczliwie wymachiwał rękami, żeby uspokoić Harry'ego. Wiedział, że ktoś, kto został sierżantem żandarmerii, nie będzie wysłuchiwał obelg, zwłaszcza w obecności swoich podwładnych.

Sierżant to zauważył.

- Wstawać! Załóżcie szorty i buty!

- Jestem Amerykaninem. Obaj jesteśmy cywilami - tłumaczył Harry.

- I obaj jesteście aresztowani.

- Za co? - spytał Chips.

- O tym pogada z wami major.

Jimmy Ross wolałby zostać w Kairze. Czuł się bezpieczniejszy w zgiełku wielkiego miasta; dzięki stałemu kontaktowi z biurem miał poczucie, że w porę dowie się, jeśli coś miałoby mu zagrażać. Kiedy po trudach podróży do oazy znalazł tam tylko skład starej broni i dwóch korespondentów wojennych, jeszcze bardziej się rozeźlił, nie poprawiło mu też humoru nagłe pojawienie się brygadiera, który przyleciał awionetką.

- Niech pan tylko nie myśli, majorze Cutler, że chcę panu deptać po piętach.

- Ależ nie, sir. - Jimmy spojrzał na brygadiera i towarzyszącego mu Spauldinga. Nie widział go od tamtego wieczoru pod Pałacem Abidin. Czyżby Spaulding towarzyszył brygadierowi także na polowania? Spaulding uśmiechnął się, jakby odgadł jego myśli.

Brygadier przyjrzał się im kolejno. Tak, owych dwóch mężczyzn serdecznie się nie cierpi. Dwie primadonny, pomyślał. Spaulding zabawia się w żołnierzyka, pozostał jednak oksfordzkim donem. Cutler wciąż zachowuje się z dystansem. Pewnie myśli, że skoro pracował w policji, to jest tu jedynym fachowcem.

- Macie dwóch jeńców, tak?

- Nie, sir. Tu rzeczywiście parę dni temu pojawiło się dwóch mężczyzn, ale zdążyli uciec. A ci, których dziś aresztowaliśmy, to korespondenci wojenni, którzy się tu przypadkiem znaleźli.

- Jest pan pewny?

- Tak, sir. Jednego z nich znam z widzenia, trzymam się więc od nich z dala.

- Słusznie, słusznie. Czy jest pan w dobrej formie, majorze Cutler? Słyszę, że dniem i nocą ślęczy pan w biurze nad aktami. Nie życzę sobie, by się pan rozchorował.

- Dziękuję, sir. Jestem w świetnej formie, sir. Wolałbym tylko mieć więcej czasu na prowadzenie naszego najważniejszego śledztwa, sir.

- Myśli pan o tym szpiegu Rommla? Tak, tak, w wojsku jednak musimy słuchać rozkazów, choćby nam się wydawały nielogiczne.

- Każdy kij ma dwa końce, jak mnie nauczył sierżant - odparł Cutler. Brygadierowi nie spodobała się ta odpowiedź, przed wojną zostałaaby uznana za brak subordynacji i przykładowie ukarana, ale cóż, wojna to wojna, a major Cutler jest specjalistą, bez którego nie można się tu obejść. Zresztą brygadier miał dosyć rozsądku, by wiedzieć, że ta obsesja złapania szpiega może dać świetne rezultaty. Toteż brygadier, który tej nocy dobrze się wyspał, zjadł potem smaczne śniadanie i był w znakomitym nastroju, powiedział tylko:

- Tak, tak. Głównodowodzący przysłał po mnie awionetkę. Dziś mamy w sztabie nasiadówkę. I będę musiał zdać sprawozdanie z tego, co się tutaj dzieje. Wpadłem więc, żeby sam się rozejrzeć.

Jimmy Ross, który całą noc spędził w jadącej po wybojach ciężarówce, odparł:

- Osiemset pięćdziesiąt sztuk karabinów maszynowych marki Beretta i amunicja. - Powtórzył to, co już tego ranka powiedział porucznikowi Spauldingowi przez telefon. Ale Spaulding zrobił taką minę, jakby to słyszał pierwszy raz.

- Oto jeden z nich. - Spaulding przyniósł ze skrzyni jeden z tych włoskich karabinów. Wymachiwał nim, gładząc go, płonął pragnieniem popisania się swoją wiedzą na jego temat.

Ciekawe, Spaulding jest wyraźnie zafascynowany bronią, pomyślał Ross. Nigdy by o to nie podejrzewał kogoś, kto jest profesorem.

- Tak - rzekł brygadier. Z odległości przyjrzał się pistoletowi, Spaulding podsuwał mu go gestem ojca proszącego papieża o błogosławieństwo dla dziecka: - No, jak brzmi werdykt, panie majorze?

Odpowiedział Spaulding:

- Wystarczy tej broni dla pięciu kompanii spadochroniarzy, jeśli każda będzie liczyła stu czterdziestu pięciu ludzi.

- Pytałem majora Cutlera - odparł łagodnie brygadier, choć był wściekły, że Spaulding miał gotową odpowiedź. Mogło to oznaczać, że pytanie było niemądre.

Ross kolejno im się przyjrzał.

- To włoska broń. Czy Włosi mają spadochroniarzy?

Brygadier nie uśmiechnął się, ale spodobała mu się ta odpowiedź. Major miał rację, nikt nie słyszał o włoskich spadochroniarzach. Brygadier pomyślał, że ta riposta może mu się przydać na naradzie sztabowej.

- Nikt ich nie będzie pytał o paszporty - powiedział profesorskim tonem Spaulding. - Włosi, Niemcy, co za różnica. Ta broń jest równie dobra jak niemieckie MP 38.

- Nie jestem ekspertem w sprawach broni - powiedział Ross. Brygadier oświadczył:

- Gdyby Hunowie zrzucili tu ludzi i zajęli Siwa, to dali by nam popalić, co?

- Musieliby mieć dostawy żywności i amunicji - zauważył Ross. Naprawdę nie znał się ani na strategii, ani na broni.

- Nie mieliby problemów z wodą - oznajmił autorytatywnie Spaulding. - A bez pożywienia człowiek może funkcjonować bardzo długo.

Ross chciał dodać: żołnierzowi potrzebna jest jednak amunicja, ale lepiej było nie spierać się ze Spauldingiem. Ross miał już i tak dosyć kłopotów. A według Lionela Markera

brygadier bardzo cenił naukowe osiągnięcia Spauldinga i z nabożeństwem wysłuchiwał wszelkich jego teorii, niezależnie od tego, czy chodziło o astronomię, czy syjonizm.

Spaulding odczytał to milczenie jako zachętę.

- Nie wiem, czy panowie czytali raporty wywiadu o oddziałach spadochroniarskich Hunów, one świetnie potrafią zająć takie miejsca, jak to. I nagle może się okazać, że na zapleczu mamy niemiecką placówkę.

Brygadier nie gardził rozrywką, jakiej dostarczają utarczki słowne podwładnych.

- No i co pan na to, Cutler?

- Muszę powiedzieć, że ostatnio czytałem aż zbyt wiele raportów wywiadu. W związku z inwazją na Kretę wszyscy dostali obsesji na punkcie spadochroniarzy. Moi ludzie uważają, że te Beretty ktoś tu przetransportował z dawnych składów broni Włochów.

- To niebezpieczne zabawki, Cutler - powiedział brygadier, który traktował tę rozmowę jak generalną próbę przed naradą sztabową. - Jeśli to Hunowie je tu zostawili, to rzeczywiście mogą tu zrzucić wojsko i w godzinę być gotowi do ataku.

- Z przeczytanych przeze mnie raportów wywiadu wynika, że trzysilnikowy Junkers Ju-52 może przewieźć tylko dwunastu wyekwipowanych spadochroniarzy. Zatem, żeby pojawiło się tu pięć kompanii, potrzebowaliby siedemdziesięciu samolotów. Takiej operacji nie udałoby się ukryć. Nasze radary by to wykryły.

- Hm... - mruknął brygadier. Nie chciał całkowicie przejść do porządku nad niebezpieczeństwem zagrażającym oazie. Cutler je zbagatelizował, czyli brygadier nie będzie miał czym zabłysnąć na naradzie. Postanowił rozegrać to inaczej: niebezpieczeństwo istnieje, ale jego ludzie potrafią sobie z nim poradzić. - Myślę, że zostawimy tu te karabiny, ale postawimy straż. Niech pan wybierze odpowiedzialnych ludzi, majorze Cutler.

- Istnieje jeszcze jeden aspekt zagadnienia, sir - wtrącił się Spaulding. - Oaza Siwa była kiedyś bazą egipskich armii.

- To prawda - zgodził się brygadier. Zaczął masować twarz. Oznaczało to, że nie bardzo wie, co Spaulding chce mu zaanonsować. Spaulding natychmiast się zorientował.

- Może to właśnie nasi egipscy przyjaciele urządzili tu sobie tajny skład broni. - Spauldingowi w dniu przyjazdu do Kairu ukradziono cały bagaż i odtąd zawsze podejrzewał Egipcjan o najgorsze.

- Hm - zastanowił się brygadier. - Ostatnio rzeczywiście zachowują się dosyć wrogo. Co pan o tym sądzi, Cutler?

- Niewykluczone, sir. Wśród niższych oficerów armii egipskiej wrze. Mamy informację, że kilkunastu konspiratorów pragnie skontaktować się z Rommlem i zbiera

materiały, które mu chce dostarczyć. Nie przypuszczam jednak, by zamierzali uzbroić przeciwko nam jakichś egipskich ochotników.

- Tak, oni dużo gadają, ale mało robią - przyświadczył Brygadier.

- W każdym razie dotychczas nie strzelali do żołnierzy brytyjskich i nie sędzę, żeby mieli zacząć - kontynuował Ross.

- Jasne, jasne. - Brygadier spojrział na zegarek. - Gdzie jest mój pilot?

- Czeka przy awionetce, sir - zameldował Spaulding.

Brygadier przez chwilę wpatrywał się w czubki butów i głęboko rozmyślał.

- Więc się zgadzamy. Hasło brzmi: nie drażnić krajowców, bo wybuchnie wojna domowa, tak? - Nie było to jednak pytanie, lecz stwierdzenie faktu.

- Tak jest, sir.

- Chyba lepiej nie zostawiać tu tej cholernej broni. Właściciele gotowi się po nią wybrać. Sprowadźcie speców z Intendentury i niech wyjmą z karabinów iglice, czy jak to się nazywa, żeby się ich nie dało użyć.

- Mam lepszy pomysł, sir - powiedział Spaulding. - Niech sfabrykują coś takiego, żeby karabin po oddaniu pierwszej serii eksplodował. W ten sposób pozbędziemy się paru Hunów.

- Brawo, Spaulding. Niech pan się tym zajmie, Cutler.

- Tak jest, sir. - Ross nie wiedział, czy pomysł Spauldinga da się w praktyce zastosować, ale nie chciał, żeby dyskusja opóźniła ich odlot.

Brygadier ruszył w stronę awionetki. Spaulding dał znak pilotowi, otworzył drzwiczki i dopilnował, by noga brygadiera znalazła się na stopniu. Potem wziął go pod ramię i wprowadził do kabiny.

Ross przyglądał się. Porucznik Spaulding nie wypuścił z rąk Beretty.

- Wezmę ze sobą ten karabin, majorze Cutler. Może ktoś ze sztabu będzie mu się chciał przyjrzeć.

- Dobra! - powiedział Ross. Perspektywa, że zostanie sam, od razu podniosła go na duchu. Czasem brakowało mu już sił, by odgrywać rolę majora Cutlera. Ale powtarzał sobie, że najłatwiej jest uciec w pobliżu linii frontu. Wielu ludziom udało się rozwiązać swe problemy wcielając się w poległego kolegę. Tylko czy naprawdę bezpieczniej jest poruszać się z papierami kogoś, kto istniał naprawdę? Czy nie lepiej sprokurować sobie podrobioną książeczkę żołdu?

Zasalutował, brygadier pomachał ręką. Ross patrzył, jak awionetka unosi się w powietrze. Nie było w niej dość miejsca i na bagaż brygadiera, i dla jego ordynansa. Biedny Spaulding. Pewnie będzie musiał oczyścić brygadierowi buty. Miło było o tym pomyśleć.

W dwie i pół godziny później na pustynnym trakcie prowadzącym wzdłuż starej granicy w kierunku wybrzeża można było zobaczyć furgonetkę marki Ford, a w niej Harry'ego Wechslera i Chipsa O'Grady'ego. Trakt był gorzej wytyczony niż po stronie egipskiej i Chips coraz to zwalniał, żeby upewnić się, iż z niego nie zboczył. Parę razy Harry musiał wysiąść i szukać przysypanych piachem znaków.

Dopiero gdy przejechali już duży szmat drogi, Harry zaczął mówić o niemiłym przesłuchaniu, któremu poddał ich brytyjski kapitan nazwiskiem Marker, nim - dość niechętnie - pozwolił im odjechać.

- W ogóle nie widzieliśmy tego cholernego majora - skarżył się Harry. - Najpierw nam nim grozili, a potem nie miał dla nas czasu.

- Tak, to dziwne - odparł Chips.

- Nie takie znowu dziwne - pieklił się Harry. - Ten skurwiel wiedział, czym mu to grozi. Zresztą i tak dam mu popalić!

- Nie radziłbym, Harry. Ci faceci z Bezpieczeństwa robią, co chcą. Jak im się zaczniesz dobierać do skóry, może się nagle okazać, że cofnięto ci akredytację.

- Nie odważą się.

- Wcale bym nie był taki pewny.

- A niby pod jakim pretekstem?

- Że stanowisz zagrożenie dla bezpieczeństwa armii. Wystarczy.

- Może masz rację.

- Mam.

- Tu chodziło o pistolety maszynowe Beretta. Słyszałeś, co ten mały mówił za drzwiami?

- Słyszałem. Na pustyni wszędzie leży broń. Jakby Egipcjanie zabrali te karabiny, mogliby nam sprawić mnóstwo kłopotów.

- A pewnie.

- Cóż, nie napiszesz o Siwa.

- Właśnie to sobie pomyślałem - odparł Harry. - Wiesz co? Coś mi się widzi, że ci faceci, którzy jedli wczoraj z nami kolację, prowadzą jakieś ciemne interesy.

- Powiedziałeś o tym kapitanowi?

- Ale skąd.

- I słusznie. Jeszcze by nas zaaresztował jako współników. Albo świadków.
- Oni nie byli dziennikarzami - stwierdził Harry.
- Dopiero teraz przyszło ci to do głowy?
- A co, ty wiedziałeś wcześniej?
- Nie od razu. Ale jak potem zacząłem o nich myśleć.
- Co cię natchnęło?
- Widzisz, Harry, znam większość dziennikarzy w tej części świata, może nie wszystkich, lecz na pewno większość. Za to jestem pewny, że wszyscy znają mnie. Każdy dziennikarz słyszał o Chipsie O'Gradym.
- Hm - powiedział Harry.
- I jak mnie widzi, to nie ziewa, tylko mi się przygląda i myśli: a więc to jest ten pijak, o którym się tyle nasłuchałem.
- No, to kim oni byli?
- Oszustami. Niewykluczone, że to dezerterzy.
- I mają coś wspólnego z tymi pistoletami Beretta?
- Wrócili z Oazy Siwa i bardzo nie chcieli, byśmy tam pojechali. To by był naprawdę dziwny zbieg okoliczności, gdyby Beretty nie miały z nimi nic wspólnego.
- Szkoda, że im się bliżej nie przyjrzałem. Handlarze bronią - to mógłby być temat.
- Powinienem się był ich spytać, gdzie kupić Leikę - westchnął Chips.

15

Tak, na tym skrawku pustyni istniał naprawdę inny świat. Tu toczyła się wojna, tu inaczej zachowywali się mężczyźni. Inaczej byli ubrani, inaczej mówili, inaczej się ruszali, mieli inny wyraz twarzy.

W Kairze czasów wojny grasowało tak wiele przestępczych szajek, że władze nie dawały sobie z nimi rady. Dla Toby'ego Wallingforda i jego watahy dezerterów kradzież stała się zupełnie normalnym sposobem zarabiania na życie. Ale i oni woleli atmosferę frontu. Nie przyznawali się do tego. Powtarzali sobie nawzajem, że Wally musiał oszaleć, żeby przyjeżdżać na pustynię, skoro mogli bogacić się okradając wojskowe magazyny, a potem szastać forszą w nocnych klubach - kobiety, wino, śpiew.

Strefa przyfrontowa była królestwem żołnierzy, rzadko widywało się tutaj Arabów. Żołnierze jednak nie wyglądali bardzo bojowo, przypominali raczej włóczęgów. Poplamione

podarte mundury, ogorzałe twarze, rozbiegany wzrok. I tak jak włóczędzy, wkładali na siebie wszystko, co mieli. Nawet w upalne południe i żołnierze, i oficerowie paradowali w szynelach na kurtkach i swetrach. Widać nie chcieli się z niczym rozstawać.

Dwie ciężarówki Wallingforda nosiły oznaki Patroli Pustynnych. Wallingford sam wymyślił tę supertajną jednostkę, ale nie była ona czymś bardziej ekscentrycznym niż wiele innych, oficjalnych, takich jak na przykład Prywatna Armia Papskiego. Gdy przejeżdżali obok, wartownik przyjrzał im się bez szczególnego zainteresowania. Wjechali do jednego z „kotłów” - były one nowym wynalazkiem strategii obronnej generałów. Za zasiekami z kolczastego drutu artyleria, piechota i czołgi czekały na następny ruch Rommla. Między kotłami ciągnęły się pola minowe.

W tym konkretnie kotle stacjonowały wozy pancerne, stały namioty i parę rozpadających się baraków zbudowanych tu na wiele lat przed wojną przez Włochów. Z daleka odnosiło się wrażenie pustki. Żołnierze już na tyle długo walczyli na pustyni, że nauczyli się natychmiast okopywać. Wiedzieli, iż od tego zależy ich życie. Wszystkie pojazdy stały w głębokich dołach wykopanych w twardym piasku, tamże ustawiono namioty. Te prowizoryczne schrony okryte były dla kamuflażu specjalną siatką.

- Uwaga na kieszenie! Oto Wally-marynarz! - zawołał oficer w skórzanej kurtce i wymiętoszonej furażerce.

Wallingford pomachał mu ręką i zatrzymał ciężarówkę.

- Halo, Piggy! - Gdziekolwiek się ruszył, spotykał kolegów szkolnych.

- Dokąd tym razem jedziesz? - Porucznik Piggy Copeland miał miły uśmiech, słońce spaliło mu czoło i nos, włosy ostrzyżone były dość dziwacznie, gdzieniegdzie aż do skóry, a za to z tyłu wisiało parę kosmyków.

- Robi się gorąco, nie? Ruszamy dalej, jak się tylko ściemni - odparł Wallingford. Wyskoczył z ciężarówki, schylił się i jak uczeń wziął do ręki garstkę piasku.

- Pewnie chcecie coś zjeść? Ilu was jest? - Z twarzy Piggy'ego kapał pot. Wytarł czoło.

- Ja i piętnastu ludzi. - Wallingford bawił się piaskiem przesypując go między palcami.

Piggy chwilę milczał. Widywał wiele razy, jak nowo przybyli dotykali pustynnego piasku. Ale nigdy ci, co na pustyni walczyli. Piggy czuł, że do końca życia nie będzie mógł spojrzeć na piasek.

Piggy podszedł i przyjrzał się ciężarówkom, na których widniał wąż. Jak większość młodych oficerów, dużo by dał, żeby służyć w jednej z tych nowych zawadiackich jednostek. Zazdrościł Wallingfordowi.

- Poślij twoich ludzi do namiotu kantyny. Dostaną lunch. Jak zwykle brak nam wody, ale żarcia mamy po uszy.

- Słyszycie, sierżancie? - Wallingford zwrócił się do Percy'ego. - Niech mechanicy sprawdzą silnik i wezmą do pełna benzyny. A reszta ludzi niech coś zje i się prześpi. Jeśli będę potrzebny, proszę mnie zawołać. Będę w pobliżu.

- Tak jest, sir. - Percy zasalutował, Wally machnął dwoma palcami. Wymienili spojrzenia. Percy wiedział, czym grozi każdy kontakt bandy dezerterskiej Wallingforda z prawdziwymi frontowymi żołnierzami. Wystarczy najmniejsza nieostrożność i po herbacie... Percy musiał pilnie uważać, by nie doszło do podobnej katastrofy. Ostatni rok przed wojną spędził w Anglii pisząc doktorat i dobrze przyjrzał się Anglikom, tylko cudzoziemiec potrafi tak dogłębnie poznać angielskie zwyczaje.

- I zasłońcie nasze wozy siatką - nakazał Wallingford. Obserwował, jak Percy musztruje ludzi. Potem zwrócił się do swego szkolnego kolegi i się uśmiechnął. Bawiło go ryzyko, na jakie się narażał. Co by było, gdyby Piggy odkrył jego tajemnicę!

- Dokąd się wybierasz, Wally?

- Przecież wiesz, Piggy, że nie mogę ci tego powiedzieć.

- Ruszacie do szturmów?

- Coś ty. Z piętnastoma ludźmi?

- Na zachód od nas Hunowie są o krok - ostrzegł Piggy. - A z lewej strony całymi kilometrami ciągną się pola minowe. Aż po Bir Hakim, gdzie są gaullistowscy Francuzi. Nigdy nie dotarłem aż tak daleko na południe. Po prawej ręce mamy Sikhów - wspaniali żołnierze, Wally, specjaliści od nocnych wypraw. Ale przedostatniej nocy wysłali patrol, w nadziei, że porwą jeńca i wrócił tylko jeden Sikh.

- Ładny klops!

- Kiedy Hunowie aż tak uważają, to znaczy, że się do czegoś szykują.

- Przywiozłem wam skrzynkę „Johnnie Walkera”, Piggy. To ci powinno pomóc zapomnieć o kłopotach. Mówiłeś, że wasz pryncypał lubi tę whisky.

- Stary poległ. Już dwa tygodnie temu. Jego szofer wjechał na jakieś przedpotopowe nie oznaczone pole minowe. Mamy tu miny po makaroniarzach, Hunach, mamy po własnych oddziałach, kiedy stacjonowały tu po raz pierwszy, i trudno się w tym wszystkim połapać. Dobrze przestuduj mapę. I uważaj! Macie wykrywacz min?

- Straszny z ciebie pesymista, Piggy. Taki sam byłeś w szkole.

- I dlatego jeszcze żyję.

- Kto teraz jest waszym dowódcą?

- Był nim przez chwilę adiutant, ale dostał zapalenia okostnej. Teraz jest nim kapitan Anderson.

- Ten parobas?

- No, no, Wally. - Piggy chwilę milczał. - Oczywiście, nie wiadomo, czy go zatwierdzą.

- Jeszcze w zeszłym roku był sierżantem, prawda?

- Na froncie szybko się awansuje. Sam o tym dobrze wiesz, widzę na twoich ramionach naszywki porucznika komandora. Hej, właśnie nadchodzi Andy. Ty, Wally, nie podkpiwaj sobie z wieśniaków. Andy stał się ostatnio strasznie drażliwy.

- Nie, nie narażę mu się - Wally'ego ubawił niepokój kolegi. - Przecież wiesz, że jest mi potrzebna jego pomoc.

Z namiotu wyszedł wysoki oficer. Wywijął laseczką, musiał się nią posługiwać, gdyż wyskakując z płonącego wozu uległ kontuzji kolana. Wallingford poznał go podczas swojej poprzedniej wyprawy i nie darzył sympatią.

Kapitan Andy z wolna do nich podszedł. Zachowywał się dosyć nieprzyjaźnie. Siedział w namiocie z radiotelegrafistą usiłując złapać dziennik BBC. W ciągu dnia było to bardzo trudne, głównie słyszało się trzaski. Miał twarz mopsa. Skrzywił się.

- No co, Wallingford, znów pan do nas przyjechał. Gdzie pan zostawił swój okręt? Chce pan na własną rękę wygrać tę cholerną wojnę, tak? - Nie starał się ukryć swego rozwlekłego akcentu z Yorkshire. Przyglądał włosy dłonią. I on był fatalnie ostrzyżony, choć nie aż tak katastrofalnie jak Piggy.

Żeby zatuszować szorstkość Andy'ego, Piggy postanowił zmienić temat rozmowy. Widział, że Wallingford przygląda się ich włosom. Powiedział więc:

- Mamy tu zawodowego fryzjera z jednej z linii okrętowych. Ale co się da zrobić nożycami do strzyżenia owiec. - Zaśmiał się.

Wallingford zawtórował mu, Andy jednak się nie rozchmurzył. Widać było, że obecność tych dwóch zaprzyjaźnionych ze sobą mężczyzn nie sprawia mu przyjemności.

- Cóż, nie ma lekko - powiedział Wallingford. Był przyzwyczajony, że oficerowie dość wrogo traktowali nieformalne jednostki, a co dopiero jednostkę dowodzoną przez oficera marynarki.

- Chwilowo Hunowie zatrzymali się - Piggy znów próbował rozładować atmosferę. - Okopują się wzdłuż frontu. I chwała Bogu. Nie wiem, czy mamy dość sił, by odeprzeć następne natarcie.

Andy trzymał teraz laskę jak kij golfowy. Uderzył w kamyk, który podskakując potoczył się w zarośla. Nie patrząc na kolegów powiedział:

- Rommel ruszy, nim nastaną upały. Będzie stawał na głowie, żeby zdobyć Tobruk. Bez portu nie da rady, wciąż będzie mu brakowało czołgów i amunicji.

- Czy Hunowie są naprawdę blisko? - spytał Wallingford. - Myślicie, że nas zaatakują?

- Nie. Niech się pan sam zastanowi. Rommel wybierze najkrótszą drogę, czyli ruszy na wybrzeże. Wszystkie siły grupuje na północy.

- Wally chce wiedzieć, jak tu dokładnie wygląda sytuacja, wieczorem rusza na tank - poinformował z nie ukrywanym podziwem Piggy. - Zaprosiłem go na lunch.

Andy nie od razu zareagował. Potem spojrzał na zegarek.

- Chodźmy się napić. Piggy powiedział:

- Wally przywiózł staremu skrzynkę „Johnnie Walkera”.

- Stary wykitował - rzucił opryskliwie Andy; pod taką opryskliwością mężczyźni starają się ukryć swoje prawdziwe uczucia. - Dostał kulkę w łeb próbując przyjść z odsieczą kompanii broniącej sztabu.

- Hunowie genialnie ukrywają karabiny maszynowe: zagrzebują je w piasku i nawet kiedy już świszczą kule, nie udaje się tych skurwysynów zobaczyć - powiedział Piggy.

- Przecież mówiłeś mi, że pułkownik wjechał na minę.

- Już wtedy nie żył - oznajmił apodyktycznym tonem Andy. Opancerzony wóz pułkownika długo się palił i Andy wolał myśleć, że pułkownik zginął już wcześniej. - I on, i jego kierowca. Wóz zataczał koła, kiedy stanął w płomieniach, Hunowie skoncentrowali się na nim, a nam udało się wyjść cało.

- Gdzie mam panu dostarczyć tę whisky? - spytał Wallingford. Andy nie odpowiedział.

Doszli do namiotu i Piggy podniósł klapę. Słońce przesączając się przez płótno nappełniło wnętrze zielonkawym światłem, wyglądało ono jak woda w akwarium. Na końcu namiotu stało pięć składanych krzeseł, skrzynie po prowiancie ustawiono tak, że mogły służyć za podręczne stoliki. Na długim także składanym stole leżała kraciasta serweta, był nakryty - wśród sztućców i szklanek stało parę butelek zdobycznego włoskiego wina...

Nieboszczyk pułkownik w najtrudniejszych warunkach dbał o to, by oficerskie kasyno wyglądało schludnie i w miarę ładnie.

- Proszę podać jeszcze jedno nakrycie - nakazał Piggy kapralowi, który się pilnie przyglądał pozbawionej nalepki puszcze. - Jaką to ohydę macie nam dzisiaj zamiar podać?

- Nie mam pojęcia, co jest w tej puszcze, sir - odpowiedział kapral. - Albo wołowina, albo boczek.

- Ach, te nie oznakowane puszeki - zaśmiał się Andy. - Sztab Armii Bliskiego Wschodu wydał w tej sprawie specjalny rozkaz. Żeby dowiedzieć się, co w takiej puszcze jest, należy ją otworzyć.

- Tak jest, sir - ponuro odpowiedział kapral. Nieraz już słyszał ten dowcip.

- I przynieście nam trzy duże whisky.

Nakrycia zajmowały tylko pół stołu. Wallingford chciał już coś na ten temat powiedzieć, ale ugryzł się w język. Pułk poniósł cięższe, niż się to wydawało, straty, oficerowie woleli o tym nie mówić.

- Dam panu na pierwszy kilometr przewodnika - zaproponował Wallingfordowi Andy, jakby żałując swej początkowej wrogości. - Teraz, po walkach, trudno jest odnaleźć tank. Ale dalej musicie już sobie radzić sami.

Wallingford skinął głową. Uznał, że nie należy dziękować. Zatroškany jak zwykle Piggy powiedział:

- Dobrze uważaj, Wally. Nie kręci się tu wielu Hunów, ale ich snajperzy mają ten trakt na oku.

- Będę miał o czym myśleć, kiedy już będę człapał po piachu - odparł lekceważąco Wallingford.

- Nie chcę, żeby ci się coś przytrafiło, Wally - zaczął się tłumaczyć Piggy.

- Wiem, wiem, dobry z ciebie chłop. - W szkole Piggy był o dwa lata niżej od Wallingforda. I to naznaczyło ich stosunki.

Whisky podano w platerowanych kubkach.

- Cześć! - powiedział Wallingford.

- Cześć! - odpowiedzieli tamci dwaj i wypili whisky tak, jakby to było lekarstwo.

- Nie moglibyście wyruszyć pieszo? - spytał Piggy.

- Dziś wieczór? Nie, stary, tego zadania nie da się wykonać pieszo.

- Łatwiej się przedostać pieszo. Nocą każdą ciężarówkę słyszy się z bardzo daleka.

- A w dzień nie?

- No, Wally, przecież wiesz, co chcę powiedzieć. Gdzieś blisko zaryczała syrena.

- Alarm lotniczy - wyjaśnił Piggy i dalej popijał whisky udając nonszalancję.

Wallingford podszedł do kłapy namiotu, schylił się i wysunął głowę. Usłyszał warkot samolotu. Dołączył do niego Piggy z kubkiem w ręku.

- On co dzień tu przelatuje - wyjaśnił Piggy. - Właśnie o tej porze. To samolot zwiadowczy. Robi zdjęcia.

Ledwie skończył zdanie, o parę kilometrów w lewo rozległy się wybuchy, zwiadowczy samolot zrzucił kilka bomb.

Obaj skulili się odruchowo. Zaraz jednak wyprostowali się i Piggy głupawo się uśmiechnął.

- Cóż, zwykle tylko fotografują. - Napił się whisky; kiedy podnosił kubek do ust, drżała mu lekko ręka. Wallingford cofnął się do namiotu, Andy patrzył na niego tak, jakby jego obarczał winą. Wallingford usiadł i wypił resztę whisky.

- Oj, było mi tego trzeba.

- Wygląda na to, że dostało się Hindusom. Pewnie szwankował ich kamuflaż - powiedział Piggy.

- Na pewno - potwierdził Wallingford. Zrozumiał, że Piggy szuka racjonalnego powodu, by móc wierzyć, iż jutro nie powtórzy się to samo.

Anderson milczał i popijał whisky tak, jakby był w namiocie zupełnie sam.

Obiad przypominał stypę. Obecni na nim oficerowie zbyt długo już przebywali na froncie. Ich odporność kończyła się. Strata dowódcy bardzo obniżyła morale. Myny tych ludzi świadczyły, że uważają, iż spotkała ich krzycząca niesprawiedliwość. Oto przez pół Afryki gonili Rommla, zepchnęli go do Al Aghalijja, a kiedy myśleli już, że będą mogli spocząć na laurach, Rommel rozpoczął kontrnatarcie i musieli się wycofać. I wcale go nie zatrzymali, to on to natarcie przerwał. Wallingford czuł, że są przekonani, iż nie zdołają powstrzymać nowej ofensywy, a Rommel na pewno zaatakuje, gdy tylko zbierze siły.

Rozmowa rwała się. Biesiadników obsiadły muchy. O tej porze roku nie można było w ciągu dnia zjeść posiłku nie spożywając tuzina much. Można było bez przerwy spędzać je z talerza, zawsze jakaś wczepiła się w kęs strawy. Większość mężczyzn paliła, dym jednak nie odstręczał much. Jeden z oficerów zarzucił sobie na głowę siatkę i trzymał talerz wewnątrz zaimprovizowanego namiotu, ale i on nie uniknął swojej porcji much.

Powoli mijało popołudnie. Cztery noce z rzędu patrolowano okolicę i niemal wszyscy żołnierze spali zbierając siły na następną noc. Kolację Wallingford zjadł ze swoimi ludźmi. Ze zdziwieniem odkrył, że w ich towarzystwie czuje się znacznie lepiej.

- Rad jestem, że już stąd wyjechaliśmy - zwierzył się Wallingford Percy'emu, kiedy dwie załadowane żołnierzami ciężarówki ruszyły na pustynię. - Ci tutaj dostali już bzika na punkcie Rommla. Przechodziły mnie ciarki.

Zrobiło się ciemno. Kapral, który pokazał im drogę przez pola minowe, zawrócił. Mogli już swobodnie pogadać. Wallingford wysiadł z kabiny, wlaź od tyłu do ciężarówki i oświadczył:

- Od tej chwili odzywa się tylko Percy. Zrozumiano? Ktokolwiek nas zatrzyma, wszyscy mają milczeć.

- Kiedy przedostaniemy się za niemieckie linie... - zaczął jeden z młodych żołnierzy.

- Czy wy naprawdę nie umiecie słuchać - wściekł się Wallingford. - Nie mamy najmniejszego zamiaru przedzierać się na tamtą stronę.. Jedziemy do wioski położonej przy tym szlaku. Najpewniej w ogóle nie natkniemy się na Szwabów. Sądząc z mapy, między tym kotłem, a najbliższym oddziałem niemieckim jest wiele kilometrów pustyni. Ta wioska zaś znajduje się o dwa kilometry stąd. Percy zna drogę, prawda, Percy?

- Tak jest, sir.

- Po co tam jedziemy, sir? Wallingford westchnął.

- Czy wy naprawdę nie rozumiecie, co się do was mówi?

- Zapomniałem, sir.

- Po sprzęt optyczny. Percy ukrył tam lunety, lornetki, kamery itd. A to wszystko sprzedamy w Kairze na pniu. Za grubą forszę. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Wallingford zawsze mówił o grubej forszcie, ale kiedy przychodziło do rachunków, żaden udział nie był tak duży, jak tego oczekiwano.

- Przed nami widzę jakieś budynki.

Pod koniec dziewiętnastego wieku, kiedy po raz pierwszy pojawili się tu Europejczycy, we wsi obecnie wymienianej na mapach wojskowych jako „wieś na szlaku” Bir al Tarik, stało około dwustu chat. Jeszcze w latach dwudziestych naszego stulecia była to ważna miejscowość dostarczająca wody. Ale po trochu źródła wyczerpywały się i malała liczba mieszkańców. Gliniane lepianki rozpadły się. Potem był to już tylko punkt przystankowy dla przejeżdżających karawan, to także skończyło się, gdy rozpoczęły się walki.

Percy wyruszył pieszo na zwiady. Reszta żołnierzy wysiadła z ciężarówek i rozłożyła się na piasku. Ostało się tu parę baraków i Percy podszedł do nich zachowując najwyższą ostrożność. Obie walczące strony zostawiały tu czasem posterunki.

Percy wrócił i zasygnalizował, że wszystko jest w porządku, rozległo się ogólne westchnienie ulgi. Ciężarówki wjechały na prostokąt ubitej ziemi, gdzie kiedyś było centrum wsi. Na paru lepiankach widniały jeszcze ślady minionych dni. Zwisало parę szyldów i przetrwało kilka emaliowanych tabliczek osadzonych w glinianych ścianach budynku, w którym ongi handlowano i wymieniano pieniądze.

Na tutejsze stosunki był to wspaniały dom, niemal o metr wyższy od pozostałych, otoczony niskim murem, gdzie kiedyś znajdowała się mała plantacja daktyli.

Percy dobrze znał tę wieś. Nim zdezerterował, był oficerem w sztabie Rommla i przyjechał tu z kwatermistrzem. Nigdy tego nie zapomniał.

- Tędy - nakazał autorytatywnie. Pchnął zardzewiały płot z żelaza i wszedł na niski próg jednego z domów. - Nie bójcie się, nie ma tu żadnych pułapek! - i żeby to udowodnić, kopnął pustą skrzynię, obok której leżały stosy starych niemieckich gazet. Zaprowadził kolegów do izby z tyłu, rozgarnął butem śmiecie, schylił się i chwycił za żelazne kółko. Pociągnął z całych sił i uniosła się drewniana kłapa.

- Gdzie jest latarka?

Nad czarną jamą zawisła duża latarka. Ale w jamie było pusto.

- Przecież tam nic nie ma - powiedział Wallingford.

- Nie, nie, wszystko w porządku - zaprzeczył Percy. - Towar został dobrze ukryty. Zaraz ci pokażę. Tyle że nie mamy drabiny. Potrzymaj linę, a ja po niej zleżę.

Wszyscy przyglądali się, jak niezawodny Percy niknie w ciemnościach. Kiedy jego głowa znalazła się o pięć metrów poniżej poziomu podłogi, stanął na wyboistym gruncie.

- Dajcie mi latarkę.

Przywiązano ją do liny i spuszczone na dół. Percy zapalił ją, schylił się i zniknął w niskim tunelu.

- No co? - zawołał Wallingford. Nie otrzymał odpowiedzi. - Słyszysz mnie, Percy?

Tymczasem Percy wrzasnął tylko z przerażeniem: - Scheisse! - po czym dalej po niemiecku zaczął kłąć. Rozległ się huk, zgasło światło, można by przypuścić, że Percy upadł i stracił przytomność, jednakże po chwili wylazł z tunelu ze stłuczoną latarką w ręku i poprosił o następną.

- Co się u diabła stało? - spytał Wallingford.

- Wąż - powiedział Percy. - A właściwie kilka węży. Stłukłem latarkę.

- Jakie to były węże?

- Nie pytałem ich o dokumenty - odparł zirytowany Percy. - Zejdz i zobacz sam.

Wallingford nie bardzo miał ochotę schodzić do piwnicy, ale wymagał tego jego autorytet. Zręcznie ześliznął się po linie. Było ciemno.

- Gdzie jesteś, Percy?

- Wszystko okay. Znalazłem prądnicę.

Wallingford wyciągnął ręce, dotknął pułapu tunelu i jego ścian, po czym bardzo ostrożnie ruszył w kierunku Percy'ego.

- Chodź, chodź - zachęcał Percy. Jego głos odbił się echem. Wallingford schyliwszy się poszedł tunelem w dół, patrząc pod nogi, czy aby pod grudą ziemi nie czai się wąż.

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Na końcu tunelu mrugało żółte światełko latarki Percy'ego. Kiedy Wallingford znalazł się obok niego, Percy otworzył drzwiczki przymocowanej do ściany szafki i zaczął w niej grzebać. Potem nachylił się nad niewielką przenośną prądnicą.

- Cofnij się - powiedział. - Zaraz powinno być światło. Pociągnął za rączkę. Nic. Pociągnął po raz drugi i trzeci. Za piątym razem prądnica zaczęła działać. Pojawiła się chmura dymu, rozległ warkot.

- Podusimy się - zaprotestował Wally.

- O nie - powiedział Percy i roześmiał się. - Zaraz zobaczysz. - Otworzył znów drzwiczki szafki i nacisnął dźwignię.

Sto czerwonych robaczek pod sufitem zpomarańczowiało, a potem zabłysło żółtym światłem.

- Coś takiego - powiedział Wallingford. Był to zadziwiający widok. Z małego tunelu weszli do drugiego, dużego szerszego i wyższego. Kamienne ściany lśniły.

- To koryto podziemnej rzeki, która wyschła.

- I tu zostawiliście ten sprzęt optyczny?

Zamiast odpowiedzi Percy pokazał skrzynie. Stały jedna na drugiej, solidni Niemcy ustawili je tak, że widać było nalepki objaśniające ich zawartość.

- Myślisz, że to wszystko będzie w dobrym stanie?

- W doskonałym. Jest tu chłodno i sucho. Nasz kapitan był starym, doświadczonym inżynierem. Wiedział, co robi.

- Dlaczego nie wywieźliście tego na zaplecze? - spytał, zresztą nie po raz pierwszy, Wally.

- Przecież ci mówiłem. To była 21 Dywizja Pancerna. Ruszyliśmy na północ. Wszyscy zginęli pod Sidi Razik, w tej bitwie z Brygadą Południowoafrykańską. To tam udało mi się zdobyć książeczkę żołdu Południowego Afrykanina i zacząłem się wycofywać na

wschód, żeby indywidualnie zawrzeć z wami pokój. A ten pułkownik, któremu tu towarzyszyłem, wrócił do Berlina. Papiery też uległy zniszczeniu. W całej Afryce nikt oprócz mnie nie wie, że tu znajduje się ten sprzęt.

- Fajnie - powiedział Wallingford i czule pogłodził skrzynię. Nachylił się i zaczął odczytywać nalepki.

- Wszystkiego nie uda się nam zabrać - zauważył Percy. - Musisz wybrać to, co najłatwiej da się upłynnić.

- „Hamburg” - czytał z nalepek Wallingford. - „Zeiss-Ikon, Drezno; Mauser-Werke A.G. Oberndorf; Schneider Optik, Kreuznach; Voigtlander, lornetki Leitz. Mikroskopy”. O, patrz skrzynia z kamerami filmowymi. - Wallingford roześmiał się histerycznie i Percy na chwilę wpadł w popłoch.

- To prawdziwa tragedia, że ludzie postanowili się nawzajem wyrzynać - oświadczył Wallingford, nagle zebrało mu się na filozofowanie. - Czyste szaleństwo. Ludzie powinni budować. Budować mosty, okręty, domy, a nie zajmować się ich niszczeniem.

Percy nie słuchał. Wielokrotnie wysłuchiwał już tyrad Wally'ego, który starał się usprawiedliwić swoją dezercję oraz przestępcze życie. Na szczęście Wallingford nie należał do ludzi, którzy dają się ponieść emocjom.

- Cholera! Wiesz, Percy, mamy tu prawdziwą fortunę. Tylko trzeba będzie przetransportować to wszystko do Kairu.

- No, właśnie - powiedział Percy.

Nie próbowali wspiąć się po linie. Poszli korytem podziemnej rzeki, aż znaleźli miejsce, gdzie Niemcy wnieśli do piwnic sprzęt. W ścianie tunelu pojawiły się wielkie drewniane drzwi. Otworzyli zasuwę i sforsowali zamek. Potem z całej siły pchnęli drzwi. Otworzyły się. Orzeźwiający powiew nocy. To tu podziemna rzeka wynurzała się na powierzchnię. Wyszli. Wallingford zrozumiał, czemu Percy wolał wejść do tunelu przez klapę w podłodze. Nawet teraz, kiedy drzwi były otwarte, trudno było je dostrzec, tak świetnie je zakamuflowano.

- Chytre Szwaby! - pochwalił Wally.

- fawohl - odpowiedział Percy.

Wallingford zamyślił się. Usiadł i zapalił papierosa starannie zasłaniając ręką płomyczek. Zaciągnął się.

- Czy Rommel tu dotrze? - spytał.

- Do Kairu? Chyba tak.

- Skąd ta pewność?

- Byłem w jego sztabie. - Percy znajdował się tam na samym dole drabiny, ale i tak się tym szczycił.

- Mówiłeś mi.

- On zna z góry każde posunięcie brytyjskie. Wasi generałowie podejmują decyzję, że tam a tam posłą brygadę czołgów, a Rommel wie o tym wcześniej niż dowódca owej brygady. Nie jest może wielkim strategiem, to nie Manstein ani Guderian, ale nietrudno jest zwyciężyć, kiedy zna się plany nieprzyjaciela. Tak, Rommel zajmie Kair. I deltę Nilu.

- Skąd ty to wszystko wiesz? - spytał bez większego zainteresowania Wallingford.

- Wiem. Kiedyś to opiszę. Ci głupi generałowie brytyjscy dowiedzą się, kto był tym „szpiegiem Rommla” w Kairze.

Wallingford obserwując, jak po zboczu wadi toczy się kamyk, nagle się zaniepokoił.

- Czy uda się nam tutaj zjechać ciężarówkami?

- Wtedy zjechaliśmy - oświadczył Percy, ale niezbyt pewnym głosem. Zawsze dawał do zrozumienia, że nikomu nie uda się dorównać Niemcom. - Rozejrzyjmy się, którą będzie najłatwiej.

Wallingford wstał.

- Lepiej zgaś papierosa - napomniął go Percy.

Wallingford zdeptał niedopałek. Potem poszli skrajem wadi. Tylko w czystym powietrzu na krańcach świata gwiazdy płoną tak jasnym blaskiem. Na północy coś błyskało na horyzoncie, był to artyleryjski ogień, tak odległy, że nie było go słychać. Wallingford cały czas patrzył pod nogi w obawie przed węzami. Nagle przystanął i chwycił Percy'ego za ramię. Percy spojrzał pytająco, a Wallingford wskazał na zarośla na brzegu wadi. Ktoś tam leżał.

- Ee, to nic - powiedział Percy. - Jakiś stary truposz.

Podszedł i kopnął zwłoki. Właściwie był to już tylko szkielet. Wyglądał jak mumia. Leżał na wznak, twarzą ku niebu, puste oczodoły; ściemniała skóra tak ciasno opinała kości, że otworzyły się usta. Wyblakłe poszarpane łachmany; wysokie sznurowane buty - jedyne, które ocalały, wskazywały, że jest to ciało niemieckiego żołnierza.

- Wygląda na to, że leży tu już od wieków - oświadczył Percy i znów go kopnął, jakby oczekiwał, że nieboszczyk zada mu kłam i wstanie.

- Straszny z ciebie skurwysyn, Percy.

- A pewnie. Dlatego ci jestem potrzebny.

- Nawzajem siebie potrzebujemy - oznajmił ciepłym tonem Wallingford. Miał szczęście, że trafił na tego niemieckiego dezertera i zwerbował go do swojej szajki. Jego ludzie tego nie pochwalali, była to jednak rozsądna decyzja.

- Bo ja wiem - powiedział Percy. - Chyba jednak urwę się po tym skoku. Wallingford przeraził się. Percy był jego prawą ręką. To dzięki niemu wszystko szło jak po maśle, na pozostałych ludziach nie całkiem można było polegać. Ale nie okazał swych uczuć i spokojnym tonem spytał:

- A co masz zamiar robić?

- Myślę przedostać się do Palestyny... A potem może do Indii. Byle dalej od frontu. Będę miał trochę pieniędzy i założę tam jakieś małe przedsiębiorstwo.

- Jakie?

- Niemcy tej wojny nie wygrają, skoro przystąpiły do niej Stany. Kaput. A ja jestem za stary, by wrócić do kraju i patrzeć, jak się tam panoszą okupacyjne wojska.

- Ale możemy jeszcze zarobić kupę forsy - nalegał Wallingford, który za wszelką cenę chciał Percy'ego zatrzymać. - Za rok będziesz mógł wyjechać z prawdziwą fortuną.

- Uważam, że zaczyna się robić niebezpiecznie. Któregoś dnia dopadnie nas żandarmeria. Twój ludzie są bardzo nierozważni. Za dużo piją i za dużo gadają.

- Konwoje amerykańskie będą z każdym dniem przywozić nad Suez więcej towarów, Percy. Widziałeś już amerykańskie czołgi i ciężarówki, to dopiero początek. Zamierzam skoncentrować się na dokach, w przyszłym roku da się tam zgarnąć masę szmalu. Nie będziemy się już włączyć po polach bitwy.

- Tobie jest łatwiej. Jesteś Anglikiem. A ja mam akcent.

- Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, Percy. Wiesz, że nie opuścimy cię w biedzie.

Percy w to bynajmniej nie wierzył. Wallingford lubił dodawać swoim ludziom animuszu i zawsze okazywał się przesadnym optymistą. Zrozumiał jednak, że Wallingforda nie zachwycają jego plany, i postanowił spuścić z tonu.

- Cóż, mam jeszcze czas na powzięcie decyzji.

- No, właśnie. Na wyjazd będzie ci trzeba dużo pieniędzy.

Percy uzmysłowił sobie, że popełnił gruby błąd zwierając się Wallingfordowi ze swych planów. Wallingford wiedząc, na co potrzebne mu będą pieniądze, postara się, by ich nie dostał. Percy uśmiechnął się.

- Chwilowo najbardziej przydałby mi się łyk gorzałki.

- Jak długo potrwa, nim to wszystko załadujemy?

- Najpierw wybierz, co chcesz dziś zabrać.
- Na to wystarczy mi pięć minut - oświadczył Wallingford. Percy spojrzął na zegarek.
- Nie zdążymy przed wschodem słońca. A za dnia wypatrzą nas samoloty. Lepiej będzie przeczekać tu do jutrzejszego wieczora.

Jakby na potwierdzenie jego obaw rozległ się warkot samolotu.

- Wracajmy - zaproponował Wallingford. - Chłopcy się pewnie niepokoją.
- To idioci - oświadczył Percy.
- Nie wszyscy - zaprotestował Wallingford.
- Co, może taki Tommy Mogg i Sandy Powell są wybitnymi indywidualnościami?
- Akurat oni udowodnili, że mają głowę na karku. Kiedy zobaczyli, że w Oazie Siwa roi się od policji, szybko się zmyli i dali nam znać.

- O tak, policję potrafią wypatrzeć na kilometr. Nic dziwnego, jeden jest złodziejem, a drugi gwałcicielem.

- Bardzo jesteś dla nich surowy. Sandy'emu nigdy nie powinni byli powierzać kasy kantyny. Wybrał się na Gezire na wyścigi, ale nie dopisało mu szczęście. Było mi go bardzo żal.

- Było ci także żal Mogga? A nie tej dziewczyny, którą zgwałcił?
- Cóż, tak czy owak, w Siwa zachowali zimną krew.
- No i świetnie. Ale co teraz zamierzasz zrobić? Przecież nie wybierzesz się tam po te Beretty, skoro w oazie czeka policja?

- Sprzedam je Żydom. Za gotówkę z góry. Dopiero kiedy mi zapłacą, powiem im, gdzie znajdują się te karabiny maszynowe. Niech zorganizują sobie własny transport.

- Myślisz, że na to pójdą?

- Rozpaczliwie potrzebują broni.

- Złapią ich.

- Może złapią, może nie złapią. Wezmę od tego idioty Darymple'a odpowiednie dokumenty. Ale nawet jeśli to nie poskutkuje i Salomona zamkną, forszę będziemy już mieli w kieszeni. Trzymaj się mnie, stary, mam głowę do interesów.

- Jeśli złapią Salomona, to cię zdradzi. Opisz nas policji.

- A dlaczego miał podejrzewać, że to nasza wina? Percy nie odpowiedział i Wallingford dorzucił?

- Salomon nas nie wyda. Znam się na ludziach. Salomon nienawidzi Brytyjczyków. Nie będzie chciał iść im na rękę.

Dopóki Salomon nie kazał Peggy West, by śledziła księcia Piotra, Peggy widywała go rzadko. Teraz zaprzyjaźnili się.

- Może któregoś wieczoru wybierzemy się do jakiegoś nocnego lokalu? Pewnie uda nam się spotkać króla - zaproponował Piotr. Wiedział, że Peggy, tak jak większość rezydujących w Kairze cudzoziemców, zafascynowana jest królem Farukiem.

- Skąd będziemy wiedzieli, w jakich nocnych lokalach bywa król?

- Dowiem się w pałacu. Król ma zawsze jakiś ulubiony lokal, tyle że się to ciągle zmienia. Pod wieloma względami zachowuje się jak dziecko.

- Widziałam go w zeszłym tygodniu na ulicy. Wiedziałam, że nadjedzie, bo policja zatrzymywała ruch. Jechał wielkim czerwonym Rollsem, przed nim motocykliści i wojskowa ciężarówka, a potem kilka aut z tajniakami.

- Uwielbia, żeby koło niego skakano. Chyba już wiesz, że wszyscy Arabowie lubią błyszczeć. Kiedyś miałem kabriolet, srebrnoczarnego Wraitha. Uwielbiałem ten wóz. Król dał mi do zrozumienia, że muszę z niego zrezygnować. Nie może znieść, żeby ktoś miał go zaćmić.

- Czemu się zgodziłeś?

- Bo mam francuski paszport - odpowiedział smętnie Piotr. - Nie mogę narażać się władzom.

- Dlaczego?

- Przecież sama wiesz. W zeszłym roku Brytyjczycy walczyli w Syrii z Francuzami z Vichy. A teraz Japończycy atakują Brytyjczyków z francuskich baz w Indochinach. Brytyjczycy nie cierpią Francuzów. Byliby zachwyceni, gdyby znaleźli pretekst, żeby się pozbyć z Egiptu mnie i innych posiadaczy francuskich paszportów. I gdzie ja się wtedy podzieję, Peggy, co się ze mną stanie?

Peggy miała ochotę odpowiedzieć, że do Syrii jest bardzo niedaleko, nauczyła się już jednak, że usłyszawszy taką konkretną odpowiedź Piotr zacznie się jeszcze bardziej rozczulać nad swoim losem.

- Ależ, Piotrze, wszyscy cię kochają. Kair bez księcia Piotra nie byłby już tym samym Kairem. Nikt nie zechce cię stąd wyrzucać.

Księżę rozpogodził się. Peggy udało się znaleźć właściwe słowa.

- No to pójdziemy któregoś wieczoru potańczyć?

- Nie mam co na siebie włożyć - westchnęła Peggy.

- Peggy, sprawiasz mi zawód - powiedział swawolnym tonem Piotr. Wrócił już do zwykłej formy, zapomniał o swoich troskach. - Uważałem cię za kobietę, która nie zniża się do wypowiedzania podobnie banalnych zdań.

- Masz rację, Piotrze. I w dodatku tak naprawdę to mam mnóstwo szmatek. Wielu sukni nie wkładałam od początku wojny.

- Może włożysz tę błękitną z dużym dekoltem? Bardzo ci w niej do twarzy.

Peggy spojrzała na niego, wciąż ją zaskakiwał. Suknię, o której wspominał, mógł widzieć tylko raz, i to już prawie rok temu.

- Dobrze, włożę tę błękitną, jeśli sądzisz, że będzie odpowiednia. Jest krótka.

- Odpowiednia? Wyglądasz w niej zachwycająco. A zresztą obecnie nie nosi się długich sukien.

- Hm... Wieczorowe pantofle mam... - szepnęła Peggy, która już zaczęła się zastanawiać, jak się ma uczesać.

- Wiesz co? Wspominałem ci kiedyś, że mam wkrótce urodziny. Zaproszę kilku przyjaciół...

- Cudowny pomysł. Ale czy to nie będzie za kosztowne?

- Obchodzę urodziny raz na dziesięć lat. Więc zrobimy to w wielkim stylu. Tort i świeczki.

- Jesteś wspaniały, Piotrze.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Rzeczywiście spotkali króla. Stało się to w „Tutenkhamonie”, modnym lokalu na Szari Muhammada Alego. Ta ulica miała przypominać paryską rue de Rivoli, ale nikomu nie przychodziło to na myśl, zwłaszcza w pobliżu Opery, gdzie od początku wojny królował czarny rynek. Nocne lokale i bary dostały się pod kontrolę mafii arabskiej, głównym mafioso był leciwy Nubijczyk, który większość wieczorów spędzał w kasynach gry, a dni na wyścigach.

Piotr postanowił, że wszyscy najbliżsi przyjaciele mają się na własne oczy przekonać o jego znajomości z królem. Kapral Alice bawił akurat poza Kairem, Alice towarzyszył więc Robin Darymple. Zaproszono też Saida i Zeinab al-Szazli. Byli zachwyceni, że będą mieli okazję wystroić się i spędzić wieczór w miłym towarzystwie. Saidowi zdarzyło się kiedyś wyrazić uprzejmie swe wątpliwości, czy książę Piotr jest rzeczywiście zaprzyjaźniony z rodziną królewską. Tego wieczoru dowiedzą się prawdy - powiedział siostrze, gdy stali przed lustrem, przyglądając się, jak Said wygląda w smokingu pożyczonym od przyjaciela ojca.

Smoking nie najlepiej leżał i Said martwił się, że spodnie w pasie są trochę za szerokie. Ale Zeinab zapewniła go, że wygląda naprawdę po angielsku.

Przybyli do „Tuta” dostatecznie wcześniej, by zjeść „luksusową francuską kolację”, która stanowiła jedną z atrakcji tego lokalu. Said skrupulatnie studiował menu, bojąc się, by nie wybrać czegoś, czego zabrania islam. Wreszcie zdecydował się na szpinakową zupę i pieczonego gołębia. Było to może niezbyt atrakcyjne, lecz bezpieczne. Jego siostra śmiała się z tej ostrożności. Za poradą księcia Piotra zamówiła sałatkę z langusty i baranie kotlety w musztardowym sosie. Said spojrział na nią surowo i potępiająco. Nie był też zadowolony, że wypiła łyk szampana z kieliszka Robina Darymple’a, który bardzo ją na to namawiał. Nie mógł przyzwyczać się do myśli, że jego siostra jest już dorosłą kobietą i przestała się liczyć z jego zdaniem. Zeinab próbowała udobruchać brata, ale nie przyszło jej to łatwo. Doszła do wniosku, że Said wciąż trapi się opadającymi spodniami, odwróciła się więc od niego w kierunku księcia. Jeśli jej brat chce się przez cały wieczór dąsać, to jego sprawa. Rozejrzała się wokoło i uśmiechnęła. Miała zamiar spędzić wesoły wieczór.

Wszystkie trzy kobiety wyglądały bardzo korzystnie. Zaprosiny Piotra umożliwiły im wystrojenie się, do czego ostatnio nieczęsto zdarzała się okazja. Peggy miała na sobie bladobłękitną sukienkę wyszywaną cekinami. Zeinab już ją widziała - któregoś wieczoru Peggy pokazała jej całą swą garderobę, gdy młoda Egipcjanka zaproponowała jej pożyczenie jedwabnych pończoch. Jedwabne pończochy w Kairze należały do rzadkości.

Peggy wyjęła na ten wieczór całą swoją biżuterię: diamentowe kolczyki, naszyjnik, złotą broszeczkę w kształcie litery P i złoty zegarek. Teraz uprzytomniła sobie, że przesadziła. Stale jej się to zdarzało. Przez chwilę miała ochotę zdjąć naszyjnik i broszkę i schować je do torebki. Ale ktoś mógłby to zauważyć. Piotr gotów zacząć z niej pokpiwać. Spojrzała na Alice. Zazdrościła Alice nie tyle jej młodości, ile pewności siebie. Alice na pewno nie stała godzinami niezdecydowana przed lustrem, to strojąc się w klejnoty to je zdejmując. Alice zawsze wyglądała wspaniale nie wkładając w to najmniejszego wysiłku. Dziś miała na sobie najprostszą koktajlową czarną sukienkę pod szyję. Jej matka tuż przed wojną sprowadziła ją od Harrodsa. Na szyi podwójny sznur pereł, na ręku skromny złoty zegarek. Nie była umalowana, tylko wargi pociągnęła blad różową pomadką. Obcięła krócej włosy, widać było jej uszy.

- Te arabskie dziewczyny są wspaniale - szepnął Darymple Alice na ucho. - Potem tyją i wcześniej się starzeją, ale za młodu wyglądają olśniewająco. - Z zachwytem przyglądał się Zeinab, tak jakby ją widział pierwszy raz. Uległ pokusie i musnął wargami ucho Alice.

- Niech pan uważa na mój makijaż - zaprotestowała Alice i machnęła ręką, jakby chciała przegonić natrętną muchę. Nachyliła się nad stołem w stronę Zeinab. - Ma pani piękną suknię.

- To suknia mojej matki, pożyczyła mi ją na jeden wieczór.

- Ślicznie pani wygląda, prawda, kapitanie Darymple?

- Błagam, niech mi pani mówi po imieniu. Robin. A tak, ślicznie. Zeinab rzeczywiście wyglądała tego wieczoru wręcz zachwycająco. Jej suknia została uszyta z bardzo kolorowej tkaniny, w jakiej mogło być do twarzy tylko młodej osobie. Była mocno umalowana. Jasny podkład na twarzy, oczy podkreślone tuszem. Wyglądała uroczyście, tak jak powinna wyglądać młoda egipska kobieta. Ale łatwo było ją rozśmieszyć i wówczas robiła wrażenie małej dziewczynki.

Restauracja była pełna, we wszystkich restauracjach egipskich panował tego roku tłok. Peggy zobaczyła parę znajomych osób, w tym Thedę Borrows i Jeannie MacGregor. Były z dwoma rannymi oficerami, którzy w następnym tygodniu mieli już wrócić do swych jednostek. Ukłonili się Peggy. Pewnie tego wieczoru Jeannie świętowała swój przydział do Przyfrontowego Ośrodka Chirurgicznego. Załatwiła to Peggy, Jeannie niewątpliwie zdawała sobie z tego sprawę, ale nie zgłaszała pretensji. Wyglądało na to, że Jeannie MacGregor wyzbyła się swej kostyczności, a Theda Borrows przestała oddawać się rozpaczom. Peggy pomyślała, że bardzo młode osoby zrobione są z gumy. I na pewno zdrowiej jest dawać upust swym emocjom niż je w sobie dławić, tak jak to robiła ona. Tyle że nie byłoby to z korzyścią dla szpitala, gdyby siostry oddziałowe i w ogóle wyższy personel przy pierwszej lepszej okazji zaczynał szlochać lub się złościć.

- Grosik za twoje myśli - powiedział Robin Darymple.

- Myślę o tych dziewczynach ze szpitala. Czy nie powinnam przypomnieć im, że jutro pracują na ranną zmianę?

- Nie radziłbym. Z daleka widać, że co innego mają w głowie. Kiedy przybył orszak królewski, kierownictwo lokalu opróżniło trzy stoliki przy parkiecie. Nie wszyscy goście zgodzili się na to bez oporu. Czterech oficerów marynarki handlowej zabrało swoje krzesła i usiadło wśród orkiestry.

Król lubił mieć widok na całą salę. Świeże obrusy powiewały jak flagi, ustawiono wazon z kwiatami i wiaderka z lodem. W każdym wiaderku tkwiła butelka drogiego wina.

Król Faruk przybył dopiero wówczas, gdy jego orszak stał już naokoło stolików. Wkroczył na salę majestatycznym krokiem. Rozejrzał się z uśmiechem, wyraźnie radował

go ochy i achy zebranych. Sześciuosobowa orkiestra dzielnie odegrała egipski hymn. Po czym król usiadł.

Peggy po raz pierwszy widziała króla z bliska. Nie przypuszczała, że wygląda aż tak młodo, choć wiedziała, iż ma dopiero dwadzieścia dwa lata. Miał białą delikatną cerę. Był na pewno zbyt korpulentny, ale w świetnie skrojonym smokingu wyglądał bardzo przystojnie. Dworzanie króla zajęli się zamawianiem dań i napitków, a tymczasem przy wtórce orkiestry rozpoczęły się występy na parkiecie. Orkiestra zagrała „Szukam szczęścia” i muskularny mężczyzna w bufiastych jedwabnych spodniach, nagi do pasa i z biczem w dłoni ruszył w tany. Był to taniec akrobatyczny, towarzyszyły mu dwie młodziesienkie dziewczyny w skąpych kostiumach. Numer ten nosił szumną nazwę „Targu Niewolników Iwana”, a plakaty przed nocnym lokalem głośiły, że Iwan przybył tu na gościnne występy z Bejrutu w Libanie.

Kiedy Iwan po raz setny trzasnął biczem i pojawili się kolejno żongler, Hiszpan z kastanietami oraz tancerka pokazująca taniec brzucha, występy skończyły się i parkiet opustoszał. Muzykanci odłożyli nuty i zaczęli grać do tańca. Po paru minutach goście lokalu odprężyli się i zapomnieli o obecności króla.

Sam kierownik sali przyniósł Piotrowi urodzinowy tort. Orkiestra zagrała „Happy birthday to you”, Piotr uśmiechnął się i udał zdziwienie. Pokrajał tort. Peggy skosztowała go i oświadczyła, że nikomu nie przyszłoby do głowy, iż cukier jest w Kairze na kartki. Robin Darymple wziął drugi kawałek.

Księżę Piotr tańczył może po staroświecku, ale świetnie. Wyznał Peggy, że matka posyłała go na lekcje tańca, kiedy był jeszcze chłopcem.

- Fokstrot, walc, tango, walc angielski - nauczyłem się tych wszystkich tańców.
- No to zatańczymy tango - zaproponowała Peggy.
- Doskonale.

Gdy po tańcu wrócili do stolika, pojawił się wysłannik króla. Był to czterdziestoletni mężczyzna, robiący wrażenie wojskowego, miał przystrzyżone wąsy, tak jak większość egipskich oficerów.

Uklonił się księciu Piotrowi i zawiłym stylem przekazał mu pozdrowienia i urodzinowe życzenia od króla. Piotr uśmiechnął się z satysfakcją i rozejrzał wokoło, by sprawdzić, czy wszyscy to usłyszeli.

Tymczasem mężczyzna skłonił się lekko Saidowi i zwrócił do Zeinab. Przedstawił się jako adiutant króla i oświadczył:

- Król składa swe uszanowanie. Chciałby z panią zatańczyć. - Spojrzał na Saida, ten nie zareagował.

Zeinab wstała. Adiutant zaoponował.

- Nie, nie tutaj, nie publicznie.

Zeinab spojrzała na brata. Said zeszywniał, wydawało się, że coś powie. Ale to nie nastąpiło, choć adiutant grzecznie czekał.

- Niech pan będzie uprzejmy bardzo podziękować królowi - powiedziała Zeinab. - Ale jestem tu gościem księcia Piotra i nie mogę wyjść w trakcie jego urodzinowego przyjęcia.

Adiutant umiał radzić sobie z takimi wątpliwościami.

- Limuzyna króla będzie o dziesiątej trzydzieści czekać na panią przed domem - oznajmił. Skłonił się jej, potem Saidowi, potem księciu Piotrowi. I wrócił do stolika, przy którym siedział król. Usiadł przy nim, nie powiedziawszy słowa do króla Faruka, który miał taką minę, jakby w ogóle tej rozmowy nie zauważył.

Była już dziesiąta piętnaście. Goście Piotra spojrzeli po sobie. Przez długi czas wszyscy milczeli, potem Peggy zawołała:

- Powiedz mu, żeby poszedł do wszystkich diabłów!

Księżę Piotr położył jej na ramieniu rękę uspokajającym gestem. I cicho powiedział:

- Jeśli ona odmówi, Said zostanie aresztowany.

- Mówi pan poważnie? - spytała Alice Stanhope. Spojrzała, by sprawdzić, czy młodzi Szazli ich nie słyszą, ale oni patrzyli na siebie bezradnym wzrokiem.

- Niestety tak. - Księżę Piotr zniżył głos. - Tuż przed Bożym Narodzeniem taką samą propozycję otrzymała żona jednego z Amerykanów. I ten powiedział królowi, że może dać się wypchać. Wtedy nic się nie stało, bo król bał się, że dostałoby się to do amerykańskich gazet. Said jednak nie jest niestety Amerykaninem.

- A to bydlę! - powiedziała Peggy i spojrzała przez ramię w kierunku księcia. Dojrzała go za tańczącymi parami. Orkiestra grała „Kiedy twe oczy zachodzą mgłą”. Z sufitu zwisała lustrzana kula i z wolna się obracała. Odbijało się od niej światło i padało na tańczących jak płatki śniegu. Na parkiecie wszyscy uśmiechali się, wszyscy się świetnie bawili. Tylko Robin Darymple był potwornie zakłopotany. Wstał i odszedł od stolika. Sięgnął do kieszeni po złotą papierośnicę i zapalniczkę. Zapalił nerwowo papierosa. I wyszedł.

- Niestety Said nie jest ani Amerykaninem, ani Anglikiem - powtórzył Piotr.

- No dobrze, ale chodzi przecież o Zeinab - Alice z trudem opanowywała gniew. - Czy Zeinab nie ma na ten temat nic do powiedzenia? Musi iść z tym głupim królem do łóżka? - Alice głęboko odetchnęła. Jeszcze przed paroma minutami napomniałaby każdego, kto by w publicznym miejscu wyraził się takimi słowami o królu. A teraz czuła bezradną wściekłość, nie znała dotąd tego uczucia.

- Proszę, mów ciszej - szepnął Said. Spojrzeli na niego. Postarzał się co najmniej o dziesięć lat.

- Muszę zastosować się do jego życzeń - oświadczyła Zeinab. Said dotknął jej ramienia.

- Lepiej, żebym poszła z tym bydlakiem niż miałby mścić się na mojej rodzinie.

- Z najwyższą przykrością muszę stwierdzić, że zupełnie się z panią zgadzam - oznajmił książę Piotr. - Żaden Egipcjanin nie może sprzeciwić się woli króla, jeśli nie chce narazić się na grube przykrości.

- Nie, Zeinab, nie idź - zawołała Alice, jej ton wskazywał, jak bardzo jest wstrząśnięta. Piotr podniósł brew. Zobaczył prawdziwą Alice Stanhope.

Peggy West bała się, że Alice urządzi scenę.

- Alice, nie wolno nam się do tego wtrącać. To ich kraj, ich król.

- Ale my nim rządzymy - zaprotestowała Alice. - My nim rządzymy, my dopuszczamy, żeby tu kwitła korupcja. Te łapówki, ta niesprawiedliwość, przemoc. Jak możesz, Peggy, uważać, że mamy się nie wtrącać.

Peggy zachowała spokój, nie na darmo była pielęgniarką.

- Alice, oni muszą sami powziąć decyzję - Zeinab i Said. A my im to tylko utrudniamy.

Muzyka umilkła, tańczące pary opuściły parkiet. Rozległy się uprzejme oklaski, orkiestra na chwilę zesza z podium. Alice powiedziała:

- Książę Piotrze, czy nie mógłby pan czegoś zrobić? Piotr spojrział na nią i z wolna potrząsnął głową.

- Niestety nic nie mogę pomóc. Strasznie mi przykro. Przecież Zeinab i Said są moimi przyjaciółmi.

Alice zrozumiała, że król wybierając kobietę siedzącą przy stoliku Piotra rzuca mu wyzwanie. Może był to przejaw skrytej wrogości. A może po prostu to, że chodzi o znajomą znajomego, wyzwoliło sadyzm króla.

- Gdzie on się podział? - spytała Peggy.

Dwór króla siedział jeszcze przy parkiecie, król jednak zniknął. Książę Piotr odpowiedział:

- Wyszedł już. To mu się często zdarza. Wpada do lokalu tylko na chwilę, żeby się rozejrzeć.

- Żeby znaleźć kobietę? Książę skinął głową.

- Świntuch.

- Zatańczymy? - zaproponował Piotr.

Peggy miała ochotę odmówić, ale nie chciała robić mu przykrości, na nic by się to nie zdało. Wrócił Robin Darymple i poprosił do tańca Alice. Może Piotr chce, by rodzeństwo Szazli mogło swobodnie pogadać?

- Z przyjemnością - odparła Peggy. Był to powolny walc. Peggy widziała tańczącą z Darymple'em Alice, była już spokojna, nikt by nie pomyślał, że przed chwilą tak strasznie się rozgniewała. Rodzeństwo Szazli pozostało przy stoliku, Said przysunął się wraz z krzesłem do siostry.

- Z przyjemnością - powtórzył książę Piotr. - Dlaczego pewne formułki są stosowniejsze od innych? Kiedy przyjechałem do Anglii, mówiłem witając się z kimś: miło mi cię spotkać. I wszyscy przyjaciele wyśmiewali się ze mnie. A niby dlaczego „jak się masz?” ma być stosowniejszym powitaniem?

- Taki to już śmieszny język - powiedziała Peggy.

- Nie. Język nie jest śmieszny. To język Szekspira, Milтона i Wordswortha.

- Masz rację. To nie język jest śmieszny. To ludzie.

Potem tańczyli w milczeniu. Peggy pomyślała, że książę Piotr tak samo jak ona waha się, czy wracać do stolika, do Saida i Zeinab. Przetńczyli więc cały następny taniec. Tak samo postąpili Alice i Darymple. Kiedy wrócili, przy stoliku siedział już tylko Said.

- Wolałbym, żebyśmy o tym nie rozmawiali - powiedział.

Usiedli. Książę Piotr zamówił następną butelkę szampana, niemniej siedzieli jak żałobnicy wokół trumny.

Wkrótce książę Piotr zaproponował powrót do „Magnifico”.

- Zapraszam was na pożegnalny kieliszek.

Ale gdy znaleźli się w „Magnifico”, nikt nie chciał skorzystać z tego zaproszenia. Wieczór był wyjątkowo nieprzyjemny. Teraz wszyscy powiedzieli dziękuję oraz dobranoc i rozeszli się do swoich pokoi. Said zatrzymał Alice. Zabrał ją do jadalni, tam gdzie siedziała ze swoim kapralem, kiedy w styczniu po raz pierwszy pojawiła się w „Magnifico”.

Said zapalił światło. W powietrzu unosił się słaby zapach płynów dezynfekcyjnych. Krzesła ustawiono na stolikach.

Alice patrzyła na Saida czekając, by się odezwał. Widziała, że z trudem zbiera myśli.

- Panno Alice - powiedział wreszcie - chciałbym jutro zobaczyć się z pani przyjacielem Bertem. - Zdjął ze stolika krzesło i podał je Alice. Potem wziął drugie dla siebie.

- Chcę... - Tu załamał ręce, co przeczyło malującemu się na jego twarzy mocnemu postanowieniu.

- Tak? - spytała Alice.

- Chcę dla niego pracować... chcę pracować dla Brytyjczyków. Zrobię wszystko, czego sobie zażyczą. - Obliznął wargi. - Ten bydlak, król! Tacy ludzie mają rządzić naszym krajem?! To hańba. On jest gorszy od Brytyjczyków.

Nad głową Saida wisiał lep na muchy, jakaś mucha trzepotała skrzydełkami usiłując się oderwać.

- Niech pan to jeszcze dziś wieczorem przemyśli - zaproponowała Alice. - I pogadamy o tym jutro.

Said roześmiał się tak, jakby usłyszał dobry żart.

- Coś takiego! Przecież pani powinna mnie zachęcać, żeby został waszym tajnym agentem!

- Chyba tak... - Alice dotknęła sznurka pereł, miała ochotę okręcić go sobie wokół palców, matka długie lata próbowała ją od tego odzwyczaić.

- Kuj żelazo, póki gorące! Prawda, że tak się mówi po angielsku?

- Tak, tak. Pan świetnie zna nasz język.

- Zatem, panno Alice, niech pani to żelazo kuje. Doskonale wiem, że pani przyjaciel, Bert, pracuje w brytyjskim wywiadzie... Wiele mu będę mógł opowiedzieć.

- Nie, nie...

- Pani mówi: nie, ale ja mówię: tak. - Siedział bez ruchu na krześle. - Powie mu pani jutro?

- Tak, Saidzie, powiem mu.

Nagle Alice uświadomiła sobie, że jest to bardzo ważny moment w jej życiu... Ileż to nadyskutowała się z ojcem, jak bardzo naraziła się matce, wszystko po to, by zacząć pracować w Kairze, by robić coś pożytecznego. I oto wreszcie ma szansę wpłynąć na bieg wydarzeń. Oto werbuje agenta, który dostarczy wszelkich informacji o utworzonej przez oficerów egipskich organizacji rewolucyjnej. Musi przestać zachowywać się jak mała dziewczynka, którą chciałaby w niej widzieć matka, stać się kobietą czynu. Prawdziwą profesjonalistką, którą będzie szanował oficer policji, Bert Cutler. I zupełnie innym tonem powiedziała stanowczo:

- Dobrze. Ale nie chciałabym, żeby pokazywał się pan w koszarach. Lepiej niech Bert przyjdzie tutaj. O której godzinie byłoby panu najwygodniej?

Said zdawał się nie zauważać zmiany, jaka zaszła w Alice. Przez parę minut wpatrywał się we własne ręce, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, czego chce się podjąć. Za chwilę już nie będzie mógł się wycofać. Nie będzie mógł zmienić zdania, roześmiać się i

powiedzieć, że panna Alice musiała go źle zrozumieć. Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jak najwcześniej.

- Zaraz prześlę mu wiadomość. Niech pan przyjdzie do mnie rano na herbatę.

Powiedzmy o ósmej.

- Świetnie. O ósmej.

Wstała. Nie chciała, aby miał czas zmienić decyzję.

- No to jesteśmy umówieni. Dobranoc panu.

- Dobranoc, panno Alice. - Grzecznie wstał. Miała ochotę objąć go i pocieszyć. Tak bardzo lubiła to rodzeństwo. Ale nie wiedziała, jakimi słowami mogłaby wyrazić swe uczucia. Nigdy jeszcze nie zetknęła się z prawdziwą tragedią.

Chwilę stali. Domyślił się, że Alice chce zaraz zadzwonić do dyżurnego oficera w koszarach i czeka, by odszedł. Ukłonił się i bez słowa wyszedł z jadalni.

Alice odczekała, aż wejdzie na górę i dopiero wówczas poszła do holu zatelefonować. Starannie zamknęła drzwi kabiny, aby nikt nie mógł jej usłyszeć.

- Halo, halo.

Egipskie telefony pozostawiały wiele do życzenia. Po paru nieudanych próbach zadzwoniła na centralę. W kabinie leżała pozostawiona przez kogoś gazeta. Zaczęła ją przeglądać, czekając na połączenie. Na Morzu Jawajskim miała miejsce wielka bitwa morska, alianci ponieśli w niej „ciężkie straty”. Gazeta nie podawała bliższych szczegółów, ale wszystko wskazywało, że Japończykom powiedzie się inwazja. Wkrótce opanują Holenderskie Indie Wschodnie. Ten oficjalny komunikat był sformułowany tak, by przygotować czytelników na najgorsze.

Odłożyła gazetę i nacisnęła widełki. Straciła kontakt z telefonistą. Znowu nakręciła numer koszar. Wreszcie za trzecim razem udało się. Poznała głos sierżanta Ponsonby.

- Oficer dyżurny.

Od tamtej nocy, kiedy - jak głosiła legenda - brytyjskie czołgi otoczyły Pałac Abidin i królowi przystawiono do głowy rewolwer, wojsko i policja znajdowały się w stanie gotowości.

Alice starannie dobierała słowa. Wiedziała, że Bert zrozumie, o co chodzi, a sierżant Ponsonby wcale nie musi być o wszystkim poinformowany.

- Proszę zawiadomić majora, żeby przyszedł do mnie na śniadanie. O siódmej trzydzieści rano. Chodzi o ważną sprawę. Proszę go odszukać. Bardzo zależy mi, by się nie spóźnił. - Musi przecież pogadać z Bertem, nim pojawi się Said.

Ponsonby jak zwykle zachował flegmę. Posępny tonem powtórzył:

- Siódma trzydzieści. Przyjmuję zlecenie. Major Cutler zostanie zawiadomiony. -
Alice pomyślała, że pewnie sobie wypił, bo inaczej skąd ta pompatyczność?

Idąc na górę minęła pokoje Zeinab i Saida. Wydało jej się, że ktoś szlocha. Ale może to bulgotały rury. Kanalizacja w hotelu była naprawdę przedpotopowa.

Kiedy Andy Anderson mieszkał w tym maleńkim pokoiku na drugim piętrze, przybił na ścianie półki i zainstalował elektryczną maszynkę oraz elektryczny czajnik. W ten sposób mógł w nocy napić się herbaty, a rano ogolić się nie schodząc do łazienki.

Słońce świeciło jasno, padając na karciany stolik, który Alice nakryła obrusem i ustawiła na nim angielskie śniadanie. Na stoliku tym Andy grywał w pokera, który często przeciągał się aż do rana. Andy przyjaciółom podawał alkohol, ale sam wolał herbatę. Uważano ogólnie, że herbata jest dla niego narkotykiem. I część znajomych twierdziła, że swoje karciane sukcesy zawdzięcza właśnie temu, że trzyma się herbaty. W jego pokoju często odbywały się pijaństwa, ale nikt nigdy nie widział Andy'ego zalanego czy choćby lekko wstawionego.

Teraz Alice Stanhope zawiesiła tu kolorowe zasłony i położyła nowy dywan. Filizanki do herbaty z porcelany Wedgwooda, dzem w kryształowej miseczce - wszystko to wypożyczyła sobie z mieszkania matki w Aleksandrii.

- Zawsze miałem ochotę zjeść z tobą śniadanie, Alice - powiedział Jimmy Ross. Był ubrany w mundur khaki, na krótkich rękawach koszuli przyszyte były szewrony kaprała. Uważał, że kapralowi łatwiej jest zniknąć w tłumie, a zresztą mieszkańcy „Magnifico” znali go jako kaprała Cutlera.

Alice spojrzała na niego badawczo, czyżby była to aluzja? Nalała mu herbaty.

- Ja dziękuję za mleko - powiedział Said i zasłonił filizankę ręką. - Dziękuję, Bert, że zechciał się pan ze mną zobaczyć.

- Tak, zjem grejpfrut - zwrócił się do Alice Jimmy. - Ale tu, w Kairze, nie mam zamiaru opychać się gorącą owsianką.

- Dobrze, owsianka będzie dla mnie - zgodziła się Alice. - Podać ci cukier?

- Powierzono mi kierownictwo wywiadu - oznajmił ni stąd, ni zowąd Said, jakby chcąc spalić za sobą mosty.

- W tym ruchu Wolnych Oficerów?

- Więc wie pan o naszym istnieniu?

- To dla nikogo nie jest sekretem - oświadczył Ross. - Ale nie wiedziałem, że jest pan szefem wywiadu.

- Nie jestem. Nie mamy szefa. Ale się tym zajmuję.

- Musi mi pan podać wszystkie nazwiska - powiedział Ross. Zawsze należy zacząć od tego, co najtrudniejsze. Kiedy człowiek zdradzi nazwiska przyjaciół, potem już bez oporu powie wszystko.

- Tak, rozumiem.

- Otrzyma pan pseudonim. Pańskie prawdziwe nazwisko nie pojawi się w żadnych aktach. Nikt poza naszą trójką nie dowie się o naszym dzisiejszym spotkaniu.

Nim Said zdążył odpowiedzieć, ktoś zastukał do drzwi. Peggy West zajrzała do środka i wydała okrzyk zdumienia.

- Alice! Said! Bert Cutler! Co wy tu robicie?

- O co ci chodzi, Peggy? - Alice starała się zachować spokój. Nie przyszło jej na myśl, że Peggy może się tu pojawić. Zwykle spotykały się w holu.

- Jaka śliczna porcelana! - Peggy weszła, żeby się jej z bliska przyjrzeć. - Chciałam ci przypomnieć, że dziś mamy być w szpitalu już o ósmej trzydzieści.

- Wiem. Zaraz będę gotowa.

Peggy stała, jakby oczekiwała, że zaproszą ją na śniadanie. Nikt tego jednak nie zrobił. Zaskoczyła ich.

- Mam nadzieję, że wam nie przeszkodziłam - wymamrotała Peggy. Alice patrząc w lustro wkładała kapelusz. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Przez chwilę przyglądała się swemu odbiciu trzymając w ustach szpilkę od kapelusza. Wreszcie zdecydowała się.

- Ależ nie, Peggy. Bert podzielił się z nami dobrymi wiadomościami. - Nastąpiła cisza i Alice zrozumiała, że Peggy oczekuje dalszych wyjaśnień. Co tu wymyślić? - Bert został mianowany sierżantem.

- Cudownie, Bert. Winszuję panu. - Trudno było wywnioskować z jej tonu, czy uwierzyła Alice. Przecież na pewno musiała ją zdziwić obecność Saida.

- Zeinab wróciła do matki. Więc zaprosiłam też Saida - wyjaśniła Alice. Peggy West wciąż stała. Spojrzała na Saida - i nie potrafiła znaleźć słów otuchy.

- Lepiej już chodźmy - zaproponowała Alice. - A panowie mogą sobie spokojnie skończyć śniadanie.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Ross wyjął z kieszeni złożoną na pół kartkę papieru. Podał ją Saidowi i wręczył mu ołówek.

- Poproszę o nazwiska.

- Cicho, sza! Tajemnica wojskowa, stary! - Wallingford uśmiechnął się do kapitana Robina Darymple'a. - Nie wolno mi nic mówić o tym, co robię. Ani co zamierzam zrobić.

Wallingford i Darymple znajdowali się wraz z Percym w biurze w „Szarych Filarach”, wielkim kamiennym budynku, gdzie mieściła się Główna Kwatera Armii na Bliskim Wschodzie. Był to szczytowy wykwit włoskiej faszystowskiej architektury i dziwnym zbiegiem okoliczności tu właśnie wydawano rozkazy wojskom brytyjskim w Etiopii, Iraku, Palestynie oraz na froncie libijskim.

- Tak... - odparł Darymple. W jego tonie brzmiało powątpiewanie. Zastanawiał się, jak potrafi wyjaśnić swoim władzom, dlaczego Wallingford - bez żadnego pisemnego upoważnienia - zajął sąsiedni lokal, wyposażony w biurko, krzesła, maszyny do pisania i dwie sekretarki. - Ale co ja mam powiedzieć kolegom?

Do pokoju weszła trzydziestoparoletnia przystojna kobieta niosąc plik akt.

- Daj je Percy'emu, Babs - powiedział Wallingford. Znow zwrócił się do Darymple'a. - Powiedz im, że chodzi o tajną misję. Ściśle tajną. I że to nie ich zasrany interes. Wystarczy. - Mrugnął konspiracyjnie do Babs. Uśmiechnęła się i podała akta Percy'emu. Potem wyszła, każdym ruchem dając do zrozumienia, że nie chce im przeszkadzać.

Darymple obserwował ją nie przestając myśleć o swojej trudnej sytuacji. Gorzko żałował, że wspomniał Wallingfordowi o tym pustym biurze. I że dziś nie pojawił się tu na tyle wcześniej, by mu przeszkodzić wprowadzić się. Nie zachwycała go myśl, iż będzie musiał odpowiadać na pytania, jak to się stało, że Wally zajął bez pozwolenia jedno z najbardziej poszukiwanych biur w Kairze. A z drugiej strony, nie bardzo mógł narażać się Wallingfordowi.

- Na jak długo potrzebne jest ci to biuro? - spytał.

- Nie mam pojęcia. Możemy już jutro dostać telegram z Ministerstwa Wojny i natychmiast wyruszyć. Na przykład na Pacyfik.

Darymple odniósł wrażenie, że Wallingford wcale nie żartuje.

- Z Ministerstwa Wojny?

- Parę tygodni temu, gdy chodziło o specjalną akcję, nasz szef dostał telegram od samego Winstona. Winnie nazywa nas swoimi piratami. - Wallingford spojrzał Darymple'owi prosto w oczy i uśmiechnął się. Dawno już przekonał się, że obecnie im coś wyglądało

nieprawdopodobniej, tym większa była szansa, że każdy uwierzy i zrobi wszystko, by pomóc. Specyfika wojennych czasów.

- Skąd wzięłeś te dwie sekretarki? - zapytał Darymple. - Przecież jedna z nich to żona pułkownika Smythsona ze sztabu.

- No, właśnie. Nie sądzisz chyba, że zaangażowałem ją ze względu na jej umiejętności? Dziś rano poprosiłem, by przepisała mi na maszynie list. Po dziesięciu minutach widzę, że nie wystukała ani słowa. Pytam, co się stało. A ona: „Zupełnie nie wiem, jak się pisze duże litery”. Czy to nie szczyt, Robbie? Nie potrafi wystukać dużych liter! - Roześmiał się. - Założę się, że nawet ty, gdybyś się przyłożył, to byś napisał. Mam rację?

- Nie wygłupiaj się, Wally. A co będzie, jeśli ktoś z administracji urządzi kontrolę? To się zdarza, wiesz. Jak wytłumaczę, że zająłeś to biuro, skoro na naszym piętrze nawet majorzy siedzą po trzech w pokoju?

- Nie martw się. Tym zajmie się pani pułkownikowa. Ona umie się postawić. Szkoda, że nie słyszałeś, jak telefonowała, by natychmiast dostarczono mi biurka.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - westchnął Darymple.

- Słuchaj, stary. Widzę, że muszę ci uświadomić parę prostych prawd. To oficerskie żony obawiają się ewakuacji. Już powinny być na statku albo w kraju. Mogą zostać u boku mężów, tylko jeśli pracują dla armii. Więc kiedy dałem znać, że szukam sekretarki, miałem tuzin ofert. I jak myślisz, kogo wybrałem? Jeszcze mam dobrze w głowie. Wybrałem dwie kobiety, których mężowie mają taką pozycję, że nie dopuszczą, abyśmy mieli kłopoty. Jasne?

- Rozumiem.

- I te baby są zachwycone, że pracują dla tajnej jednostki, takiej jak nasza.

- Hm...

- Więc trzymaj się z dala od Babs i jej przyjaciółki. Nie chcę mieć dodatkowych kłopotów.

- Ależ ja...

- Strzeżonego pan Bóg strzeże. Nie pchaj się do nich z łapami...

- No to w razie czego powiem, że wie o was głównodowodzący.

- O właśnie! To zastępuje wszelkie dochodzenia. No, stary, zmywaj się, bo mam kupę roboty.

- Okay, Wally. Ale chciałem z tobą o czymś pogadać.

- O czym?

- O tej forsie, którą mi pożyczył twój arabski przyjaciel.

- Mahmud. Nazywa się Mahmud. Dopomina się o zwrot? Cóż, Arabowie mają bardzo emocjonalny stosunek do pieniędzy.

- Nie wiem, co robić, Wally.

- Lepiej mu zaraz oddaj, Robbie. O ile pamiętam, chodziło o krótkoterminową pożyczkę. Mówiłeś o kilku dniach. Może ci narobić masę przykrości.

- Kiedy nie mam pieniędzy.

- To zdobądź! Musisz mu zapłacić. Czy nie wiesz, do czego zdolni są ci Arabowie, jak nie oddajesz im długu?

- Do czego?

Darymple był rozpaczliwie tępy.

- On nie poda cię do sądu, Robbie.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak. Gotów ci oberznąć jaja. Zapłać mu. Weź pieniądze z banku.

- Kiedy już jestem w nim zadłużony. Słuchaj, Wally. Mówiłeś, że to twój przyjaciel.

Może mógłbyś z nim pogadać?

- Staram się zawsze oddzielać interesy od życia prywatnego, Robbie.

Zresztą nie posłuchałby mnie. No i co mógłbym mu powiedzieć? Zapomnij o tej forsie, którą jest ci winien mój stary kumpel, Darymple? Jak myślisz, co by mi odpowiedział?

- Może sam powinienem się do niego wybrać i wytłumaczyć mu, że...

- Nie bądź dzieckiem, Robbie.

- Kiedy naprawdę nie mam grosza!

- Nie podniecaj się, stary. Cóż, jeśli naprawdę jesteś w takich tarapatach, postaram się znaleźć sposób, by ci dopomóc.

- Zrobię, co każesz, Wally.

- Dziś wieczorem zastanowię się, jakby się to dało rozwiązać. Przygotuję dokumenty, które podpiszesz...

- Zrobię wszystko.

- Robbie, ale jeśli coś wymyślę, to się nie wycofasz? Bo wtedy zapłaciłbym własną głową.

- No jasne. - Darymple podszedł do okna. Z trzeciego piętra spojrzął na ulicę. Dochodziło południe, pełno było aut, zwierząt i ludzi, którzy pędzili, zajęci własnymi sprawami. Dom wariatów. Nagle ruch ustał - upadł jakiś wycieńczony wielbłąd. Poderżnięto mu natychmiast gardło i poćwiartowano. Spłoszyły się owce, nie mógł sobie z nimi poradzić mały pastuszek. Poczwały zapach krwi i rozbiegły się. Żołnierz wychylił się z wieżyczki

świeżo pomalowanego wozu pancernego i wołał coś do kogoś, kogo nie było widać; cały ruch zamarł.

W drzwiach sklepu handlarza nasion szkocki sierżant w spódniczce targował się z jakimś starcem, który prowadził sześć objuczonych osłów. Brodaty Arab z koźlęciem w ramionach usiłował wleźć do małego rozklekotanego Fiata. W tym momencie Darymple chętnie by się z każdym z nich zamienił.

Wallingford, jakby czytając w myślach przyjaciela, oznajmił:

- Robbie, wszyscy jesteśmy tu po to, by walczyć z Hunami. Ja robię to omijając zbędne formalności. Chyba nie masz mi tego za złe?

Robin Darymple był człowiekiem ograniczonym, ale wcale nie takim głupim. Wielu jego znajomych nie potrafiło uświadomić sobie, że istnieje pewna różnica - i myliło się. Darymple zrozumiał, że Wallingfordowi wcale nie zależy na wygraniu wojny z Hunami, Wallingford prowadzi jakąś nielegalną działalność, by zapełnić własne kieszenie. Zawsze był z niego kanciarz. Egzamin w szkole zdawał dzięki szachrajstwu. Darymple uświadomił sobie, że Wallingford wciągnął go w zasadzkę umożliwiając zaciągnięcie pożyczki u tych swoich arabskich przyjaciół na suku. Wallingford nie był jego przyjacielem, był podstępny intrygantem.

Tyle że tamtego dnia Darymple nie miał wyboru. Musiał zdobyć pieniądze, w przeciwnym razie Lucia wyrzuciłaby go z „Magnifico”.

Darymple’owi wечно brakowało pieniędzy. Już w podstawowej szkole kieszonkowe nie wystarczało mu na cały semestr. Po jakimś czasie ojciec umówił się z opiekunką, żeby wręczała mu kieszonkowe co tydzień. Ale i tak pod koniec każdego semestru okazywało się, że zaciągnął długi u swych kolegów.

- Okay, Robbie. Zmykaj. Muszę popracować.

Darymple uśmiechnął się. Wiedział, że Wally umyślnie traktuje go lekceważąco. Na przyszłość tak właśnie będą wyglądały ich stosunki. - Wally zajmuje się ważnymi sprawami, a on jest chłopcem na posyłki.

Kiedy Darymple wyszedł, Wallingford zawołał Percy’ego.

- Udało się - powiedział triumfalnie Wallingford. Usiadł za biurkiem, rozpierając się w fotelu.

- Cóż, on nie miał wyboru - odpowiedział Percy.

Wallingford spojrzał na swego niemieckiego kumpla. Percy był człowiekiem praktycznym. W sytuacji Darymple’a postąpiłby tak samo. Ostatecznie podpisanie paru

dokumentów, które umożliwią wyniesienie z magazynów odpowiednich towarów, nie jest aż takie straszne.

- Wiesz, co to znaczy, drogi Hunie? Z odpowiednim świstkiem papieru będziemy mogli wejść do każdego wojskowego składu. I do doków.

- No tak - zgodził się Percy.

- Jakoś nie objawiasz zachwyty. Nie śpiewasz „Horst Wessel Lied”! Co właściwie robią szwaby, kiedy czują się szczęśliwi?

- Jak to co? Inwazję.

- No właśnie. Dokonaliśmy inwazji na sztab. Uśmiechnij się, ty ponury Szwabie.

Percy spojrział na niego i nie uśmiechnął się. Starannie ukrywał uczucia, jakie budził w nim Wallingford, nie były to uczucia, które powinien wobec szefa żywić jego najbliższy współpracownik. Percy uważał Wally’ego za typowego przedstawiciela tych zramolałych wyższych sfer Anglii, o których uczono go w szkole.

- Ten twój przyjaciel, kapitan Darymple...

- No, wykrztuś wreszcie, Percy. Dlaczego nie podoba ci się nasz szlachetny kapitan?

- On nie jest twoim przyjacielem... Wallingford zrobił zdumioną minę.

- Coś mi się wydaje, że on ciebie nie lubi. A co będzie, jeśli doniesie o nas władzom?

- Tacy ludzie jak my, Percy, nie mogą przebierać. Ale wiem, o co ci chodzi. Nie martw się. Szlachetny kapitan jest w opałach, bo Mahmud każe mu oddać forszę. A on uważa, że mogę mu dopomóc.

- Dopomożesz?

- Owszem. Jeśli przedtem on dopomoże nam. Percy pokiwał głową.

- Zadzwoń do koszar. Powiedz tym dziadom, że jedziemy do Al Jaghbub po pistolety maszynowe Beretta.

- My, czyli kto?

- No, jak zwykle. Niezależny Patrol Pustynny numer trzy. Papiery przyślemy im za dzień, dwa.

- Jesteś pewny?

- Babs napisze parę przekonujących formułek na urzędowym papierze sztabu. A nasz szlachetny kapitan podpisze i postawi parę pieczęci. Nie będzie żadnych problemów.

- Będą. Tylko później.

- Później to my się już stąd zmyjemy. Sam mówiłeś, że chcesz zniknąć, prawda?

Percy spojrział na Wallingforda zastanawiając się, czy to pytanie nie kryje w sobie jakiegoś ukrytego znaczenia. Percy był pewny, że Wallingford zrobi wszystko, by uniemożliwić mu odejście.

- Owszem, prawda.

- Więc zajmij się tym, a ja skoczę do Klubu Cleo. Byłem tam wczoraj. Szkoda, że nie widziałeś, jak im wyłaziły oczy, gdy usłyszeli o kamerach i lunetach. Powiedziałem im, że muszą zapłacić twardą walutą, dolarami albo frankami szwajcarskimi. Musimy zacząć pozbywać się tych egipskich banknotów. Lada dzień możemy się obudzić i dowiedzieć, że twój kumpel, Rommel, wali pięścią w kontuar u Shephearda i żąda pokoju z łazienką.

- Im prędzej uda nam się zabrać ten sprzęt ze składów, tym lepiej. Bo któryś z chłopców z twojego gangu gotów się dobrać do skrzyni i zacząć sprzedawać Leiki na własną rękę.

„Z twojego gangu”! Percy zdradził się, że uważa się za człowieka postronnego. Nie powiedział „nasz” gang.

- Tak. No i teraz, kiedy możemy liczyć na dokumenty, rozejrzę się, komu jeszcze dałoby się opylić te Beretty. Jeśli Salomon zacznie się targować, miło będzie mieć jakąś inną możliwość. - Wallingford podszedł do lustra i włożył marynarską czapkę. Potem zsalutował. - Cześć, Percy. Biuro należy do ciebie.

- Bądź ostrożny! - Percy w czyjejs obecności zwracał się do Wallingforda per sir, nie widział jednak powodu, żeby to robić, kiedy są sami. Wśród wyrzutków społeczeństwa nie przestrzega się hierarchii.

Tego dnia Jimmy Ross przybył do biura wczesnym rankiem. Miał do odwalenia mnóstwo roboty. Brygadier zapowiedział się na jedenastą. Chciał mu z czystym sumieniem oświadczyć, że nie ma żadnych zaległych spraw.

Brygadier spóźnił się. Należało tego oczekiwać. Jego adiutant, porucznik Spaulding, pojechał do Palestyny. A bez adiutanta brygadier często zapominał, gdzie i o której wyznaczył komuś spotkanie.

Kiedy się wreszcie pojawił, okazało się, że pod nieobecność adiutanta zachowuje się zupełnie inaczej. Zawsze był elokwentny, ale dziś przeszedł samego siebie. Rzucił czapkę na krzesło w kącie i serdecznie przywitał się z majorem. Czapka spadła na podłogę.

- Te materiały o Egipcjach to prawdziwa bomba! - zawołał. Podszedł do kartoteki i wysunął jedną z szufladek. I zamknął ją, nawet do niej nie zajrzawszy. - Macie wtyczkę? - spytał. Był w świetnym nastroju, tryskał energią. - Jak to się oni nazwali? Wolni Oficerowie, tak?

Ross zdecydował się usiąść. Skoro brygadier biega po biurze jak rozjuszony byk, bezpiecznej będzie zejść mu z drogi.

- Nie możemy gwarantować, że jest to jedyna tajna organizacja w wojsku - oświadczył.

- Przekupiliście kogoś czy podesłaliście im sekretarkę?

- To delikatna sprawa, sir.

- Chce pan dać mi do zrozumienia, żebym nie wściubiał nosa w nie swoje sprawy, tak? - spytał jowialnie brygadier.

- Ależ nie, sir. - Ross miał się na baczności. Wiedział, że euforia wkrótce minie i brygadier zacznie szukać dziury w całym. Jednakże, bez względu na konsekwencje, nie zamierzał informować brygadiera, iż raport napisał Said al-Szazli. Byłoby to zbyt wielkie ryzyko, brygadier mógł się wygadać. Wszyscy wiedzieli, że nie zawsze umie trzymać język za zębami, a bywa na kolacyjkach w ambasadzie. Ross zaś zupełnie się zgadzał z opinią Markera o ambasadzie brytyjskiej - było to naprawdę kłębowisko rozplotkowanych kumoszek.

- Czasem, żeby zdobyć potrzebną nam informację, musimy coś w zamian zaoferować, sir. Chciałbym zgłosić pewną propozycję, sir - Ross nie potrafił ukryć zdenerwowania.

- Wal.

- Mamy kogoś podejrzanego o zabójstwo, sir. Gdybyśmy mogli zapewnić mu ułaskawienie, to...

- O, nie! - zaprotestował brygadier.

- Nic nie moglibyśmy mu obiecać?

- Nie i nie - powiedział nieoczekiwanie stanowczo brygadier. - Żadnych układów. Wiem, że w cywilu policja idzie na takie rzeczy. Ale armia musi nade wszystko dbać o dyscyplinę. To ważniejsze niż wykrywanie przestępstw.

Ross poczuł się dotliwie rozczarowany. Od wielu dni hołubił myśl, że uzyska umorzenie zagrażającego mu śledztwa. Czekał tylko na dobry humor brygadiera.

- Myślałem, że w wyjątkowych okolicznościach...

- Nie, Cutler. Nie.

Ross zrozumiał, iż musi zrezygnować.

- Sztab przejął od nas te Beretty ukryte w Al Jaghbub. Czy otrzymał pan mój raport, sir?

Brygadier wyjął z kieszeni raport i jeszcze raz go przeczytał.

- Oni tylko telefonowali, prawda? Musi pan otrzymać potwierdzenie na piśmie, Cutler. Nie wolno polegać na rozmowach telefonicznych. Byle kto może zadzwonić, powiedzieć, że dzwoni od premiera z Downing Street i kazać wręczyć posłańcowi pięćofuntowy banknot.

- Tak, to prawda, sir.

- Wiem, że to prawda, majorze. Więc czy zażądał pan pisemnego potwierdzenia?

- Nie rozmawiałem z nimi osobiście. Telefon odebrał sierżant.

- Sierżant Ponsonby? - Brygadier z aprobatą pokiwał głową. Sierżanta Ponsonby'ego znał sprzed wojny. Spotykał go w Palestynie i w Iraku. Obaj służyli w Kairze jeszcze za czasów pokoju. Obaj byli członkami „prawdziwej” armii. - No i co on o tym mówi? - Brygadier z góry cieszył się na opowieść. Poczynania Ponsonby'ego zawsze zasługiwały na uwagę.

- Powiedział tym sztabowcom, że nie wystarcza mu telefoniczna instrukcja. Powołał się na ten sam przykład z Downing Street.

- Hm - mruknął brygadier. Rzeczywiście, może już zbyt często powtarzał tę anegdotę.

- Ponsonby jasno wyraził swój sceptycyzm. Powiedział sekretarce, że nie ma żadnej pewności, czy nie jest ona niemieckim szpiegiem. Ale sekretarka rozpoznała go po akcencie z Yorkshire. Okazało się, że jest to pani Smythson, żona pułkownika Smythsona. Ostatnio pracuje w sztabie.

- Żeby jej nie ewakuowali?

- Prawdopodobnie. Brygadier wybuchnął śmiechem.

- Ta stara klabzdra! Na pewno dała Ponsonby'emu szkołę!

- O tak, sir.

- Powiedzieć żonie pułkownika Smythsona, że jest szpiegiem! - Brygadier poklepał się po kolanie i znów roześmiał. - Wspaniała historyjka, Cutler. Ach, ten niezrównany Ponsonby! Wiedziałem, że kiedyś natknie się na godnego siebie przeciwnika. Żałuję, że tego nie słyszałem.

Brygadier wstał i podszedł do kartoteki. Oparł się o nią i wyjrzał przez okno. Na placu przed dworcem roiło się od ludzi. Midan al Mahatta - był to jeden z najruchliwszych punktów tego ruchliwego miasta. To dlatego zbudowano tu kiedyś policyjne koszary. Po placu kręcili się nie tylko podróżni. Widać było żołnierzy i żandarmów, ale tłum składał się głównie z tubylców: tragarze, przekupnie, zonglerzy, zaklinacze węży, złodzieje kieszonkowi i kurwy. Był to bardzo interesujący widok i brygadier nie mógł oderwać od niego oczu.

- Tu stale się coś dzieje. Nie wiem, jak panu udaje się tu w ogóle pracować, Cutler.

- Trudno mi to przychodzi, sir.

- Czy przyjrzał się pan kiedyś temu pomnikowi? - spytał brygadier.

- Nie, sir.

- To ma być Egipt, który budzi się do życia. Kitchener chciał tu przywleć z Memfisu posąg Ramzesa Drugiego, ale ktoś się temu sprzeciwił. Zamiast tego mamy tę kobietę. - Brygadier zmrużył oczy. - Wstającą z krzesła kobietę. Czy naprawdę chcemy, żeby dźwignęła się na nogi, Cutler? Często zadaję sobie to pytanie. I co wtedy zrobi? Wygna nas, ot co. Wygna nas, Cutler.

Ross nie zamierzał wdawać się w komentarze. Skinął głową. Brygadierowi musiało się coś skojarzyć.

- Ma pan córki, Cutler?

- Nie, sir. Nie jestem żonaty. - Upewnił się o tym, dokładnie przestudiowawszy pamiętnik majora Cutlera.

- Z dziewczętami są straszne kłopoty. Wprost boję się otworzyć list z domu. Moja osiemnastoletnia córka nie chce dalej studiować, postanowiła wstąpić do wojska. Co ona sobie właściwie wyobraża?

- Pewnie chce przyczynić się do wygrania wojny, sir - odpowiedział bez zastanowienia Ross.

- Właśnie tak napisała! - Brygadier spojrzał na Rossa ze zdziwieniem, zachwycony jego intuicją. - Taki głuptas. Co ja mam jej odpisać? Jeśli każe jej się dalej uczyć, uzna to za brak patriotyzmu. A jeśli rzuci studia, zmarnuje sobie życie.

- To naprawdę problem, sir.

- Zaczęła studiować prawo. Jestem wściekły. Pan Bóg raczy wiedzieć, kto nabił jej głowę tymi patriotycznymi bzdurami.

Ross pomrukiem wyraził swoje współczucie.

- Wojsko to nie jest odpowiednie miejsce dla przyzwoitej panny - oświadczył ponuro brygadier. I znów zmienił temat. - A co z Żydami, Cutler?

- Jak to, sir?

- Spaulding pojechał do Tel-Awiwu, żeby wywiedzieć się, jak wygląda w Palestynie działalność nacjonalistów żydowskich. Ta Haganah, bojówka Sterna itd. Oficjalnie mówi się, że czekają z tworzeniem żydowskiego państwa, aż pobijemy Hunów. Ale ponoć nie wszyscy Żydzi chcą się do tego zastosować.

- W Kairze mamy niewielu Żydów i bardzo ściśle przestrzegają prawa.

- No, pewnie. Jeden Żyd przypada na dziesięć tysięcy Arabów. Jasne, że przestrzegają prawa. Ale czy aby na pewno niczego nie knują?

- Jeśli knują, to udaje im się zachować to w najściślejszej tajemnicy. Brygadier spojrzał na niego. Przez chwilę wydawało się, że wpadnie w złość. Obciągnął jednak tylko pas i powiedział:

- Chyba pan wie, że Jezus był Żydem.

- Tak jest, sir.

- I to Jezus powiedział jasno, że prawo Mojżeszowe powinno istnieć po wsze czasy. Zastanawiał się pan nad tym, Cutler?

- Muszę wyznać, że już od dawna nie zdarzyło mi się o tym myśleć.

- Święty Paweł także był Żydem. I to faryzeuszem. Faryzeusze to taka elitarna szkoła w judaizmie. Święty Paweł był uczniem rabbiego Gamaliela, wielkiego żydowskiego przywódcy. To Paweł stworzył chrześcijański kościół. - Brygadier nagle przerwał. - Czy jest pan człowiekiem religijnym?

- Nieprzesadnie, sir.

- No, to dobrze. Nie chciałbym urazić pańskich uczuć. Tak, święty Paweł nie zwracał uwagi na to, co Chrystus głosił o prawie Mojżeszowym. Starał się stworzyć religię, która odpowiadałaby możliwie największej liczbie osób. Wpakował do chrześcijaństwa mnóstwo pogańskich mitów.

- Nie wiedziałem, sir, że tak bardzo interesuje się pan religią. - Dotychczas brygadier nigdy się z tym nie zdradził.

- Wiele się ostatnio nauczyłem od Spauldinga.

- Od porucznika Spauldinga. Rozumiem. - Wszystko stało się jasne.

- Wiem, że pan go nie lubi, ale to łebski facet, Cutler. Nowoczesnej armii przyda się każdy wyszkolony umysł. Nigdy nie należałem do ludzi, którzy uważają, że żołnierz nie powinien myśleć.

- Tak jest, sir. - Rossowi zdawało się, że brygadier skończył już swoją tyradę, ale ten znów wpadł w ferwor.

- Jezus stale nauczał o Bogu Ojcu. To Paweł zaczął kłaść nacisk na postać Jezusa Chrystusa. I wprowadził do chrześcijaństwa wielu bogów pod postacią świętych. To dlatego muzułmanie patrzą na nas z góry.

- Nie wiedziałem, że muzułmanie patrzą na nas z góry. - Ross kątem oka zobaczył, iż drzwi uchyliły się i zaraz z powrotem zamknęły. To pewno kapitan Marker przezornie wycofał się do kantyny.

- Tak twierdzi Spaulding - oświadczył brygadier, cytując najwyższy autorytet. - Powiada, że w starożytności armia rzymska miała największy kłopot z Żydami. Nie z chrześcijanami, zresztą chrześcijan rzucano po prostu lwom.

- Słyszałem, sir.

- Kiedy Rzym przyjął chrześcijaństwo, tylko Żydzi występowali przeciwko rzymskiemu prawu. Roma locuta est - Rzym przemówił - te słowa oznaczają, że nie będzie się tolerować żadnej opozycji. I wtedy zaczął się antysemityzm. Czy uczył się pan w szkole łaciny?

- Nie, sir. Francuskiego i niemieckiego.

- Roma locuta est. Rzym przemówił.

- Tak jest, sir.

- Wiem, że pan go nie lubi, Cutler, jak jesteście razem, to od razu widać. Ale od niego można się naprawdę dużo nauczyć.

- Jeśli chodzi o Żydów, sir, to ma pan coś konkretnego na myśli?

- O, widzę, że się pan sam połapał, o co mi chodzi.

Brygadier wrócił do okna, widok placu wyraźnie przyciągał jego uwagę. Ross uświadomił sobie, że brygadier nie ma zamiaru go oświecić, i zaprzeczył.

- Nie, sir.

Brygadier odwrócił się w jego kierunku.

- Jesteśmy okupacyjną armią, Cutler. Prawda? - Uśmiechnął się znacząco.

- Ale przecież w Kairze nie ma wielu Żydów.

Brygadier wyglądał przez okno, całkowicie zaabsorbowany widokiem. I kiedy odezwał się, miało się wrażenie, że to ten widok go natchnął.

- Zastanawiam się, czy Żydzi nie mają racji, Cutler. O co właściwie chodziło temu Pawłowi, gdy zaczął Chrystusowi oddawać cześć boską i wprowadzać te wszystkie obrzędy pogańskie? Boże Narodzenie to pogańskie święto, Cutler.

- Tak twierdzi Spaulding?

- Wszyscy o tym wiedzą, Cutler. Świeczki, choinki i takie tam pogańskie bzdury. Zmartwychwstanie to też pogański wymysł: to nadejście wiosny po śmierci ziemi, która następuje zimą. Wielkanoc jest także pogańskim świętem.

- Nie bardzo widzę, sir, czym Żydzi mieliby zagrażać brytyjskiej armii w Egipcie.

Brygadier podszedł do biurka, stuknął weń palcem i oznajmił:

- Nie możemy spoczywać na laurach, Cutler.

- Tak jest, sir.

- Kiedy Spaulding wróci z Tel-Awiwu, będzie nam miał wiele do opowiedzenia. Załatwię mu awans i postawię na czele nowego wydziału. Będzie to wydział do zwalczania wywrotowej działalności religijnej.

Ross stropił się. Awans Spauldinga nie wróżył nic dobrego. Spaulding zacznie mu się do wszystkiego wtrącać. Może się to okazać niebezpieczne.

- Przepraszam, sir. Ale czy powinien pan zrezygnować z bezpośredniej współpracy Spauldinga? Mógł pan na nim polegać. I jest takim świetnym organizatorem.

- Hm - zastanowił się brygadier. - Cóż, to jeszcze luźny projekt.

- Tak jest, sir.

- Chyba odwołam moje następne spotkanie. Zbliża się pora lunchu. - Spojrzał na zegarek i potrząsnął ręką tak, jakby wydało mu się, że zegarek stanął. - Mam zjeść lunch z generałem, który wraca do Londynu. Według mnie obejmie wysokie stanowisko w Ministerstwie Wojny. Chcę go poinformować, czego tu najbardziej potrzebujemy. Taki jeden lunch przynosi często więcej korzyści niż pięć raportów.

- Tak jest, sir.

- Gdzie położył pan moją czapkę? Ross podniósł ją z podłogi i otrzepał.

- Czemu ona leżała na podłodze? - spytał brygadier i wziął do ręki tak, jakby miała lada chwila eksplodować.

- Nie wiem, sir.

- Tu wszędzie pełno jest mikrobów, Cutler. Trzeba strasznie uważać.

- Tak jest, sir.

- No, więc niech się pan tym zajmie i chwilowo nic nikomu nie mówi. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

Odprowadził brygadiera do drzwi na galeryjkę, z której wchodziło się do wszystkich biur. Brygadier przystanął i spojrzął na plac musztry. Pluton żandarmów w nieskazitelnych mundurach stał na baczność, lustrowany przez oficera.

- Nie widział pan czegoś takiego w Glasgow, co, Cutler?

- Nie, sir.

Brygadier zszedł na dół, Ross wrócił do biura i wyrztał przez okno, by się upewnić, że jego zwierzchnik wsiądzie do auta i odjedzie. Kiedy wóz brygadiera znikł w tłoku, Ross zawołał głośno:

- Ponsonby!

- Tak jest, sir. Herbata już zaparzona, sir - powiedział Ponsonby, wsuwając głowę w szparę drzwi.

- Gdzie jest Marker? - wrzasnął Ross, widząc że głowa Ponsonby'ego znika.
- Kapitan Marker, sir? - spytał Ponsonby, gdy wszedł z dymiącym kubkiem herbaty.
- Ilu Markerów pracuje w tym biurze? - spytał Ross wyladowując złość na Bogu ducha winnym Ponsonbym.

Wszedł kapitan Marker. Siedział w pokoju radiowym, gdzie schronił się przed brygadierem, i rozmawiał przez telefon z jednym ze swych rozlicznych konfidentów.

- Niech cię diabli, Lionel. Ty zawsze gdzieś się ukryjesz, kiedy przychodzi do nas stary. A ja muszę szukać jakichś nieprawdopodobnych wymówek, żeby usprawiedliwić twoją nieobecność?

- Przepraszam, sir.

Ponsonby przyniósł drugi wielki kubek ze słodką herbatą, postawił go przed Markerem i bez słowa wszedł.

- Ominęła cię niebywała tyrada.

- Tyrada? - Prawnicze wykształcenie Markera sprawiało, że wymagał, aby używano słów zgodnie z ich podstawowym znaczeniem.

- Wiem, że to niewłaściwe słowo. Stary biegał po biurze i krytykował świętego Pawła.

Marker wypił łyk herbaty. Z placu musztry dobiegały krótkie rozkazy sierżanta. Marker podszedł do drzwi i zamknął je, ale niewiele to pomogło.

- Ma obsesję na punkcie Żydów. Chce, żebyśmy się dowiedzieli, czy czegoś nie knują. Co ja mówię, gorzej! Wysłał Spauldinga na jakąś konferencję do Tel-Awiwu, a kiedy ten wróci, chce go nam wsadzić na kark.

- Ale o co mu chodzi z Żydami?

- Ktoś go podbechtał. Pewnie Spaulding. Brygadier powiedział, że załatwi mu awans i postawi na czele wydziału do walki z wywrotową działalnością religijną.

- Chyba wiem, o co chodzi.

- No, no?

- Właśnie rozmawiałem przez telefon z pułkownikiem Stevensem, z pierwszymi skrzypcami...

- Z kim?

- Stevens jest skrzypkiem w naszym kwintecie. Przygotowujemy Mozarta K.V. 516. Stevens powiedział mi, że drugie skrzypce wysłano do Chartumu. To dramat. Stevens boi się, że nie uda nam się na to miejsce nikogo znaleźć i obawiam się, że ma rację. - Marker umilkł uprzytomniwszy sobie, że majora mało obchodzą kłopoty ich amatorskiego zespołu przy sztabie głównym. Starał się zebrać myśli. - Stevens pracuje w wydziale politycznym przy

naczelnym dowództwie. Wszyscy wychodzą z siebie z powodu artykułu, który ukazał się w jednym z waszyngtońskich dzienników. Napisał go ów wścibski Amerykanin, którego przyłapaliśmy w Al Jaghbub. Nazywa się Harry Wechsler i podobno jest sławny. W artykule rozwodzi się na temat Haganah - tej tajnej organizacji zbrojnej w Palestynie. Píše, że Brytyjczycy posługiwali się jednostkami Palmah - oddziałów szturmowych żydowskiej armii - w tajnych operacjach i sabotażu w Libanie i w Syrii na długo przedtem, nim zaczęliśmy walczyć z Francuzami z Vichy.

- Czy to prawda? - Ross popijał herbatę. Z biegiem czasu polubił tę mocną słodką herbatę Ponsonby'ego z dodatkiem skondensowanego mleka. Czyżby do wszystkiego można się było przyzwyczaić?

- Pewnie tak. Palestyńscy Żydzi mogli w tamtych krajach uchodzić za krajowców.

- I to stąd ten popłoch?

- Nie. Autor artykułu twierdzi, że Haganah za tamtą pomoc żąda dostaw broni. A Brytyjczycy nie wywiązują się z obietnic. Więc uniemożliwiają Żydom obronę przed Arabami. No i Żydzi przysyłają ludzi do Egiptu, żeby na opuszczonych polach bitew zbierać włoską i niemiecką broń.

Marker oczekiwał, że major żywo zareaguje, Cutler jednak milczał i popijał herbatę.

Kiedy wreszcie odezwał się, oświadczył spokojnym, stanowczym tonem:

- To ja stworzę wydział do walki z religijnymi wywrotowcami, a ty, Lionelu, staniesz na jego czele.

- Tak jest, sir - odpowiedział Marker z góry przewidując, ile z tym będzie miał kłopotu.

- Ja muszę się skoncentrować na znalezieniu tego, jak go nazywają, szpiega Rommla. Nie dopuszczę, żeby coś mi w tym przeszkodziło.

- I chcesz, żebyśmy założyli tę placówkę przed powrotem Spauldinga? Czy to mądrze? Jeżeli brygadier...

- W każdym razie pokrzyżujemy Spauldingowi plany. Nawet jeśli brygadierowi naprawdę odbije i mianuje Spauldinga kapitanem, ty będziesz miał starszeństwo. - Znów wypił łyk herbaty. - A zresztą już teraz wystąpię dla ciebie o awans. Przygotuj papiery. I skompletuj parę teczek dotyczących konspiracji Żydów. Jeśli koniecznie chcą ją mieć, to udowodnimy, że od dawna się tym zajmujemy, choć wcale nie jesteśmy pewni, czy naprawdę istnieje.

- Jediną poszlaką jest ten artykuł. Według mnie są to bzdury.

- Jak się to stało, że cenzura nie zatrzymała tego artykułu?

- Ponoć biuro cenzury przysięga, że go w ogóle nie widziało. Wechsler pewnie nie wysłał go telegraficznie, poszukał jakiejś okazji. To jest tzw. „artykuł problemowy”, nie było ważne, czy się ukaże parę dni wcześniej, czy parę dni później. Nie jest datowany. Redaktor może utrzymywać, że Wechsler napisał go jeszcze przed przyjazdem do Egiptu. Zresztą sam Winston Churchill zawahałby się, nim naraziłby się amerykańskiej gazecie.

- Przeczytaj uważnie ten artykuł i poszukaj Wechslera. Powiniennem wtedy, w Siwa, dać mu dobry wycisk.

- Tak, sir.

- Nie szukaj kontaktu z rabinami czy z kimś w tym rodzaju. I jeśli będziesz rozmawiał z Wechslerem, bardzo uważaj. Łatwo ulega emocjom. Zresztą jeśli są w mieście ci faceci z Haganah, to na pewno trzymają się od niego z dala.

- Będę bardzo uważał. - Marker wstał.

- Dowiedzieliście się czegoś o tym gościu z marynarki?

- Czy Wallingford to jego prawdziwe nazwisko?

- Na pewno. Ten bęcwał Darymple zna go ze szkoły.

- No to klops. Otrzymałem wiadomość, że nie ma komandora porucznika o tym nazwisku. Akta marynarki są w Aleksandrii. Nie mamy do nich bezpośredniego dostępu.

- W Aleksandrii? No to może właśnie dlatego on parady w mundurze marynarki.

- Niewykluczone, sir.

Kiedy Marker był już przy drzwiach, Ross zatrzymał go.

- Zdawało mi się, że kiedyś mówiłeś, iż nie gracie niemieckiej muzyki.

- Mówiłem, że nie gramy Wagnera - odpowiedział Marker i pomyślał sobie, że Ross znów chce zrobić z niego hipokrytę. Choć ich stosunki były przyjazne, Ross uważał, że jeśli już wcielił się w policjanta, to powinien tak jak każdy policjant zachowywać się wobec prawnika z pewną nieufnością.

- A niby czemu Mozart ma być lepszy od Wagnera? Obaj byli Niemcami.

Marker zwilżył językiem wargi.

- Tę decyzję podjęliśmy z przesłanek czysto artystycznych. Wagner nie pisał utworów na skrzypce.

- Sądziłem dotychczas, że na Wagnera rzucono anatemę z powodów politycznych.

- Wagner to jeden z gigantów muzyki dwudziestego stulecia. Ale jak to sam powiedział, jego muzyka jest służebnicą dramatu.

- Rad jestem, że mnie pan oświecił, kapitanie Marker. Mam nadzieję, że szybko uda wam się znaleźć innego skrzypka.

- Dziękuję, sir. Ale, słuchaj, Bert... Może powinienem ci przypomnieć, że jestem Żydem. - Stał, jakby oczekiwał, iż ta rewelacja może wpłynąć na zmianę planów szefa.

- No, właśnie - powiedział Ross. - To nasz główny atut. Temu łądakowi Spauldingowi nie uda się tego przeskoczyć.

Marker skinął głową i otworzył drzwi. Znow usłyszeli głos prowadzącego musztrę sierżanta.

- Masz rację - powiedział Marker. - Nawet Spaulding nie posunie się do tego, żeby się dać obrzezać.

18

- Alice mówiła mi, że wybiera się pani do Palestyny - powiedział Lionel Marker.

Peggy West nie od razu odpowiedziała. Spojrzała na Alice, potem znow na Markera, zastanawiała się, co właściwie powiedziała mu jej przyjaciółka. Potem wzięła czarną oliwkę i zaczęła ją obgryzać, aż pozostała tylko pestka. Odłożyła ją na talerz i wytarła palce.

- Tak, parę razy o tym myślałam.

Marker uśmiechnął się do niej. Rozumiał jej nieufność, był przecież policjantem.

- Nie istnieją przepisy prawne, które zabraniałyby obywatelom brytyjskim podróży do Palestyny, Peggy.

- Nie istnieją? Gdyby pan był cywilem, a w dodatku kobietą, przekonałby się pan, jakie to trudne.

- To ta papierkowa biurokracja - powiedział Marker. Marker wybrał tę arabską knajpkę w nadziei, że spodoba się ona Peggy. Znajdowała się na skraju dzielnicy Muski. Podawano tu autentyczne arabskie potrawy, autentyczny był wystrój restauracji. Zamówił najprostszy posiłek - jadł go każdy Egipcjanin, którego było na to stać. Toamia - mielony z czosnkiem obsmażany groszek, z czerwoną drobną fasolą, czarnymi oliwkami, hummusem i surową cebulą. I szisz baladi - wiejski chleb - szerokie płaskie placki, wydęte powietrzem i przypalone miejscami na węgiel, prosto z pieca na zapleczu restauracji.

- W Jerozolimie przebywa mój mąż. Tak przynajmniej sędzę, bo ostatnio nie miałam od niego wiadomości. Z Kairu wyjechał już przed dwoma laty.

- Czy on jest też Brytyjczykiem? - Marker ułamał kawałek placka i zjadł. Co prawda postanowił się odchudzać, ale może z tym poczekać do jutra.

- Jego ojciec jest Kanadyjczykiem, matka zaś Włoszką. A on urodził się właśnie w Palestynie - odpowiedziała Peggy.

- Ale czy ma brytyjski paszport?

- Tak, teraz ma.

- Zdobył go dzięki małżeństwu z panią, tak?

- Tak - odpowiedziała ponuro Peggy. Zabrzmiało to, jakby Karl ożenił się z nią właśnie po to, by dostać brytyjski paszport. To słowo „zdobył”! Zaczęła się mieć na baczności. A przecież Marker zachowywał się ciepło i przyjaźnie. Może zanadto się wszystkim przejmowała; Karl utrzymywał, że samotne kobiety stają się strasznie drażliwe. Wzięła do ust następną oliwkę.

- I zamierza pani zrezygnować z pracy w szpitalu? - spytał Marker. Zauważył, że żadnej z kobiet nie smakuje zamówione przez niego danie. Zatrzymał kelnera i poprosił o kebaby z jagnięcia. Kebaby jadali wszyscy cudzoziemcy.

- Chyba tak. Wciąż zmieniam zdanie. Boję się, że w Jerozolimie nie znajdę pracy. Podobno jest tam o nią bardzo trudno.

- Dlaczego?

- Bo tylko w Egipcie są naprawdę potrzebne instrumentariuszki - oświadczyła dość brutalnie. W torebce miała kartkę od Jeannie McGregor, która już zaczęła pracować w Ośrodku Chirurgicznym tuż przy linii frontu. „Tu, Peggy, człowiek musi się naharować - pisała Jeannie. - Chirurg ma naprawdę coś do zrobienia. Może uratować komuś rękę lub nogę, czasem udaje mu się ocalić życie. Nigdy dotąd tak ciężko nie pracowałam, ale cenię sobie każdą minutę”. - Ta kartka sprawiła, że Peggy poczuła się winna, że myśli o opuszczeniu szpitala.

Marker przyjrzał się jej.

- Ma pani niestety rację. - Wtedy, kiedy zabrał ją z barki Salomona do hotelu „Magnifico”, dość ostro ją przesłuchiwał i teraz obróciło się to przeciwko niemu.

- A co mówi na to pani mąż? Mam na myśli pani wyjazd do Palestyny.

- Karl nie należy do ludzi pisujących listy.

- Więc on pani tam wcale nie oczekuje?

- Nie wiem nawet dokładnie, gdzie on jest. Był w Iraku i pojechał do Palestyny. Chcę go odszukać. Chodzi przecież o moje małżeństwo, kapitanie Marker - przepraszam, Lionelu. To dla mnie ważna sprawa.

- Tak, bardzo proszę, Peggy, niech pani mówi do mnie Lionelu. W cywilu byłem prawnikiem. I znów nim będę. Dlatego też namawiam panią, żeby przed powzięciem tak

drastycznej decyzji jak rezygnacja z pracy i z pokoju w hotelu, poradziła się pani kogoś, kto dobrze orientuje się w sytuacji. Co mówi na to pani przyjaciel Salomon Marx?

- Ach, tak - szepnęła Peggy - przecież pan zna Salomona.

- Widziałem go parę razy. Kontrolujemy czasem te mieszkalne barki. Więc co on na to?

- Gdyby wiedział, odmawiałby mnie od wyjazdu. O tak.

- Skąd ta pewność?

Peggy zdała sobie sprawę, że gotowa się zdradzić, iż Salomon dostarcza jej pieniądze od Karla.

- Cóż, tak mi się wydaje, nie znam go dostatecznie dobrze, żeby z nim o tym porozmawiać.

Marker zaproponował kobietom hummus, świetnie go tu robili. Ale żadna z nich nie chciała.

- Strasznie mi przykro, myślałem, że lubią panie arabskie dania.

- Ja lubię - zaprotestowała Alice.

Peggy uśmiechnęła się. Nie cierpiała arabskiej kuchni. Markerowi mogła smakować, bo na co dzień stołował się w angielskim kasynie oficerskim, nie tęsknił do angielskich potraw. A te potrawy nie mieściły się w budżecie Peggy. Dużo by dała za plasterek zimnego łososia z angielskimi pomidorami wprost z ogrodu i z zieloną sałatą, taką, jaka rosła w ogródku jej rodziców. Na myśl o rodzicach posmutniała. Z każdym rokiem dotkliwiej odczuwała ich brak. I z każdym rokiem lepiej ich rozumiała, z czułością wspominała ich słowa.

Przyniesiono kebaby. Wyglądały wspaniale, nadwęglone kawałki mięsa jeszcze skwierczały. Kelner widelcem zsunął kebaby ze szpikulca na talerze, były soczyste, pachniały kminkiem.

- Jedzcie - zachęcał Marker.

Peggy była głodna, a te kawałki jagnięcego mięsa z rusztu były pyszne. Odłamała kawałek chleba i wzięła nim mięso tak, jak to robili Arabowie.

- Ten lokalik jest dość dziwaczny, ale bardzo mi się tu podoba.

Marker skinął głową. Mały pokój pachniał pieczonym chlebem i zwęglonym mięsem, pełen był dymu z otwartego paleniska. Słońce padało ukośnie, dym się perlił. Krzesła i stoliki były najróżniejszych kształtów, a talerze stare i wyszczerbione.

Marker na swój kawałek chleba nałożył hummus.

- Wie pani co, Peggy. Myślę, że da się to inaczej zorganizować.

- Co?

- Wydział, w którym pracuję, co wtorek wysyła do Palestyny kuriera. Czasem ciężarówką, czasem autem. Do Tel-Awihu, a zwykle także do Hajfy. Czasem nawet do Bejrutu. Chyba uda mi się załatwić, żeby kurier zabrał panią do Jerozolimy.

- Ale...

- Pewnie wystarczy dać szoferowi butelkę whisky. Mogłaby pani zostać tam tydzień i wrócić w następny wtorek.

Peggy przyjrzała mu się podejrzliwie. Wiedziała, że Marker jest albo w żandarmerii, albo w Służbach Specjalnych. Czy gliniarz proponuje przyjacielską przysługę ot tak, za nic? Ma na pewno jakiś ukryty powód.

- I tak będę musiała zdobyć papiery upoważniające do przekroczenia granicy.

- Nie. Kurier jest zaopatrzony w dokumenty, które pozwalają przekroczyć granicę bez kontroli. Trzeba będzie tylko wymienić w tych dokumentach pani nazwisko. No i musi mieć pani paszport, żeby można było stwierdzić pani tożsamość.

Peggy rozjaśniła się.

- Hoch zwolni mnie na tydzień, prawda, Alice?

Było to retoryczne pytanie. Peggy lepiej niż ktokolwiek znała naczelnego chirurga szpitala, od lat pracowała u jego boku. Widać chciała się jednak upewnić.

- No, jasne! - potwierdziła Alice. - Tak ułożę plan zajęć, że wykroję ci ze dwa dni więcej.

- Bardzo jesteś miła - powiedziała machinalnie Peggy, rozważając w myślach propozycję kapitana Markera. I zaraz się do niego zwróciła. - Poczułam się przez pana idiotką, kapitanie, przepraszam, Lionelu.

- A cóż ja zrobiłem?

- Zaczęłam się zachowywać jak osoba pozbawiona własnej woli. Pyta się mnie pan, co myśli o moich projektach mój mąż, co myśli Salomon. A przecież tu chodzi o moje życie, prawda?

- No, oczywiście.

- A ja chcę pojechać. Jeśli moje małżeństwo się skończyło, lepiej, żebym się o tym od razu dowiedziała.

Marker z zadowoleniem skonstatował, że chyba rzeczywiście celem jej podróży jest załatwienie prywatnych spraw. Spojrzał na Alice, ona jednak nie patrzyła w jego stronę. Obserwowała przyjaciółkę. Szukał w myślach stosownej odpowiedzi na ten cri de coeur, nie znalazł i skoncentrował się na jedzeniu.

- Byłaś już kiedyś w Jerozolimie, Peggy? - spytała Alice.

- Nie. Nigdy.

- To wyjątkowe miejsce. Zabrał nas tam kiedyś ojciec. Tyle jest tam do zobaczenia. Tato powiada, że każdy chrześcijanin powinien choćby raz w życiu odbyć pielgrzymkę do Jerozolimy.

- Mój ojciec był Żydem - odparła Peggy.

- Dla Żydów Jerozolima jest jeszcze ważniejsza - pospiesznie powiedział Marker.

Alice była wdzięczna, że naprawił jej mimowolną gafę.

- Nie jestem religijną osobą - oświadczyła Peggy. - Matka posyłała mnie do miejscowej szkoły katolickiej, która znajdowała się w najbliższym sąsiedztwie. Jedną z koleżanek po skończeniu szkoły uzyskała stypendium na Oxfordzie. Ojciec miał wątpliwości, ale w końcu uznał, że lepiej, bym chodziła do szkoły z katoliczkami niż z poganami do szkoły protestanckiej.

Zamyśliła się wspominając te czasy. Alice spojrzała na Markera, ale on posypywał akurat chleb solą.

- Pierwszy dzień był koszmary. Nigdy przedtem nie widziałam krucyfiksu naturalnej wielkości - ukrzyżowany Chrystus, otwarte rany, z których spływa krew. Byłam przerażona, nie mogłam od niego oderwać oczu.

Dziewczynki mówiły, że spożywają ciało Jezusa Chrystusa i że mnie to także czeka. Wracalam do domu płacząc. - Peggy uśmiechnęła się, ale był to niewesoły uśmiech. - Obecnie religia to dla mnie coś w rodzaju czarnej magii. Obrzędy służą temu, żeby kobiety harowały, a mężczyźni mieli czas na modlitwy.

Marker nie oczekiwał podobnego wyznania. Ucieszył się, że ma okazję się roześmiać.

Alice oświadczyła:

- Wszystkie religie popierają supremację mężczyzn, Peggy. Mężczyźni zajmują się rozwiązywaniem zawiłych problemów teologicznych, a kobiety gotują im i rodzą dzieci.

- Zdaje się, że mnie nabieracie - powiedział Marker.

- Ależ skąd - odparła Alice, a Peggy się do niej uśmiechnęła. Atmosfera zelżała, pomyślał Marker. Nie wiedział, co na to wpłynęło, Peggy jednak zaczęła się w stosunku do niego zachowywać dużo swobodniej. Z zapalem zjadła kebab.

- Pycha - powiedziała. - Tak, byłabym panu bardzo wdzięczna, gdyby pomógł mi pan pojechać do Jerozolimy. Załatwię urlop i zaraz się z panem skontaktuję.

- Świetnie - odparł Marker.

- Pogadam z Hochem. Jestem pewna, że szpital obejdzie się beze mnie przez tydzień lub dwa. Zwłaszcza teraz, kiedy Rommel zatrzymał się na pustyni. Dziękuję panu, Lionelu. Bardzo dziękuję.

- Wszystko załatwię. Ale dziękować powinna pani Alice. To ona zaaranżowała nasze spotkanie.

Kapitan Marker wrócił do biura. Zauważył że Pansonby był podekscytowany.

- Panie kapitanie, trafił pan kapitan w dziesiątkę! - powtórzył to dwukrotnie. - Jak udało się to panu kapitanowi odgadnąć?

- Zaczniście od początku, Pansonby. Moja kryształowa kula została w domu.

Pansonby uśmiechnął się lekko, by pokazać, że docenił żarcik.

- Pan kapitan wysłał list do Wojskowej Służby Bezpieczeństwa w Tel-Awiiwie pytając, czy coś wiedzą o Karlu Wescie.

- Było to już dawno temu.

- Im się nigdy nie spieszy - oświadczył Pansonby. - Wie pan przecież, jak wygląda praca w Kartotece - i szybko dorzucił: - Oczywiście wiele razy im przypominałem. I dzwoniłem.

- Oczywiście.

Pansonby zajrzał do wygniecionych akt, które poprzedniego wieczoru nadeszły z Palestyny.

- To pan kapitan już te akta widział?

- Byłem tu wczoraj wieczorem, kiedy nadeszły.

- Pan kapitan miał całkowitą rację. Karl West alias Wieland alias Weiss jest jednym z rewolucjonistów. Popułnił wiele przestępstw, nie od dziś go szukają. Od lat pracuje dla Haganah. - Zręcznie przerzucał papiery. - Dwukrotnie był aresztowany i dwukrotnie udało mu się uciec. Wydano nowy nakaz aresztowania. Jeśli wie pan kapitan, gdzie on jest, moglibyśmy go od razu zwinąć.

- Nie, nie wiem, gdzie on przebywa. I nie jestem pewny, czy wiem, gdzie będzie.

- W czasie tej awantury z Raszidem Alim był w Bagdadzie. Tel-Awiiw uważa, że kontaktował się tam z Niemcami.

Marker nie potrafił ukryć uśmiechu zadowolenia. Rzadko się zdarza, by rutynowa czynność przyniosła tak świetne rezultaty.

- Musimy wziąć pod obserwację tego Salomona. Powiedzcie, sierżancie, inspektorowi Khalilowi, żeby znalazł mi dwóch bystrych chłopaków. Będzie wiedział, o co mi chodzi. Ale

pamiętajcie - dwadzieścia cztery godziny na dobę. Salomon nie należy do ludzi, którzy z zapadnięciem zmroku kładą się do łóżka.

- Zaraz się tym zajmę, sir.

- Czy prowadzicie auto?

- Nie, sir. Dlaczego pan pyta, sir?

- Bo co wtorek wysyłamy kuriera z tajnymi dokumentami do Hajfy. A w przyszłym tygodniu kurier ten zboczy do Jerozolimy i zabierze cywilnego pasażera.

- Kuriera, sir? Nigdy o tym nie słyszałem, sir.

- Nie mogliście słyszeć. Bo dopiero zaczynamy. Potrzebny mi jest ktoś godny zaufania, kto umiałby prowadzić auto... Nawiasem mówiąc, czy mamy w Jerozolimie kogoś, na kim moglibyśmy polegać?

- Oczywiście, sir. Mamy...

- Może to inaczej sformułuję. Potrzebny mi jest ktoś, kto wygląda na krajowca i może nie zwracając na siebie uwagi siedzieć cały dzień na ulicy i obserwować. Kogoś, kto włoży na siebie brudną galabiję i zna miejscowe języki.

- Jakie, sir?

Marker nachylił się i powiedział konfidencyjnym szeptem:

- Arabski, żydowski i hebrajski.

- Znajdę kogoś - oświadczył Ponsonby.

- Dobrze by było, żeby znał także rosyjski. Będzie musiał śledzić pewną kobietę. Czy nie mamy jakiejś agentki?

- Jaką kobietę, sir?

- Żonę Westa. Ona nas do niego zaprowadzi, Ponsonby. Zapamiętajcie sobie moje słowa. Gdziekolwiek West się ukrywa, ona zdoła go odnaleźć.

- Tak pan sądzi, sir?

- W mojej kancelarii adwokackiej nieraz miałem okazję się przekonać, że kobiecie nie potrzeba detektywa, by odszukać męża.

- Tak jest, sir. Znajdę kogoś, kto będzie ją śledził.

W tym momencie wszedł Jimmy Ross. Na jego twarzy malowało się napięcie, przygryzał wargi.

- Coś nie w porządku, panie majorze? - spytał Marker. Ponsonby zgarnął papiery, otworzył kartotekę i bardzo powoli zaczął coś w niej układać. Był to wypróbowany sposób, żeby usłyszeć coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu.

- Idę prosto z „Szarych Filarów”. Rozmawiałem z brygadierem i kwatermistrzem.

Marker milczał. Major często robił przerwy między zdaniami i nie lubił, żeby ktoś się wtedy wtrącał.

- Ten oddział żandarmerii w Oazie Siwa musiał stoczyć potyczkę. Pojawili się Arabowie ze świstkami papieru ze sztabu. Chcieli zabrać te przeklęte Beretty.

- Sztab anulował te papiery - wyjaśnił Marker. - Pani Smythson - żona pułkownika Smythsona - dzwoniła do mnie. Była bardzo poruszona. Zdaje się, że brakowało czyjegoś podpisu.

Obaj spojrzeli na Ponsonby'ego. Układał on papiery z miną człowieka, do którego nie dociera.

- Co wy o tym wiecie, sierżancie? - spytał Ross.

- Przeprowadziłem w tej sprawie maleńkie śledztwo, sir - przyznał się Ponsonby. - Nas ona nie dotyczy.

Ross spojrział na Markera, który wykrzywił wargi w prawie niedostrzegalnym uśmiechu. Pani Smythson popełniła fatalny błąd besztając sierżanta Ponsonby'ego, członka-założyciela tajnego klubu wyższych podoficerów, który żelazną ręką rządził wszelkimi poczynaniami wojska w Kairze. Ponsonby musiał komuś dać cynk, był obdarzony szóstym zmysłem, dzięki któremu unikał wszelkich kłopotów.

Ross powiedział:

- Arabowie pojechali po karabiny i nie chcieli przyjąć do wiadomości, że ich dokumenty nie są w porządku. Usiłowali wziąć broń siłą.

- No i? - spytał Marker. Ross powiesił czapkę na kołku.

- Nasi chłopcy byli tam już pewnie za długo. I zachciało im się postrzelać.

- Nic więcej nie wiadomo?

- Sztab dowiedział się o tym dopiero dziś rano. Brzydko to wygląda. Sześciu zabitych i ośmiu rannych. Paru naszych ludzi też odniosło rany.

- To były Egipcjuchy czy Arabowie z pustyni?

- Egipcjuchy.

- A nic o tym pan major nie słyszał od tego swojego konfidenta z egipskiej armii? - nalegał Marker.

- Nie. Bardzo to zagadkowo wygląda.

- Jak to przyjął brygadier?

- Zachował się nader przyzwoicie. Przyznał, że to on chciał przygotować zasadzkę. Więc chwilowo nikt nam się nie dobierze do skóry. Ale Spaulding namówił go, żeby ten pluton żandarmerii dalej tam stacjonował.

Ponsonby zamknął szufladę kartoteki.

- Proszę się nie martwić, sir. Na pewno znów się tam ktoś pojawi. Broń fascynuje najdziwniejszych ludzi.

- Tak - zgodził się Marker. - Zwykle tych dziwaków nazywa się żołnierzami.

- Wspaniały dowcip, sir - pochwalił uroczyście Ponsonby. - Może podać filiżankę herbaty, sir?

- Nienawidzę tej waszej choleralnej herbaty, sierżancie. Dlaczego pakujecie do niej tyle skondensowanego mleka?

- Taką herbatę piją wszyscy sierżanci sztabowi. Cała brytyjska armia funkcjonuje dzięki tej herbacie. Brygadier, ilekroć tu zagląda, prosi mnie, żebym mu ją zaparzył.

- Ale jej nie wypija - oświadczył Marker. - Nie zauważyliście tego, sierżancie? Zostawia ją na moim biurku, a ja wylewam ją do zlewu.

- Bo zanadto jest zajęty rozmową z panem majorem, sir.

- No, dobrze. Napiję się tej lury.

- Tak jest, sir. Już gotowa, sir. Zaraz ją przyniosę, sir. Dla pana i dla pana majora.

Ross spojrział na Markera, Marker westchnął. Nikomu jeszcze nie udało się wygrać z sierżantem Ponsonbym.

19

- Wkrótce musimy się stąd ruszyć - powiedział Salomon do swojego współnika, Ikała. Wspomnił o tym jakby mimochodem, gdy jechali wieczorem na spotkanie ze starym Mahmudem.

- Dlaczego? - spytał Ikał. Zastanawiał się, czy ta decyzja została powzięta na skutek nerwowości, narzucona przez Tel-Awiw, czy też coś się ostatnio wydarzyło.

- To nie twoja sprawa.

W ciągu tych sześciu miesięcy, które Ikał Arad spędził w Kairze, Salomon bardzo się zmienił. Owszem, przejawiał wciąż energię i przedsiębiorczość, przechwalał się historyjkami o ojcu i jego willi w Kairze, niemniej widać było, że popadł w depresję.

Mimo obsesyjnej wręcz skrytości Salomona, Ikałowi udało się go dobrze poznać. W końcu mieszkali razem, pracowali razem, musieli się nawzajem dużo o sobie dowiedzieć. Ikał wiedział zawsze, w jakim nastroju jest Salomon, który często wpadał nieoczekiwanie w entuzjazm. I równie często w złość, co potrafił przed innymi ukryć. Właśnie dzisiaj był

niewątpliwie wściekły, widać to było po sposobie prowadzenia auta. Zwykle był ostrożnym kierowcą. Tego wieczoru jechał jak wariat. Widząc pieszych trąbił i jechał prosto na nich. Musieli w ostatniej chwili uciekać.

Coś widać wstrząsnęło dzisiaj Salomonem. Ikał nie wiedział, co się stało, wiedział tylko, że wczesnym popołudniem pojawił się posłaniec. Był to młody Arab mówiący akcentem z Hataj, nadbrzeżnej prowincji Syrii. Ikał domyślał się, że przekazał on jakąś wiadomość z Tel-Awiwu. Bo przekazał tę wiadomość ustnie, a Tel-Awiw żadnych ważnych spraw nie załatwiał pisemnie. List mógłby wpaść w ręce Brytyjczyków podczas przekraczania granicy lub kontroli na drogach.

To jedno wskazywałoby, że decyzja Salomona, że mają się ruszyć, nie jest jego nagłym kaprysem. Wszyscy znajomi i przyjaciele Salomona uważali, że jest on obdarzony niezwykłą intuicją. Ikał zastanawiał się, czy ten najnowszy pomysł nie zrodził się z jakiegoś przeczucia.

- Te barki zaczęły się zanadto rzucać w oczy - powiedział Salomon. - Pijatyki i czarnorynkowe machlojki. Gliniarze mają je nieustannie na oku. Chwilowo zatrzymamy tę barkę, w każdym razie do końca miesiąca, ale na wszelki wypadek musimy sobie znaleźć jakąś inną metę.

- W mieście? - spytał Ikał.

Wiedział, że ta rzekoma intuicja Salomona polega na trafnym rozszyfrowywaniu uzyskanych informacji. Sam zajmował się głównie stroną organizacyjną, biegał po mieście odbierając raporty i płacąc ludziom, którzy donosili Salomonowi, czyli Tel-Awiwowi, co myśli i robi Kair. Ikał jednak tych raportów nie czytał. Ikał był w końcu tylko podwładnym. Salomon umiał trzymać swych podwładnych żelazną ręką, dlatego właśnie zdobył swą obecną pozycję. I mówił im tylko tyle, ile było konieczne; dzięki temu udawało mu się przeżyć. Ikał zwrócił więc uwagę na te słowa: na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

- Wynajmij coś - polecił Salomon. - Wiesz, co jest nam potrzebne. Dwa, trzy pokoje nad jakimś sklepem. Dwa wyjścia. Mocne drzwi.

- Czego się boisz?

- Nie wiem. Niczego.

- Chodzi o tego skurwiela, Wallingforda, tak? Za dużo o nas wie?

- On jest dezterterem. Niczego nie zdradzi - orzekł Salomon. - Nie zechce pomóc angielskiej armii.

- Ale jest Anglikiem. Bogatym Anglikiem. Już ja ich znam. Dezerter, nie dezerter, jak będzie mógł się podlizać swoim kolegom szkolnym, to się podliże.

- Ja już z nim robiłem interesy - Salomon chciał uspokoić Ikała. Ikał nie cierpiał Wallingforda. Ikał był utopistą, pragnącym, by jego żydowska ojczyzna powstała bez pomocy dezerterów, oszustów i antysemitów.

- Wiem, że robiłeś.

- Trzeba płynąć z prądem, Ikał. Rommel przygotowuje się do ofensywy. Pewnie ruszy, nim zacznie się gorąca pora roku. I tym razem zajmie Kair.

- Serio myślisz, że Niemcom się to uda?

- Zająć Kair? Na pewno.

- I na całym Bliskim Wschodzie nastąpi kres brytyjskiego panowania?

- Tak.

Ikał chwilę zastanawiał się nad konsekwencjami.

- Stracą naftę. I zostaną odcięci od Indii, Birmy, Singapuru i Australii. Ich okręty znikną z Morza Śródziemnego. Jeśli Niemcy natychmiast rozpoczną inwazję na Anglię, będzie to oznaczało koniec wojny.

- No, właśnie - powiedział Salomon.

- Pierwszy raz widzę, żebyś był taki załamany, Sal. Co stanie się wówczas z naszymi ludźmi, gdzie będą się mogli schronić? I ilu uda się przeżyć?

- Nie pytaj mnie, Ikał.

- Czy Tel-Awiw wie, że Rommel zajmie Kair?

- Co oni mogą wiedzieć? Wiedzą tyle, ile im napisałem w moich raportach.

Ikał nic nie odpowiedział, Tel-Awiw miał tysiące innych informatorów, Ikał nie zamierzał jednak drażnić Salomona.

Salomon postanowił przerwać milczenie i częściowo się wycofał.

- Cóż, nie jestem prorokiem, a na polu bitwy wszystko może się wydarzyć. Ale Brytyjczycy musieliby mieć mnóstwo szczęścia, żeby im się udało zatrzymać Rommla, kiedy już raz ruszy do ataku.

- Więc to dlatego mamy stąd wyjechać? Salomon skrzywił się.

- Nie, mój przyjacielu. Dlatego musimy się na dobre zabrać do roboty. Staram się ustalić, jak będziemy się kontaktować z Tel-Awiwem, kiedy tu przyjdą Niemcy. Zresztą Tel-Awiw ma nam przysłać nadajnik radiowy. A ty musisz znaleźć nam bezpieczną metę. Zmienimy nazwiska, załatwiam nowe dokumenty. Nie zapomnij, że musimy mieszkać na

najwyższym piętrze, żeby móc w razie czego uciec na dach. No i umieścić na nim radiową antenę...

- Teraz rozumiem, Sal. - Ilekroć Ikał dochodził do wniosku, że jego wspólnik zramolał, natychmiast zdarzało się coś, co wyprowadzało go z błędu. Salomon wciąż był wytrawnym konspiratorem. - Znikniemy.

- O, nie. Kiedy ktoś znika, zwraca na siebie uwagę i zaczynają go poszukiwać. Oficjalnie będzie się nazywało, że wyjechaliśmy do Palestyny. I ten wyjazd zostanie udokumentowany.

- Co myślisz zrobić w sprawie tych karabinów Wallingforda? Zapomnimy o tym, co? - Ikał miał nadzieję, że nigdy więcej nie będą robić interesów z Wallingfordem.

- O, nie. Te Beretty za bardzo są naszym ludziom potrzebne. Dlatego właśnie zostajemy chwilowo na barce. Tel-Awiw znalazł kogoś w Trans-jordanii, kto może nam dostarczyć włoską amunicję. Beretty są w tej chwili najważniejsze.

Salomon zwolnił i wychylił się z okienka, by sprawdzić, gdzie są. Skręcił w wąską uliczkę, omijając wyboje. Kiedy znów się odezwał, wymawiał z naciskiem każde słowo.

- W zeszłym tygodniu widziałem się z Wallingfordem. Zjedliśmy kolację w Klubie Cleo. Chce, żebyśmy sami załatwili transport. Opuści dziesięć procent. Mówi, że ma parę pilnych spraw i brakuje mu ciężarówek.

- Dziesięć procent? Aż tyle? To mi coś podejrzanie wygląda.

- Szkoda, że go nie widziałeś, jak czarował. Ta słynna angielska uprzejmość i poczucie humoru. Francuski szampan i burgund. Przy barze dwie dziewczyny czekały na zaproszenie do stolika. Obaj upiliśmy się. O tak, Ikału, Wallingford bardzo się starał. Po wojnie zrobi karierę jako biznesmen.

- To sznoreń - powiedział Ikał.

- Gonif - dorzucił Salomon. Lubił napauszczać Ikała na Wallingforda, jego gniewne komentarze sprawiały mu perwersyjną przyjemność. - Był tak pijany, że wpadł do muszli w klozecie. Pomogłem mu się podnieść, a on zaczął krzyczeć, że wie, kto jest szpiegiem Rommla, wiesz, tym, o którym się mówi, iż dostarcza do Trypolisu bezcennych informacji.

- To on.

- Jak to?

- Tym szpiegiem Rommla jest na pewno on, Wallingford. Cały czas kręci się po pustyni. A kiedy jest w Kairze, zaprasza oficerów na kolację. Zna wszystkich. - Ikał podniecił się, zachwycony swoją teorią. - Wszystko pasuje. Wallingford szpieguje dla Niemców.

Finansują go. A ten jego adiutant, Percy, jest pewnie przeszkolonym niemieckim agentem. I to on kieruje Wallingfordem.

- Nie wygłupiaj się, Ikał. Wallingford nie jest szpiegiem Rommla. Ikał obraził się. Był absolutnie pewny, że ma rację.

- Skąd wiesz?

- Nie wrzeszcz. Wiem. Jest złodziejem, powiedziałem już, że to gonif. Ale nie jest szpiegiem. Za długo siedzę w tym interesie, żeby nie wiedzieć, kto może być szpiegiem, a kto nie. Wallingford nie jest.

- Percy nie pochodzi z Południowej Afryki.

- Zgoda. Percy jest Niemcem. Ale to nie oznacza, że Wallingford szpieguje, a już na pewno nie jest tym superszpiegiem, który dostarcza Rommlowi najtajniejszych informacji.

Ikał dłuższy czas milczał. Wciąż to samo. Salomon traktuje go jak małe, niemądre dziecko.

- Zgodziłeś się? Myślę o tych BerettacbP. Zgodziłeś się zabrać je z pustyni?

- Wallingford znów zniknął. Nie wiadomo, kiedy wróci. Nie mieliśmy wyboru.

- Kiedy wyruszamy?

- Wcale nie wyruszamy. To by było zbyt ryzykowne. Następnego dnia umówiłem się z Mahmudem. Posłał swoich ludzi do Siwy. Im jest łatwiej. Arabowie potrafią zapaść się w piasek.

- I ile mu za to zapłacisz?

- Osiem procent. Pewnie się starzeję, a starzejąc staję się podejrzliwy. Tak było z moim ojcem... Tel-Awiw uważa, że jestem zbyt ostrożny. I stale skarżą się, że wydaję za dużo pieniędzy. Tym razem będą mieli trochę racji, ostrożność jednak jest ważniejsza.

- Mahmud ma już broń?

- Tak. Wszystko było tak, jak Wallingford powiedział, ale mu dalej nie ufam. Przed świtem broń ma się znaleźć na statku. Wtedy odetchniemy.

- Na jakim statku? Masz już statek? - Znów poczuł rozgoryczenie, że nie został poinformowany.

- Przyplynie z południa feluka. Ludzie Mahmuda załadują karabiny. - Salomon zatrzymał samochód przed starym sklepionym przejściem. Na końcu w wysokiej ścianie widać było drzwi osadzone na ozdobnych zawiasach, inkrustowane metalowymi gwiazdkami.

- Wolałbym, żebyśmy nie robili interesów z tymi arabskimi szachrajami - powiedział Ikał, przyglądając się arabskiemu strażnikowi, stojącemu przed drzwiami.

- Tego życzy sobie Tel-Awiw.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Tel-Awiv nie ma już złota, ani dolarów, ani franków szwajcarskich. To złoto na Beretty to już resztki. Więc musimy się targować. Nie rozumieją, że wszystko się zmieniło. Sprytniejsi złodzieje nie chcą już brać brytyjskich funtów szterlingów ani pieniędzy egipskich. Starają się je wymienić i wywieźć z Kairu, nim pojawi się Rommel.

- Stary Mahmud jest właścicielem banku. Ma do czynienia z fiszami egipskimi. I brytyjskimi. Nie daj się zwieść pozorom, jest w tym mieście bardzo wpływowym człowiekiem. Zapłacimy egipskimi pieniędzmi, i on w ciągu godziny wymieni je na dowolną walutę.

- W jaki sposób?

- Da procent kasjerom brytyjskiej armii, a oni schowają go do własnej kieszeni.

Otworzyły się duże drewniane drzwi. Skłonił się nisko służący, zapraszając do środka. Drzwi wychodziły na maleńkie podwóreczko. Okalające je mury wyłożone były starymi orientalnymi kafelkami, zieleniły się rośliny, rosnące w wysokich ozdobnych donicach. Przeszli przez podwóreczko, niskie drzwi w grubym murze prowadziły do długiego chłodnego wybielonego pokoju.

Stali tam Mahmud i Tahseen, tłusty uśmiechnięty bankier i drobny poważny główny kasjer. Wymieniono uroczyście rytualne pozdrowienia: „Allah z wami” i „Oby Allah obdarzył was długim życiem”. Potem usiedli na poduszkach, a służący przynieśli dymiącą herbatę z mięty i małe ciasteczka.

Herbata była słodka, niemniej Salomon chciwie ją wypił. Cukier pomógł mu się uspokoić, denerwował się myślą o tym spotkaniu. Najpierw należało uprzejmie porozmawiać i obsypać się nawzajem komplementami. Salomon, jak każę obyczaj, zachwycał się meblami i ustawioną wzdłuż ścian kolekcją rzeźb z kości słoniowej. Mahmud kolejno przynosił je Salomonowi, żeby ten mógł ich dotknąć i w pełni docenić ich sztukę. Mowa też była o tym, skąd pochodzą i kiedy powstały. Na rozmowę o interesach będzie czas.

Mahmud wypił łyk herbaty i spytał tonem towarzyskiej pogwarki:

- Czy sądził pan, że osobiście wybiorę się na pustynię po te pana karabiny maszynowe?

Salomon uznał to za żart.

- Ależ tak. O tej porze roku na pustyni jest bardzo pięknie.

- Mimo wszystko za gorąco na piknik - odpowiedział Mahmud. Następne pytanie zadał Tahseen.

- Czy to komandor porucznik Wallingford zasugerował panu, żeby się pan zwrócił do nas?

Salomon wyczuł niebezpieczeństwo.

- Nie. To był mój własny pomysł. - Wziął ciasteczko i ugryzł je; okazało się, że jest z daktylowej masy. Salomon nie lubił daktyli, musiał się nimi żywić w czasach głodnego dzieciństwa.

- A kapitan Darymple? - spytał Tahseen tym swoim angielskim głosem. - Kapitan Darymple wiedział, że my się tym zajmiemy?

- O co panom właściwie chodzi? - Salomon nic nie rozumiał.

- Będziemy wdzięczni za wyczerpującą odpowiedź. - Mahmud wstał, podszedł do Salomona, stanął za nim i położył mu rękę na ramieniu. Salomon poczuł się zagrożony, zadrżał.

- O ile wiem, Darymple dostarczył jakieś dokumenty - powiedział Salomon. - Przyniósł je w zeszłym tygodniu do Klubu Cleo. Ale przecież panowie wiedzą, że Wallingford pracuje na własny rachunek.

- Widzi pan, kapitan Darymple jest mi winien dużą sumę pieniędzy - powiedział innym już tonem Mahmud. - Pan Wallingford zamierza ten dług ode mnie odkupić. Przypuszczam, że chce mieć Darymple'a w rękę.

- Nie mam z tym nic wspólnego. - Salomonowi przyszło na myśl, że chcą, aby to on ten dług uregulował i odliczył sobie tę sumę płacąc Wallingfordowi. Postanowił, iż tego nie zrobi.

Mahmud dał mu chwilę czasu na zastanowienie i oświadczył:

- Przyszedł czas na uregulowanie wszystkich długów.

Salomon spojrzał na niego. Co to właściwie znaczy? Czy tych dwóch kutych na cztery nogi osobników wie, że on pracuje dla Tel-Awiwu? Zimny uśmiezek Mahmuda nie wykluczał tej możliwości.

Salomon wziął przyniesioną z sobą czarną teczkę i położył ją na kolanach. Ostrożnie ją otworzył. Była pełna nowych dziesięciofuntowych banknotów egipskich.

- Przyniosłem umówioną kwotę. Już za późno na targi.

- Nigdy nie jest na nic za późno, Salomonie. Zawsze może zdarzyć się coś nieoczekiwanego.

Salomon wyczuł, że ten starzec traktuje go dziś inaczej. Dotychczas zawsze mogli się w interesach porozumieć. I nigdy dotąd ci dwaj ludzie nie okazywali mu wrogości. Dziś wieczorem coś się zmieniło. Dziś wieczorem uświadomił sobie, że jest Żydem. Bezbronnym

Żydem w Złotym Mieście, starym, świętym centrum arabskiego świata. Po raz pierwszy Salomon poczuł się zagrożony.

- Bierzecie czy nie? - spytał rozgoryczony Salomon.

- Zapomina pan, że to my możemy dyktować warunki - powiedział Tahseen tak smutnym tonem, jakby mu to sprawiało przykrość.

Salomon spojrzał na nich, ale nie mógł z ich twarzy nic wyczytać. Jeśli mieli tę broń - on nie miał do niej dostępu. Mogli ją spokojnie zatrzymać.

- Przecież się nie pokłócimy - powiedział Salomon.

Obaj Arabowie pili spokojnie herbatę i nie odzywali się. Salomon zamknął teczkę i odłożył ją na boczny stolik.

- Nie możecie mi kazać spłacać cudzych długów!

- Niech pan się przyzna, panie Salomonie. Jest pan w zмовie z Wallingfordem i z Darymple'em. A może jeszcze z kimś innym.

- Nie, Mahmudzie, pracuję sam.

- Miałem nadzieję, że okaże pan zdrowy rozsądek - powiedział Mahmud. Zdjął ciemne okulary i otarł oczy chusteczką. Były mocno zaczerwienione, miał rozszerzone źrenice. Raziło go światło, odwrócił głowę. Czyżby Mahmud był narkomanem? Uważano go za handlarza narkotykami, a tu okazuje się, że sam je zażywa. Wyjaśniałoby to jego dzisiejsze zachowanie, Salomon jeszcze bardziej się zaniepokoił.

- To sprawa honoru - wyjaśnił Tahseen. - Bank nie może dopuścić, żeby jego klient nie stosował się do reguł gry. To się może roznieść... rozumie pan? - Salomon zobaczył, że Mahmud wysączył do dna swoją filiżankę herbaty. Zrobił to samo. Ale nikt mu nie dolał. Do ścianek filiżanki przylgnęły lepkie od cukru listki mięty.

- Nie mam nic wspólnego z Wallingfordem i Darymple'em - powtórzył Salomon.

Mahmud nagle wstał.

- Może porozmawiamy jutro. Do jutra uspokoi się pan. W ten sposób rozstaniemy się dzisiaj jak przyjaciele, a w ciągu nocy będzie pan miał czas przemyśleć to, co panu powiedziałem.

Salomon też wstał. Poczuł gniew.

- Jutro powiem to samo...

Tahseen przyłożył palce do ust. - Dopiero rozpoczęliśmy rozmowę. Jutro na pewno się dogadamy. - Tahseen występował zawsze w roli rozjemcy.

Służący przyniósł Salomonowi kapelusz i podał mu teczkę. Mahmud i Tahseen odprowadzili ich do drzwi i życzyli dobrej nocy, jak nakazuje uprzejmość arabska.

Ikał zabrał głos dopiero wówczas, gdy zamknęły się za nimi drewniane wrota.

- Zatrzymają sobie te karabiny. Ci skurwiele zabiorą sobie nasze karabiny.

Salomon nie odpowiedział. Wsiadł do samochodu i włączył silnik. W tej samej chwili brytyjski oficer nachylił się i uprzejmie oświadczył:

- Bardzo mi przykro, że muszę panów niepokoić, ale w tej dzielnicy zamknięto ruch. Nie wolno do niej wjeżdżać prywatnym samochodem. Musimy przeszukać pana wóz. Będą panowie uprzejmi wysiąść.

Salomon rozpaczliwie nacisnął na gaz, samochód zakołysał się i nie ruszył z miejsca.

- Zablockowaliśmy koła - powiedział oficer. - I moi ludzie są uzbrojeni. Bardzo proszę o rozsądek. - Mimo ciemności widać było, że parunastu ludzi - uzbrojonych żandarmów - zablokowało ulicę.

Ikał i Salomon wysiedli z auta. - Wezmę pana teczkę - powiedział oficer. - Sierżant pomoże panom wsiąść do ciężarówki. Pojedziemy do koszar Bab-al-Hadid. Jeden z moich ludzi przyjedzie za nami pana wozem. Wkrótce wrócą panowie do domu.

- Ach, ten skurwiel Mahmud. - Ikał nie potrafił opanować wściekłości.

- Uspokój się - napomniął go Salomon. - Dobrze, panie kapitanie. Zrobimy wszystko, czego pan sobie życzy. Nie mamy nic do ukrycia.

Następnego dnia rano Alice poszła złożyć Jimmy'emu Rossowi cotygodniowe sprawozdanie. W biurach SIB wrzało. Poprzedniego dnia wieczorem zatrzymano Salomona i Ikała, kapitan Marker całą noc nie spał przesłuchując podejrzanych. Zatem sprawozdanie Alice Stanhope nie było zbyt interesujące: Said, niewinna krzątanka księcia itd. Jedynym wydarzeniem było nagle zniknięcie Darymple'a. Spakował rzeczy i wyjechał. Szybko opowiedziała wszystko Rossowi i zabrała się do wystukania tego na maszynie.

Pisała jeszcze, gdy wrócił kapitan Marker.

- No i co? - zapytał Ross.

- Niewiele się dowiedziałem - odparł Marker.

- Pokazałeś im to? - Ross wziął do ręki owinięty w celofan lepki brunatny sześcian i zaraz odłożył go na biurko.

- Pokazałem.

- I co?

- Ten młodszy w ogóle nie wiedział, co to może być. A Salomon zaczął się śmiać i oświadczył, że Mahmud musiał do szczętu zgłupieć, aby im podłożyć sześć uncji opium, skoro nawet drobny handlarz ma przy sobie co najmniej sto uncji.

- Jak pan myśli, dlaczego Mahmud chciał ich wpakować do ciupy?

- Nie wiemy, czy to on. - Marker spojrział pytająco na Alice - może ona dostarczyła jakichś nowych wiadomości? Zobaczyła to i pokręciła przecząco głową.

Ross siedział z nogami na biurku, założył ręce na karku.

- Och, starannie zatarł wszystkie ślady i dlatego właśnie podejrzewam, że to on. Wszystko jest dla mnie jasne. Mahmud posłał swoich ludzi do Siwy, nastąpiła tam strzelanina. Więc doszedł do wniosku, że to spisek Salomona i Wallingforda.

- Im Rommel bliżej, tym więcej zdarza się tu dziwnych rzeczy.

- Ale nie aż tak. Czy udało ci się coś wyciągnąć z tego młodszego?

- On przynajmniej odpowiada, jak się do niego mówi. Ale nic nie wie. Jest naprawdę tylko podwładnym Salomona.

- Przetrzymamy ich parę dni. W pojedynczych celach. Jeśli nic się z nich nie da wyciągnąć, będziemy musieli ich zwolnić.

- Temu młodszemu coś się wysnęło.

- Co?

- Uważa, że to Wallingford, ten dezertor z marynarki wojennej, jest szpiegiem Rommla.

Alice przestała pisać na maszynie, nie chciała niczego przegapić.

- Tak powiedział?

- Tak. Tymi słowami. Uważa, że Wallingford sprzymierzył się przeciwko nim z Mahmudem. I to Wallingford dał nam cynk, żebyśmy ich zaarrestowali. I że ma to coś wspólnego z planami Rommla.

- Wallingford... Cóż, chętnie bym pogadał z Wallingfordem. - Ross zdjął z biurka nogi i zajrzał do akt Salomona.

Marker obserwował go.

- Powiedział jeszcze, że Wallingford, sam będąc dezertorem, stoi na czele całej szajki dezertarów. Wszędzie się potrafi wkręcić. Coś w tym jest.

- Hm, to pewnie prawda. Ale brygadier widział kopie meldunków, które dostaje Rommel. Nie, Wallingford nie może być naszym szpiegiem. To nie są plotki z Klubu Cleo. To ściśle tajne informacje z najwyższego szczebla. Nasze plany strategiczne, stan uzbrojenia, dokładne daty przyjazdu konwojów i ich zawartość. Taki błazen jak Wallingford nie porusza się w równie wysokich kręgach.

- Tak. Cóż, wiedziałem, że to absurdalne - zgodził się smętnie Marker. Miał cichą nadzieję, że udało mu się rozwiązać największą zagadkę wojny.

- Wróc do nich i staraj się coś jeszcze z nich wycisnąć - powiedział Ross. - Nie daj im odetchnąć. Jeśli naprawdę działa w Kairze żydowska siatka szpiegowska, to musimy się o niej czegoś dowiedzieć.

Marker spojrział na zegarek. Miał zamiar umyć się, ogolić i choćby godzinę przespać. Ale oto otwierała się przed nim wielka szansa - odbiorą Spauldingowi wszystkie atuty udowadniając, że wiedzą już o „religijnych ruchach wywrotowych”.

- Tak jest, panie majorze. - Wyłopał resztkę herbaty, wstał i wyszedł. Ross znów położył nogi na biurku i rozparł się w krześle.

- Wallingford - zastanawiał się głośno Ross. - Bardzo bym chciał w to uwierzyć.

Alice zamiast wrócić do pisania nie spuszczała z niego oczu.

- Więc ty sądzisz, że on naprawdę jest dezerterem, tak?

- Owszem. Jeszcze raz zwróciłem się do Marynarki Wojennej, żeby odzyskali jego akta. Wiesz jednak, ile to czasu trwa, nim od tych facetów uda się coś wyciągnąć.

- Dlaczego on cię tak interesuje, skoro jesteś pewny, że nie jest szpiegiem?

- Sam nie wiem. - Roześmiał się, w ten sposób przyznał się, że ostatnio często o Wallingfordzie rozmyślał. - Cóż, w końcu to nasz jedyny podejrzany.

- Czy ta krew na banknocie nie stanowi dostatecznego dowodu, by go oskarżyć o morderstwo?

- Nie. To tylko poszlaka. Ale możemy go przesłuchać. Wciąż na niego patrzyła. Powiedział:

- Masz rację, Alice. Pora już, żeby się Wallingfordowi dobrać do skóry. - Powinien skoncentrować się na śledztwie, zapomni o własnych kłopotach.

- Co zrobisz, jeśli uda ci się złapać prawdziwego szpiega? - spytała Alice. Nagle uświadomiła sobie, że powinna powiedzieć nie „jeśli”, tylko „kiedy”, ale było już na to za późno.

- Coś zaskakującego! Dam brygadierowi w pysk albo poproszę cię o rękę.

Uśmiechnęła się i znów zaczęła pisać na maszynie. Widziała, że jest strasznie zmęczony.

20

Robin Darymple po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł się dobrze. Pod jego stopami skrzypiał piasek, oddychał czystym powietrzem. Wszyscy przybywający na pustynię

przez chwilę radowali się dobrym samopoczuciem. Darymple nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Znowu jest na pustyni w szeregach tych, co walczą. I to w jakiej jednostce! Wszystko okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Słyszał o ludziach, którzy na własną rękę opuszczają szpital, wracają do swoich oddziałów i pozostają w nich, nie ponosząc żadnych konsekwencji. I przygotowując lewe papiery dla Wallingforda wpadł na pomysł, że może sam siebie skierować na linię frontu. Władze, jak wiadomo, nie karzą ludzi, którzy idą walczyć.

Nie, nie miał się czym martwić. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Żołnierze krzątali się wokół wozów pancernych, oliwiąc je i sprawdzając podwozie. Czyścili karabiny, nastawiali teleskopy. Pakowali do skrzyni narzędzia, części zapasowe i dodatkowe racje żywnościowe. Wokoło leżały pociski, amunicja do karabinów maszynowych, pakiety z rakietami świetlnymi, pojemniki z wodą i z żywnością. Darymple obserwował tych ludzi z dumą i z serdecznością. To z nimi czuł się dobrze, z tymi prostymi, uczciwymi, bezpośrednimi ludźmi, niepodobnymi do Wallingforda i karierowiczowskich gryzipiórków w Kairze.

Żołnierze byli bardzo zmęczeni, ale poruszali się sprawnie. Darymple głosił teorię, że dyscyplinę i morale oddziału można poznać obserwując, jak są założone siatki maskujące. Albo były naprężone i niewidoczne, albo zwisały byle jak i żołnierze wciąż musieli się schylać, żeby się o nie nie zaczepić.

Darymple przyjrzał się najbliższemu stojącemu wozowi pancernemu. Z boku ktoś wypisał imię BERYL. Darymple wdrapał się na wóz. Żelazo parzyło dłoń i mimo obuwia parzyło stopy. Przez chwilę stał zaglądając przez luk do kabiny kierowcy. Dobrze pamiętał „Beryl”, był przez jakiś czas jej dowódcą. Ten wóz przybył z Anglii już obdarzony imieniem „Beryl”. Czyją była żoną lub ukochaną? Nikt się nigdy nie dowie, imię jednak pozostało. Załogi wozów pancernych uważają, że nie należy zmieniać imienia, może to przynieść pecha. Tak, dobrze znał „Beryl”, ale bardzo się zmieniła. Kilka warstw farby zeschło się i odłaziło jak makijaż na twarzy staruszki. Biedna „Beryl”, nie dawało się ukryć jej wieku. Pancierz był mocno pokiereszowany, gdyby pociski trafiły o parę centymetrów niżej, „Beryl” nadawałaby się tylko na złom, a załoga spłonęłaby żywcem.

Dzień był upalny. Z wnętrza wozu doleciał przykryy odór. Pot, uryna, olej, guma, kordyt. Nie, nie był to przyjemny zapach, ale dzięki niemu Darymple'owi stanęła przed oczyma przeszłość. Poglądził metalowy pancierz, spojrział na podartą skórę siedzeń i na deskę rozdzielczą - szybkościomierz, obrotomierz, wskaźnik paliwa - szkło teraz popękało i zmatowiało, a dźwignia zmiany biegów i hamulec ręczny błyszcząły, wypolerowane dłońmi kierowcy.

Darymple wlażł do wieżyczki i usiadł tak jak kiedyś na krytym skórą siedzeniu dowódcy. Bardzo tu było ciasno, siedzenie kanoniera było - tuż obok. Czuł zapach przepoconej podkładki z gąbki, o którą kanonier opierał czoło, gdy celował. Dotknął lekko kierownicy.

Z wieżyczki miał świetny widok na pojazdy zaopatrzenia. Ładowano na nie amunicję, żywność i paliwo. Te ciężarówki co dzień dowoziły zapasy. Służba w zaopatrzeniu była ciężka i niebezpieczna, wozy nie były opancerzone, a cały czas narażone były na ostrzał wroga.

Darymple rozglądał się za starymi znajomymi, niewielu jednak pozostało. Wszędzie dokoła widział młodziutkich żołnierzy, niemal dzieci. Był teraz maj 1942 roku. Wojna trwała już od dwóch lat - dostatecznie długo, by chłopcy powołani do wojska na jej początku zostali przeszkoleni i wysłani na pustynię. Wyrastki o krostowatych zaczerwienionych od słońca twarzach prowadziły wozy pancerne, strzelali i obsługiwali radiostację. Wielu z nich miało na ramionach podoficerskie naszywki. Wszyscy kipieli energią, jest to zwykły atrybut wczesnej młodości.

Inaczej zachowywali się starzy wyjadacze. Trudno było rozpoznać ludzi, którzy służyli z nim w tak zwanych obecnie „dawnych czasach”. Postarzelisi tak, jak starzeją się tylko ludzie poddani ciągłemu stresowi. Zmarszczki, sztuczny uśmiech, niespokojny wzrok, zapadnięte oczy, wszystko to było nieomylnym symptomem długiej służby na froncie, tak samo jak mocna opalenizna, wypłowiałe mundury, modne ostatnio zamszowe buty i fantazyjne swetry.

Darymple nie przejął się zbytnio tym, że jego dawny batalion został tak strasznie przetrzebiony. Nie był zbyt wrażliwym człowiekiem, a już na pewno nie był sentymentalny. Rolą żołnierza było walczyć i ginąć. Więc nie wzruszał go los batalionu. Żałował tylko, że sam nie brał udziału w akcji, że musiał przesiadywać za biurkiem w Kairze.

Pustynia w maju wyglądała przepięknie, upał dawało się jeszcze znieść. Widział tu i ówdzie skrawki ziemi, na które wypelzły pustynne kwiaty. Przejeżdżały po nich czołgi oraz ciężkie opony ciężarówek i zgniecione łądygi pachniały tymiankiem. W tym roku opóźniły się gorące wiosenne wichry. Wkrótce nadejdą i w ciągu jednej nocy kwiaty uschną. Nareszcie udało mu się wypatrzeć kogoś, kogo znał. Porucznik Copeland, „Piggy”. Dopiero teraz w pełni poczuł szczęście powrotu.

Jego przyjaciel Piggy podszedł niespiesznie. Zdjął czapkę i podrapał się w głowę.

- Co, wciąż się kochasz w „Beryl”?

Darymple uśmiechnął się z zawstydzeniem. Wiedział, że wystawia się na pośmiewisko okazując tak wyraźnie swoją radość, ale nie potrafił się opanować. Poklepał wóz.

- Ta stara klabzdra ma dzikie szczęście.

- A ma. Wychodzi cało ze wszystkich opresji. Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że któregoś dnia pojawił się tu Wally?

- Wallingford? - Darymple drgnął.

- Mówił, że się z tobą widział. Komandor porucznik i DSO. Jak u diabła można się dostać do takiego niezależnego patrolu? Cóż, z Wally'ego już w szkole był szczęściarz. I skurwiel. Prawda?

- Cóż, chyba tak - odpowiedział oględnie Darymple. Oczekiwał, że spotka tu Wallingforda i wcale się z tego nie ucieszył. Któregoś dnia Wallingford wpadnie - to pewne, Darymple nie chciał, żeby łączono ich nazwiska. - Mało go w szkole znałem. Mieszkał w innym domu.

- No tak, ale był z tobą w szkolnej jedenastce. Kolegowaliście się.

- Nie bardzo pamiętam. To było dawno temu.

- Oj, dawno. Czasem myślę, że aż do końca wojny zostanę tylko porucznikiem. Czy wiesz, odkąd tii jestem?

- To na pewno jakaś biurokratyczna zwłoka - powiedział Darymple. - Potem się okaże, że parę razy awansowałeś i nagle otrzymasz stopień generała czy coś w tym rodzaju.

- Czy możesz mi to dać na piśmie?

- A to co? - Darymple zmienił temat. Pokazał ręką na zachód. Gdzieś, bardzo daleko, tuman brunatnego kurzu powoli posuwał się w ich kierunku. Wyglądał jak ściana, solidna ściana, choć rozsądek mówił, że nie jest to możliwe. Ta ściana miała około pięciu kilometrów długości i ze sto metrów wysokości. - To chyba nie chamsin? - Darymple przeżył już parę pustynnych burz.

Piggy spojrzał w tamtą stronę.

- Nie, nie chamsin, Hunowie. Przez cały zeszły tydzień unosiły się tam tumany kurzu. To czołgi i wozy pancerne. Widać koncentrują tam wojska.

- No, to wkrótce się zaczniesz - powiedział Darymple.

- Tak, wkrótce - zgodził się Piggy.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się w górze grzmot. Piggy spojrzał i zobaczył pojedynczy samolot przelatujący nad linią frontu.

- To jakiś Szwab fotografuje nasze pozycje. Musi mieć już niezły album zdjęć, przylatuje niemal co dzień.

- Pewnie chcą nas zastraszyć.

- I to im się udaje - stwierdził Piggy. - Chodzą po mnie ciarki, gdy pomyślę, że Hunowie znają pozycje każdego naszego czołgu.

- Ich bardziej interesuje nadbrzeżna linia kolejowa - powiedział Darymple. - Doprowadzimy ją wkrótce do Tobruku.

- Tylko wy, w Kairze, wiecie, co się naprawdę dzieje. - Piggy nie miał o to pretensji. - A my tu na froncie jesteśmy jak tabaka w rogu.

- No i rury wodociągowe.

- To się znowu zacznę myć - oświadczył Piggy. - Teraz mamy tyle wody, co kot napłakał. Mogę się co najwyżej wytrzeć mokrą szmatką.

- Kto to? - spytał Darymple tak gwałtownie i z takim oburzeniem, że Piggy się przeraził.

- Kto?

- Ten skurwiel - Darymple wskazał go palcem.

- Jakiś major z Kairu, który przyjechał tu ponasładzać się z Andym. Andy mówi, że to tajniak.

- Znam tego cholernego bydlaka. To nie żaden major. Jest kapralem.

- Uspokój się, stary.

- Powiadam ci, że go znam. To kapral. Kręci się wokół cudownej dziewczyny, która mieszka w naszym hotelu.

- Co za tupet - powiedział Piggy nie zdradzając większej emocji.

- No i co zamierzasz z tym zrobić? Wszedł do oficerskiego kasyna.

- Zbliża się pora lunchu.

- Zgłupiałeś chyba, Piggy. Przecież nie może z nami jeść. Wezwij żandarmerię i kaź go aresztować. Przebrał się za oficera! To na pewno dezterter. Niewykluczone, że ma fałszywe papiery! - i Darymple cicho, ale zapalczywie powiedział sam do siebie: - Wiedziałem. A to oszust.

Piggy przyglądał się Darymple'owi zastanawiając się, czy ten go nie nabiera. W szkole Darymple słynny był ze swoich kawałów. Dostał kiedyś lanie, bo posłał pocztą do domu kierownika pieróg - jeden z niejadalnych pierogów, którymi karmiono uczniów. Adres napisał na twardej skorupie, przykleił do niej znaczki i pieróg przybył w nienaruszonym stanie.

Nie, to nie kawał, Darymple nie potrafił opanować wzburzenia. A ponieważ był kapitanem, należało go słuchać.

- Dobra, stary. Hej, kapralu! - Zatrzymał przechodzącego podoficera. - Idźcie powiedzieć dyżurnemu sierżantowi, że zidentyfikowaliśmy dezertera. Niech tu zaraz przyjdzie z eskortą.

- Tak jest, sir - powiedział kapral. Uśmiechnął się. Nareszcie coś ożywi monotonię dnia.

- Ale biegiem! - dorzucił Darymple.

- Tak jest, sir - zawołał przez ramię kapral, bo już zaczął biec.

Zaareztowanie majora policji, który przybył z misją do jednostki, żywo utkwiło w pamięci wszystkich, mających okazję temu się przyglądać. W namiocie kasyna było wówczas czterech oficerów. Gość z gwiazdkami majora na kurtce stał pijąc whisky. Trzech poruczników, jeden z nich starszy już facet z kwatermistrzostwa, siedziało przy stoliku pałaszując wczesny lunch, by zaraz wrócić do roboty.

Z Darymple'em przyszedł porucznik Piggy Coppeland, dyżurny sierżant i sierżant Butcher z żandarmerii, którego dyżurny sierżant sprowadził ze względu na jego fizyczną krzepę i pełne samozaparcia przywiązanie do każdego paragrafu Regulaminu Królewskiego.

Zaczął Darymple.

- Hej, ty tam - wrzasnął na Rossa. - Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Ross już przedtem zauważył Darymple'a, ale miał nadzieję, że uda mu się uniknąć spotkania. Teraz, kiedy Darymple wpadł krzycząc do namiotu, bardzo się zaniepokoił.

- Cutler, czy jak ty się właściwie nazywasz? Proszę do mnie! Kiedy Ross nie posłuchał wezwania, Darymple zwrócił się do sierżanta:

- Aresztujcie go!

Sierżant żandarmerii Butcher podciągnął nałożony pośpiesznie pas z pistoletem w kaburze, nasunął niżej czapkę z czerwonym denkiem i podszedł do Rossa. Stał przed nim i widać było, że czuje się trochę niepewnie.

Ross uśmiechnął się. Była to nerwowa reakcja, ale wcale na to nie wyglądało. I dodatkowo rozwścieczyło Darymple'a. Sierżant Butcher poprosił Cutlera o papiery.

Ross wręczył mu je szerokim gestem, Darymple uznał ten gest za bezwstydną. I wyrwał je. Krzyknął:

- To fałszywe dokumenty! Na pierwszy rzut oka widać, że zostały sfalszowane! - Schował je do kieszeni. - Posłuż nam to za dowód. Aresztujcie go, sierżancie. I załóżcie mu

kajdanki. - Potem zwrócił się do Rossa. - Tym razem mi się nie wywiniesz! - Obecni pomyśleli, że kapitan aresztował już kiedyś tego człowieka.

- Niechże pan się uspokoi, kapitanie Darymple - powiedział Ross. Biło mu gwałtownie serce, ale powtarzał sobie, że uda mu się wydostać z tarapatów. Musi tylko zachować spokój. W końcu jego legitymacja była autentyczna, wystarczyło jej się przyjrzeć.

- Proszę skontrolować moją legitymację SIB. Jestem majorem. Przyjechałem tu na naradę z pułkownikiem Andersonem.

- Z pułkownikiem Andersonem? - powtórzył głośno Darymple. Wiadomość o tym, że Anderson został pułkownikiem, kazała mu na chwilę zapomnieć o całym świecie. - Z pułkownikiem Andersonem?

- Tak, panie kapitanie, przyjechałem tu porozmawiać z pułkownikiem Andersonem.

- A to o czym? - spytał opryskliwie sierżant Butcher. Widział już wielu samozwańcych oficerów, wszyscy podawali się zawsze za majorów. Żandarm nie bardzo śmie zaczepić majora, a nie jest to aż tak wysoki stopień, żeby przyciągał uwagę.

- Chodzi o bezpieczeństwo armii - odpowiedział Ross i od razu uprzytomnił sobie, że grzecznie odpowiadając Butcherowi potwierdził jego podejrzenia. Służąc w swym poprzednim oddziale widywał wielu takich ludzi. Butcher wykorzystywał swój stopień, żeby dawać szkołę niższym rangą, i uważał, iż tak postępują wszyscy.

- Jesteście aresztowani - oświadczył Butcher. Był to wielki mężczyzna, wykręcił Rossowi ręce do tyłu i założył mu kajdanki, najpierw na jedną, a potem na drugą rękę.

- Proszę obejrzeć moje papiery! - Początkowe przerażenie Rossa zamieniło się we wściekłość, zrozumiał, że wszystko opiera się na nieporozumieniu. Czuł się idiotycznie, do namiotu wchodzili coraz to nowi oficerowie i z rozbawieniem przyglądali się tej dziwacznej scenie.

- Proszę mi zatem wytłumaczyć, czemu w Kairze występował pan jako kapral - zażądał triumfalnym tonem Darymple.

- Panu, kapitanie, niczego nie muszę tłumaczyć.

- No, no, chłopcze. Nie wygłupiaj się. Zaraz się wszystko załatwi. - Butcher wiedział, jak się obchodzić z aresztantami, nie wahał się udzielać im daleko idących obietnic. Wziął Rossa za ramię i próbował wyprowadzić go z namiotu.

- Proszę natychmiast zawiadomić Służby Specjalne - nakazał Butcherowi Ross. - I zdejmijcie mi te kajdanki. Obejrzyjcie moje dokumenty. Mam prawo nosić każdy mundur. Mam prawo nosić dystynkcje każdego oficerskiego stopnia.

- Uspokój się, chłopcze - nakazał Butcher. - Że też wy zawsze musicie coś pleść.

- Darymple, niech pan nie robi z siebie durnia. Jeśli pan natychmiast nie każe temu idiocie, aby mnie zwolnił, postawię pana pod sąd wojenny za uniemożliwienie oficerowi SIB pełnienia jego służbowych obowiązków.

Butcher dla świętego spokoju powiedział:

- Jeśli naprawdę byłbyś z SIB, to miałbyś dokumenty upoważniające do zmiany munduru.

- Dziś mam na sobie mundur majora, którym naprawdę jestem. Nie przebierałem się. Dałem wam moje dokumenty, sierżancie, a wyście do nich nawet nie zajrzeli!

W tym momencie do namiotu wszedł pułkownik Anderson. Przyproceedził go dyżurny sierżant, który doszedł do wniosku, że bezpieczniej będzie zawiadomić dowódcę.

- Co tu się wyprawia? - spytał głośno Anderson tym swoim przewlekłym akcentem z Yorkshire. Kiedy nikt mu nie odpowiedział, zwrócił się do Rossa: - Co się stało, majorze Cutler?

- Kapitan Darymple kazał temu żandarmowi mnie zaaresztować - odpowiedział Ross.

Anderson przez chwilę mierzył wzrokiem Darymple'a. Długo tajone urazy wzięły górę. Oświadczył podkreślając każde słowo:

- Głupi buc. Jest pan nachalnym półgłówkiem. Major Cutler przyjechał tu urzędowo, a obecnie jest moim gościem. Jazda stąd, bo nie wytrzymam i zdzielę pana w łeb.

- Ale ja tego człowieka znam. Jest kapralem - tłumaczył się Darymple, już niezbyt pewnym głosem.

Anderson spojrział na niego tak, jakby zastanawiał się, co właściwie należy z nim zrobić.

- Obejrzał pan jego dokumenty?

- Sądziłem, że zostały sfalszowane - szepnął Darymple wręczając te dokumenty Andersonowi. - Przepraszam, sir. - Spojrział na Cutlera i usiłował powiedzieć: - Przepraszam, panie majorze - słowa te jednak u więzły mu w gardle.

- Niech pan będzie uprzejmy nie pojawiać się w kasynie aż do odwołania. Nie mogę patrzeć na pańską głupią gębę.

Przez ten czas sierżant Butcher zdjął już aresztantowi kajdanki i stanął na baczność. Jego twarz spurpurowiała. Zrozumiał, że wpadł w tarapaty.

Poryta bliznami mopsia twarz Andersona potrafiła wyglądać groźnie. I tak wyglądała teraz, kiedy z gniewem przysunął ją tuż do twarzy Butchera.

- Widzę, Butcher, że muszę wam znaleźć coś do roboty. I znajdę. Będziecie tak zajęci, że nie wystarczy wam czasu na słuchanie plotek i idiotycznych oskarżeń nie popartych

dowodami. Ani na aresztowanie majorów. - Podsunął mu pod nos legitymację Cutlera, po czym oddał ją właścicielowi.

- Tak jest, sir - powiedział Butcher.

- Stawiam was w stan oskarżenia.

- Tak jest, sir.

- Za naruszenie dyscypliny. Bez powodu i bez pozwolenia weszliście do oficerskiego kasyna. Spieprzajcie stąd.

Sierżant Butcher mrugnął oczami i rozejrzał się, czy usłyszał to ktoś niższy rangą. Za stołem kasyna urzędowało dwóch ordynansów i szeroko się uśmiechało. Najdalej za godzinę wszyscy żołnierze dowiedzą się, że Butcher się wygłupił i został obsztorcowany.

- Zjemy lunch w moim namiocie - oświadczył Anderson patrząc, jak znikają Darymple i Butcher. - Może tam będzie trochę spokojniej. - Dał znak ordynansowi i wyszedł razem z Rossem.

- Ten cholerny Darymple! - powiedział Anderson, gdy już znaleźli się w jego namiocie. - Pojawił się tu nagle, nie ma rozkazu podróży i coś baje, że papiery musiały się gdzieś zapodziać.

- Panie pułkowniku, proszę go zbyt surowo nie osądzać. Widywał mnie w mundurze kaprała i pewnie doznał szoku, gdy nieoczekiwanie zobaczył majora.

- A niby co w tym złego, że ktoś jest kapralem? - zapytał Anderson. - Czy sądzi pan, że gdyby Darymple wstąpił do wojska jako szeregowiec, to udałoby mu się dochrapać stopnia kaprała?

Anderson wyraźnie badał teren. Ross nie odpowiedział. Ktoś umyślnie głośno otworzył klapę namiotu - wszedł ordynans Andersona niosąc na tacy duży dzin z tonikiem. Anderson wziął szklanekę i wypił łyk.

- Czego się pan napije, majorze?

- Najchętniej piwa, sir. Anderson dał znak ordynansowi.

- No cóż, jeśli do końca tygodnia nie dostanę papierów, to odeślę tego buca do sztabu. Taak. Teraz proszę mi powiedzieć, co mogę dla pana zrobić.

- Szukam oficera marynarki nazwiskiem Wallingford. - Ross wziął do ręki szklanekę piwa przyniesioną przez ordynansa z kasyna. - Pańskie zdrowie, sir.

- Tak, on się tu czasem pojawia. To jeden z tych gangsterów z Patroli Pustynnych. Co przeszkrobał? - Gdy wypowiadał te słowa, rozległ się huk nisko lecącego samolotu. Anderson nawet nie drgnął. Huk potężniał. Frontowi żołnierze lubili popisywać się brawurą wobec gości z zaplecza.

Ross był długo na froncie, ale miał ochotę szukać schronienia pod stołem. Nie ruszył się jednak i świdrujący uszy huk oddalił się.

- Nasi skrzydlaci przyjaciele - powiedział Anderson i blado się uśmiechnął. - Pilot RAF-u wracał do bazy. Piloci RAF-u lubili „droczyć się” z armią.

Ross powiedział:

- Pewnie pan zauważył, sir, że Hunowie są świetnie poinformowani o naszych planach i ruchach wojsk.

- A to skąd?

- Szczerze mówiąc, nie wiemy. Ale sądzimy, że Wallingford będzie nam mógł pomóc. Istnieje podejrzenie, że jest dezertorem i...

- Naprawdę?

- Tak. Uważamy, że kieruje szajką złodziei.

- Aha, jeden z tych skurwysynów - powiedział z odrazą Anderson. Armia była potwornie okradana. - Tak, był tutaj. Przyjąłem od niego pokwitowania za benzynę i racje żywności. Głupiec ze mnie.

- On umie czarować. Mówi bardzo przekonująco. Spotkałem go kiedyś.

- Jadł z nami w kasynie. Tak. Mówił, że jest kumplem Darymple'a. Z marynarki wojennej, komandor porucznik, DSO.

- Sprawdzamy go. Ten mundur marynarki wojennej to świetny pomysł. Na pustyni nie spotka żandarmów Marynarki Królewskiej. Ani w Kairze. A od Aleksandrii trzyma się z daleka.

- Myśli pan, że to on jest szpiegiem?

- Możliwe.

- Ale nie jest pan tego pewny?

- Zaaresztowaliśmy w Kairze dwóch ludzi. Wallingford przechwalał się przed jednym z nich, że wie, kto jest tym szpiegiem.

- Czy to wystarczy, żeby go zatrzymać?

- Aresztowani prowadzili z Wallingfordem interesy. Jeden z nich złożył zeznanie, że Wallingford handlował ukradzioną bronią. Mamy także dowody, że Wallingford jest zaplątany w morderstwo sierżanta sztabowego w Al Birka, które miało miejsce w styczniu. Mam pokrwawiony banknot z odciskami palców, które najprawdopodobniej są jego odciskami. Jeśli dopadnę Wallingforda, oskarżę go o morderstwo i zobaczę, co się z niego da wycisnąć.

- Myśli pan, że zacznie mówić?

- Już ja go do tego zmuszę.
- Skoro zostanie oskarżony o morderstwo, to gotów milczeć i domagać się sądu.
- Cóż, jeśli powie, co wie, to obiecuję mu pomóc...
- Oszustowi? Dezerterowi?

- Ten szpieg stanowi dla nas piekielne zagrożenie, sir. Gotów byłbym świadczyć na korzyść Adolfa Hitlera, gdybym dzięki temu mógł się dowiedzieć, kto zdradza Rommlowi nasze tajemnice wojskowe.

- Cóż, zrobię dla pana wszystko, co będzie w mojej mocy.

- On się tu prawdopodobnie znów pojawi. Zazwyczaj jedzie na pustynię tą samą drogą, musi tu mieć jakichś zauszników. Zaalarmowaliśmy żandarmerię. Dzięki tym marynarskim epoletom można go stosunkowo łatwo rozpoznać, ale chodzi w mundurze khaki, a jeśli zorientuje się, że go śledzimy, przebierze się i da nogę. Przyleciałem tu samolotem, żeby go wyprzedzić. Chciałbym się trochę rozejrzeć i popytać ludzi. - Spojrzał na Andersona. Jego pozwolenie było czystą formalnością, obaj o tym wiedzieli.

Anderson przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu. Nie zachwycała go myśl, że tajemniczy facet z SIB-u będzie się „rozglądał” i wypytywał jego oficerów. Ale nie miał wyboru.

- Tak, oczywiście. Proszę mi dać znać, jeśli będzie panu czegoś trzeba.

- Dziękuję, sir. Jeśli Wallingford pojawi się tu ze swoją szajką, pańska pomoc stanie mi się niezbędną.

21

- To moja ulubiona pora roku - odezwał się nagle i nieoczekiwanie Wallingford. Prowadził wielką ciężarówkę marki Matador. Podskoczyła na odbryzgach skał, po czym wjechała na wielkie jezioro piasku tak białego i gładkiego jak świeżo wykrochmalony obrus.

Siedzący obok Percy omal nie spadł z siedzenia i coś mruknął. Nielatwo było wprowadzić go w błąd. Podejrzewał, że Wallingford w głębi serca wcale się pustynią nie zachwyca. Że ma jej po uszy. Euforia wywołana przejrzystością powietrza i czarem rozgwieżdżonych nocy szybko ustępuje miejsca znużeniu - wzrok nie ma na czym spocząć. Wciąż ten sam widok, niczym nie urozmaicony. Ani drzewka, ani chaty, ani źdźbła trawy. Umysł człowieka przestaje funkcjonować, człowiek wyłącza się, ostatnio przydarzyło się to chyba Wallingfordowi.

- Ty zaadto lubisz ryzykować - oświadczył Percy, a w jego głosie nie było cienia aprobaty.

- To już nasza ostatnia wyprawa - odpowiedział Wallingford z udanym entuzjazmem.

- Pomyśl o tych aparatach fotograficznych.

- Nie chcę o nich myśleć. - Percy'emu było gorąco, spocił się, marzył o zimnym piwie.

- To pomyśl o forsie! - gniewnie dorzucił Wallingford. - Pomyśl o tym, że staniesz się bogaczem.

- Próbuję. Ale wciąż się obawiam, że mnie przedtem zastrzelą lub aresztują.

- O, nie, nie ciebie, Percy. Ty tak samo jak ja należysz do ludzi, którzy z każdej opresji wychodzą cało.

- Głupio jest podejmować zbędne ryzyko. W naszej sytuacji nie powinniśmy się kręcić na zapleczu frontu, tylko siedzieć w Kairze.

- Dlaczego? - spytał łagodnie Wallingford. Kiedy ktoś sprzeciwiał się jego decyzjom, uważał, że świadczy to o braku odwagi i słabych nerwach danej osoby. Szajka funkcjonowała dzięki jego silnej osobowości. Starał się zawsze natchnąć swoich ludzi optymizmem i entuzjazmem, czasem miał z tym kłopoty.

- Na zapleczu frontu rozstrzeliwuje się dezertersów.

- Nie gadaj głupstw, stary. Brytyjczycy nie rozstrzeliwują dezertersów, tylko ich zamykają.

- To ty gadasz głupstwa.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - Mijali właśnie jedną z ustawionych na tej części pustyni beczek z cementem. Percy spojrzął na rozłożoną na kolanach mapę, odszukał numer widniejący na beczce.

- Wszystko okay. - Nie zbczyli z drogi.

Wkrótce zobaczyli wóz pancerny. Stał za kopcem piasku. Pojechali dobrze wytyczonym szlakiem i ostrożnie zbliżyli się do wozu. Nieprzyjaciel często posługiwał się zdobytymi czołgami, ciężarówkami i wozami. Potem zobaczyli dwie oznakowane ciężarówki. Przyjechały po zapasy, które miały zawieźć na linię frontu. Jeździły nocą. W pobliżu stały namioty zaopatrzenia, ambulanse i prowizoryczne warsztaty. Ruch zamarł, czekano na zachód słońca. Było popołudnie, o tej porze większość żołnierzy śpi. Ktoś prał bieliznę, ktoś pisał listy.

Przejechali przez obóz. Pojazdy stały z dala od siebie, tak jak to powinno wyglądać w dzień, w nocy ruszą zwartą kolumną. Wkrótce znaleźli sztab pułku. Ziemia była ubita i nierówna. Wartownik stał na czołgu, żeby móc ogarnąć wzrokiem całą tę kamienistą równinę.

Wallingford pomachał mu ręką. Wartownik odpowiedział. Taka ciężarówka jak ich nie stanowiła zagrożenia. Niemcy ruszali do ataku czołgami.

Ciężarówka podskakiwała na kamieniach. Wallingford zobaczył kapitana Darymple'a. Stał przed namiotem na skraju obozowiska. Wyglądał jak weteran w wypłowiałej koszuli i obszarpanych spodniach; kiedy podbiegł, zobaczyli, że jest strasznie zdenerwowany.

- Wally! Co się z tobą stało?

- Jestem co do minuty. O co chodzi?

- Mam ci wiele do powiedzenia. - Darymple stał w słońcu, jego koszula pociemniała od potu i przyłgnęła do ciała. Miał mokrą twarz. Do potu przylepił się kurz, jego twarz wyglądała jak z piasku. Wsiadł do kabiny i zatrzasnął drzwiczki. Potem powiedział ostro:

- Jedź dalej traktem. Nie zatrzymuj się.

- Co ty, kpisz? My tu zamierzamy przenocować.

- Nie, Wally. Nie przystawaj. Jedź. Jedź.

- Coś ty, Robbie? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha. Co się stało? Przez chwilę Darymple starał się złapać oddech. Potem powiedział:

- Zobaczyłem ducha, Wally. O to właśnie chodzi, zobaczyłem ducha.

- No, mów wreszcie. - Wallingforda zirytował ten melodramat. Był zmęczony, chciał wypić drinka, pogadać chwilę i iść spać. A tu Darymple robi tajemnicze miny i zaczyna mu wydawać rozkazy.

- Chodzi o tego kapralika Cutlera. Znasz go?

- Chyba tak... Już wiem - ten pianista. Co ten skurwiel zrobił? Chodzi o tę wspianiałą dziewczynę, tak? Zalecałeś się do niej, prawda?

- Przestań, Wally. Słuchaj, co ci mówię. Ten kapralik wcale nie jest kapralem.

- Tylko Napoleonem Bonaparte? Tak?

- Niech cię diabli, słuchaj. Ten kapralik jest majorem. I to majorem Służb Specjalnych, czy jak je zwą. Gestapowiec.

- Przyjechał tutaj?

- No właśnie. Jest teraz z tym bucem Andersonem. Nie uwierzysz, ale Anderson został pułkownikiem. Siedzą sobie i popijają.

- Przestań bredzić. O co właściwie chodzi? Dlaczego mam się tym przejmować?

Darymple z odrazą spojrział na Wallingforda. To dla niego typowe, myśli tylko o sobie.

- Kiedy go zobaczyłem z tymi oficerskimi dystynkcjami, sądziłem, że jest dezertorem czy kimś w tym rodzaju i zaarrestowałem go.

Słowa te powoli dotarły do Wallingforda, powoli odwrócił się w stronę Darymple'a i szeroko uśmiechnął.

- Zaarrestowałeś go?

- Myślałem, że to dezert.

- Zaarrestowałeś go! Zaarrestowałeś majora Biura Śledczego! To ci się udało, Robbie!

- Miałem do tego prawo.

- Oczywiście, oczywiście. - Wallingford roześmiał się i uderzył pięścią w kierownicę.

- On cię poszukuje, Wally - oznajmił Darymple. Nie był wcale o tym przekonany, ale chciał, żeby Wallingford przestał się śmiać.

Wallingford spojrział na Percy'ego.

- Leć, Percy, i sprawdź, co robią nasi. Niech nie wysiadają. Pewnie zaraz pojedziemy dalej.

Percy zrozumiał, że Wallingford chce się go pozbyć. Włożył czapkę i powoli wysiadł z ciężarówki.

Dopiero potem Wallingford spytał:

- Poszukuje mnie? A niby dlaczego?

- Parę razy przeszedłem koło namiotu dowódcy. Słyszałem fragmenty rozmowy. On ma poplamiony krwią banknot egipski z twoimi odciskami palców. Mówił, że jesteś podejrzany o morderstwo.

- Zwariował! - Ale Wallingford zaraz się uspokoił. - Słyszałeś coś więcej?

- On stara się dowiedzieć, kto donosi o wszystkim Rommlowi.

- Ach tak? - Wallingford się zamyślił.

- Tak, tak. To jego główne zadanie. Mówił, że gdyby mu w tym dopomógł sam Hitler, to by go potem zwolnił udzielając tylko lekkiej nagany. - Darymple zorientował się, że niedokładnie słyszał, i dorzucił: - Może nie powiedział tego dosłownie, ale coś w tym rodzaju.

- Zwolniłby samego Hitlera?

- To miał być żart.

- Domyśliłem się tego, Robbie. - Wallingford spędził z twarzy muchy. Darymple bacznie go obserwował, ale nic nie mógł z jego twarzy wyczytać.

- Coś ty znalazł?

Wallingford zajrzał do zewnętrznego lusterka, żeby sprawdzić, gdzie jest Percy.

- Myślisz, Robbie, że gdybym powiedział temu gestapowcowi wszystko, co wiem, to by mnie puścił?

- Ty chyba nie mówisz poważnie?

- Owszem, mówię. Masz papierosa?

- To ty wiesz? - znalazł paczkę Playersów, w której były jeszcze cztery papierosy. - Możesz je sobie zatrzymać.

- Wiem. - Wallingford zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. - Ach, te cholerne muchy!

- Wiesz, kto zdradza Hunom nasze tajemnice wojskowe?

- Tak.

- Jezu! Wiesz to od dawna?

- Nieważne, stary. Służy u mnie oswojony Hun, który był u Rommla w łączności.

- Tym twoim Hunem jest Percy? - Teraz Darymple wykręcił głowę, żeby spojrzeć na Percy'ego, który zbliżał się właśnie do drugiej ciężarówki.

- Sęk w tym, czy ten twój kumpel z SIB zechce ubić ze mną interes.

- A skąd ja mogę wiedzieć?

- Bądź człowiekiem i idź z nim porozmawiać.

- Przecież to niemożliwe, Wally. Mówiłem ci, że go zaaresztowałem.

- Pogadaj z nim. Powiedz mu tylko, że znasz kogoś, kto wie to, czego on chce się dowiedzieć. Ale muszę wyjść z tego czysty jak łza. Upewnij się, że przyjmie moje warunki. Zrobisz to dla mnie, Robbie?

Darymple miał dosyć niepewną minę.

Wallingford powiedział:

- Przecież jak mu na tym tak strasznie zależy, to przyjmie cię z otwartymi ramionami.

- Możliwe. Okay. Pogadam z nim.

- Tylko bez nazwisk. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. To zawsze było naszą dewizą.

- I będzie, Wally. - Wallingfordowi znów udało się go oczarować. Znikły wszystkie urazy. Wallingford znów był gwiazdą szkolnej drużyny krykietowej, a Darymple jego oddanym wielbiciele. - Co teraz zrobisz?

- Pojedziemy w stronę lotnisk. Wiesz, gdzie się kończy kocioł?

- Trzymaj się oznaczonego szlaku. Tam, gdzie piasek staje się miękki, zobaczysz ślady opon. Potem rząd beczek i drogowskaz. Tam urzęduje Bączek. Zajmie się tobą.

- Wyłaż, Robbie. Dzięki, stary, żeś mnie uprzedził. A propos - nie wracaj do Kairu. Stary Mahmud wyznaczył cenę za twoją głowę.

- Co?

- Teraz za długo by o tym mówić. Ale póki jesteś na pustyni, nic ci nie grozi. Załatwię to, ale on się musi przedtem uspokoić.

- Wielki Boże, Wally. Mówisz poważnie?

- Poważnie, stary, i niestety Mahmud też mówi poważnie. Te Egipciuchy wpadają w furję, kiedy ktoś nie zapłaci długu. To nie bank angielski.

- Załatwisz to dla mnie, Wally?

- Najpierw ugadaj tego Sherlocka Holmesa. Jeśli obieca, że spełni moje warunki, przyślij mi wiadomość do Bączka. Okay? - Wallingford dotknął sprzęgła, by pokazać, że bardzo się śpieszy. Darymple wyskoczył z ciężarówki.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał.

- A ja postaram się, żeby Mahmud dał ci spokój. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. - Wallingford wychylił się z szoferki. - Chodź, Percy. Czekam na ciebie - krzyknął i wyrzucił niedopałek papierosa.

Dopiero po jakichś piętnastu kilometrach znaleźli się w przyfrontowej strefie. Jednostka transporterów opancerzonych stanowiła przyczółek najbardziej wysunięty na zachód. Wallingford od razu zobaczył znajomą twarz. Na panczeru pojazdu siedział młody porucznik, wykręcił do góry bosą nogę i próbował obciąć paznokcie. Miał na sobie podartą koszulę, wytłuszczony beret i szorty. Był opalony na ciemny brąz, od paru dni się nie golił. Nazywał się Rodney Benton, ale w szkole tak często puszczał bąki, że go Bąkiem przezwano. Z biegiem czasu z Bąka stał się Bączkiem i niemal zapomniano, skąd się to przyzwisko wzięło.

Wallingfordowi wyprawy na pustynię udawały się dzięki licznym kolegom szkolnym. Jednym z nich był Bączek. Wallingford chwilę siedział nieruchomo starając się przybrać radosny wyraz twarzy. Potem wyciągnął butelkę whisky, zaczął nią wymachiwać i zawołał:

- Hej, Bączku. Jak leci?

Porucznik rozpromienił się, szybko wciągnął długie wełniane skarpetki i poodrapywane zamszowe pustynne buty. Wally umiał zjednywać sobie ludzi. Pogodą, zabawnymi anegdotkami, plotkami z Kaim i niezwykle trafnymi upominkami - przywoził whisky i brandy.

Transportery stały niezbyt blisko siebie i dla kamuflażu były okryte maskującą siatką. Żołnierze z wyjątkiem Bączka także siedzieli pod siatką w cieniu wozów. Był upalny dzień. Większość żołnierzy zdjęła koszule, mieli na sobie tylko szorty i buty. Niektórzy coś zajadali, inni skończyli posiłek, wyciągnęli się i spali.

Bączek powitał nowo przybyłych i zabrał ich do namiotu, w którym stał radiodbiornik. Namiot był niemal całkowicie zagrzebany w piasku, by nie dostrzegły go nieprzyjacielskie samoloty. Trzeba było wpełzać do niego na czworakach. Ale pod namiotem wygrzebano dół i człowiek mógł stanąć swobodnie. Wallingford wyprostował się i stwierdził, że nie tylko on wybrał się na front. W namiocie siedzieli już Harry Wechsler i Chips O'Grady.

- Mamy nowego gościa - oznajmił Bączek. - I przywiózł nam whisky. Harry Wechsler wypucował się i ogolił. Jego koszula była czysta. Wstał ze skrzynki z amunicją i uściśnął dłoń Wallingforda.

- Miło mi pana znów zobaczyć, poruczniku komandorze. Wallingford skłonił głowę, ale zachowywał się tak, jakby spotkał go po raz pierwszy.

- Mamy whisky - powtórzył Bączek. Harry Wechsler uśmiechnął się i zaczął zastanawiać, czy w ten oto dyskretny sposób daje mu się do zrozumienia, że wszyscy goście powinni przywozić dary.

- Pan Wechsler jest korespondentem prasy amerykańskiej - powiedział Bączek. - Pojawił się u nas, gdyż oczekuje ofensywy Rommla.

W tonie Bączka zabrzmiała ironia, Wechsler udał jednak, że tego nie słyszy. Zwrócił się do Wallingforda.

- Ci chłopcy tutaj myślą, że Rommel będzie siedział spokojnie na tyłku, czekając, aż wy będziecie gotowi.

- A pan tak nie uważa? - spytał Wallingford przyglądając się Bączkowi, który nalewał wszystkim whisky. W namiocie było potwornie gorąco, brzęczały nieustannie muchy.

- Sądząc z poprzedniego przedstawienia, Rommel zaatakuje was wcześniej i gdzie indziej, niż tego oczekujecie. Tak było w styczniu pod Al Aghalijja. Zawsze to robił, czemu więc tym razem miałyby być inaczej?

- Niemcy nie są nadludźmi - oświadczył Wallingford spokojnie powtarzając oficjalny punkt widzenia. - Rommlowi po poprzedniej kampanii trzeba czasu, żeby przygotować swoje wojska. Pewnie za jakiś miesiąc, dwa - ruszy, ale do tego czasu, kto wie, czy to nie my rozpoczniemy ofensywę.

- Muszę wracać do moich ludzi - powiedział Bączek, wychylając do dna szklanek whisky. - Słyszę warkot ciężarówek, wcześniej dziś widać przyszedł konwój, musimy rozładować ciężarówki i je odesłać. Podyskutujcie sobie o Rommlu, a gdy dojdziecie do jakichś wniosków, bądźcie uprzejmi mnie zawiadomić. - Uśmiechnął się. - Panie Wechsler, potem wyślemy patrol, jeśli pan sobie życzy rozejrzeć się, będzie pan mile widziany.

- Dziękuję, chłopcze.

- Sądziłem, że korespondentom wojennym przydziela się zawsze oficera - zwrócił się do dziennikarzy Wallingford po wyjściu Bączka.

- Czasem nas spuszczają ze smyczy. Przewodnikowi też się należy chwila odpoczynku. - Wechsler mrugnął. - Chips wie, jak to się załatwia.

- Powodzenia - powiedział Wallingford i wypił łyk whisky. Z aprobatą patrzył na każdego, kto odznaczał się duchem niezależności.

- Pan chyba mnie nie poznaje? - spytał Wechsler. - Poznaliśmy się na przyjęciu u księcia Piotra. Nie pamięta pan?

- Ależ tak. - Wallingford spędził z twarzy muchy. Człowiek niby to się do nich przyzwyczajają, trudno mu jednak znieść, kiedy mu włożą do oczu i do nosa.

- Niełatwo jest zapomnieć faceta w mundurze khaki ze złotymi dystynkcjami oficera marynarki wojennej.

- Rozumiem. Czy pan nadal uważa tę całą wojnę z Rommlem za mało ważny incydent?

- Tak powiedziałem?

- Tłumaczył nam pan, że obecnie najważniejsza jest walka Żydów, którzy próbują stworzyć sobie ojczyznę. I że Żydzi w Palestynie powinni dostać broń.

- Naprawdę to powiedziałem?

- Owszem.

Wechsler roześmiał się i ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył. Zaraz zresztą przestał się śmiać, bo do namiotu wrócił Bączek. Wszyscy się w niego wpatrzyli. Sprawilo mu to przyjemność.

- Pańska kryształowa kula zdała egzamin, panie Wechsler. Wszystko wskazuje na to, że Rommel przystąpił do ataku - zawołał zdyszczonym głosem.

- Coś takiego! - wrzasnął Wechsler. - Wspaniale! - Wyjął z kieszeni ołówek i sprawdził kciukiem, czy jest dobrze zaostrzony.

- Miło mi, że mogłem panu sprawić przyjemność - odparł Bączek i natychmiast dorzucił: - Ale to oznacza, panowie, że muszę was natychmiast odesłać na tyły. Cywile nie powinni być wystawieni na okropieństwa bitwy.

- Czego się dowiedziałeś? - spytał spokojnym tonem Wallingford. - Rozmawiałeś z dowódcą pułku? Co mówią w sztabie dywizji?

Bączek nie odpowiedział i Wallingford oświadczył:

- W końcu to ja jestem tu oficerem najwyższym rangą.

- Jesteśmy na lądzie, nie na morzu, Wally - oznajmił uroczyście Bączek. - Tu rządzi armia i to ja za wszystko odpowiadam. - Zaznaczywszy swoje stanowisko przybrał łagodniejszy ton. - Okazało się, że to wcale nie przybył nowy konwój. Wróciły ciężarówki, które odprawiliśmy dziś rano. Ostrzelano je. Zaatakowały je czołgi niemieckie albo artyleria polowa. Chłopcy nie czekali, żeby się dowiedzieć, kto. Straciliśmy jedną cysternę.

- Konwój jechał pewnie na wschód? Może zostały ostrzelane przez pomyłkę? Wasi ludzie wzięli je za nieprzyjaciela... - zaczął zastanawiać się Wechsler.

- Wie pan, panie Wechsler, musielibyśmy chyba oszaleć, żeby ostrzeliwać własny konwój na głębokim zapleczu frontu.

- Zdarzało się - mruknął Wechsler.

- Możliwe, ale tym razem skłonny jestem uwierzyć temu, co mówi dowódca konwoju. Na naszych tyłach znajdują się Niemcy lub Włosi. Ofensywa Rommla musiała się zacząć wczoraj w nocy.

- To stało się na wschodzie? - spytał Wallingford. - Niemożliwe. Przecież wzdłuż linii frontu aż do Bir Hakim znajdują się pola minowe.

- Cieszyłbym się, gdybyś miał rację - powiedział Bączek.

- Musieliby zrobić setki kilometrów na południe i dopiero potem ruszyć na północ - ciągnął Wallingford nachylając się nad mapą, którą rozłożył na podłodze Wechsler.

- Dobry Boże! - westchnął Wechsler uprzytomniwszy sobie, o jakie odległości chodzi i jak szybko porusza się armia Rommla. - Poprzednim razem Rommel też zaatakował od południa. Zajął Msus i zmusił do ucieczki waszą brygadę pancerną.

Bączek nie patrzył na mapę.

- Nie udaje mi się złapać nikogo radiofalówką. A telefon polowy nie działa już od tygodnia.

- No, więc co zamierzasz zrobić, Bączku? - spytał Wallingford. - Spróbujesz wrócić do pułku?

- Mamy za dużo nieopancerzonych pojazdów, żeby próbować się przebić. Gdyby tu nie było pana Wechslera, zostawiłbym wszystkie ciężarówki. Ale nie mogę zostawić tu ani jego, ani ciebie, Wally.

- My sobie jakoś poradzimy - powiedział Wallingford. - Ruszymy po zapadnięciu zmroku i jakoś prześlizgniemy się koło Hunów.

- My też, stary - wtrącił się Wechsler. - Będę miał o czym pisać. Prawda, Chips?

- Tak, na pewno uda nam się przejechać - potwierdził Chips. Bączek kolejno im się przyjrzał.

Znów zabrał głos Wallingford.

- Jeśli może ci to ułatwić sytuację, Bączku, przyjmę pełną odpowiedzialność za los pana Wechslera i pana O'Grady. Władzcie do tych waszych puszek od sardynek i zadajcie Hunom bobu. My zaś poczekamy do zmroku. A potem cichutko ruszymy traktem. Nie martw się, nic się nam nie stanie.

Bączek chwilę im się przyglądał i wolno pokręcił głową.

- Nie. Lepiej będzie, gdy zostanieie z nami. Zostawimy tu ciężarówki konwoju i wszystko to, co nie jest nam absolutnie niezbędne. Kiedy się ściemni, uformujemy kolumnę tak, żeby w środku były trzy ciężarówki. Jeśli nas zobaczą, my ruszymy do ataku, a ciężarówki będą próbowały uciec.

Wallingford zrozumiał, że Bączek zdecydował się na to jeszcze przed powrotem do namiotu.

Znów wtrącił się Wechsler.

- Mój wóz ma wzmocnione nadwozie. Myślę, że jest duża szansa, że przejdziemy bez ochrony pana wozów pancernych.

- Nie mogę się na to zgodzić, to za duże ryzyko.

- Widząc, że łagodną perswazją nic nie osiągnie, Wechsler rozgniewał się.

- Nie ma najmniejszego powodu, żeby nas pan porucznik eskortował. Chyba że się pan boi, że opieprzą pana za to zwierzchnicy.

- Możliwe - odpowiedział chłodno Bączek. Zachęcony Wechsler perorował dalej.

- Przecież powinien pan wiedzieć, że samym będzie nam się łatwiej przemknąć. A w dodatku jeśli chłopaki Rommla zaczną was ostrzeliwać, to pańskie wozy pancerne mają szansę, a my nie.

- Możemy tak dyskutować cały dzień - oświadczył Bączek - nie zmieni to jednak faktu, że decyzję muszę podjąć ja. Panowie są cywilami, a komandor porucznik Wallingford nie jest oficerem armii. Ja za was odpowiadam. Wyruszymy o zachodzie słońca, panowie

będą uprzejmi się przygotować. Muszę mieć miejsce dla moich ludzi, więc mogą panowie zabrać ze sobą tylko aparat fotograficzny i maszynę do pisania.

- Moi chłopcy są głodni - nie dawał za wygraną Wallingford.

- Powiedz im, żeby się zaopatrzyli w kuchni. Ale nic nie wolno gotować. Żadnych ognisk.

Z oddali dobiegał głuchy pomruk. Wypełzli z namiotu, żeby mu się przysłuchać.

- To na wschodzie - stwierdził Wallingford.

Nikt się nie odezwał. Jeśli ktoś miał jeszcze nadzieję, że konwój został zaatakowany przez jakiś pojedynczy patrol - mógł się w tym momencie z nią pożegnać. Na wschodzie toczyła się regularna bitwa.

W ciągu ostatnich paru dni Bączek i jego ludzie nie widywali nieprzyjacielskich samolotów. Teraz na błękitnym niebie pojawiły się dwa myśliwce mknące w kierunku frontu.

- Przyda mi się jeszcze jedna whisky - oznajmił Wechsler patrząc na samolot. - Nieprędko się znów napijemy.

- Co oni robią z pojmanymi korespondentami wojennymi? - spytał układnym tonem Wallingford.

- Z korespondentami Żydami, tak? - Wechsler otworzył butelkę. - Jak się dowiem, to przyślę panu widokówkę.

Wallingford uśmiechnął się. Przyszło mu nagle na myśl, że jeśli dojdzie do konfrontacji z władzami, to przyjaźń z Wechslerem może się okazać bezcennym atutem.

- Niech pan się mnie trzyma, a nic się panu nie stanie. Jeden z moich ludzi mówi świetnie po niemiecku. Po ciemku uda nam się zablefować.

Bączek wysłał już dwa wozy na rekonesans. Modlili się, żeby zwiadowcze samoloty Luftwaffe były bardzo zajęte gdzie indziej, i ta modlitwa została wysłuchana.

Konwój Bączka był gotów jeszcze przed zachodem słońca. Wyruszyli wcześniej, żeby kierowcy mogli odnaleźć oznakowany szlak, nim zrobi się całkiem ciemno, jechali bez świateł, Bączek zabronił palić. Była to żmudna podróż. Tylko paru weteranów umiało kierować się gwiazdami. Pojazdy jechały w znacznej odległości od siebie.

Harry Wechsler siedział w swoim Fordzie obok kierowcy - O'Grady'ego. Z tyłu ulokowano dziewięciu żołnierzy z pozostawionych ciężarówek. Wechsler musiał rozstać się ze swoim cennym ekwipunkiem. Wyklócał się i lamentował, ale Bączek pozostał nieugięty. Obiecał tylko, że jeśli uda się odeprzeć niemieckie natarcie, wróca, by go zabrać.

Bączek jechał na czele konwoju w swoim wozie pancernym zwanym Ping-Pongiem i po jakiejś półtorej godzinie zarządził krótki postój, żeby się rozejrzeć i spojrzeć na kompas. Pustynne powietrze wydało się chłodne po gorącym zaduchu we wnętrzu wozu.

Stanąwszy na piasku Bączek od razu zorientował się, gdzie są. Zawsze tak było. Jeśli wystawiał tylko z wozu głowę - myślał, że zabłądził. Ale kiedy z niego wysiadał, problemy znikwały jak rozlana na piasku woda.

Patrzył przez lornetkę. Teren obniżał się. Bączek widział wytyczony szlak. Codziennie przejeżdżały tędy ciężarówki, pozostały ślady opon. O jakieś sto metrów dalej stała oznaczona beczka, nie musiał zaglądać do mapy, żeby wiedzieć, gdzie jest. Beczkę ochlapał farbą żołnierz, który malował na niej cyfry. Plama ta wyglądała jak lecąca mewa, a przynajmniej tak się wydawało Bączkowi, który natychmiast ją rozpoznał. Trzeba było stąd przejechać przez rodzaj przełęczy, a potem w dół po kamienistym gruncie. A tam czekało ich serdeczne powitanie, ciepła strawa i herbata. Sztab pułku był dla niego domem. To tam zostawił zbędny bagaż i ukochany skarb - cztery książki, związany starannie pakiet listów i pakiet starych gazet z kraju. Kto wie, może czeka na niego poczta?

Bączek dał sygnał do odjazdu - przodem puścił wozy pancerne. Wyglądało na to, że droga jest wolna, lepiej było jednak trzymać się regulaminu. Przodem wozy pancerne, nieopancerzone pod ich osłoną. Dalej - za kolumną Bączka, jak to określił jeden z sierżantów, jechały dwie ciężarówki Wallingforda, a za nimi ostatni transporter opancerzony z najlepszą załogą.

Bączek cieszył się z obecności Wallingforda, umyślnie umieścił go na tyłach konwoju. Wallingford miał duże doświadczenie i zawsze znajdował przekorną przyjemność w przedzieraniu się przez ziemię niczyją. Lubił stawiać czoło niebezpieczeństwu, ale jak wszyscy ludzie tego pokroju, miał się zawsze na baczności. Na końcu konwoju przyda się człowiek wyszkolony i czujny. We Francji, w 1940 roku, obie strony zaczynały atak od czoła konwoju. Na wąskich drogach północnej Europy robił się korek i kolejno niszczone pojazdy nieprzyjaciela. Inaczej walczyło się na pustyni. Tu ostrzeliwano najpierw ostatni pojazd, mając nadzieję, że uda się zlikwidować kilka, nim zauważy to dowódca.

Bączek pomachał ręką, gdy mijała go furgonetka Wechslera. Za Fordem jechał następny wóz pancerny, Pieski-Niebieski. Jego dowódcą był kapral. Zasalutował Bączkowi, wyglądało to jednak tak, jakby skinął mu ręką.

Bączek poklepał swój wóz, dając w ten sposób znać kierowcy, że zaraz ruszą, wdrapał się na górę i wśliznął do środka. Otworzyła się szczelina w chmurze, wyjrzał księżyc. Zaczęli

zjeżdżać w dół. Trakt był wyraźny; chociaż grunt był tu skalisty, pokrywała go jednak warstewka piachu, na którym widniały ślady opon.

Bączek obserwował mijający go konwój. Wyglądał jak karawana uciekinierów. Pod warstwą tłumoków trudno było rozpoznać wozy pancerne. Żołnierze starali się zabrać możliwie dużo rzeczy, nie chcąc pozostawiać ich Niemcom.

W wielkiej ciężarówce Bączek zobaczył Wallingforda, który obdarzył go szerokim uśmiechem. Bączek pomachał mu, wziął do ręki mikrofon i kazał kierowcy ruszyć.

- Naprzód, Jo-jo!

Nie rozumiał Wallingforda. Wally po uszy tkwił w wojnie. Nigdy słowem nie wspomniał o tym, co będzie po powrocie do domu. Nigdy słowa o rodzinie ani na temat Anglii w ogóle. Nie mówił o swojej służbie w marynarce, o swym awansie ani o pustynnych patrolach. Nie opowiadał o pijatykach i kobietach. Stał się dla Bączka kimś absolutnie obcym.

Wóz Bączka kolejno wymijał pojazdy konwoju. Przez cały czas Bączek obserwował horyzont, wodził po nim oczyma, tak jak uczono go na kursie szkoleniowym. Ale intuicyjnie i tak wiedział, że na tym wąskim pasie pustyni, który oddziela ich od pułkowego domu, nie czai się wróg.

Księżyc znów zniknął za chmurami. Kierowca Bączka jechał ostrożnie. Kiedy przydzielono go Bączkowi, uchodził za najlepszego w pułku. Teraz pojawiło się w pułku wielu innych doświadczonych kierowców z rozbitych jednostek, Bączek jednak polubił starszego szeregowego Yeomansa. Jo-jo był obowiązkowy i, jak głosiła fama, bardzo odważny. Yeomans tak jak Bączek podejmował każde ryzyko, jeśli było konieczne, nie miał wszakże ambicji zdobycia medalu za odwagę, zwłaszcza jeśli miałyby to być odznaczenie pośmiertne. Dziś też jechał uważnie i powoli.

Kiedy wóz zbliżał się do czoła kolumny, Bączek wysunął z wieżyczki głowę i z zachwytem przyglądał się Fordowi Wechslera. Chciałby mieć takie auto. Jechało cichutko, płynnie i bez wysiłku, choć dodatkowo włączono do niego dziewięciu ludzi.

Nagle nastąpiła katastrofa. Ford stanął w płomieniach, zrobiło się jasno. Bączek poczuł na twarzy gorący powiew, cofnął się. Leciały odłamki. A dopiero po chwili w głowie zahuczał mu wybuch.

Wóz jadący za furgonetką Wechslera skręcił, by uciec przed tumanem dymu. Siła wybuchu wyrzuciła z furgonetki ludzi, ciała ich - płonąc - toczyły się po piasku.

Trzeba było natychmiast powziąć decyzję, czy należy jechać dalej i narazić konwój na dalsze straty. Taka decyzja nie była łatwa, ale Bączek zareagował automatycznie.

- Naprzód! Naprzód!

Kiedy rozwiął się dym, zobaczyli pokiereszowany kadłub furgonetki. Mogła oczywiście paść ofiarą pocisku, wszyscy jednak spędzili już wiele miesięcy na froncie i wiedzieli, że wjechała na minę. Była to mina Tellera - duży stalowy talerz z zapłonem umieszczonym pod górną tarczą dociskową. Myny te były tak skonstruowane, że nie wybuchały, gdy ktoś na nie wszedł czy nawet wjechał motocyklem. Wybuchały dopiero wówczas, gdy było warto - reagowały na ciężar.

Niemcy umieścili te miny wzdłuż szlaku, mniej więcej co cztery metry. A potem jakiś cwany niemiecki inżynier przetoczył po nich oponę brytyjskiej ciężarówki. Był to stary trik i jak większość starych trików bardzo skuteczny.

Bączek wyskoczył ze swego wozu pancernego i podbiegł do płonącego wraku. Wybuch nastąpił pod przednim kołem. Siedzący z tyłu żołnierze wylecieli. Jakimś cudem większość żyła. W ciemnościach niełatwo było ich odszukać. Wszyscy byli strasznie poparzeni, mundury zamieniły się w popalone szmaty. Trzech siedziało obejmując kolana i jęcząc. Dwóch stało nad nimi, powykręcane ramiona, złamane ręce. Wszyscy byli w szoku po tych paru minutach piekła, które zdawały się trwać całe życie.

Bączek podbiegł do furgonetki. Płomienie wygasły, kadłub był rozpalony. Z wnętrza buchał mdły smród tłącej się gumy. Dwaj mężczyźni siedzący na przednim siedzeniu nie mogli ocaleć. O'Grady miał szczęście, nie żył. Wechslerowi wbiła się w brzuch kierownica. Jęczał.

- Zaraz pana wydostaniemy - oświadczył Bączek. Wiedział, że to niemożliwe, obaj korespondenci byli uwięzieni w gmatwaninie powyginanego żelastwa. - Minutka!

Wechsler go chyba usłyszał. Jego ręka drgnęła. Znow jęknął. Pojawił się kapral-sanitariusz i Bączek się odsunął. Sanitariuszem był kanonier jednego z wozów pancernych. Przed wojną pracował w psiarni, nie miał przeszkolenia medycznego, ale to on właśnie udzielał rannym pierwszej pomocy. Grzebiąc w przewieszanej przez ramię torbie spojrzał na O'Grady'ego. Jedno spojrzenie wystarczyło, by skonstatować śmierć. Wbił strzykawkę z morfiną w ramię Wechslera. Potem spojrzał na Bączka i bezradnie wzruszył ramionami.

- Wracajcie do wozu, kapralu - rozkazał Bączek.

- Już odjechał, sir.

- To włączcie do mojego wozu. Mamy już niedaleko.

- Jeśli pan porucznik pozwoli, to zostanę z rannymi.

Bączek zawahał się. Oznaczało to, że jeden z wozów pancernych pozbawiony będzie kanoniera. Ale rannym należała się pomoc.

- Okay. Przyślę po was jeszcze przed świtem.

- Tak jest, sir.

Bączek skinął głową. Kanonier ryzykował życie, a zachowywał się tak, jakby miał po prostu zaczekać na następny autobus. Bączek często zastanawiał się, czy jego ludzie zdają sobie sprawę, co im zagraża. Ale tym razem sanitariusz widział to na własne oczy.

- Dzielny człowiek - powiedział Bączek. W takich chwilach ścisnęło go w gardle z poczucia winy. Nie wiedział, jak długo potrafi sobie z tym uczuciem radzić. Wspiął się na swój wóz i starał się przestać o tym myśleć. Rozejrzał się i zobaczył Wallingforda.

- To nie twoja wina, Bączku - powiedział Wallingford. Niesamowita historia, Wally zawsze potrafił czytać w jego myślach. Czyżby aż tak nie umiał ukryć swoich uczuć?

- Owszem, moja. Spójrz na te ślady opon. Są zbyt świeże. Ci cholerni Hunowie przetoczyli między minami brytyjską oponę. Powinienem był to zauważyć.

- Nie mogłeś wiedzieć. Hunowie zresztą, z bliżej nie znanych powodów, często jeżdżą na brytyjskich oponach.

Bączek odpowiedział mu machinalnie, tak jak odpowiadał na pytania swoich żołnierzy.

- Podwójne opony ich Opli oblepiają się piaskiem. Opony brytyjskie lepiej nadają się na pustynię. - Wsiadł do wozu i wziął do ręki mikrofon.

- Człowiek się co dzień czegoś uczy - powiedział Wallingford z udaną beztroską. Wally, tak samo jak Bączek, potraktował śmierć Wechslera i O'Grady'ego jako zły omen.

- Ruszamy, Jo-jo - rozkazał spokojnym głosem Bączek. Jeszcze raz odwrócił się, by ocenić poniesione straty. Sanitariusz krzątał się wokół rannych. Bączek dorzucił: - Naciskaj z całej siły na gaz, Jo-jo. Musimy przyjechać na czele konwoju. I jak najszybciej wysłać tu ambulans.

Kierowca skwitował rozkaz naciśnięciem brzęczyka interkomu służącego do przekazywania rozkazów. Ruszyli i jechali w szybkim tempie, podróż ta jednak zdawała się trwać wiele godzin. Niebo na wschodzie zaczęło mienić się fioletem zwiastującym świt, zobaczyli posterunki i czołgi.

- „Dom, ukochany dom” - zacytował Jo-jo. Wóz Bączka jechał już na czele kolumny, pojazdy ustawiły się w paradnym szyku. Wokół panował spokój, wszystko wyglądało normalnie. Z namiotów wyszło paru żołnierzy. Ale jakoś dziwnie się poruszali, nie była to normalna aktywność pułku przygotowującego się do porannego apelu.

Bączek zlął z wieżyczki i rozejrzał się. Pułk został zdziesiątkowany. Wozy pancerne i czołgi tylko z daleka wydawały się nie tknięte, w rzeczywistości pozostały z nich wraki.

- Jezu - westchnął Bączek. - Hunowie dali nam w kość. - Przypomniały mu się sceny z westernów, Indianie zdobyli fort i oskalpowali jego obrońców.

Do kolumny podchodziło coraz więcej żołnierzy. Nie, nie było aż tak źle. Zginęło stosunkowo niewielu ludzi, utracono jednak dużo czołgów. I poszły z dymem składy amunicji.

Żołnierze chwiejąc się na nogach wychodzili ze swoich schronów, wciąż jeszcze ogłuszeni hukami dział. Pułkownik Andy Anderson w brudnym i obszarpanym mundurze niecierpliwie odciągnął Bączka na bok i wysłuchał jego meldunku. Anderson lubił się popisywać: natychmiast kazał własnemu kierowcy, by wskoczył do Matadora i jechał po rannych.

Zdenerwowany Wallingford rozejrzył się. Zobaczył wóz pancerny Darymple'a, „Beryl”. Wóz przeżył natarcie, a nawet dał się we znaki wrogom.

- Jak to się stało, Robbie?

Darymple uśmiechnął się. Przeżył bitwę, o której tak marzył, siedząc za biurkiem w Kairze.

- Hunowie zaatakowali nas od wschodu, nikt się tego nie spodziewał. Zjawili się tu, nim nasze czołgi zdążyły ruszyć. Strzelali do nas jak do kaczek. Prawdziwa masakra. Czuliśmy się tak, jak byśmy się znaleźli naprzeciwko plutonu egzekucyjnego. Bang! Bang! Moja „Beryl” pokazała im, co potrafi. Trwało to jakąś godzinę, a potem ich dywizja pancerna ruszyła na północny wschód. Ale tu także kręci się pełno Hunów. Piechota i działka przeciwczołgowe. Mają nas w pułapce. Straciliśmy kontakt z brygadą. Radiofalówka nie działa, kończy nam się woda, amunicji mamy tyle, co kot napłakał. Ostatnie trzy godziny oczyszczaliśmy teren i chowaliśmy poległych. - Spojrzył na zegarek. - Muszę dopilnować, żeby moi ludzie coś zjedli.

Z kuchni przybyło dwóch ordynansów z wielkim wiadrem słodkiej gorącej herbaty.

- Uwaga! - krzyknął Anderson. Wlaż na skrzynię z amunicją, żeby wszyscy go widzieli. - Proszę szybko wypić herbatę i nie marnować czasu. Za pięć minut każdy ma się zameldować w swojej jednostce.

Zwrócił się do Wallingforda i jego ludzi.

- Wy tam z tych Pustynnych Patroli, proszę do mnie! Wiem o was wszystko! Jesteście dezertkami i bandą złodziei. Zdradziliście swoich kolegów, zdradziliście swoje rodziny, zdradziliście kraj. Śmierdzące gnojki!

Usłyszawszy to niezbyt zachęcające powitanie, paru żołnierzy chciało się wycofać, otaczali ich jednak pułkowi żandarmi z karabinami naszykowanymi do strzału.

- Ale macie szczęście. Możecie okupić swoją zdradę. Oczekujemy następnych ataków Hunów. Więc potrzeba mi ludzi, choćby to były takie szumowiny jak wy. Koło mnie stoi kapelan. Zanotuje wasze nazwiska, numery, stopnie wojskowe i nazwy jednostek. Ale żebyście nie śmieli marnować jego czasu jakimiś wymyślonymi bajdami. Wbijcie sobie do głowy - żadnych bzdur! Podacie mu prawdziwe dane i zbrojmistrz wyda wam karabiny. Każdemu z was wyznaczy się posterunek. Kto z niego zejdzie choćby o krok, dostanie kulkę w łeb.

Ludzie Wallingforda przyjęli te słowa z mieszanymi uczuciami. Część oburzyła się, część przeraziła, kilku poczuło ulgę.

- Czy to rozkaz, sir? - zwrócił się do Wallingforda Mogg. Wallingford nie zdążył odpowiedzieć, Anderson nie dopuścił go do słowa.

- I natychmiast macie zdjąć z mundurów naszywki Pustynnych Patroli. Ten wasz cholerny Wallingford nie będzie wam dłużej rozkazywał. To oszust i dezterter taki sam jak wy. Zabieram go na przesłuchanie. No, udawajcie, że jesteście prawdziwymi żołnierzami i zameldujcie się naszemu padre.

Zaczęli się ustawiać w szeregu, a Sandy Powell zawołał:

- Czy pan pułkownik się za nami wstawi? - Wszyscy zaczęli nad słuchiwać.

Anderson spojrział z oburzeniem.

- Kiedy naprawimy krótkofalówkę i nawiążemy kontakt ze sztabem armii, zamelduję, że wziąłem do pułku kilkunastu dezterterów. Podam wasze nazwiska, żeby kiedyś wasze rodziny dowiedziały się, że walczyliście tutaj u boku prawdziwych żołnierzów. Będziecie się bronić do ostatka. Jedno mogę wam, skurwysyny, obiecać. Chrześcijański pochówek.

Ross obserwował Wallingforda od chwili, gdy on się tu pojawił. Wyobrażał sobie, że pierwszymi słowami Wallingforda będzie: „Myślę, majorze, że uda nam się dogadać”. Ale Wallingford go zaskoczył.

- Jeden z moich ludzi wie to, czego pan próbuje się dowiedzieć - myślę o szpiegu Rommla. Ale bez mojej pomocy nic się panu z niego nie da wycisnąć. - Zaciągnął się papierosem.

- Długo trwało, nim zdecydował się pan wypełnić swój patriotyczny obowiązek - oświadczył oschle Ross.

- Lepiej, żeby to ja z nim pogadał. Wiem, jak się z nim obchodzić. Nazywa się Percy. Jest niemieckim dezterterem. Był szyfrantem u Rommla. Zna te raporty, które Rommel otrzymywał z Kairu.

- Głupiś, Wallingford. Wiesz, co było twoim największym błędem? Ten order DSO. W kartotece Marynarki mogło się zapodziać twoje nazwisko, ale nie na liście odznaczonych. Więc wystarczyło pół godziny, żeby upewnić się, że jesteś szalbierzem.

- Mogę...

- Idź po karabin i postaraj się zachować jak mężczyzna. Nie potrzeba mi twojej pomocy. Sam zajmę się tym twoim kumplem, Percy'm.

Jimmy Ross bez trudu odszukał Percy'ego. Stał w kolejce po karabiny. Ross podszedł do niego i schwycił go za gardło.

- No, pogadamy.

Ale Percy zorientował się, co go czeka. Był na ten moment przygotowany. Wyrwał się i kantem dłoni zdzielił Rossa w twarz. Potem zaczął biec. Z początku mogło się wydawać, że biegnie w kierunku namiotu, gdzie mieściło się dowództwo, skręcił jednak w stronę niemieckich linii i zaczął się wdrapywać na wydmy. Był to miękki, sypki piasek. Percy ześlizgiwał się, osunął się więc na czworaki i zaczął włączyć jak pająk. Obejrzał się i zobaczył, że Ross go dogania.

Na górze wyprostował się. Choć księżyc jasno świecił, Percy nie okazywał strachu. Jakby wierzył, że nie grożą mu strzały ziomków. Pobiegł grzbietem wydmy, Niemcy musieli go widzieć. Ross ruszył za nim. Ale zaraz zmienił kierunek, co prawda w ten sposób jeszcze bardziej wystawiał się na kule Niemców, miał za to szanse przeciąć Percy'emu drogę.

Przeskoczył przez grzbiet wydmy i omal nie upadł. Zaszczekał karabin maszynowy. Kule świstały tuż koło niego, zaczął się turlać po zboczu. Przed nim była kamienna przełęcz, za nią Percy. Wskoczył na nią i pobiegł wśród odbryzgów kamieni..

Wzdłuż przełęczcy znajdowała się szeroka rozpadlina. Upadł plackiem i przez chwilę czuł się bezpieczny. Zaczął się czołgać leżąc na brzuchu. Rozpadlina skończyła się, znów go zauważono, ostatnich parę metrów przebiegł pod ostrzałem.

Zobaczył Percy'ego - biegł on teraz po miękkim piasku. Niemcy przestali strzelać, przyglądali się, co się dzieje. Percy'emu pękały płuca, znalazł się koło opuszczonego działka. Stąd dobrze było widać niemieckie pozycje. Najbliższe znajdowały się o jakieś czterysta metrów, po drodze leżeli ludzie z powykręcanyimi członkami, wyglądali jak szmaciane lalki. Byli to polegli żołnierze brytyjscy powyrzucani z okopów, które zajęli nowi właściciele.

Percy znów zaczął biec, teraz jednak trochę wolniej. Każdy oddech rozrywał mu płuca. Potknął się, upadł, wstał, widać było, że każdy krok sprawia mu ból. Ross też znalazł się na tej połaci piasku i trudno mu było biec. Zapadał się po kostki w piachu, czuł się jak mucha próbująca oderwać się od lepu.

Paru Niemców wstało. Jeden z nich wdrapał się na szczyt wydmy i przyłożył do oczu lornetkę. Jakiś snajper zaczął strzelać. Ross rzucił się na ziemię, tak samo postąpił Percy. Potem obaj się podnieśli, Percy poruszał się jednak z większym trudem.

Nim Ross dogonił Percy'ego, padło pomiędzy nich kilka strzałów. Ross rzucił się na uciekiniera, wyrznął go ramieniem, przewrócił i sam na niego upadł. Przekoziółkowali po zboczu w tumanach kurzu. Kiedy zatrzymali się, Ross był górą. Znaleźli się w jamie, tu ich nie było widać. Ross z całych sił wyrznął Percy'ego i ten znieruchomiał.

Ross usiadł na nim i zawołał:

- Przysięgam, że cię zabiję!... - Umilkł, próbował złapać oddech. - Masz mi zaraz opowiedzieć, skąd pochodziły te meldunki!

Nie otrzymał odpowiedzi.

- Słyszysz mnie, Percy? - Spoliczkował go. Percy miał zamknięte oczy. Mruknął coś, nie wiadomo było, czy ten pomruk ma oznaczać: tak. Strzelanina umilkła, usłyszeli warkot zapuszczanego silnika. Niemcy wysyłali kogoś na zwiady.

Ross przewrócił Percy'ego na brzuch i pchnął jego głowę tak, że zanurzyła się w piasku.

- Gadaj, do cholery, Percy. Bo zobaczysz! Albo mówisz, albo... - Uderzył go w głowę.

Percy nie mógł oddychać. Bliski był uduszenia, wreszcie udało mu się wykręcić głowę. Wypłuł piasek.

- Puść mnie. Wszystko ci powiem.

Ross oswobodził jedną rękę Percy'ego. Percy roztarł gardło i pokręcił głową, jakby próbował w ten sposób zebrać myśli.

Znów usłyszeli strzały. Ale tutaj Niemcy nie mogli ich zobaczyć. Strzały przeszły nad ich głowami, trafiły w skałki. Niemcy poczuli się zaalarmowani, obawiali się, czy nie zaczyna się kontratak. Ross zsunął się z pleców ofiary, obok wyrznięto sześć pocisków, wybuchały kolejno, unosiły się wysokie kolumny dymu, w piasku pojawiały się głębokie kratery. Ross poczuł zapach kordytu. Na północy rozpoczęła się artyleryjska kanonada.

Usłyszeli warkot motoru. Ross spojrzął na Percy'ego, a Percy uśmiechnął się szeroko. Okazało się jednak, że to nie jest niemiecki czołg, lecz „Beryl”.

- Wóz pancerny będzie nas osłaniał - powiedział Ross. Pierwsze światło świtu rzucało długie cienie na pustynny krajobraz wydmy. - Wdrapiemy się z powrotem na wydmy i stamtąd wrócimy na pozycje brytyjskie. Czołgaj się obok mnie tuż koło wozu. I nie próbuj żadnych sztuczek.

- Powtórz! - nakazał Ross.

Siedzieli w cieniu rozbitego czołgu. Było późne popołudnie, wciąż jeszcze nie nastąpiło niemieckie natarcie. Parokrotnie myśleli, że za chwilę nastąpi, ale za każdym razem był to fałszywy alarm, Niemcy starali się im działać na nerwy.

- Ile lat byłeś w łączności? - zapytał jeszcze raz Percy'ego. Sprawdzał w ten sposób wiarygodność jego opowieści. Nauczył się już prowadzić przesłuchanie. Właściwie było to bardzo podobne do przesłuchiwanie aktora, który ubiega się o rolę. Tyle, że chyba łatwiejsze, bo nikt nie potrafi kłamać tak przekonywająco, jak aktor.

- Cały czas. Studiowałem elektrykę w berlińskiej Technische Hochschule. Dostałem od razu stopień porucznika i przydzielono mnie do Laufu, do stacji namiarowej.

- Dobrze. Tego możesz nie powtarzać. - Zajrzał do swoich notatek. - Nadchodziły zatem depesze, i co dalej?

- Rozszyfrowywali je specjaliści.

- Jak długo trwało rozszyfrowanie takiej wiadomości?

- Krótkiej niecałą godzinę.

- I wtedy przesyłaliście ją do Trypolisu?

- Nie. Już przecież mówiłem. Przekładał ją na niemiecki ktoś, kto znał brytyjską terminologię wojskową. A potem formułowano to zupełnie inaczej, by zakamuflować źródło, z którego ta informacja pochodziła.

- Niemniej Trypolis otrzymywał te wiadomości w ciągu kilku godzin?

- Trwało to około trzech godzin. Rozmaicie. Z czarnym kodem nie mieliśmy kłopotów.

- Opowiedz o tym czarnym kodzie - Ross podał Percy'emu papierosy i zapalki.

Percy zapalił.

- Czarny kod to kod amerykański. Amerykanie nazwali go tak, bo ich książki z szyfrem były w czarnej oprawie. - Percy oparł się o czołg i zaciągnął papierosem. - Te książki wykradł w Rzymie amerykańskiemu attache wojskowemu agent z Servizio Informazioni Militare. A SIM nam je przekazało.

- Nam?

- Abwehrze.

- Mówiłeś, że nie byłeś w Abwehrze.

- Byłem w oddziale łączności przydzielonym do Abwehry.

- Kiedy dostaliście ten kod?

- W zeszłym roku w lecie. W sierpniu lub we wrześniu.

- I od początku były to takie cenne informacje?

- Tak. Dotyczyły dostaw broni, dat konwojów morskich, planów strategicznych i morale armii. Rommel dowiadywał się o wszystkim, co mogło być dla niego ważne. Wspaniały materiał.

- Na to rzeczywiście wygląda.

- Czasem informacje były bardzo szczegółowe. Kiedy Brytyjczycy planują następne natarcie, jakie zadanie otrzyma taka a taka jednostka. I komentarze dotyczące wyszkolenia brytyjskiej armii i panujących w niej nastrojów.

- A po przyjeździe do Afryki przydzielono cię też do jednostki radiowej?

- Byłem zastępcą sztabowego oficera łączności Rommla. Zasadniczo w Trypolisie, ale Rommel nigdy nie mógł usiedzieć w miejscu i wszędzie nas ze sobą zabierał.

- Siedział pan w jego wozie?

- Aż tak ważny to nie byłem. Siedziałem w wozie radiowym mojego bezpośredniego zwierzchnika, Oberleutnanta. Pracowaliśmy cały czas. Rommel to twardy facet.

Ross wrócił niepostrzeżenie do głównego tematu.

- Ale w Berlinie czytałeś meldunki w ich oryginalnej wersji?

- Tak. Przecież mówię i piszę po angielsku. Czasem radzono się mnie, kiedy tłumacze mieli wątpliwości. Rzadko mogłem dopomóc, bo zwykle chodziło o angielską terminologię wojskową. Już panu mówiłem, że oglądałem oryginały informacji. To stąd wiem, skąd pochodziły.

- Powtórz.

- Pochodziły z amerykańskiej ambasady w Kairze od attache wojskowego. Wręczał je Egipskiemu Towarzystwu Telegraficznemu, które drogą radiową miało je przekazywać Waszyngtonowi. Każda depesza zaczynała się od MILID WASH - czyli adresatem była Military Intelligence Division, Washington.

- A my od wielu miesięcy szukamy szpiega!

- No właśnie.

- Amerykański attache wojskowy jest o wszystkim informowany. - Ross przypomniał sobie przechwałki Harry'ego Wechslera. - Ma dostęp do każdej jednostki, może obejrzeć każdy czołg.

- Sztab Rommla zna każde wasze posunięcie - powtórzył z przekonaniem Percy. Rozejrzał się tak, jakby dopiero teraz zauważył pogruchotane czołgi. - Nim zapadnie noc, będzie już po was.

- Muszę natychmiast wracać do Kairu. Muszę zawiadomić sztab.

- Niech pan mnie puści - powiedział Percy. Ross spojrzął na niego z niedowierzaniem.

- Chyba oszalałeś. Czy wiesz, co twoi koleżkowie z tobą zrobią, gdy dowiedzą się, że zdradziłeś ich największą tajemnicę?

- Pohazardujmy się. Jeśli oni zajmą ten kocioł, będzie pan moim jeńcem. Jeśli nie, będę pańskim.

- Nie będę wchodził z tobą w żadne układy - oświadczył Ross. Percy nie odpowiedział. Był przekonany, że nie zaryzykują nadania tych wiadomości drogą radiową. Nasłuch Rommla na pewno by je przechwycił. Ross oświadczył:

- Pułkownik Anderson obiecał mi dać wóz pancerny z załogą. Spróbuję przedrzeć się do Kairu. Wezmę cię i jeśli będziesz się dobrze sprawował, zobaczę, co będę mógł dla ciebie zrobić.

Ledwie to powiedział, rozległy się gwizdy kul i dudnienie artylerii. Z namiotu wyszedł Anderson i zawołał:

- Zaczęło się, majorze. Hunowie ruszyli do ataku. Piechota i czołgi. Nie mamy szans.

- Gdzie jest ten pański człowiek?

- Już idzie - odparł Anderson. - Do tego jedyny będzie Butcher. - Wrócił do namiotu.

Znów rozległy się salwy karabinów maszynowych.

- O co chodzi? - spytał Percy.

- Wręcę moje notatki łącznikowi. Zaraz wyruszy. A my poczekamy do nocy. O ile jej dożyjemy. Jeśli zaś twoi koleżkowie pojawią się tu wcześniej, to pułkownik Anderson wyznaczył już kogoś godnego zaufania, kto nas obu zastrzeli.

22

To Peggy West poinformowała o wszystkim Alice. Przygotowywała się do tego dobry kwadrans. Weszła do biura, Alice siedziała tam sama. Chwała Bogu, jeszcze trudniej byłoby jej o tym powiedzieć w czyjejs obecności.

- Alice, mam dla ciebie wiadomość. - Mówiła smutnym tonem, na chwilę przerwała. - Niedobrą wiadomość.

- Chodzi o Berta?

- Tak, chodzi o Berta. Przeszedł ciężką operację. Asystowałam chirurgowi. Ale ma silny organizm i na pewno się wykaraska.

- Co się stało? - Alice zerwała się. Krew odpłynęła jej z twarzy, ścisnęła kurczowo kartki maszynopisu, wyglądało na to, że ją podrze.

- Zapewniam cię, że wyzdrowieje.

- Powiedz mi prawdę, Peggy.

- Ma strasznie poparzone nogi. Jest w szoku. Dostał udaru słonecznego, parę dni leżał na pustyni, nim go odnaleziono.

- On... on... - Nie śmiała spojrzeć na Peggy. Wyglądała przez okno. Wokół koszar Kasr an Nil zgromadził się jak zwykle tłum Egipcjan. Obserwowali codzienną pracowitą krzątanie żołnierzy brytyjskich tak, jak zwiedzający obserwują zwierzęta w zoo.

- On wyzdrowieje - powtórzyła Peggy. - Pewnie już za kilka tygodni będzie mógł się podnieść z łóżka. Rzecz jasna pozostaną blizny. Ale i tak miał mnóstwo szczęścia.

- Czy mogę go zobaczyć?

- Był u niego teraz brygadier. Bert chciał z nim rozmawiać jeszcze przed operacją, mówił, że ma ważne wiadomości, ale Hoch nie zgodził się operacji odłożyć.

- Chodzi o szpiega Rommla?

- Chyba coś w tym rodzaju. Rozmawiał z brygadierem sam na sam.

- Jesteś pewna, że on wyzdrowieje, Peggy? Kiedy będę mogła go zobaczyć?

- Chodź ze mną. Wprowadzę cię do jego pokoju, brygadier nie brygadier.

Alice uśmiechnęła się nerwowo.

- Przecież ja go kocham, Peggy.

- No, jasne - powiedziała Peggy.

Idąc korytarzem szpitalnym spotkały wychodzącego brygadiera. Towarzyszył mu Spaulding, miał na patkach nowe świecące romby kapitana, wyglądał dość komicznie, bo włożył szorty. Pod ramieniem niósł gruby plik papierów. Dzień był upalny, z twarzy Spauldinga kapał pot. Obaj mężczyźni zatrzymali się.

- O, siostra West... I panna Stanhope. - Na widok Alice brygadier zdjął czapkę. - W zeszłym tygodniu widziałem się z pani matką. To czarująca osoba. Spotkaliśmy się na koktajlu w Aleksie. Rozmawialiśmy o pani.

Peggy uśmiechnęła się. Alice skinęła głową, a Spaulding im się kolejno przyglądał. Stał tak, jakby pozował do fotografii. Trzymał się prosto, czapkę wcisnął pod ramię. Dziś nie wyglądało to efektownie, plik papierów gotów był się zaraz rozlecieć.

- Właśnie usłyszałam, co się stało z majorem Cutlerem - powiedziała Alice.

Brygadiera w pierwszej chwili zdziwił jej widok, ale rzypomniał sobie, że Alice Stanhope pracuje w biurze Cutlera.

- Jeśli martwi się pani o tego szpiega, to proszę się uspokoić. Major Cutler złożył mi ustny raport, a kapitan Spaulding wszystko zanotował. - Brygadier zachmurzył się. - To będzie największy skandal, jaki kiedykolwiek zdarzył się w Kairze.

- O ile ta historia się rozejdzie - powiedział ostrzegawczo Spaulding. Otarł czoło chusteczką koloru khaki.

Brygadier zobaczył jego wzrok.

- No, właśnie. Nie wolno, żeby się rozeszła. To ściśle tajna sprawa.

- Muszę go zobaczyć - oświadczyła Alice i starała się ich wyminąć.

- Przeżył straszny stres - wyjaśnił brygadier. - Dwa dni leżał na pustyni.

- Wiem. Powiedziała mi o tym siostra West. Brygadier pokręcił głową.

- On jeden wyżył z całej załogi wozu pancernego. Znalazł go oddział, który wyruszył grzebać poległych. Niemcy zostawili go, bo myśleli, że nie żyje. Nie wiadomo, co się stało. Cóż, kiedyś może dowiemy się od Cutlera. Był do niego przykuty kajdankami jakiś Południowy Afrykańczyk. Potworna historia. Kapelan w pierwszej chwili myślał, że Cutler też nie żyje. Pochowali już pół tuzina ludzi, nim przyszła na niego kolej.

- Panie brygadierze, przepraszam, ale muszę już iść. Mam do niego ważną sprawę.

- A to jaką? - spytał brygadier z bezpośredniością człowieka, który zwykle otoczony jest podwładnymi. Obdarzył ją uwodzicielskim uśmiechem. Był w świetnej formie. Lubił upały. - No, jaką?

- Chcę mu powiedzieć, by zameldował, że to ja jestem najbliższym członkiem jego rodziny.

Kiedy w szpitalu dowiedziano się, że przyjdzie brygadier, położono Jimmy'ego Rossa w pojedynczym pokoju. Teraz siedział na łóżku. Nad głową obracał się wiatraczek, nie bardzo wpływał na temperaturę powietrza, ale za to terkotał. Słońce padało przez okno na przewieszony przez oparcie łóżka mundur khaki. Zdjęto z patek romby, naszyto na rękawach szewrony kaprała. Było to dziełem siedzącego u wezłowia łóżka sierżanta Ponsonby'ego.

- Na pustyni podałeś, że jesteś kapralem Jamesem Rossem - powiedział Ponsonby, kiwając smętnie głową. - I kapelan to zapisał. Rozpoznała cię tutaj siostra West.

- Nie oszczędzajcie mnie, sierżancie. Powiedzcie całą prawdę.

- Mam tu wszystkie twoje dokumenty. - Ponsonby otworzył wielką brunatną kopertę. Na kopercie widniało nazwisko ROSS, JAMES. Obok pieczęć ZMARŁ. - Oto twój akt zgonu.

- Pokazał mu świstek papieru.

- I to wszystko?

- Mam nadzieję, że w tamtej sprawie nie doszło do procesu? - Ross pokręcił przecząco głową. - No i chwała Bogu. Tak właśnie sobie pomyślałem - zostałeś tylko postawiony w stan oskarżenia, prawda? No to masz teraz czystą kartę. Kiedy ktoś umiera, umarza się śledztwo. Nie ma innej możliwości. Ożyłeś, ale po raz drugi nie mogą cię o to samo oskarżyć. To by było niezgodne z prawem.

- Chcecie powiedzieć, że zostałem już przywrócony do życia?

- To się często zdarza. Kogoś biorą do niewoli, uchodzi za poległego, a po paru tygodniach udaje mu się uciec. Albo zostaje na polu bitwy jako trup, a potem wraca.

- I wtedy wszelkie oskarżenia tracą moc prawną?

- Nie, jeśli ktoś taki został uznany za zaginionego. Ale ty miałeś szczęście. Wystawiono ci akt zgonu.

- No i co dalej?

- Wyślą cię do Indii. A przedtem na rekonwalescencję do innego szpitala. Pewnie załatwi ci się urlop chorobowy plus te urzędowe dwa tygodnie przed załadowaniem na statek. Ale chcą się ciebie jak najprędzej pozbyć z Kairu.

- Dlaczego?

Ponsonby zadumał się, nim odpowiedział.

- Rozmawiałem z sierżantem sztabowym z archiwum. Najwygodniej im będzie wprowadzić do rejestru zapis, że zgon majora Cutlera nastąpił na pustyni. Brygadier wyraża zgodę. I wystąpił już o odznaczenie majora Cutlera pośmiertnie Krzyżem Wojennym.

- Zaraz, zaraz... Za tę wiadomość o amerykańskim attache?

- Tak. Wiedziałem, że ci się to nie spodoba. Ale fakty są faktami. Na pustyni nie było kaprała Jamesa Rossa, tylko major Cutler.

- To przecież ja zasłużyłem na to odznaczenie.

- O, nie. Krzyż Wojenny otrzymują tylko oficerowie. Nie możesz paradować w mundurze kaprała ze wstążeczką tego orderu na piersi. Sam się zastanów.

- Dlaczego nie podać, że na pustyni był kapral Ross? Wciągnąć mnie do rejestru o miesiąc wcześniej?

- Nie można, synu. Pobierałeś gazę majora.

- Hm, to prawda. - Ross zastanowił się. Parę dni temu marzył tylko o tym, żeby uzyskać uniewinnienie i stać się znowu sobą. I w końcu chodziło tylko o kolorową wstążeczkę. - Rozumiem. I kapral Ross nie zostanie oskarżony o dezercję ani o nieusprawiedliwioną nieobecność?

- Ależ, synu, przecież byłeś obecny. Cały czas harowałeś w biurach SIB-u występując w obronie prawa i porządku publicznego. Ktokolwiek oskarżyłby cię przed sądem wojennym, wyszedłby na kretyna. Kapitan Marker wyłożył to czarno na białym jakiemuś zadziornemu prawnikowi ze sztabu.

- Więc to wy, sierżancie, wymyśliliście to wszystko razem z kapitanem Markerem, żeby mi dopomóc?

- Nie ja. Ja tylko pilnuję regulaminu.

- Brygadier?

- Brygadier nic o tym nie chce wiedzieć. Rozmawiałem z nim. Uważa, że najlepiej będzie, jeżeli oficjalnie nie będzie znał żadnych szczegółów.

- Więc jestem wolnym człowiekiem?

- Co to, to nie, synu. Jesteś w tej cholernej armii. W tym momencie weszła Alice.

- Bert!

- Właśnie wychodziłem, panno Stanhope. - Sierżant Ponsonby zawsze umiał się znaleźć.

Późnym popołudniem Peggy West została wezwana do telefonu. Dzwonił austriacki dentysta z Aleksandrii. Z Miasta Ogrodów niedaleko było na wyspę Gezira. Wieczór nie był upalny, przyjemnie było się przejść.

- Hej! Hej! - zawołała parę razy Peggy, nim weszła na barkę. Nikt nie odpowiedział. Zwykle czekał na nią służący. Dziś wieczorem na barce panowała cisza. Świeciły tylko małe lampki na pokładzie.

Miała jednak uczucie, że nie jest sama. Jeszcze raz rozejrzała się i zawołała:

- Salomonie! Hej, Salomonie! - Nigdy nie mówiła do niego Sal. Dobrze już знаła barkę. Wąskie schodki prowadziły z górnego pokładu na dolny. Zeszła po nich. Drzwi nie były zamknięte, znalazła się w salonie, przez którego duże okna widać było odległy brzeg. Wpadało przez nie dosyć światła, żeby móc zobaczyć, iż wszystkie meble stoją na właściwym miejscu. Znalazła kontakt.

- Och!

Przez chwilę myślała, że siedzący w dużym fotelu człowiek już nie żyje. Peggy zbyt często widywała ciała zmarłych, żeby się naprawdę przerazić.

- Mój Boże! Salomon! Salomon poruszył się.

- Cicho! Nic się nie bój. Podejdz do okien i spuść zasłony. Zachowuj się naturalnie.

Wykonała to polecenie.

- Barka jest pod obserwacją. Chcę, żeby myślano, że jesteś tu sama. Czy ktoś za tobą szedł?

Miała ochotę zażartować i powiedzieć „Nie, tylko na mój widok gwizdano”, żeby wykić jego melodramatyczne zachowanie, ale kiedy mu się bliżej przyjrzała, słowa zamarły jej na ustach. Zobaczyła, że Salomon jest ranny. Trudno go było rozpoznać, zwykle był modnie ubrany i wyświeżony. Dziś był brudny, biały lniany garnitur był podarty i poplamiony, twarz wykrzywiona grymasem bólu.

- Która godzina? - spytał.

- Dochodzi dziesiąta. Co się stało?

- Trafiła mnie kulka. - Otarł wargi poplamioną krwią chusteczką. - Ikał nie żyje.

- Jak to się stało?

- Zastrzeliliśmy Mahmuda, tego bankiera. Donosił na nas.

- Pozwól, że cię obejrzę. - Rozpięła jego koszulę, rana była poważna. Ciekawe, jakim cudem udało mu się przejść taki szmat drogi.

- Uff... - zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć z bólu.

Lekko dotknęła jego piersi i powiedziała bardziej do siebie niż do niego:

- Niewiele mogę zrobić bez narzędzi. Muszę cię zabrać do szpitala...

- Nic mi nie będzie. Nie mam teraz czasu na szpital. Załóż mi tylko świeży opatrunek.

- Wyciągnął z kieszeni opatrunek wojskowy i buteleczkę z jodyną.

- To otwarta rana - ostrzegła Peggy. - Potwornie cię zaboli.

- Mówisz jak moja matka.

Przyniosła wodę, uklękła obok niego i oczyściła ranę. W kieszeni miał pistolet, udawała jednak, że tego nie zauważa.

- Ta kula uszkodziła ci chyba płuco. - Otarła mu usta chusteczką i spojrzała, czy nie pojawią się na niej świeże ślady krwi. Nie. Ale to jeszcze nie był dowód. - Trzeba cię jak najszybciej prześwietlić. - Rozdarła opatrunek i założyła mu go. - Musi cię zobaczyć lekarz - oświadczyła, zapinając koszulę. - To tylko prowizoryczny opatrunek.

- Nie męcz mnie. Widział mnie lekarz. Nic mi nie grozi.

- Owszem, grozi. Jesteś ciężko ranny. Kto wie, czy nie masz przestrelonego płuca. I rana gotowa zacząć ropieć, jeśli co dzień nie zmieni się opatrunku.

- Przestań! - Powoli i ostrożnie wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel. Położył go na kolanie i otworzył. - Oto pieniądze od Karla.

- Dziękuję.

- Po to tu przyszedłeś, prawda?

Umyślnie zachowywał się agresywnie, chciał pokazać, że niepotrzebna mu jest jej pomoc, niepotrzebna niczyja pomoc.

- Bo po cóż by innego - odpowiedziała z westchnieniem i wstała. Była bardzo zmęczona długim dniem pracy.

Uśmiechnął się.

- Zbliża się Rommel, Peggy. Na co ci się wówczas zdadzą te pieniądze?

- Rommel nie zajmie Kairu. - Odsunęła się od niego, obciągnęła sukienkę, przygładziła włosy i usiadła w miękkim fotelu.

- Zajmie - oświadczył Salomon. - Zajął Tobruk i przekroczył granicę egipską. Hitler mianował go feldmarszałkiem, jest już o paręnaście kilometrów stąd.

- Jemu też przydadzą się pielęgniarki - powiedziała udając spokój.

- Która godzina?

- Dlaczego wciąż o to pytasz? - Nie odpowiedział. Spojrzała na zegarek. - Pięć po dziesiątej.

- Przegapiłem dziennik BBC. Ma po mnie przyplłynąć statek.

- Wracasz do Palestyny?

Zauważyła, że dotknął ręką kieszeni, w której znajdował się pistolet.

- Boję się, że spróbują mnie schwytać, gdy będę wsiadał na łódź. Ale się im nie dam.

- Komu?

- Mówiłem ci już, że mnie śledzą.

- SIB?

- Ten cholerny Cutler i jego ludzie. To wariat.

- Obaj jesteście zwariowani. Ale Cutler jest gdzieś na pustyni. Pokręcił przecząco głową.

- Nie, Peggy - powiedział dobrodusznie. - I ty o tym dobrze wiesz. Dziś rano przywieźli go awionetką. Plotka głosi, że kiedy go znaleźli, był do niego przykuty kajdankami jakiś facet. I że Brytyjczycy dowiedzieli się nareszcie, kto ich zdradza.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- A jak myślisz, co ja robię w Kairze? Siedzę w fotelu i gapię się w sufit?

- Ale skąd dowiedziałeś się o Cutlerze?

- Mam wszędzie agentów.

- Żydów?

- Niektórzy lekarze i niektóre pielęgniarki poczuwają się do obowiązku wobec swojej ojczyzny - powiedział patrząc na nią znacząco.

- Robiłam, co mogłam, Salomonie. To nie moja wina, że księżę Piotr jest zwykłym, nieszkodliwym gadułą. Od razu ci to zresztą powiedziałam. Śledzenie go było tylko stratą czasu.

Skinął potakująco głową. Mówiła prawdę. To nie była jej wina, to była jego wina.

- Cóż, pomyliłem się.

Pierwszy raz usłyszała, że przyznał się do popełnienia błędu. Pewnie ból dał mu się bardzo we znaki.

- Cóż, mogło ci się tak wydawać... Ale teraz nie jesteś w na tyle dobrym stanie, żeby móc powziąć jakąś ważną decyzję.

Mówił dalej tak, jakby jej wcale nie słyszał.

- Ikał zawsze się ze mną sprzeczał. Chciał pomagać Brytyjczykom. Uważał, że dla Żydów najważniejsza jest walka z Hitlerem i z faszyzmem.

- A ty się z tym nie zgadzałeś?

- Wszystko jest dużo bardziej skomplikowane - odpowiedział wymijająco Salomon.

- Żydzi mają wielu wrogów.

Salomon dotknął opatrunku, jakby chciał sprawdzić, czy będzie to bardzo bolało.

- Uważasz może, że powinienem pomóc zatrzymać Rommla?

- Jesteś ranny i niewiele mógłbyś zdziałać.

- Brytyjczycy wycofują się. Nie będą walczyć.

- Będą - sprzeciwiła się ostro Peggy. - Nie znasz ich. Będą.

- Idź na pokład. Weź z sobą latarkę. I wypatruj statku... to będzie feluka. Trzy razy mrugnie zielone światelko. Wtedy zapalisz latarkę.

Spojrzała na niego.

- Trzy razy mrugnie zielone światelko - powtórzyła. Co za precyzja, a jednocześnie jakie to dziecinne. Zawsze bawił się w konspiratora, powinien być aktorem. - Idę.

Cieszyła się, że będzie miała czas zebrać myśli. Stała na pokładzie wpatrując się w ciemności. Z zapadnięciem nocy ochłodziło się, nad Nilem zawisła gęsta mgła. Latały nietoperze. Z biegiem czasu przywykła do nich, ale na początku swego pobytu w Kairze bała się ich, wręcz irracjonalnie. Iluż to rzeczami martwiła się w tamtych czasach! Dopiero ostatnio, po śmierci rodziców, zobaczyła swoje życie we właściwej perspektywie. Jak do tego doszło, że nie została w Anglii, nie poszukała odpowiedniej posady, nie znalazła dobrego męża, nie miała ani domu, ani dzieci? Dlaczego, odkąd dorosła, pracowała w źle wyposażonych salach chirurgicznych i mieszkała w dusznych, niewygodnych pokojach zakurzonych miast? Czy przyświecał jej jakiś romantyczny, a naprawdę nie istniejący cel?

Salomon musiał usłyszeć, że nadpływa statek. Albo to wyczuł. Czasem wydawało się, że jest obdarzony szóstym zmysłem. W każdym razie, gdy po raz drugi zamrugało zielone światelko, stał już u jej boku. Zapaliła latarkę. Zobaczyła dużą felukę z łaćńskim ożaglowaniem, od wielu stuleci pływały one po nadbrzeżnych wodach Afryki. Ta jednak była niezwykła - Peggy usłyszała warkot silnika. Umilkł. Pod barkę podpłynęła spuszczone z feluki szalupa. Salomon zapiął płaszcz, szykując się, by na nią zejść.

- Nie masz bagażu? - spytała Peggy.

Pokręcił przecząco głową.

- Nic ze sobą nie biorę. Zajrzała mu w oczy.

- Uważaj na siebie. Natychmiast idź do lekarza.

- Weź sobie tę barkę - powiedział tak, jakby mu to nagle przyszło na myśl. - Umeblowanie jest także moje. W górnej szufladzie biurka znajdziesz akt darowizny, poświadczony przez notariusza. Podatek lokacyjny został uregulowany do końca 1943 r. Jeśli nie masz na nią ochoty, możesz ją sprzedać.

- Dziękuję, Salomonie. - Wiedziała, że nie był to nagły impuls, Salomon był człowiekiem, który starannie przygotowywał każde posunięcie. Choć był tak ciężko ranny, wszystko musiało się odbyć zgodnie z planem.

- Karl nie żyje - powiedział, jakby to miało wyjaśnić, dlaczego ją obdarowuje.

- Wiem.

- Skąd wiesz?

- Domyśliłam się. Nigdy nie dałeś mi listu napisanego jego ręką.

- Owszem, przynosiłem ci listy.

- Napisane na maszynie. Karl nie umiał pisać na maszynie.

- Mógł się nauczyć.

- O nie, nie Karl.

Oczekiwała, że powie coś patetycznego o śmierci Karla, o tym, że poległ na polu chwały, że oddał życie za żydowską ojczyznę, Salomon nie dorzucił jednak ani słowa.

Szalupa wyrznęła w kadłub barki.

- Czy to „Złote Miasto”? - spytał ktoś z szalupy.

Peggy pomyślała, że to umówione hasło, ale zaraz przypomniała sobie, że przecież barka nosi nazwę „Złote miasto”.

- Jestem tu - powiedział Salomon. Przytrzymał się jej ramienia, żeby się nie zachwiać. Potem powoli zszedł po drabinie. Na najniższym szczeblu zatrzymał się i popatrzył na podskakującą szalupę. Z trudem udało mu się do niej wsiąść. Pod jego ciężarem zachybotwała

się. Zachwiał się. Przez chwilę wydawało się, że wpadnie do wody. Ale jeden z wiosłujących podtrzymał go i posadził.

- On jest ranny - zawołała cicho Peggy. - Zaprowadźcie go zaraz do lekarza.

Salomon wolniutko zwrócił się w jej stronę i skinął ręką.

- Tam, gdzie jadę, wszyscy są lekarzami. Bywaj!

Pomachała mu ręką, ale on się już odwrócił. Łódź ruszyła, gdy tylko do niej wsiadł. Kiedy szalupa przybiła do feluki, wniesiono Salomona na jej pokład. Znów zawarkotał silnik. Wokół było ciemno i po chwili żagle znikły w ciemnościach. Kiedy ostatni raz zobaczyła Salomona, owijano go na rufie w pled.

Peggy chwilę stała wpatrując się w fioletowe ciemności. Zrobiło jej się smutno, choć nigdy nie lubiła Salomona. Tak bardzo raziła ją jego samcza arogancja. Często powtarzała sobie, że zbyt wiele oczekuje od mężczyzn.

Wydawało jej się, że upłynęło najwyżej parę minut, gdy usłyszała na trapie tupot kroków i zaraz potem głos inspektora egipskiej policji.

- Niech pani niczego nie wrzuca do wody! Odwróciła się, zobaczyła stalowe hełmy i karabiny.

- Nie zamierzałam niczego wrzucać - powiedziała chłodno.

- Szukamy właściciela tej barki - zakomunikował grzecznie policjant.

- To ja jestem jej właścicielką - oznajmiła Peggy. - Właśnie przed chwilą dostałam ją w prezencie.

Na pokład weszło kolejno wielu policjantów. Na koniec pojawił się kapitan Marker i serdecznie przywitał się z Peggy.

- Dobry wieczór, Peggy.

- Czego panowie sobie życzą? - spytała Peggy.

- Przede wszystkim chcieliśmy się przekonać, czy nic ci się nie stało.

- I szukacie Salomona?

- Tak - przyznał. - Poza tym szukamy Salomona.

- Już go nie ma - oświadczyła Peggy. Sama nie wiedziała, czy cieszy się, że Salomonowi udało się wymknąć. Nigdy go naprawdę nie rozumiała. W co on właściwie wierzył, do czego dążył? Doszła jednak do wniosku, iż raduje ją jego ucieczka. Przykro byłoby myśleć, że ktoś znajomy siedzi w areszcie.

- Tak, spóźniliśmy się - powiedział Marker.

Chwilę stali w milczeniu, jakby nagle zniknęła łącząca ich przyjaźń. Inspektor policji egipskiej podszedł do Markera, zsalutował i zameldował, że rewizja nie przyniosła żadnych rezultatów.

- Dziękuję panu, panie inspektorze Whalil. Może pan zabrać swoich ludzi. Nasze ptaszki wyfrunęły.

- Jakiś statek popłynął w górę rzeki - powiedział inspektor. - Ten, którego obecność panu sygnalizowałem - dodał z lekkim wyrzutem.

- Miejmy nadzieję, że go zatrzyma patrol marynarki - odparł Marker. Inspektor znów zsalutował. Jego wyraz twarzy świadczył, że nie bierze tej możliwości pod uwagę.

Peggy przyglądała się, jak policjanci głośno schodzą po trapie, wsiadają do wozu i odjeżdżają. Powiedziała:

- On ofiarował mi tę barcę.

- Tak, słyszałem, jak mówiłaś o tym inspektorowi. Moje gratulacje! Pogłaskała poręcz.

- Pierwszy raz mam coś, co należy tylko do mnie. - Spojrzała na Markera. - Ale nie myśl, że dla niego pracowałam. Nie pracowałam.

- Wcale tego nie myślałem, Peggy. Myślę o tobie same najmiłsze rzeczy.

- Może chcesz zejść na dół i czegoś się napić? - zaproponowała. „Złote Miasto” było przycumowane blisko mostu i widzieli ruch samochodowy na szosie. Każdy wehikuł z Pustyni Zachodniej wracający do Kairu musiał przejechać przez Most Angielski. Tylko konie i muły przechodziły przez Deltę. Peggy i kapitan Marker patrzyli na mrugające reflektory pojazdów na moście. Jechały jeden za drugim. Był to długi konwój złożony wyłącznie z wracających z pustyni ambulansów. Jutro szpital znów przeżyje ciężki dzień.

Patrzyli na konwój jak na wojskową paradę, czuli, że nie powinni schodzić w tym momencie na drinka, że w ten sposób okazaliby brak szacunku dla rannych. Dopiero kiedy za ostatnim ambulansem pojawiła się hałaśliwa demonstracja studentów wiwatujących na cześć Rommla, opuścili pokład.

- Zdaje się, że coś wspomniałaś o drinku? - powiedział Marker.

Odprężyli się w wygodnej kabinie. Marker zdjął czapkę i usiadł w fotelu, a Peggy nastawiła czajnik i zaparzyła herbatę. Marker wołał kieliszek alkoholu.

Zaczęła oglądać butelki.

- Whisky, koniak, dzin czy wódka, kapitanie?

- Chętnie wypiję małą whisky z wodą, Peggy. Pół na pół. Starannie odmierzyła proporcje tak, jakby chodziło o lekarstwo i podała mu szklanę. Podniósł ją do góry proponując toast.

- Jeszcze raz ci gratuluję, Peggy. Wypijemy za „Złote Miasto”. Oby Bóg sprzyjał każdemu, kto będzie na nim żeglował.

- Złote miasto - powtórzyła Peggy. Uśmiechnęła się, usiadła i naląła sobie filiżankę herbaty. - Ja bym je raczej nazwała miastem z mosiądzu. Te mosiężne tace, wazony, te wszystkie mosiężne bibeloty, które kupuje się na suku, a większość z nich została wyprodukowana w Birmingham. I te mosiężne trąbki, które budzą nas o świcie, mosiężne guziki brytyjskich mundurów, już nie mówiąc o tak zwanych „mosiężnych kapeluszach” tej całej brytyjskiej hierarchii wojskowej. Ci ludzie zachowują się tak, jakby ten kraj do nich należał.

- W stronach mojego ojca słowo mosiądz oznaczało forszę.

- Mosiądz lśni jak złoto, a przecież to bezwartościowy stop metali. Jeśli się go co dzień nie oczyści, zielenieje.

Marker przyjrzał jej się. Była dziś - zupełnie wyjątkowo - skłonna filozofować. Z typowo męską logiką pomyślał, że czuje się zagubiona.

- Miałaś zamiar wyjechać z Salomonem?

- Tak. - Nie było to prawdą, ale chciała zobaczyć, jak on na to zareaguje.

- Do Palestyny?

- Do Palestyny. Odwiedzić męża.

- Przecież miałaś jechać z naszym kurierem.

- Dowiadywałam się. Ten kurier nie istnieje. - Rzeczywiście spytała się o kuriera Alice, a ta - o niczym nie poinformowana - powiedziała jej, że nie wysyłają kurierów.

- Cóż, to prawda - podniósł do góry ręce na znak, że się podaje.

- Wy nie macie kuriera, a ja już nie mam męża. Nigdzie się nie wybierałam.

- Strasznie mi przykro.

Wyczuła, że Marker wie o śmierci Karla. Pewnie policja została już o tym poinformowana.

- Nie musi panu być przykro, panie kapitanie. To zdarzyło się już dawno temu. Cóż, nie żyje. I obawiam się, że nie zależało mu na mnie, tylko na brytyjskim paszporcie. Pewnie zachowałam się jak idiotka.

- Przecież miałaś mówić do mnie po imieniu. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? W tej chwili nie jestem na służbie. Rozmawiamy prywatnie.

- Dobrze, Lionelu. Czy możesz mi wskazać jakiś lokal, gdzie mogłabym się spokojnie upić?

- Tego bym nie zalecał - powiedział poważnym tonem Marker.

- A co lepszego można według ciebie zrobić w Kairze w sobotni wieczór?

Długo na nią patrzył. Była niezwykle ponętą kobietą, zauważył to już przy pierwszym spotkaniu.

- Może po sesji... - Marker w chwilach zdenerwowania zaczął mówić żargonem prawniczym. - Chcę powiedzieć, że po dobrej kolacyjce z winem na pewno wpadnę na jakiś dobry pomysł.

Peggy roześmiała się głośno. Po raz pierwszy od bardzo dawna. Uświadomiła sobie, że Lionel Marker z rozmysłem pozwolił Salomonowi uciec. Marker nie wykonywał tępo swoich obowiązków. Myślał. I to się jej bardzo podobało.

Jutro znów czeka ją ciężki dzień. Słyszała dudniące na moście ambulanse. Chirurdzy i siostry instrumentariuszki będą pracować dniem i nocą. Brytyjczycy zatrzymają Rommla, ani przez chwilę w to nie wątpiła, ale przyjdzie im za to drogo zapłacić.

Marker nie spuszczał z niej oczu. Zobaczył, że się zachmurzyła, i spytał:

- Co ci jest, Peggy?

- Chyba ja się też z tobą napiję - powiedziała. Wstała i nalała sobie whisky z wodą. Nie sięgnęła po kostki lodu, nie lubiła lodu. Spojrzała na Markera i podniosła do góry szklankę. Dzisiejszy wieczór należy do niej. Nagle poczuła się wolna. Jutro przechrzci tę przeklętą barkę. Nazwie ją „Miastem z Mosiądzu”.

Posłowie

Latem 1942 roku odwołano nagle do Waszyngtonu amerykańskiego attache wojskowego z Kairu. „Nowy attache wojskowy zaczął używać kodu M-138, szyfrantom Osi nie udało się go złamać i Rommel został odcięty od informacji dotyczących strategicznych planów brytyjskich. Stało się to w chwili, gdy już przekroczył granicę egipską i wydawało mu się, że jego będą piramidy i zwycięstwo. Jednakże Ósma Armia Brytyjska odparła pod Al-Alamajni niemieckie natarcie”.

I tak Rommel i jego Afrika Korps nie dotarli do Kairu. Pozbawiony bezcennych informacji Rommel przerwał ofensywę. A w październiku rozpoczęła się ofensywa brytyjska. Zaskoczyła Niemców, ponieśli klęskę i stało się to zwrotnym punktem w całej wojnie. Afrika Korps zaczął się wycofywać, w końcu musiał opuścić Afrykę. Churchill powiedział: „Przed

Al-Alamajn nie zazналиśmy smaku zwycięstwa, po Al-Alamajn nie doznaliśmy już żadnej klęski”.

David Kohn, „The Codebreakers

* SIB - Special Investigation Branch - jednostka dochodzeniowa w Armii Brytyjskiej.

* CID - Criminal Investigation Department - Wydział Przepstw Kryminalnych Armii Brytyjskiej.

* POUM - Partido Obrero de Unificacion Marxista.

* RNVR - Royal Navy Volunteer Reserve - ochotnicza formacja rezerwistów brytyjskiej marynarki wojennej.

* DSO - Distinguish Service Order.